



*Patricia Gaffney*



*Przyjaciółki od serca*

# 1.

## *Emma*

Skoro połowa wszystkich małżeństw kończy się rozwodem, to jak długo trwa przeciętny związek? To nie jest problem matematyczny, ja naprawdę chciałabym wiedzieć. Założę się, że mniej niż dziewięć i pół roku. Nasza grupa istnieje właśnie od tylu lat i jeszcze się sobą nie znudziłyśmy. Wciąż rozmawiamy z ożywieniem, dostrzegamy nawet najdrobniejszą zmianę w wyglądzie, nową fryzurę, nowe buty. O ile wiem, żadna nie rozgląda się za jakąś młodszą, bardziej niezawodną członkinią.

Szczerze mówiąc, nigdy nie myślałam, że nasza przyjaźń przetrwa tak długo. Ja przyłączyłam się tylko dlatego, że Rudy mnie zmusiła. Pozostałe trzy to Lee, Isabel i Joan? Joanne? Ona odpadła, przeniosła się do Detroit ze swoim chłopakiem, urologiem, i nie podtrzymałyśmy tej przyjaźni. Lee uznałam za zbyt apodyktyczną, a Isabel wydała mi się za stara - trzydzieści dziewięć. Cóż, dość powiedzieć, że w przyszłym roku sama skończę czterdziestkę. Lee naprawdę jest apodyktyczna, zawsze musi postawić na swoim, ale wybaczymy jej to, bo jest wyjątkową osobą.

Pierwsze spotkanie wypadło źle. Odbyło się w domu Isabel - wtedy jeszcze żony Gary'ego. Boże, ci ludzie to sztywniacy, pomyślałam sobie wówczas. Sztywniacy i bogacze. Właśnie wprowadziłam się do wilgotnego mieszkania w suterenie w Georgetown, za tysiąc sto dolarów miesięcznie ze względu na adres, więc byłam trochę drażliwa na punkcie pieniędzy. Lee wyglądała, jakby właśnie wyszła od Neimana po całym dniu zabiegów kosmetycznych. Poza tym nie miała nikogo, nadal nie ukończyła studiów podyplomowych, wykładała pedagogikę specjalną na część etatu - wiadomo, ile z tego jest pieniędzy, a mimo to mieszkała o przecznicę od Isabel, na snobistycznej Chevy Chase, we własnym domu. Naturalnie miałam to za złe tym ludziom.

Przez całą drogę do domu wyjaśniałam Rudy, co mam im wszystkim do zarzucenia i czemu nie mogę przystąpić do grupy, której członkinie mają elektryczne piły do strzyżenia żywopłotów, ubierają się u Ellen Tracy, pamiętają Eisenhowera i mają problemy urologiczne.

- Ale one są miłe - obstawała Rudy.

Co, oczywiście, było nie na temat. Jest mnóstwo miłych ludzi, ale to nie znaczy, że trzeba się z nimi umawiać na kolację co drugi czwartek i powierzać im swoje sekrety.

Druga sprawa to zazdrość. Nie mogłam znieść, że oprócz mnie Rudy ma inną dobrą przyjaciółkę. Ona i Lee zgłosiły się na ochotnika i raz w tygodniu uczyły pisać i czytać analfabetów z miasta. Ta praca bardzo je zbliżyła. Nigdy nie sądziłam, że staną się najlepszymi przyjaciółkami. Lee i Rudy niewiele mają wspólnych cech. Jednak w ich towarzystwie nie czułam się bezpiecznie (tak wtedy, jak i teraz). Zanadto jestem znerwicowana, aby dostrzec piękno Gracji Ratowniczek.

Nie byliśmy wtedy jeszcze oczywiście Gracjami Ratowniczkami. Teraz też tak o sobie nie mówimy w miejscach publicznych. To staromodne, brzmi jak slogan z telewizyjnej reklamy, prawda? Gracje Ratowniczkki - Valerie Bettinelli, Susan Dey i Cybill Shepherd - wszystkie atrakcyjne, bystre, dowcipne i już niemłode. Tak czy owak, geneza naszej nazwy jest sprawą prywatną. Bez żadnej szczególnej przyczyny szcycimy się nią, ale nie mówimy o tym.

Wracałyśmy z kolacji w restauracji w Great Falls (jadamy na mieście, jeśli ta, na którą wypada kolej, nie ma ochoty gotować), jadąc dłuższą drogą, bo Rudy przegapiła skręt na Beltway: Tworzyłyśmy wtedy grupę od roku, właśnie rozstałyśmy się z Joan/Joanne, ale jeszcze nie pozyskałyśmy Marshy, przelotnej członkini numer dwa, więc byłyśmy we cztery. Ja siedziałam na tylnym siedzeniu. Rudy odwróciła się, żeby popatrzeć, jak przedrzeźniam kelnerkę, która mówiła i wyglądała jak Emma Thompson. Isabel wrzasnęła: „Uważaj!” - ale o ułamek sekundy za późno. Potraciłyśmy tego psa.

Wciąż mam przed oczyma jego żółty pyszczek. W chwilę potem zderzak uderzył psinę w bark i przerzucił przez dach saaba Rudy. Wrzeszczałyśmy wszystkie naraz. Ja w kółko powtarzałam: - Nie żyje, nie żyje, na pewno nie żyje. Gdybym jechała sama, prawdopodobnie nie zatrzymałabym się. Byłam pewna, że pies nie żyje, i nie chciałam go oglądać. Gdy miałam dwanaście lat, przejechałam rowerem żabę i do tej pory nie mogę tego zapomnieć. Ale Rudy zgasła silnik i wszystkie wysiadły, więc i ja musiałam wysiąść.

Pies nie był martwy, ale nie wiedziałyśmy tego, póki Lee nie przemieniła się tam, na McArthur Boulevard, w Cherry Ames, Szosową Pielęgniarkę. Czy ktoś widział człowieka robiącego sztuczne oddychanie usta usta psu? Teraz, kiedy o tym opowiadam, wydaje się śmieszne, ale wtedy wydało się nam wstrząsające i odrażające. Rudy zdjęła swoją czarną kaszmirową pelerynkę, której jej zawsze zazdrościłam, i owinęła nią psa, bo Lee powiedziała, że on jest w szoku. - Weterynarz, potrzebujemy weterynarza - denerwowała się Isabel, ale w polu widzenia nie było domów ani sklepów, nic - tylko zaciemniony kościół po drugiej stronie drogi. Isabel wkroczyła na jezdnię i zamachała rękami przed samochodem jadącym z naszej strony. Kiedy się zatrzymał, podbiegła i odbyła rozmowę z kierowcą. Ja tylko stałam i załamywałam ręce.

Rudy i Lee podniosły psa i położyły na tylnym siedzeniu saaba. Kątem oka, bo nie śmiałam spojrzeć wprost, zauważyłam krew na jego nosie. - Curtis się wścieknie - mruknęłam, patrząc na ciemną plamę rozlewającą się na skórze koloru miodu na siedzeniu saaba turbo 900. Rudy nawet nie mrugnęła okiem.

- Dobra, w Glen Echo jest weterynarz - zameldowała Isabel, wślizgując się na przednie siedzenie obok Rudy, żeby jej pokazać drogę. Ja musiałam usiąść z tyłu z Lee i psem. Nie znoszę widoku krwi i zaraz robi mi się niedobrze. Widziałam kiedyś, jak sąsiad przejechał sobie elektryczną kosiarką po nodze. Zgięłam się wpół i zwymiotowałam na chodnik. Nie kłamię. Więc patrzyłam w okno. Reflektory samochodu oświetliły napis na kościele po drugiej stronie:

## OUR LADY OF GRACE - MATKA BOSKA ŁASKAWA.

Zastanawiacie się zapewne, jaka jest pointa tej historii i czy w ogóle do niej dojdę. Cierpliwości, już mówię.

Rudy jechała jak kierowca rajdowy. W Glen Echo nie zastałyśmy weterynarza (była jedenasta w nocy), ale przybył, gdy zaspany dozorca go wezwał. Gracja, ta suka, miała złamaną nogę i wybity bark, ale przeżyła. Rachunek wyniósł tylko tysiąc sto czterdzieści dolarów. Nikt się o nią nie upomniał - *quelle surprise!* - ale gdy wyszła ze szpitala, Lee i Isabel o mało się o nią nie pobiły. Ernie, stary pies Isabel, właśnie rozstał się z życiem, więc wygrała ona i ma Grację do tej pory. Gracja postarzała się i posiwiiała, tak jak my, jej najlepsze dni już minęły, ale jest najśłodszym psem na świecie. Myślałam, że będzie nam miała za złe, że ją potrączyłyśmy, ona jednak nas uwielbia. Gdy obchodzimy rocznicę wypadku, mówimy, że to urodziny Gracji i obsypujemy ją mnóstwem zabawek i jadalnych prezentów.

Już wiecie, skąd się wzięła nazwa naszej grupy. Zauważyliście, że w tej historii tylko ja nie położyłam żadnych zasług, nie dokonałam żadnego heroicznego czynu. Grupa, podobnie jak Gracja, w swojej łaskawości i szczodrości raczyła mi to wybaczyć. Nikt mi tego nie wytknął nawet żartem (ja nie mogłabym się oprzeć pokusie i w ciągu tych dziewięciu i pół roku zrobiłabym to przynajmniej raz). Nie, zawsze byłam akceptowana jako Gracja Ratownicza, i to wystarczy, nawet gdyby nie było innych przykładów wsparcia i miłości, dobroci, wierności, współczucia, pociechy i solidarności, że będę wobec nich lojalna do końca życia. Ale te przykłady są. Z tysiąc przykładów. A ponieważ nie wstąpiłam do zakonu, nadmienię, że znalazłyby się również przykłady zazdrości, złego humoru, uporu i chwilowych załamania nerwowych. Jednak są one niczym w porównaniu z tamtymi. Jeszcze dziś drzę na myśl, że moje uprzedzenie do przedstawicieli wyższej warstwy klasy średniej o mało nie skłoniło mnie do wycofania się grzeczną wymówką zaraz po pierwszym spotkaniu u Isabel.

Dobra, stara Rudy, zawsze mnie podtrzymywała na duchu, mimo że z nas wszystkich, gdy się nad tym zastanowić, ona jest najbliższa obłąkania. Lee jest normalna. My ją tak nazywamy - co ona traktuje jak komplement. To jakby mówi wszystko o Lee.

## 2.

### *Lee*

Pierwsze nasze zebranie odbyło się 14 czerwca 1988 roku w domu Isabel na Meadow Street. Isabel przyrządziła kurczę po tajsku w sosie arachidowym z celofanowymi kluseczkami. Grupa założycielska liczyła pięć osób: Isabel, Rudy, Emma, Joanne Karlewski i ja. Ponieważ cztery z nas przyniosły sałatkę, zgłosiłam wniosek, aby na następne spotkanie każda z nas przygotowała coś innego. Ustaliliśmy, że gospodyni przygotowuje główne danie, Rudy przyniesie przekąski, Emma sałatkę, Joanne pieczywo, Isabel owoce, a ja deser. Z wyjątkiem Rudy taki podział zadań obowiązuje do dziś. (Musiałyśmy przenieść Rudy z przekąsek do deserów, bo nigdy nie zdążyła na czas).

Spotkania odbywały się w pierwszą i trzecią środę miesiąca, ale we wrześniu 1991 roku wróciłam do szkoły wieczorowej i środy miałam zajęte. Zmieniłyśmy więc środy na czwartki i tak już zostało. Zaczynamy zwykle o wpół do ósmej, a kończymy o dziesiątej lub kwadrans po. Przez kilka lat pod koniec wieczoru wyznaczałyśmy temat do dyskusji na następne zebranie: matki i córki, ambicje, zaufanie, seks, tego rodzaju rzeczy. Część oficjalna rozpoczynała się zaraz po kolacji i trwała około godziny. Jednakże praktyka ta upadła i mnie na przykład brakuje tych rozmów. Od czasu do czasu wnoszę o ich przywrócenie, ale nie znajduję poparcia. - Omówiłyśmy już wszystko - dowodzi Emma - nic już nie pozostało. - Przyznaję, że jest w tym trochę prawdy, ale sądzę, że problem leży w lenistwie. Łatwiej plotkować niż zorganizować swoje myśli wokół prawdziwego, obiektywnego tematu i się go trzymać. Lubię sobie poplotkować, jak wszyscy, ale jaki z tego pożytek.

Za czasów członkostwa Susan Geiser (od lutego 1994 do kwietnia 1995) ustanowiłyśmy zasadę piętnastu minut, która nadal obowiązuje, chociaż nie jest nam obecnie potrzebna, skoro nie ma Susan. Stanowiłyśmy grupę już od jakiegoś czasu, gdy Isabel poznała Susan i zaproponowała, aby ją przyjąć do naszego grona. Susan miała kilka uroczych cech, potrafiła być dość interesująca i zabawna, ale Emmę i Rudy doprowadzała do szału jej gadatliwość. Buzia jej się nie zamykała. Toteż któregoś wieczoru Isabel zaproponowała - w cudownie taktowny sposób, jak to tylko ona potrafi - żeby podczas kolacji każda z nas mogła przez piętnaście minut opowiedzieć, jak się czuje, co ostatnio robiła i o czym myślała. Nie trzymamy się tego sztywno, żadna nie patrzy na zegarek, jest to po prostu wskazówka. Ja zwykle kończę w pięć minut, za to Rudy potrzebuje co najmniej dwudziestu, więc wszystko jest jak należy.

Emma i Rudy twierdzą, że to ja wpadłam na pomysł utworzenia grupy, wszystko zaplanowałam i zorganizowałam, ale ja uważam, że w takim samym stopniu przyczyniła się do tego Isabel. Byłyśmy przyjaciółkami od około półtora roku, Isabel i ja, od tego wieczoru Halloween, kiedy Terry, jej syn,

zwymiotował na moje nowe pantofle. Przeprowadziłam się właśnie z wieżowców w College Park do domu na Chevy Chase i świetnie się bawiłam, rozdając popcorn i kandyzowane jabłka mojej roboty wszystkim małym psotnikom. Całym tuzinom psotników - nie mogłam się połapać, ile dzieci mieszka w moim nowym sąsiedztwie. Wszystkie były kochane i słodkie, poprzebierane za księżniczki, czarownice i komandosów. Przyznaję, że miałam na punkcie dzieci hopla, jak mówiła Emma. Po wpół do dziewiątej dzwonek u drzwi przestał dzwonić, a o dziewiątej wyglądało, że święto się skończyło.

Właśnie gasiłam światło na ganku, przygotowując się, by pójść na górę i wziąć prysznic, kiedy coś grzmotnęło w drzwi. Był to głośny łoskot - pomyślałam, że ktoś coś rzucił, może jedną z dyń, które wycięłam i ustawiłam na schodkach. Wyjrzałam przez wizjer i zobaczyłam chłopaka. Dwóch chłopaków. Jednego z nich poznałam, więc otworzyłam.

- Psota czy poczęstunek? - zapytałam.

To ich pokonało, zderzyli się z sobą, żaden z nich nie był przebrany, i zgięli się obaj wpół w konwulsjach śmiechu. Pijackiego śmiechu.

- Jesteście błązami? - zapytałam.

- Nie, jesteśmy zbirami - rzekł ten, który, jak się później dowiedziałam, miał na imię Kevin. To ich przyprawiło o nowy atak śmiechu. Obaj trzymali poszewki na poduszki wypchane słodyczami - dowód na to, że wieczór był owocny. Szli od domu do domu i nikt ich nie puścił z pustymi rękami.

- Znam cię - powiedziałam, mierząc palcem w pierś Terry'ego. - Mieszkasz na Meadow Street, w tym białym domu na rogu. Czy twoja matka wie, co ty i twój przyjaciel wyprawiacie dziś wieczorem?

- Pewnie - rzekł, ale przestał się śmiać. Chłodna, deszczowa noc sprawiła, że jego blond włosy się pozlepiały, a twarz poczerwieniała. Terry miał wtedy piętnaście lat, ale wyglądał dziecinnie w tym swoim obwisłym, pretensjonalnym, za dużym ubraniu.

Natarłam na Kevina:

- A ty gdzie mieszkasz?

- Na Leland Street - mruknął, cofając się ku schodkom.

Mam taki wpływ na dzieci: ilekroć jestem surowa, trzeźwieją. (W tym przypadku dosłownie). Ale nie z lęku, zapewniam was. To taki mój sposób, który sprawia, że patrzą na rzeczywistość tak jak ja: rozsądnie.

- Po której stronie Connecticut?

- Po tej - rzekł Kevin.

- To dobrze. - Nie chciałam, żeby przechodził pijany na drugą stronę ruchliwej ulicy. - Cokolwiek pijecie, oddajcie mi to. - Wyciągnęłam rękę. Kevin także wyglądał jak dziecko, ale niezbyt miłe. Miał długie włosy i zmywalny tatuaż: trupa czaszkę na policzku; przypuszczalnie pragnął wyglądać na nazistę.

- Odpieprz się - rzekł, schodząc chwiejnie ze schodów i kierując się wężykiem w stronę chodnika. - A w ogóle Terry to ma. Cześć, T! Zobaczymy się, jak ta suka sobie pójdzie!

- Ładny język.

Terry zaczął się cofać i wpadł z łoskotem na drzwi siatkowe. Próbował uśmiechnąć się beztroško, ale mu nie wyszło.

- Kev to gnojek - wybełkotał. - Przepraszam. - Poszewka wysunęła mu się ze słabych palców i upadła na podłogę ganku.

Podniosłam ją. Na spodzie, pod słodyczami, była prawie pusta półlitrowa butelka wódki. Zdjęłam dynię i postawiłam butelkę na słupku poręczy.

- Dasz radę dojść sam do domu?

- No pewnie. - Ale się nie ruszył i jakimś cudem nie osunął na kolana.

Westchnęłam.

- Dobra, idziemy.

Wzięłam go pod rękę. Byliśmy wtedy prawie tego samego wzrostu - teraz ma ponad metr osiemdziesiąt i jest tęgi - ale ja nie piłam wódki, więc bez wysiłku utrzymywałam go w pozycji pionowej. Chwiejnym krokiem doszliśmy do rogu ulicy. Początkowo protestował, ale im bliżej byliśmy domu, tym mniej mówił. Światło na ganku było zgaszone, w przeciwnym razie spostrzegłabym, że robi się coraz bledszy, coraz bardziej zielony i nad niezarośniętą górną wargą wystąpiły mu krople potu. Zwolnił przed frontowymi drzwiami - z obawy przed konfrontacją z rodzicami, jak myślałam.

Zapukałam i niemal natychmiast Isabel otworzyła drzwi, uśmiechnięta, z miseczką malutkich snickersów. Poznałam ją i nie mogłam się nie uśmiechnąć. Była tą starszą kobietą o miłej twarzy, która wyprowadzała swego psa na tę samą pustą parcelę - „psi park”, jak nazywamy to miejsce - gdzie ja chodziłam na spacer z moją Lettice, spanielką.

- Terry? - skrzywiła się zakłopotana, gdy zobaczyła za mną swego syna.

- Mama? - a właściwie zdołał powiedzieć tylko „ma?”. - Gdyby zdążył w porę zamknąć usta, moje pantofle by ocalały. Trysnął z nich obrzydliwy strumień na wpół strawionych m&msów, moun-dów, milky wayów i wódki prosto na moje nowiutkie szare zamszowe ferragamy.

Isabel wyszła na zewnątrz. Za nią nadszedł Gary, jej mąż. Nie pamiętam, co sobie o nim wtedy pomyślałam. Niewiele starszy, niski, gruby, nieokreślony. Skończyło się na tym, że zajął się Terry, a Isabel mną.

Od tamtej pory siedziałam u niej w kuchni z tysiąc razy. Isabel nie przypomina żadnej z moich przyjaciółek, jakie kiedykolwiek miałam, i początkowo, chociaż mnie do niej ciągnęło i bardzo ją lubiłam, nie sądziłam, że kiedyś staniemy się sobie takie bliskie. Po pierwsze, jest ode mnie starsza - wprawdzie tylko o osiem lat, ale wtedy wydawało się, że znacznie więcej. „To dlatego, że należę do innego pokolenia” - mówi Isabel, ale ja myślę, że chodzi o co innego. Niektórzy ludzie od urodzenia

wiedzą, czego chcą od życia, podczas gdy inni starają się tego dociec przez całe życie. Poza tym wyglądała na starszą niż w rzeczywistości. Siwe, strąkowate włosy nosiła upięte w staromodny kok. (W ciągu tych lat pomogłam jej odnaleźć własny styl). Mimo to była piękna. Dla mnie tego wieczoru wyglądała jak starzejąca się Madonna - nie mam na myśli tej piosenkarki. To było w 1987 roku, więc prawdziwe kłopoty Isabel jeszcze się nie zaczęły, ale już wtedy jej twarz była naznaczona smutkiem i rezygnacją. Od całej jej postaci bił jednak jakiś wewnętrzny blask, który mnie tak urzekł.

A ja... Cóż, moim życiem była praca. Czas miałam wypełniony różnymi zajęciami. Uczyłam na pół etatu w szkole, studiowałam, potem pisałam pracę magisterską, ale mimo to czułam się trochę samotna. I być może... brakowało mi matki. Nie żebym nie miała własnej matki. Mam mamuszkę, jak mówi mój mąż. Chodzi o to, że potrzebowałam matkowania.

Emma mówi, że nie wyczuwam ironii losu. Z wyjątkiem Isabel żadna z Gracji Ratowniczek nie ma dzieci. Bardzo bym chciała je mieć, ale nie mogę. W dodatku - to też ironia - Isabel i ja jesteśmy typem macierzyńskim, a obie miałyśmy dość zimnych rodziców. Umierałam z chęci bycia matką i potrzeby, aby mnie matkowano. Ona matkuje wszystkim, a czy ktoś matkuje jej? Nikt.

Zmusiła mnie, żebym zdjęła rajstopy i włożyła skarpetki Terry'ego. Wręczyła mi kubek gorącego cydru z korzeniami, a sama poszła do łazienki oczyścić moje pantofle. Kiedy wróciła, odbyłyśmy przemiłą, uroczą rozmowę. Wypytała mnie o wszystko. Pamiętam, że opowiedziałam jej o bójkach, w jakie się wdawali moi dwaj bracia, gdy byli nastolatkami, a wyrosli na porządnych obywateli, jak to się mówi. A zatem nie powinna się przejmować wybrykami Terry'ego. Gdy wychodziłam, przyszło mi na myśl, że ona dowiedziała się o mnie znacznie więcej niż ja o niej.

Następnego dnia Terry przyszedł mnie przeprosić i zaprosić na kolację. I tak zaczęła się nasza przyjaźń. Zapraszałyśmy się nawzajem do domu albo spotykały na spacerach z Lettice i Ernie w psim parku, grały w tenisa albo jeździły na wieś. Płakałam razem z nią, gdy Terry postanowił pójść na uczelnię McGill w Montrealu. Wysłuchiwała wszystkich szczegółów opowieści o długich, nieśmiałych zalotach mojego męża. Kiedy rzuciła Gary'ego, przez trzy tygodnie mieszkała z Gracją u mnie, a gdy zachorowała na raka, czułam się tak, jakbym to ja była chora. Nie mogę sobie wyobrazić, co by było, gdybym nie znała Isabel, i ledwie pamiętam, jak wyglądało moje życie, nim ją poznałam.

Mniej więcej w rok po incydencie w dniu Wszystkich Świętych siedziałyśmy na podłodze i wycierałyśmy nasze psy po ostatniej tego lata kąpieli, gdy Isabel powiedziała:

- Leah Pavlik, za dużo czasu spędzasz ze mną. Powinnaś spotykać się z przyjaciółmi w twoim wieku.

A ja na to:

- To ty powinnaś spotykać się z przyjaciółmi w moim wieku.

Parsknęłyśmy śmiechem i wtedy - nie jestem pewna, która zaczęła, ale zanim się zorientowałyśmy, zaczęłyśmy rozmawiać o zawiązaniu grupy kobiecej.



Przez całe życie miałam mnóstwo przyjaciółek i przyznaję, że zawsze lubiłam coś organizować. W szóstej klasie założyłam klub tylko dla dziewcząt. Do końca siódmej klasy spotykałyśmy się w suterenie mojego domu. W szkole średniej byłam kapitanem drużyny cheerleaders, potem prezesem żeńskiego koła studenckiego. Lecz odkąd przeprowadziłam się do Waszyngtonu, byłam bardzo zajęta i z wyjątkiem Isabel nie miałam wielu przyjaciółek. Bardzo mi przypadł do gustu pomysł założenia grupy. Nie żaden klub książki ani partia polityczna czy organizacja feministyczna. Po prostu kobiety, które lubiłyśmy i szanowały, i myślałyśmy, że możemy się od nich czegoś nauczyć, miały się spotykać co jakiś czas i rozmawiać o interesujących je sprawach. Bardzo skromny program. Nie wiedziałyśmy, że ziarno rzucone w glebę wyrośnie i zamieni się w piękny ogród.

Isabel to powiedziała, nie ja. Powiedziała, że hodujemy dorodne warzywa dla zdrowia i wspinała kwiaty dla uciechy. Zapytałam, czym ja jestem, przekonana, że powie, iż zdrowym warzywem, ale powiedziała, że jednym i drugim.

- Wszystkie jesteśmy jednym i drugim, głuptasie - takie dokładnie były jej słowa.

Mniej więcej w rok po założeniu grupy zaproponowałam, żeby tematem zebrania były nasze wrażenia po pierwszym spotkaniu. Ja zaczęłam. Powiedziałam, że według mnie Emma wyglądała jak ktoś zajmujący się sztuką. (Miałam na myśli raczej gasnącą gwiazdę rocka, Emma bowiem pozuje na osobę zblazowaną, znużoną światem. W rzeczywistości wcale taka nie jest i nie rozumiem, czemu to dla niej takie ważne, żeby ludzie odbierali ją jako kobietę zimną). Była wzruszona, gdy usłyszała, że wygląda jak gwiazda rocka. Chciała wiedzieć która, więc powiedziałam, że Bonnie Raitt - obie mają ładne buzie o ostrych rysach i (należy dodać) ten sam chwilami nieco zagniewany wyraz. Również takie same włosy - długie, rudawoblond i mówiąc łagodnie, przydałby im się dobry fryzjer. (Bardzo bym chciała przedstawić Emmę Haroldowi, mojemu fryzjerowi, ale ona mówi, że nie będzie sobie zwracać głowy takimi sprawami).

Rudy i Emma powiedziały, że pokochały Isabel od pierwszego wejrzenia, uznały, że jest cudowna, choć może trochę staromodna, ociupinę konserwatywna. - Matronowata, ale w dobrym sensie tego słowa - rzekła Emma, a Rudy dodała: - Nie, matkowata. - Pamiętam, że w czasie tego pierwszego spotkania Isabel miała na sobie czerwony bawełniany fartuch włożony na sweter i spodnie - nie zdejmowała go przez cały wieczór, po prostu zapomniała. Jest zupełnie wyzbyta próżności. Ale konserwatywna? Nie, nie i jeszcze raz nie. Oto dowód, jak bardzo mylące potrafi być pierwsze wrażenie.

Isabel powiedziała, że uważa Rudy za jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek w życiu widziała; Emma i ja oczywiście zgodziłyśmy się z tym. Wszystkie byłyśmy dosyć przystojnymi kobietami, ale - powiedziałabym - w normalny, przeciętny sposób. Natomiast Rudy jest wyjątkowa. Wszyscy ją zauważają i zwracają na nas uwagę, gdy jesteśmy razem. Ona ma cerę jak anioł, figurę modelki, lśniące granatowoczarne włosy, które pod jej ręką układają się tak jak zapragnie. Gdyby miała tylko piękną twarz, można by przejść obok niej obojętnie, ale pod klasycznymi rysami jest taka sło-

dycz, tyle niewinności i bezbronności, że w każdym, kto spojrzy na Rudy, budzi się natychmiast instynkt opiekuńczy. Wszyscy pragną ją ratować - zwłaszcza mężczyźni, ale jak dotąd, z przykrością stwierdzam, nikt jeszcze tego nie uczynił.

A co do mnie, Emma twierdzi, że to ja wyglądałam jak gwiazda rocka.

- Która? - zapytałam skwapliwie. (Kiedyś mój aktualny wielbiciel powiedział, że „pewnością siebie” przypominam Marie Osmond).

- Sinéad O'Connor - odpowiedziała Emma.

- Co?

- Och, nie łysiną, chociaż miałaś wtedy bardzo krótkie włosy, Lee. Raczej tą twoją pozbawioną humoru faryzeuszowską pozą.

- Och, bardzo ci dziękuję! Byłam urażona, lecz Emma dodała:

- Sinéad O'Connor jest wspaniała! Zwróciłaś uwagę na jej oczy?

- Nie.

- Ona jest piękną kobietą, Lee, potraktuj to jak komplement.

- Och, doprawdy? Wątpię, wcale nie wyglądałam jak Sinéad O'Connor. Wyglądałam jak moja matka, drobna, żylasta, ciemna i spięta.

O, i znowu, ile są warte pierwsze wrażenia!

Gdy wyszłam za Henry'ego, myślałam, że już nie będę tak bardzo potrzebowała grupy, że mój entuzjazm dla niej zelżeje. Otóż nic podobnego. Przez jakieś siedem-osiem miesięcy, przyznaję, miałam bzika na jego punkcie. Chciałam z nim spędzać każdą chwilę, a uprawianie seksu pochłaniało całą moją energię.

Ten okres w moim życiu bardzo bawił Emmę i Rudy. Nie mam pojęcia, za kogo mnie brały, nim poznałam Henry'ego - pewnie za świętoszkę, którą nie jestem i nigdy nie byłam. Nie klnę i lubię zachowywać pewne myśli dla siebie, a nie dzielić się nimi z całym światem. A jeśli już się nimi dzielę, widocznie ujmuję je w słowa, które brzmią staromodnie, a nawet niezwykle dla niektórych. Więc kiedy poznałam Henry'ego i nagle jedyną rzeczą w moim racjonalnym i pozbawionym wyobraźni umyśle stał się seks, uznały to za ogromnie zabawne.

Mogłam położyć temu kres po prostu milcząc, lecz z jakichś przyczyn - sędzę, że z powodu burzy hormonalnej, która się we mnie rozpełtała - nie potrafiłam przestać o tym mówić. Nic podobnego mi się nigdy dotąd nie przydarzyło, a miałam już trzydzieści siedem lat. Któregoś czwartku popełniłam błąd, opowiadając im, jak Henry wygląda w swoim granatowym bawełnianym uniformie z własnym nazwiskiem wyhaftowanym złotymi nićmi na kieszeni z przodu, a z tyłu PATTERSON & SYN OGRZEWANIE - HYDRAULIKA & KLIMATYZACJA. I ten pas z narzędziami. Kto mógł wiedzieć? Rudy i Emma powiedziały, że znają się na pasach z narzędziami, ale ja miałam na myśli kombinację

seksapilu i umiejętności rozwiązywania prozaicznych problemów. Nawet Isabel przyznała, że to pojęcie nie jest jej obce.

Potem popełniłam jeszcze większy błąd. Opowiedziałam im, jak przyszedł do mnie odetkać zapchany sedes i pokazał mi w podręczniku wykres, abym mogła dokładnie zobaczyć, co jest źle i jak on zamierza to naprawić.

- To należy do usługi - rzekł swoim niskim, porywającym głosem, z południowym akcentem. - Klient dobrze poinformowany to klient usatysfakcjonowany.

Rękawy miał podwinięte, słońce przez okno łazienki oświetlało każdy złoty włoszek na jego żylastych (w tym wypadku będzie to najwłaściwsze określenie) przedramionach. Musielibyście zobaczyć wykres, który mi pokazał, żeby zrozumieć, o co mi chodzi, ale musicie mi uwierzyć na słowo - rysunek „świdra klozetowego” wciskającego swój długi, cylindryczny kształt w wąski, ukośny przepływ toalety wyglądał dokładnie jak męski penis w kobiecej pochwie.

Możecie sobie wyobrazić te hydrauliczne żarty, jakie musiałam znosić przez ostatnie cztery lata. Poza czystą żądzą, którą czułam do Henry'ego niemal od pierwszej chwili, wiedziałam też, że będzie on najcudowniejszym ojcem na świecie. Moje geny domagały się jego genów. Mieliśmy razem robić śliczne żydowsko-protestanckie inteligencko-robociarskie dzieci (składnik intelektualny miał pochodzić od moich rodziców, nie ode mnie, mój ojciec wykłada fizykę kwantową na Brandeis, a matka jest maklerem). Wydaje się, że coś jest nie tak z hydrauliką mego hydraulika. A może ze mną, nie wiem. W każdym razie dzieci nie mamy.

Staram się nie myśleć o najgorszym, to znaczy o bezdzietności. Takie beznadziejne słowo: bezdzietność. I obce. Nigdy dotąd nie kojarzyłam go ze sobą. Czuję się wyszydzone przez los. Całymi latami nabożnie łykałam pigułki albo używałam pianki, wkładki domacicznej, krążka antykoncepcyjnego, żeby ustrzec się przed ciążą.

Udało mi się ukryć przed grupą tę najgorszą z moich obaw lepiej, niż ukrywałam swoje śmiechu warte libido, ale prawdopodobnie nie będę mogła tego czynić dłużej. I po co miałabym to robić? Żeby zachować w ich oczach mój image osoby trzeźwej, rozsądnej, opanowanej.

### 3.

## *Rudy*

Nie wiem, czemu moje przyjaciółki zawracają sobie mną głowę. Ja na ich miejscu uciekałabym, gdzie pieprz rośnie. Ale one są nadzwyczaj cierpliwe i tolerancyjne. Otaczają mnie ramieniem i mówią: - Och, Rudy, jak ty sobie świetnie radzisz. - To taki szyfr, który oznacza, że skoro nikt jeszcze nie nałożył mi kaftana bezpieczeństwa, to znaczy, że ze mną wszystko w porządku. Zgadzam się, ale zawsze mam ochotę odpukać w niemalowane drewno.

Nikomu nie mówię, nawet Emmie, która uważa, że zna o mnie całą prawdę, jak wielką rolę w moim zdrowiu psychicznym odgrywają norpramin i amitryptylina. A przedtem protryptilina i alprazolam. I meprobamat. Mogłabym tak wyliczać i wyliczać. Nikt o tym nie wie prócz Curtisa, mego męża, i Eryka, mego terapeuty. Mówiąc szczerze, moja rodzina nie funkcjonuje jak należy. Całymi miesiącami leczyłam się, walczyłam z depresją i melancholią. Emma mówi, że nie ma się czego wstydić. Mnóstwo ludzi na świecie jest na prozacu albo zolofcie i dzięki chemii żyje im się lepiej.

Nie powiem tego moim przyjaciółkom, ale potrzebuję ich, by wierzyć, że to, co robię, jak się zachowuję, jest normalne, bo gdyby wiedziały o mojej tajnej armii środków psychotropowych, uznałyby, że funkcjonuję dzięki „prochom”. A chciałabym tego uniknąć.

Powiem im, co zrobiłam dzisiaj. Już widzę, jak na to zareagują. Emma będzie się śmiała, Isabel będzie mi współczuła i pocieszała mnie, a Lee mnie zgani w łagodnej formie. A wszystkie razem na pewno się zdziwią w myślach: „Co im przyszło do głowy, że ją w ogóle zatrudnili?” Ale to nie ich reakcja mnie martwi. Martwię się o to, co powie Curtis.

Chodzi o to, że wywalono mnie z pracy w Gorącej Linii Pomocy. Wstyd powiedzieć, ale utrzymałam się na tej posadzie tylko tydzień. Pani Phillips, moja przełożona, powiedziała, że zbyt osobiście podeszłam do sprawy jednej rozmówczynie, co jest sprzeczne z zasadami. Wiem, że zrobiłam źle i jestem gotowa ponieść konsekwencje, ale gdyby ta dziewczyna - Stephanie - zadzwoniła jeszcze raz, postąpiłabym tak samo.

Zalecają nam ostrożność. Sama odebrałam kilka telefonów od psotnych nastolatek. Ale gdy usłyszałam w słuchawce napięty głos, już po kilku sekundach wiedziałam, że to nie żarty.

- Gorąca Linia Pomocy, mówi Rudy. Halo! Mówi Rudy, jest tam kto?

- Tak. Ja... ja dzwonię w sprawie przyjaciółki.

- Jak przyjaciółka ma na imię? Długa przerwa.

- Stephanie.

- Czy ona ma jakieś kłopoty?

- Mnóstwo.

- Mnóstwo, dobra, a który jest najpoważniejszy?

- O Boże, nie wiem. Ona ciągle płacze, z byle powodu, wie pani, na przykład rodziny, przyjaciół.

- O co chodzi z jej rodziną? Parsknięcie.

- O wszystko. Na przykład matka. Prawdziwy z nią kłopot.

- To znaczy...

Cisza.

- No mów, wyrzuć to z siebie.

Brak odpowiedzi.

- Może za dużo pije? - zapytałam ostrożnie.

- Co?

- Czy matka Stephanie za dużo pije?

- O Jezu, tak! Skąd pani wie?

- No cóż, moja matka też dużo pije. Chyba po prostu odgadłam. - Czemu ja to powiedziałam?

Czemu?

- Też jest pijaczką? To okropne. Nie wiem, jak ja to... O, cholera.

- Zaczekaj! Hej, Stephanie! Słuchaj, to nic, naprawdę nic. Dziewięćdziesiąt procent ludzi, z którymi rozmawiam, mówi początkowo, że dzwonią w imieniu przyjaciela. Myślę, że to dobrze - prawdopodobnie zadzwoniłabyś również w imieniu przyjaciółki. (Zwykle tak nie mówię, to nie mój styl. Ale z kimkolwiek rozmawiałam na Gorącej Linii, zauważyłam, że zaczynam dostosowywać się do sposobu mówienia rozmówców. Pani Phillips uznawała to za moją najskuteczniejszą strategię).

- Słusznie - powiedziała Stephanie bez przekonania.

- Wiedziałam.

- Ile pani ma lat? - zapytała.

- Czterdzieści jeden. Parsknięcie.

- Więc co pani może wiedzieć o obawach nastolatek?

Roześmiałam się. Wydawało mi się, że Stephanie również, ale zaraz zdałam sobie sprawę, że ona płacze. Usłyszałam, że jej palce przesuwają się po słuchawce. Zamierzała ją odłożyć. Powiedziałam pośpiesznie:

- Tak, moja matka była pijaczką. Próbowwała popełnić samobójstwo, gdy miałam dwanaście lat. A kiedy miałam jedenaście, zabił się mój ojciec.

Długa, długa cisza. Miałam dość czasu, żeby się zastanowić nad tym, co mówię. Wiedziałam, że to wbrew zasadom, ale nie mogłam niczego innego wymyślić, żeby zatrzymać ją na linii.

Podziałało. Stephanie zaczęła mówić.

- Moja matka... prawie codziennie, gdy wracam ze szkoły, jest ubzdryngolona. Albo chora. I muszę się nią zajmować. Nie mogę nikogo zaprosić, więc nie mam przyjaciół. Choć nie, mam przyjaciółkę, Jill. Ale ona nie... Wie pani, nie mogę jej powiedzieć, co się dzieje...

- Wiem, jak to jest. Ja też nie miałam przyjaciół, kiedy dorastałam. Ale to był błąd.

- Jak to?

- Nie mogłam zabić w sobie wstydu, choć to nie ja byłam pijaczką. Stephanie, posłuchaj, nie zrobiłaś nic złego, naprawdę. Jesteś niewinna. Nie zadrezczaj się.

Wybuchnęła płaczem. Ja również. Zdaje się, że właśnie wtedy pani Phillips zaczęła podsłuchiwać.

- Wie pani, to nawet nie jest najważniejsze - dodała Stephanie.

- To o co chodzi?

- O coś innego...

- Co takiego, Steph?

- Boże. - Zaczęła znowu płakać.

Czekałam. Również płakałam, ale cichutko. Myślałam o Eryku, moim terapeutcie, o tym, że on nigdy nie płacze, choćbym się nie wiem jak rozkleiła w jego gabinecie. A mimo to nie uważam, że jest obojętny. O nie, wręcz przeciwnie. Ale nie płacze. Dzięki Bogu, bo ktoś musi być opanowany.

Spróbowałam więc wziąć się w garść.

- Co się stało? - spytałam w końcu. - Domyślam się, że coś złego.

- Coś zrobiłam...

- Z chłopakiem? Milczenie. Potem:

- Cholera!

Musiałam się roześmiać.

- Wszystko w porządku, strzeliłam w ciemno. Co zrobiłaś?

- Ma pani męża? Jak pani na imię?

- Rudy. Mam męża.

- Od jak dawna?

- Od blisko pięciu lat.

- Wyszła pani za męża, mając prawie trzydzieści siedem lat?

- Tak. Byłam dość stara - dodałam, nim ona zdążyła to zrobić.

- A czy pani kiedykolwiek... zrobiła z facetem coś, czego...

- Czego się potem wstydziłam?

- Tak.

Nie wolno nam podawać przykładów z własnego życia. Mamy słuchać, zadawać pytania, a także kierować rozmówców do odpowiednich agencji służb społecznych. Myślę, że nie uczyniłam źle, mówiąc:

- Steph, robiłam z mężczyznami rzeczy, o których nie mówiłam nawet memu terapeutce.

Zaśmiała się nerwowo, z ulgą.

- Chodzi pani do psychoterapeuty? - zachichotała, ale zaraz znów zaczęła płakać.

Mój telefon stoi na stole z dwiema płytkami z włókna szklanego po obu stronach sięgającymi brody. Jeżeli nie chcę, aby mnie ktokolwiek widział, wystarczy się schylić, oprzeć brodę o stół. Zakryłam tył głowy dłonią i słuchałam płaczu Stephanie.

- Dobrze już, dobrze. Nic się nie stało - powtarzałam raz po raz. - Wciąż jesteś sobą. Jesteś wciąż ta sama.

- To było okropne, Rudy, to było takie okropne. O Boże, a ja go nawet nie lubię. On na pewno wszystko wygada.

- No to co? Wcale nie jesteś taka i wiesz o tym. Pieprzyć ich.

- Jill nawet nie rozmawia ze mną!

- Jest zagniewana, ale...

- Nie, ona mnie nienawidzi, moja najlepsza przyjaciółka mnie nienawidzi.

- Nie, wcale nie.

- A właśnie, że tak.

- Jest zakłopotana i wściekła na ciebie, ale wcale cię nie nienawidzi, Steph. Czy ona naprawdę jest twoją najlepszą przyjaciółką? Od jak dawna?

- Od szóstej klasy. Cztery lata. - Zabrzmiało to tak, jakby ich przyjaźń trwała co najmniej pół wieku. - Och, co ja teraz zrobię?

- Cóż, myślę, że będziesz musiała z nią porozmawiać.

- Nie mogę jej tego powiedzieć.

- Właśnie, że możesz, choć to będzie trudne.

- Nie mogę. Ona jest taka porządna i dobra. Czasami myślę, że gdybym miała siostrę albo brata... Gdybym miała kogoś bliskiego... mogłabym się z kimś podzielić całym tym gównem.

- Tak ci się tylko wydaje.

- Nie. Na pewno byłoby mi o wiele łatwiej. I znów to zrobiłam. Powiedziałam:

- Ja mam rodzeństwo i gdy byłam w twoim wieku, żałowałam, że są na świecie.

- Nie rozumiem.

- Wiesz, że alkoholizm matki wyzwała w jej dzieciach poczucie winy?

- Wiem.

- Gdybyś miała rodzeństwo, czułabyś się winna także wobec nich. Zamiast martwić się o jedną osobę, martwiłabyś się o trzy. Chcę powiedzieć, że z rodzeństwem niekoniecznie czułabyś się lepiej.

- Mimo to chciałabym kogoś mieć. Czemu nie mogłam na tym zakończyć?

- Słuchaj, Stephanie. Claire, moja siostra, uciekła z domu, kiedy miałam szesnaście lat, a ona osiemnaście, i wstąpiła do sekty religijnej. Wciąż do niej należy.

- Naprawdę?

- Niestety tak. To jest sekta czcicieli kotów, które według nich wywodzą się bezpośrednio od Jahwe.

- Jahwe?

- Jahwe znaczy Bóg. Stephanie wybuchnęła śmiechem.

- Ja nie żartuję. A mój brat, Allen, cóż, jest stracony, przepadł. Taka jest moja rodzina, Steph. Ojciec popełnił samobójstwo, matka była alkoholiczką, siostra wstąpiła do sekty, a brat nie wiadomo gdzie się podziewa - ja natomiast siedzę w centrum kryzysowym i zachowuję się jak normalny człowiek! Więc... nie, słuchaj... - bo wciąż przychłała w słuchawkę. - Myślę, że po pierwsze, powinnaś zadzwonić do doktora Greenburga, a potem do Jill. Bo ty teraz jej naprawdę potrzebujesz.

- No nie wiem...

Zaświeciła się czerwona lampka w aparacie telefonicznym, a to oznaczało, że przełożona chce się włączyć. Należy wtedy przerwać rozmowę i wcisnąć guzik. Czerwone światełko błyskało mniej więcej od dwóch minut.

- Na twoim miejscu zaryzykowałabym i zadzwoniła do Jill. Czy ty ją naprawdę kochasz?

- Tak myślę. - Zaczęła znowu płakać. Jakiej rany w sercu dotknęłam tym razem?

- Hej, Stephanie, już dobrze. Och, dziecino, już dobrze. Ssz.

Czerwone światełko błyskało i błyskało.

- Rudy?

- Co, dziecino?

- Naprawdę poradziłaś sobie?

- Oczywiście - skłamałam.

- No dobrze, ale... co z twoją matką? - spytała Stephanie cichutko.

- Przyszła do siebie. Mieszka na Rhode Island z moim ojczymem i czasem rozmawiamy przez telefon. - Nie było sensu mówić, że nie widziałam jej prawie pięć lat, od mojego wesela. - Mówi, że jest jej przykro. Raz tak powiedziała.

- Naprawdę?

- Tak. To miało dla mnie ogromne znaczenie.

- Boże, Rudy. - Westchnęła. - Wygląda na to, że twoja rodzina jest bardziej pokręcona od mojej.

Och... przepraszam... mogę tak powiedzieć?



Och, słodka Stephanie.

- Gdybym zaczęła opowiadać ci o mojej rodzinie, spóźniłabyś się jutro do szkoły. - Radosny śmiech. Bardzo mnie to ucieszyło. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. - Mieszkasz w Dystrykcie?

- Tak, przy Tenley Circle. Chodzę do Wilson.

- Bo wiesz, gdybyś chciała, mogłybyśmy się kiedyś spotkać i jeszcze porozmawiać. Chciałabyś?

- Chciałabym. Może w sobotę?

- Byłoby wspaniale. Mój mąż zwykle pracuje w soboty, więc mogłybyśmy zjeść razem lunch.

- O rany, zapomniałam, że jesteś zamężna.

- Taaak, jestem zamężna.

- Jak to jest?

- Być zamężną? Bardzo fajnie. No, wiesz, zazwyczaj.

- Tak, zazwyczaj. - Jej głos opadł o jedną całą cyniczną oktawę. To mi złamało serce.

- No więc - powiedziałam. - Jak z tą sobotą? Chcesz się spotkać?

- Och, to byłoby... Klik.

- Halo? Steph? Stephanie? Halo?

Patrzyłam na głuchą słuchawkę w mojej dłoni. Na konsoli błyskało sześć czy siedem zielonych światełek świadczących o rozmowach wolontariuszy z klientami. Czyżby przerzucili Stephanie do kogoś innego? Nacisnęłam pierwszy z brzegu guzik.

- ...występująca w tym czasie, i o tym królowa wiedziała... Klik.

- Pani Lloyd.

Usiadłam prosto. Pani Phillips nigdy tak się do mnie nie zwracała. Mówiła mi Rudy. Była to ogromna, posągowo piękna kobieta, której się bałam jak lichu. Stała nade mną, a ja patrzyłam na nią jak przestraszone dziecko, które coś przeskrobało.

- Pani Lloyd, proszę odłożyć słuchawkę, zabrać swoje rzeczy i wynieść się z tego biura do diabła.

- Chwileczkę, ja wiem, że...

- Wynocha. - Zamaszystym gestem wskazała mi drzwi. Miała malowane, długie na centymetr paznokcie, na każdym palcu pierścień i grzechoczące bransoletki na przegubach rąk. Przypominała mi Amazonkę.

- Błagam, pani Phillips, chciałabym porozmawiać z tą dziewczyną ze dwie minuty. Myślę, że ona...

- Czy pani naprawdę nie rozumie - rzekła niedowierzająco. Była oburzona, wściekła. Do tej pory nigdy nie podnosiła głosu.

- Pani Phillips, źle zrobiłam. Wiem o tym, już nigdy więcej...

- Służymy naszym klientom, pani Lloyd. Jak się pani zdaje, po co tu jesteśmy? To my im pomagamy złapać równowagę, a nie na odwrót.

- Nie, ja...

- Będzie pani miała szczęście, jeśli nie zdecyduję się wnieść przeciwko pani oskarżenia.

- Oskarżenia?!

W najgorszym śnie nie przewidywałam takiego zakończenia mojej pracy w Gorącej Linii. Wyładuj swój gniew - powiada Eryk. Byłam wprawdzie wściekła, ale silniej odczuwałam upokorzenie. Przeżywałam właśnie największy zawód w moim życiu.

Biedna Stephanie, dręczyłam się przez całą drogę do domu. Co się teraz z nią stanie? Co będzie, jeśli wróci do Spider Mana? Gdybym zdołała ją jakoś odnaleźć... Wiedziałam, że mieszka na Tenley Circle, uczęszcza do Wilson High i ma piętnaście lat...

Czemu myślałam, że mogę jej pomóc? Wszystko, co zrobiłam, to opowiedziałam jej o sobie, mojej matce alkoholizce, mojej pokręconej rodzinie. Pani Phillips ma rację. Zasłużyłam sobie na tę hańbę.

Cóż, czekała mnie jeszcze przeprawa z Curtisem, i to będzie znacznie dotkliwsza kara niż utrata pracy.

## 4.

### *Isabel*

Wśród przyjaciół dziesięć lat różnicy wieku nie ma znaczenia, ale czasem odnoszę wrażenie, że Gracje Ratowniczkę i ja pochodzimy z różnych stuleci. Nie mam jeszcze pięćdziesięciu lat, jestem więc w kwiecie wieku. Mój ojciec był misjonarzem. Połowę dzieciństwa spędziłam w Kamerunie i Gabonie, a drugą połowę w Iowa. Pierwsze sześć lat małżeństwa przeżyłam w Turcji, bo tam mój mąż pracował i tam urodził się nasz syn. To jest najprostsze wyjaśnienie, czemu kultura amerykańska jest mi w zasadzie obca. Emma nazywa to dosadniej: kompletna ignorancja.

Jesteśmy wszystkie produktywnymi, zdrowymi na umyśle, niezłe funkcjonującymi dorosłymi kobietami, z bagażem emocjonalnym nie większym - może z wyjątkiem Rudy - niż można by oczekiwać po wybranym na chybił trafił przykładzie starzejącej się kobiety z wyższym wykształceniem z dużego miasta. Dzieciństwo każdej z nas było klęską. W różnym stopniu, oczywiście. Rudy mogłaby napisać o tym książkę. Emma zapewne ją napisze. Rodzina Lee i moja pozornie są normalne. Czasami wszystkie cztery gramy w intrygującą grę: „Co trzyma nas razem?”.

Ciekawa jestem, czy wykaraskałabym się z choroby bez czulej opieki Gracji Ratowniczek. Przeżyłabym - to pewne, ale jakże odmieniona. Żadne inne przeżycie nie odcisnęło na mnie takiego piętna. Byłam przekonana, że jeśli z tego wyjdę, nie będę taka jak przed chorobą. Przeczytałam wszystkie broszury i książki na temat raka, jakie tylko mogłam znaleźć. Opowiadki kobiet, które utrzymywały, że rak odmienił ich życie, a choroba wpłynęła na sposób myślenia, doprowadzały mnie do furii. Czułam się oszukana i zdradzona, okłamana i osobiście urażona. A teraz... teraz jestem jedną z tych kobiet. Minęły już dwa lata, odkąd utraciłam pierś, i sama wypowiadam tę opinię, która wywoływała u mnie zgrzytanie zębów. Nie życzę tego nikomu, ale dobrze, że mi się to przytrafiło. To całkowicie odmieniło moje życie.

Czułam, że muszę odmienić swoje życie, gdy odkryłam chroniczną niewierność mojego męża. Ostatnio bardzo często myślę o Garym. Zastanawiam się, czy dobrze zrobiłam, zrywając z nim. Nie potrafiłam mu wybaczyć ostatniej zdrady. Jestem przekonana, że gdyby to się stało dzisiaj, przebaczyłabym mu. Mam nadzieję, że tak. Nie jestem już tą samą osobą, nie ma we mnie gniewu. Dzięki Bogu. Och, ale jak zareagowałyby Lee, Emma albo Rudy, gdybym im to powiedziała? Strach pomyśleć! Jedynym jasnym punktem w tym długim horrorze mojego rozvodu była ich przyjaźń. Stały przy mnie murem, solidaryzując się ze mną w pogardzie dla Gary'ego. W ciągu jednego spotkania naszej grupy zmieniły swój stosunek do niego. Dawniej darzyły go sympatią, teraz życzyły mu śmierci. W owym czasie uważałam to za ogromnie pocieszające.

Po dziś dzień nie powiedziałam Gracjom wszystkiego o jego niewierności. Czułam się chyba zbyt zażenowana. Zachowanie Gary'ego było haniebne i część tej hańby przyłgnęła do mnie, jak gdybym częściowo ponosiła za to winę. W jakimś sensie na pewno ponoszę. Ale nigdy nie zapomnę i zawsze będę im wdzięczna za słuszną wściekłość, gdy im opowiedziałam, jak odkryłam jego pierwszy grzeszek. Stało się to w noc po naszej dziewiętnastej rocznicy ślubu - odkąd znam Gary'ego, zawsze wszystko robił nie w porę.

Z nostalgii za dobrymi czasami, gdy byliśmy tuż po ślubie i mieszkaliśmy w Ankarze, zaprosił mnie do tureckiej restauracji w Bethesda. Byłam zaskoczona i wzruszona. Zamówiliśmy jagnięcinę z różną z bakłazanami. Po kolacji wróciliśmy do domu i kochaliśmy się na kanapie w salonie.

Terry wyjechał do Richmond z towarzystwem śpiewaczym i wreszcie mieliśmy cały dom wyłącznie dla siebie. Obudziłam się w środku nocy. Wzięłam swoje ubranie i poszłam na górę. Czułam się spełniona jako żona i kochanka. Nasze małżeństwo trwało już dziewiętnaście lat, a my z zapalem kochamy się na kanapie. Zza przymkniętych drzwi sypialni doszedł mnie głos Gary'ego, cichy i poufny, przystanąłam więc ze zwykłej ciekawości. Z kim on rozmawiał przez telefon o północy? W dodatku takim głosem?

Betty Cunnilefski - wówczas to nazwisko nie rozbawiło mnie w najmniejszym stopniu. Pracowała w jego biurze jako asystentka. Poznałam ją kiedyś i przypomniałam ją sobie niejasno - mała, drobna, bezbarwna; jedna z tych kobiet, które jadają samotnie w restauracji, z otwartą książką obok talerza.

Tej nocy Gary wyznał mi wszystko. Przysięgał, że już nie będzie się z nią widywał. Poczułam leciutki wyrzut sumienia w związku z Betty, którą, tak jak przyrzekł, Gary przeniósł w ciągu tygodnia do innego działu i przypuszczalnie nigdy więcej nie zobaczył. Wierzyłam mu w owym czasie, płakał tak przekonująco, tak szczerze błagał o przebaczenie. Wydawał się niemal tak samo wstrząśnięty jak ja i niezdolny do wytłumaczenia, dlaczego to zrobił. I bardzo dobrze, bo gdyby twierdził, że był samotny, nierozumiany, seksualnie niezaspokojony, pijany, uwiedziony, że przeżywał kryzys wieku średniego - każda wymówka spowodowałaby wybuch wulkanu gniewu we mnie. Byłam tego ledwie świadoma, szczerze mówiąc, myślałam, że nie jestem do tego zdolna. Gary byłby zdumiony, gdyby domyślał się choćby jego cząstki. Trzeba było trzech lat, żeby ten wulkan wybuchnął.

Nie wiem, czy Betty była jego pierwszą kochanką, ale na pewno nie ostatnią. Jak on zdobywał te kobiety? To wszystko, co pragnę wiedzieć, teraz, gdy moja wściekłość się wypaliła. Gary jest niski, tęgawy. Ma bujną brodę i wciąż dużo siwiejących włosów. Byczą pierś, gruby kark i krótkie nogi. W łóżku jest jak taran. Pięknie, gdy się coś takiego lubi, ale z biegiem lat znienawidziłam to. Za przyjaznym uśmiechem kryje się w rzeczywistości zimny i wyrachowany człowiek. Flirtuje energicznie i niezręcznie. Trudno sobie wyobrazić, że może zdobyć jakąkolwiek kobietę. Ale zdobywa. Co takiego ma w sobie?

Po pierwsze, jest namiętnym mężczyzną - dlatego się w nim zakochałam. Po drugie, wybiera potrzebujące, samotne, niezdarne dziewczyny, dokładnie takie jak ja. Nie wiem, czy to z jego strony rozmyślne działanie, czy jedynie ślepy instynkt. Nie potrafię tego rozstrzygnąć. Przechyliłam szalę na jego korzyść, pragnę wybaczyć.

Nie jest to z mojej strony altruizm. Nie ma już we mnie miejsca na gorycz. Ryzykując, że zabrzmiałoby to głupio, stwierdzam, że dookoła pełno jest takich Betty. Nie wiem, komu mam dziękować za to nowe, optymistyczne nastawienie. Myślę, że w części luterzańskiemu Bogu mojego ojca pastora. Ostatnio pociąga mnie to, co Emma nazywa woo-woo, mając na myśli kryształ i skały, tarota, reinkarnację, poprzednie wcielenia, astrologię, numerologię, medytację, hipnoterapię - wszystko, co podpada pod pojęcie New Age (według Emmy wszystko duchowe, co nie jest ortodoksyjnym protestantyzmem). Ja w to wszystko wierzę. Moja przyjaciółka wzrusza ramionami, kpi sobie ze mnie i mojej nowej wiary. A ja czuję czysty zachwyt, widząc Boga w tyłu nowych miejscach.

Odrzuciłam brzemień konwencjonalizmu i racjonalizmu, gdy zdałam sobie sprawę, że mogę umrzeć, naprawdę mogę umrzeć. Teraz jestem wolna. Jestem wolna i mam czterdzieści dziewięć lat, i jestem bardzo wdzięczna losowi, że mogłam zacząć życie jeszcze raz. *Yin i yang*. Wróciłam do szkoły. Przeniosłam się z Chevy Chase do Burleith na Adams-Morgan - co mówi samo za siebie. Farbuję włosy. Może nawet wezmę sobie kochankę. Budzenie się rano nie jest już nudnym i obowiązkowym aktem, lecz początkiem przygody. Odrodziłam się na nowo. Nie, nie tak. Zostałam stworzona na nowo przez nową definicję śmiertelności narzuconą mi przez okoliczności. Warto było - w zamian musiałam dać tylko pierś.

Świetny interes.

## 5.

### *Emma*

Złe wieści nie są takie straszne, jeśli się je słyszy w dobrym towarzystwie. To tak, jakby ktoś wypchnął cię z okna piątego piętra, a ty, spadając, wytracałabyś prędkość, obijając się o markizy. Masz wówczas szansę, że przeżyjesz. Ta analogia jest dość niezdarna, nie będę jej dalej ciągnąć, powiem więc tylko, że tego wieczoru, kiedy się dowiedziałam, że Mick Draco jest żonaty, moje trzy przyjaciółki uchroniły mnie przed upadkiem.

Jadłyśmy kolację we czwartek, w wieczór naszych regularnych spotkań, w La Cuillerée na Adams-Morgan, bo u Isabel zepsuł się piecyk.

- Znowu odrzucili moje opowiadanie - obwieściłam właśnie Rudy, Lee i Isabel i byłam w trakcie zbywania śmiechem ich zatroskania i współczucia, aby się nie zorientowały, jaka czułam się zdruzgotana, gdy nagle Lee spojrzała ponad moją głowę i powiedziała: „Mick Draco”.

Zamarłam, zdezorientowana - pięć minut temu fantazjowałam na jego temat. „Lee czyta w moich myślach - zdumiałam się - a potem, idąc za jej spojrzeniem, obejrzałam się i zobaczyłam go. Sen się ziścił.

Lee zawołała go po nazwisku i pomachała, ale nie usłyszał jej. Wstałam więc i krzyknęłam:

- Hej, Mick! - Odwrócił się, uśmiechnął i podszedł do naszego stolika.

Myślałam o nim przez ostatnie cztery dni od naszego krótkiego spotkania w ponurej kawiarni naprzeciwko jego zaniedbanego studia przy Ósmej Ulicy. Wiedziałam, że mieszka niedaleko stąd, na Columbia Heights, ale mimo to jego nagłe pojawienie się w tym średnio modnym francuskim bistro na Columbia Road wstrząsnęło mną.

Wyglądał świetnie. Prostny, szczupły i nie za wysoki, mój ulubiony typ mężczyzny. Jasnobrażowe oczy zrobiły się ciepłe na mój widok.

- To ten facet, o którym ci mówiłam - zdążyłam szepnąć Rudy, zanim stanął nad nami z rękami w kieszeniach marynarki koloru zielonego groszku, uśmiechnięty i uradowany, chociaż troszeczkę zdenerwowany i spięty. A potem pomyślałam: „Cholera, spojrzysz raz na Rudy i zapomni, jak mam na imię”. Tak właśnie postępują mężczyźni - przywykłam już do tego i mam do tej sprawy stosunek filozoficzny. Chętnie bym jednak wsadziła Rudy worek na głowę.

- Halo, Mick - powiedziała Lee. - Miło cię widzieć. Zamierzałam zadzwonić do Sally. Ty i Emma się znacie? Nie miałam o tym pojęcia.

„Sally, kto to jest Sally”, zastanawiałam się gorączkowo, gdy Lee przedstawiała go Rudy i Isabel. Domyśliłam się, że to jego żoneczka. Zabolało mnie to. Zostałam wystrychnięta na dudka, zasko-

czona, całkowicie nieprzygotowana na to niemiłe uczucie. Sądziacie, że to charakterystyczne dla mnie? Świadczące o niedojrzałości lub chwiejności? Żeby tak silnie zareagować na stan cywilny człowieka, którego prawie nie znałam? Ja też tak sędzę. Nie potrafię tego wytłumaczyć. To mi się nigdy dotąd nie zdarzyło.

- Syn Micka, Jay, uczęszcza do ośrodka - mówiła Lee, strzelając do niego swoimi czarnymi oczami, wyraźnie uradowana jego widokiem. - W ten sposób poznałam Sally.

Jeszcze jeden wstrząs: a więc ma nie tylko żonę, ale i dziecko. Chodzi niewątpliwie o przedszkole Lee. Uśmiechnęłam się szeroko i opowiedziałam wszystkim, jak poznałam Micka.

- Będzie bohaterem mego artykułu o zmianie zawodu w połowie życia. - Isabel i Rudy skwitowały to jakimś pomrukiem. On nie zareagował, więc dodałam: - Był prawnikiem, a teraz jest artystą malarzem.

Poruszył dłońmi w kieszeniach i sprostował z krzywym uśmiechem:

- Początkującym artystą.

O Boże, on jest nieśmiały. To moja słabość. Mam je dwie: mężczyźni nieśmiali i bystrzejsi ode mnie. Nie był jednak nieśmiały, kiedy byliśmy tylko we dwoje w kawiarni. Teraz też nie dał się olśnić Rudy, tylko wciąż spoglądał na mnie, kiedy wymieniali z Lee uprzejmości. Isabel siedziała i patrzyła, nic nie mówiąc.

Nikt go nie poprosił, żeby się do nas dosiadł. Byłam z tego zadowolona - po co się dręczyć bez potrzeby? Kiedy rozmowa zaczęła się rwać, powiedział do Isabel i Rudy, że miło było je poznać, a Lee, że powie Sally, aby do niej zadzwoniła. Sally. Nie znałam żadnej kobiety o tym imieniu, ale ją sobie wyobraziłam. Jest z pewnością naturalną blondynką o zdrowym, dziarskim wyglądzie. Zakłada fartuszek, gdy piecze ciasteczka dla swoich mężczyzn. Tak z pewnością o nich mówi: moi mężczyźni.

Mick cofnął się o krok i spojrzał prosto na mnie.

- Więc do poniedziałku?

- Tak, do poniedziałku.

- Czy chciałabyś przedtem zjeść lunch?

- Nie, nie mogę. Spotkajmy się od razu w studiu, tak jak się umówiliśmy. - Mój głos brzmiał oschle. Jakie to głupie. On nie zrobił nic złego. Nie nosił obrączki, ale też nie kłamał, że jest samotny. Mój błąd polegał na tym, że powzięłam przypuszczenie oparte na moim pobożnym życzeniu. A mogłabym przysiąc, że tego rodzaju głupoty wyzbyłam się przed laty.

Powiedziałyśmy wszystkie „do widzenia” i Mick odszedł do stolika pod oknem. Przyłączył się do mężczyzny z kucykiem opadającym na pałkowate plecy. Obserwowałam ich kątem oka, kiedy Lee trajkotała, jaka Sally jest miła i że zamierzały razem chodzić na lekcje baletu. Chwila, gdy mogłam wyznać, że mam złamane serce - żartem, oczywiście - minęła. Ciągle jeszcze mam kilka sekretów, które zataiłam przed grupą, ale moje kłopoty z mężczyznami do nich nie należą. Dlaczego nic nie po-

wiedziałam? Bo, po pierwsze, Lee zna jego żonę, a po drugie, z powodu Isabel. Jej rozwód odbył się niedawno i cudzołóstwo wciąż było dla niej tematem drażliwym.

Boże, nie cierpię oszustwa, oszustów, niewierności, całej tej marności. Coś w Isabel, siedzącej cichutko, z łagodnym uśmiechem Buddy na twarzy, powstrzymywało mnie od czynienia jakichkolwiek cynicznych uwag na temat mojego romansu z żonatym facetem.

Wystąpienie Rudy zostawiłyśmy jak zwykle na koniec, bo ten kwadrans, jaki przypada na każdą z nas, ona przeciąga nawet do czterdziestu pięciu minut. Nikomu to nie przeszkadza, ale po prostu lepiej to z góry zaplanować. Opowiedziała o tym, jak straciła pracę w Gorącej Linii Pomocy.

- Wiedziałam, że będziesz się śmiała - rzekła do mnie. - Ale to nie było wcale śmieszne.

- Naprawdę dałaś jej telefon Greenburga? Och, Rudy.

- Czemu nie? Jest przecież rodzinnym terapeutą.

- Dlatego, że to jest naruszenie zasad - rzekła Lee tym swoim protekcjonalnym tonem, którego często używa wobec Rudy.

- Wiem - powiedziała Rudy - ale...

- Takim placówkom jak twoja nie wolno rekomendować konkretnych terapeutów, Rudy. Czy oni ci tego nie powiedzieli? Nie przeszłaś żadnego szkolenia?

- Tak, było szkolenie. Powiedzieli nam, że nie możemy rekomendować lekarzy, klinik ani szpitali, nawet programów. Wiem, że to było złe, ale nic nie mogłam na to poradzić. Gdybyście ją słyszały... - Rozmyślnie odwróciła się od Lee i ode mnie i zwróciła do Isabel. - Zrobiłybyście to samo.

Isabel uśmiechnęła się.

- Mam nadzieję, że tak.

- Ale tego nie wolno robić - obstawała Lee. - Bo wtedy telefon zaufania staje się agencją reklamową. Pomyśl, do jakich mogłoby dojść nadużyć.

Isabel siedziała odchyłona w tył, roztrzepując swoje miękkie farbowane popielatoblond loki. Ostatnio wygląda bajecznie, nikt by jej nie dał więcej niż czterdzieści pięć lat.

- Rudy - rzekła łagodnie - do ilu organizacji charytatywnych zgłosiłaś się na ochotnika?

- Ostatnio? - Policzyła na palcach. - Do czterech.

- Doprawdy? Do jakich?

- Walka z Analfabetyzmem, Niedzielną Jadłodajnią, Towarzystwo Humanitarne, Godzina Baśni.

- Godzina Baśni...

- W szpitalu dziecięcym.

- O!

Nastąpiła chwila milczenia, gdy przyswajałyśmy tę wiadomość. Na rogu Piętnastej i G grywa na gitarze hawajskiej taka stara, na czarno ubrana pani. Czasami wrzucam dolara do jej pudełka po



cygarach i pędzę dalej. Jeśli nie liczyć kilku czeków bożonarodzeniowych, gdy jestem przy pieniądzach, na tym moja działalność charytatywna się kończy.

Isabel nie drażyła tematu. Nie musiała. Lee przestała się wymądrzać, a ja przestałam się śmiać. Rudy, słodka, niepomna na nic Rudy, poprosiła kelnera o więcej wody. Nie wiedziała nawet, że Isabel zyskała punkt.

Rudy przyłapała mnie, jak patrzę na nią promiennie.

- Co? - zapytała, odpowiadając mi uśmiechem.

- Nic.

Ja naprawdę kocham ten uśmiech Rudy, z przymrużonymi oczyma. Dwanaście lat temu po studenckiej stronie bibliotekarskiego biurka na Duke University, zapewne niewiele się uśmiechała, bo bym ją zauważyła. Znałyśmy się wtedy tylko z widzenia, zapracowane studentki. Obecnie uwielbiamy rozmawiać o tym, jaka to byłaby tragedia, gdybyśmy się w tym samym roku nie przeniosły do District Columbia i nie przystąpiły do tego samego klubu książki.

- Co najpierw zobaczyłaś we mnie? - niezmordowanie zadawałyśmy sobie to pytanie.

- Ty śmiałaś się ze wszystkich moich dowcipów - zawsze odpowiadam. - Nikt inny w całej grupie nie miał poczucia humoru. Poza tym twój śmiech był zaraźliwy.

To prawda. Rudy natomiast wypowiadała głośno to, o czym ja tylko myślałam. Zupełnie jakbym spotkała swoją dublerkę. Nie wiem, czy to na skutek lat psychoterapii, lecz Rudy potrafi powiedzieć niewypowiedziane i sprawić, aby zabrzmiało to zwyczajnie.

Gdy pytam, co widziała we mnie, mówi:

- Byłaś taka śmieszna.

To miłe. Lubię rozśmieszać ludzi i nie potrzebuję terapeuty, żeby mi to wyjaśnił.

Przy deserze odbiegłam myślami daleko. Zerknęłam w stronę stolika pod oknem. Mick Draco ma niewiarygodnie szerokie ramiona. Draco - to greckie nazwisko, prawda? Ale garb na nosie wygląda na rzymski. Włożyłam okulary. On ma pieprzyk przy końcu prawej brwi. I równiutki przedziałek we włosach. Śmiał się z czegoś, co powiedział jego przyjaciel. Nie słyszałam jego śmiechu poprzez restauracyjny gwar, ale uśmiechnęłam się bezwiednie.

Zdjęłam okulary i wzięłam się w garść. Mick Draco to ślepy zaulek, a ja jestem fuszerem w sprawach męsko-damskich. Pół życia daremnych starań nawiązania dłuższego związku z płcią przeciwną niż rok-dwa. Nie można już dłużej nazywać tego „szukaniem siebie”. Nigdy nie znajdę siebie, bo jestem przegrana.

- Co ja bym bez was zrobiła? - przerwałam Rudy ni stąd, ni zowąd. Uśmiechnęły się do mnie mile, a Isabel spojrzała kontrolnie na mój kieliszek - taki matczyzny odruch. - Naprawdę. Gdybym miała takie szczęście z kobietami, jakie mam z mężczyznami, musiałabym się zastrzelić.

Rudy pogłaskała mnie po ramieniu i wróciła do opowieści o swoim psychoanalityku.

Może umrę jako stara panna, ale za to będę miała swoje przyjaciółki. W życiu są gorsze rzeczy od samotności. Większość mężczyzn to tylko denerwujące przeszkody na autostradzie życia. Czasami trafia się jakiś dobry facet, ale wówczas coś z nim jest nie tak. Dobre kobiety są natomiast wszędzie. Można w nich przebierać, założyć klub i mieć przyjaciółki do grobowej deski.

Wychodząc z La Cuillerée, Lee odwróciła się w drzwiach i pomachała Mickowi Draco na do widzenia. Ja nie. Pożeglowałam dalej, nie rzuciwszy nawet okiem w jego stronę. Skończyłam z nim. Dzięki moim przyjaciółkom wszystko pozostawiłam za sobą. Raz jeszcze ocalona przez Grację.

A poza tym i tak miałam go zobaczyć w poniedziałek.

TLR

## 6.

### *Rudy*

Minionej nocy miałam straszny sen. Pędziłam gdzieś, spóźniona na sesję z Erykiem. Jechałam samochodem Curtisa, nie swoim, i nie było miejsca do zaparkowania, więc wjechałam na chodnik przed gabinetem Eryka. Ho, ho, pomyślałam. Nie spodoba mu się to. Ale nie jestem pewna, kogo miałam na myśli - Eryka czy Curtisa. Chyba Eryka. W każdym razie bardzo chciałam go zobaczyć. Miałam mu coś ważnego do powiedzenia, coś o moim ojcu. Wbiegłam do budynku, na schody, przez poczekalnię i do jego gabinetu. Nawet nie zapukałam - i zastałam go kochającego się z kimś na podłodze.

Nie widziałam twarzy kobiety. Oboje byli w ubraniach - moja podświadomość poddała sen cenzurze. Eryk spojrział na mnie i uśmiechnął się, jak zawsze na mój widok, i wtedy zobaczyłam rude włosy tej kobiety i jej bladą, roześmianą twarz. Emma.

Czy powinnam powiedzieć Erykowi o tym śnie? Czy powinnam powiedzieć Emmie? Będzie się śmiała, już słyszę jej śmiech. Ale to nie było śmieszne, kiedy mi się śniło. Nawet w najmniejszym stopniu.

Zaczęłam płakać. Serce miałam złamane. Wyszłam z gabinetu i schowałam się, żeby mnie nie widzieli, ale oni mnie zobaczyli i poczułam się upokorzona. Potem Eryk i ja kochaliśmy się na jego obitej welurem kanapie. Bez ubrania. Weszła Emma z rękami na biodrach i powiedziała: „No, wspa- niale, poczekaj, niech się Curtis o tym dowie - i kiedy tylko wymówiła imię Curtisa, obudziłam się i zaczęłam się trząść.

Widziałam zarys jego barku pod kołdrą, leżał odwrócony do mnie plecami. Obserwowałam jak oddycha, przerażona, że w jakiś sposób wie, co mi się śniło, i tylko udaje, że śpi. Chciałam mu powiedzieć: „Nie smuć się, to nie ma żadnego znaczenia. Kocham tylko ciebie”.

Rozbudziłam się na dobre. Po pewnej chwili objęłam go w pasie i przytuliłam się do niego. Poczulałam się bezpieczna.

Czy powinnam powiedzieć Erykowi o tym śnie? Wiedziałby, co on oznacza. Curtisowi nie powiem, Boże, przenigdy. Ten seks nie był dobry. Znaczy coś jeszcze, jestem pewna, panowanie albo dominację, a może miłość. Dlaczego jest tak, że seks we śnie nigdy nie oznacza seksu? Podobnie jak karta śmierci w tarocie nie oznacza śmierci. Zastanawiam się, czy śniłam o tym, czego pragnę, czy czego się boję?

Nie wiem, nie wiem. Ja nigdy nic nie wiem. Eryk powiedział kiedyś: „Rudy, co gorszego mogłoby się zdarzyć, gdybyś miała silne przekonanie o czymś i to przekonanie okazałoby się mylne?”. Ale nie sądzę, że o to chodzi. Ja się nie boję nie mieć racji, ja jej po prostu nie mam - spytajcie Curtisa.

Chodzi o to, że jeśli się w coś wierzy, to eliminuje się wszystko inne. Więc to nie jest sprawiedliwe. Po co więc wybierać? A także ważne jest, żeby pozostawić sobie drogę ucieczki, być pewnym, że jest jakieś wyjście. Zawsze mieć jakąś kryjówkę.

Nie, zdecydowałam. Nie powiem nikomu o tym śnie.

Eryk jest zafascynowany Gracjami Ratowniczkami. Ilekroć wzrok robi mu się nieobecny, ponieważ rozwodzę się nad czymś, co go nudzi, wiem, że się ożywi, gdy napomknę o nich. Podejrzewam, że jest w tym coś seksualnego. On by prawdopodobnie temu zaprzeczył, ale jestem święcie przekonana, że mój terapeuta nie tylko lubi słuchać o Gracjach Ratowniczkach, ale nie miałby nic przeciwko temu, żeby się z nimi przespać. Z nami wszystkimi jednocześnie.

Nie zrobiłby tego, nawet gdyby mógł. Eryk jest bardzo przyzwoity, ale gdzieś bardzo głęboko w swojej szlachetnej podświadomości chciałby przelecieć nas wszystkie.

- Opisz mi je - poprosił mnie kiedyś. - Jak wygląda Emma?

- Och, Emma jest piękna. Ona sama tak nie uważa, myśli, że jest za gruba. Ma rudawe włosy i bardzo białą cerę, która latem okrywa się piegami i robi się różowa. Stara się wyglądać na opanowaną i ma tę beztroską minę, która wprowadza ludzi w błąd. Jest neurotyczna, podobnie jak ja, ale dajmy temu spokój.

- A Isabel?

- Jest starsza ode mnie. Kiedy ją poznałam, miała siwe włosy, teraz jest blondynką. Ma niebieskie oczy. Wysoka, ale trochę niższa ode mnie. Utrzymuje się w formie, spacerując. Wygląda lepiej niż kiedykolwiek przedtem. - Nie mogłam wymyślić nic więcej. Isabel jest osobą spokojną i niewiele da się o niej powiedzieć. Trzeba by mieć specjalny zmysł obserwacji albo znać ją dość długo, żeby dostrzec, jaka jest naprawdę. Śliczna.

Lee jest milutka. Drobniutka, wygląda jak elf. Dzieci ją uwielbiają, może dlatego, iż jest prawie ich wzrostu. Ciemne włosy, zawsze króciutko ostrzyżone. Mówi, że to praktyczniejsze i w tym słowie jest cała ona.

- Więc wszystkie jesteście przystojne - rzekł Eryk, pocierając podbródek, z takim specjalnym błyskiem w oku, niewinnym, ale zaciekawionym, który zawsze mnie śmieszy. On bywa czasem taki przejrzysty.

- Cóż, dziękuję - odparłam, uznając to za komplement dla mnie. - Nigdy o tym nie myślałam, ale chyba jesteśmy.

Wczoraj zapytał mnie ni stąd, ni zowąd:

- A jaki Curtis ma stosunek do twojej grupy?

- Curtis? - zdziwiłam się. - Ambiwalentny. - Jest to słowo worek, które Eryk szczególnie ceni.

- Ale początkowo był jej przeciwny, prawda?

- Och... - Czy ja mu to wyznałam? Teraz wydało mi się to nielojalne. - Może trochę, ale tylko na początku. Nigdy tego nie powiedział wprost. Chodzi tylko o to, że jest bardzo zajęty.

- A więc?...

- Więc chce, żebym była, gdy wraca do domu.

Curtis jest doradcą prawnym kongresmana Wingerta. Dzień pracy zaczyna o szóstej, a kończy o ósmej-dziewiątej, czasem dziesiątej wieczorem. Mówi:

- Całe dni spędzam na rozmowach z dupkami, Rudy, i kiedy wracam do domu, chcę, żebyś tam była. (Uważam to żądanie za zupełnie rozsądne). Muszę być z tobą, Rudy, tylko we dwoje. Potrzebuję tego. Ty mi pomagasz zachować równowagę.

Wyobraźcie sobie mnie utrzymującą kogoś w równowadze.

- Więc nie chciał - ciągnął Eryk - abyś przyłączyła się do grupy. Dlaczego? Bo wyciągają cię z domu?

- Nie, nie to. Nie wiem, jak to nazwać.

Wzruszył ramionami, ale wiedziałam, co myślał: bierno-agresywne.

Kiedyś popełniłam błąd, powtarzając Erykowi słowa Curtisa, że biologia jest przeznaczeniem. Biologiczny imperatyw. Jego zdaniem skłonność do psychozy w mojej rodzinie jest tak silna, że to prawdopodobnie dziedziczne. Naturalnie Eryk poczuł się urażony. Jest to ostatnia rzecz, jaką psychiatra chce usłyszeć. (Jest to ostatnia rzecz, jaką również ja pragnę usłyszeć, ale co na to poradzę? Jeżeli Curtis mi tego nie przypomina, sama sobie przypominam). „Czynnik dziedziczności” przeczy wszystkiemu, w co Eryk wierzy. Zakwestionował nawet motyw, dla którego Curtis to zasugerował.

W czarnych chwilach, kiedy myślę, że nie ma dla mnie ratunku ani ucieczki przed przeznaczeniem (geny), Curtis jest moim pocieszycielem. Obejmuje mnie i przysięga, że jestem najwspanialsza, i póki mnie trzyma w objęciach, jestem bezpieczna.

Eryk mówi, że za bardzo opiekuję się Curtisem, ale on nic nie rozumie. Prędzej jest odwrotnie.

- A co pozostałe trzy Gracje myślą o Curtisie? - zapytał Eryk po paru minutach milczenia.

- Och, niewiele o nim mówią. Nasza grupa naprawdę nie jest taka, Eryk. Nie siedzimy godzinami i nie obgadujemy mężczyzn.

Przybrał wyraz cierpliwości. Eryk zwykle wie, chociaż nie zawsze, kiedy się wymiguję.

- No, dobra, czasami rozmawiamy o Curtisie. Oczywiście poza grupą. Najczęściej z Isabel.

- Naprawdę? Nie z Emmą?

- Nie, nie z Emmą. - Wspomnienie o tym jest bolesne. Emma i ja... Przed laty pokłóciłyśmy się o Curtisa i od tamtej pory nie rozmawiamy o nim. Najwyżej wymieniamy grzeczności: „Jak się ma Curtis?” „Świetnie”. „Pozdrów go ode mnie” itp.

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś. Kłótnia z Emmą? Kiedy to było?

Nie chciałam teraz o tym rozmawiać.

- Dawno temu. Myślę, że to ona zawiniła.

- Czemu?

- Bo czekała aż do wieczoru poprzedzającego nasz ślub, żeby mi powiedzieć, co myśli o Curtisie. Przebaczyłam jej, ale nie zapomniałam.

- Opowiedz mi o tym.

- To naprawdę stara sprawa, Eryk.

- Wiem, ale zaciekała mnie.

- Czemu?

- Temu. No, opowiedz.

Westchnęłam i opowiedziałam mu.

To było cztery lata temu, w grudniu minie pięć. Curtis i ja od dawna mieszkaliśmy razem, ale dla draki w wieczór przed ślubem wyprowadził się. Emma przyszła, żeby być ze mną. Była moją druhną i potraktowała swoje zadanie poważnie. Bardzo troskliwa, praktyczna, zajęła się wszystkim. Potrzebowałam opieki i było mi to na rękę. Tego dnia przyleciała z Rhode Island moja matka i ojczym, a wieczorem brat z Los Angeles. Siostra dostała jednodniową przepustkę z sekty i miała przybyć na-  
zajutrz. Ostatnio spotkaliśmy się wszyscy razem przed dwudziestu pięciu laty, na pogrzebie ojca.

Rodzice Curtisa przybyli z Georgii przed dwoma dniami i zatrzymali się w Willard. Nigdy nie wiedziałam, która rodzina bardziej doprowadza mnie do szału, jego czy moja. On nazywa swoją rodzinę „starymi arystokratami z Południa”, choć nie wiem, jak można być zarazem arystokratą i biednym jak mysz kościelna. Lloydowie są powolni i flegmatyczni, co stanowi o ich południowym uroku, ale mrozi moją nowoangielską krew. Nie przestają się uśmiechać, ale nie wiem, czy w sercach mają coś więcej prócz wzgardy. Nie mówią, tylko cedzą słowa. Przypominają mi tłuste, brązowe jaszczury wygrzewające się w słońcu na gorących skałach, zbyt leniwe, aby się poruszyć. Piją przez cały czas, i to jawnie, nie w sekrecie jak moja rodzina - martini, bourbon na trzy palce, szkocką z wytartych srebrnych flaszek, kielichy ciepłej, dymnej brandy. Sprowadzili picie do delikatnej, zmysłowej, obscenicznej sztuki. Kiedy bywamy u nich z wizytą, przyglądam się im bacznie. Czuję się, jakbym podglądała scenki erotyczne zza żywoplotu z magnolii lub kapryfolium. Wszystko jest takie słodkie i sztuczne, że niemal słyszę tę postać z Tennessee Williama wrzeszczącą: „Żebractwo!”.

Może trochę przesadzam, ale niewiele. Curtis twierdzi, że podkreślam ekscentryczność jego rodziny, żeby umniejszyć dziwactwa swojej. To prawda.

W wieczór przed ślubem Emma przyjechała do mnie po próbie przyjęcia. Plan był taki, że prześpi się u mnie, a rano pomoże mi się ubrać do ślubu. Byłyśmy głodne, mimo że niedawno jadłyśmy, więc usmażyłyśmy sobie hiszpańskie omlety i otworzyłyśmy butelkę wina. Było to po około dwóch tuzinach toastów szampanem na próbie przyjęcia, przestałam później liczyć. Wiem, że za dużo piję, ale tego wieczoru była to tylko część problemu.

Nie mogliśmy się zmusić, żeby pójść spać. Wybiła północ, a my wciąż piłyśmy i rozmawiały, śpiewały przy muzyce z magnetofonu. Wymieniałyśmy ostatnie zwierzenia samotnych kobiet, ale pilnie uważałyśmy, aby nie powiedzieć najważniejszego. Udawałyśmy, że nic się nie zmieni, że mój ślub z Curtisem to tylko formalność. Emma leżała wyciągnięta na podłodze salonu - to było w moim dawnym domu przy ulicy D na Capitol Hill, ciemny szereg wąskich domów z sześcioma pokojami na trzech piętrach - ja leżałam na kanapie w starym, postrzępionym szlafroku, bo te lepsze spakowałam na miodowy miesiąc.

- Oczywiście, wiedziałam, że ona nie lubi Curtisa - powiedziałam Erykowi. - Wiedziałam o tym od chwili, kiedy ich ze sobą poznałam. To było dziesięć lat temu, po naszych przenosinach do Waszyngtonu. Nigdy dotąd tego nie powiedziała.

- Dobłą porę sobie wybrała - rzekł Eryk współczująco.

- Właśnie.

Zacząło się niewinnie. Rozmawiałyśmy o nowej pracy Curtisa na Capitol Hill, ile będzie zarabiał i jak prędko przeniesiemy się do większego domu. Emma powiedziała:

- To wspaniale, ale wciąż nie rozumiem, po co bierzesz ślub. Musisz zaciskać ten węzeł?

Byłam zdumiona złością, z jaką to powiedziała. Bąknęłam coś o ceremonii, że taka piękna.

Był czerwiec, upał, Emma miała na sobie trykotową koszulkę bez rękawów i majteczki. Wsunęła pod nią kolana i objęła ramionami. Potrząsnęła głową z bujnymi rudymi włosami, żeby odsłonić oczy.

- Tak, ale czemu nie możesz po prostu dalej z nim żyć? Po co zaraz wciągać w to prawo? - I opowiedziała o Mickeyu Rooneyu czy Liz Taylor, ile kłopotów sobie oszczędzili, żyjąc po prostu na kocią łapę. Śmiałyśmy się, ale to nie był szczery śmiech. Widziałam gniew w jej oczach.

- Może to cię zaskoczy - powiedziałam - ale jestem szczęśliwa. Szkoda, że mnie nie znałaś, zanim poznałam Curtisa. Byłam innym człowiekiem. - Znowu zaśmiałam się fałszywie.

- To nieprawda. Czemu kłamiesz? Widzę, co się z tobą dzieje, Rudy. Wciąż na niego spoglądasz, żeby się upewnić, czy pochwała to, co mówisz. Mdli mnie od tego.

Niechęć w jej głosie zdumiała nas obie.

- Bzdura - powiedziałam bez uśmiechu. Wstałam i wyłączyłam magnetofon.

Nigdy dotąd nie rozmawiałyśmy takim tonem ani nie wypowiedziałyśmy tak bezpardonowych słów, jak kłamstwo czy bzdura.

- Przestraszyłaś się - powiedział Eryk.

- Tak. Przeraziłam się śmiertelnie. Miewałyśmy różne zdania na ten sam temat, ale zawsze podchodziłyśmy do tego z humorem. Emma jest mistrzynią w wyrażaniu poważnych spraw w lekkiej formie - to w jej stylu. Obraca wszystko w żart, byle uniknąć konfrontacji. Boi się gniewu. Zwłaszcza mojego, jak sądzę. - Zaśmiałam się.

- Byłyście obie przestraszone.

- Tak. Przestraszone i pijane.

Tej nocy próbowała mnie ugłaskać, mówiąc:

- Pobieracie się, bo chcecie mieć dzieci? Mogłabym to zrozumieć.

- Nie - rzekłam - oczywiście, że nie dlatego wychodzę za mąż. Emma, czemu ty jesteś taka... - urwałam. Nastąpiła długa chwila ciszy. Unikałyśmy swojego wzroku. - Kocham Curtisa, czy to tak trudno zrozumieć? Curtis jest dla mnie dobry.

- Nie, nie jest. - Wstała z kieliszkiem ciepłego chardonnay w jednej ręce, papierosem w drugiej i wielką, ciemnobrązową cyfrą 28 na piersi. Emma nie pije wiele, tylko pali, kiedy jest ze mną, więc była to naprawdę śmieszna poza. I... wdzięczna. Trudno to inaczej określić. Marzyłam, żeby powiedziała coś śmiesznego, wymazała dotychczasową rozmowę, sprowadziła ją na bezpieczne tory, ale ona ciągnęła dalej: - Nie wiem, jak on to zrobił, ale wmówił ci, że jest dla ciebie dobry. Nie rozumiesz, że to tylko jego sztuczka?

- Sztuczka?

- Och, Rudy, jesteś znacznie silniejsza, niż ci się wydaje! Czy wyleciałaś ze szkoły, gdyby nie Curtis? Nie! Miałaś teraz prawdziwą pracę, miałaś zawód.

- A więc nie podoba ci się również moja praca. Cóż, świetnie, po prostu cudownie. - To mnie naprawdę zabolalo. Sprzedawałam wtedy biżuterię artystyczną w butik w Georgetown i zgadzam się, że nie była to praca, o jakiej marzyłam, ale Curtis nie miał nic do tego. Przenieśliśmy się do D.C., kiedy skończył prawo, a ja po prostu nie wróciłam na studia, żeby zrobić magisterium na historii sztuki. Powiedziałam: - Curtis nie może być odpowiedzialny za to, gdzie pracuję. Co on twoim zdaniem zrobił? Zmusił mnie do porzucenia studiów?

- Tak, właśnie tak myślę. Tylko że on to tak zrobił, żebyś się nawet nie domyśliła.

- To śmieszne.

- Rudy, on lubi manipulować ludźmi i rządzić. Słowa „manipulowanie” i „rządzenie” zostały specjalnie wymyślone dla Curtisa Lloyda i dziwię się, że tego nie dostrzegasz! Wmawia ci, że jesteś wariatką, a tymczasem to on powinien się leczyć.

Rzuciłam w nią płytę. Trafiła ją w szyję i leciutko skaleczyła - leciuteńko, ale ranka krwawiła. Emma zrobiła się biała jak papier. Patrzyłyśmy na siebie przerażone. Gdybyśmy nie piły od piątej po południu, znalazłybyśmy jakieś wyjście, uratowały twarz, ale byłyśmy pijane i miałyśmy dość rozmowy o Curtisie.

Eryk patrzył na mnie z niedowierzaniem.

- Naprawdę to zrobiłaś? Rzuciłaś w nią płytę kompaktową?

- Nie mieści ci się to w głowie? - Rozumiem go, na ogół jestem łagodna.

- I co dalej?



- Powiedziałam, że skoro ma takie zdanie o Curtisie, nie powinna przychodzić na mój ślub.

Eryk ma ogromne brązowe oczy, jak postacie z obrazu Velázquez. Kiedy je otwiera szeroko za okularami w stalowej oprawce, wiem, że powiedziałam coś zdumiewającego.

- Emma na to: „Dobrze, jeśli tego właśnie pragniesz”. Odrzuciłam piłeczkę: „Myślę, że ty tego chcesz”. A ona: „A czego ty chcesz?” i tak to trwało przez jakiś czas. To jeszcze jedna rzecz, w której Emma jest dobra - kryje się za pytaniami, odwraca uwagę od tematu. Ludzie, którzy jej nie znają, myślą, że jest szczerą i otwartą, a w rzeczywistości jest jedną z najbardziej zamkniętych w sobie osób, jakie znam.

- Przyszła na ślub?

- O, tak. Ale to niczego nie zmienia.

- Spędziła tę noc u ciebie?

- Tak. Bo po prostu odpuściliśmy sobie. Wystraszyliśmy się. Ja zaczęłam wynosić kieliszki i talerzyki do kuchni, a gdy wróciłam, ona stała nad walizką i wyciągała dzinsy. Dygotałam cała wewnątrz i poruszałam się sztywno jak marionetka. „Więc idziesz do domu” - powiedziałam, a ona: „Tak”. Nie patrzyła na mnie, ale poznałam po głosie, że płacze. I to załatwiło sprawę. Czułam się pokonana. Emma nigdy nie płacze. Ja też się rozplakałam, prosiłam, żeby przyszła na mój ślub, ona się zgodziła i na tym jakby się skończyło. Ale nie pogodziłyśmy się i nie padło słowo przepraszam. Po prostu poszliśmy spać. Wzięłam kilka pigułek i zasnęłam jak kamień.

Ślub był okropny. Zbudziłam się z bólem głowy, który trwał trzy dni. Ilekroć wpadało mi w oczy małe zadrapanie nad kołnierzykiem kostiumu starszej druhny, zapadałam się w czarną dziurę depresji. Lee i Isabel były drózkami i wystarczyło pół minuty, by się zorientowały, że między nami zaszło coś złego. Emma i ja gniewaliśmy się trzy miesiące.

- Ale pogodziłyście się.

- W końcu tak. Szkoda, że wtedy cię nie znałam - powiedziałam i Eryk się uśmiechnął.

- Jak do tego doszło?

- Nie mogę ci tego powiedzieć. To historia Emmy, nie moja.

Eryk nie przestawał potrząsać głową.

- Jak się czułaś, kiedy usłyszałaś, że Curtis manipuluje tobą i... co to było? Manipuluje i...

- Ona go nazwała socjopatą, Eryk. Jak twoim zdaniem mogłam się czuć? Trafiła mnie w samo serce. Kocham ich oboje i nie mogę znieść, że Emma nienawidzi Curtisa. On nigdy nie mówi o niej nic złego i to jeszcze pogarsza sprawę.

- Tak myślisz? Rudy, czy ty naprawdę myślisz, że Curtis lubi Emmę?

- Nie wiem. Zmieńmy temat. Cieszę się, że na moim ślubie w końcu poznałyśmy chłopaka Lee - powiedziałam. - Właściwie on jeszcze nie był jej chłopakiem, to była ich pierwsza randka. Mówiliśmy o nim „Henry hydraulik”. Umierałyśmy z pragnienia poznania go, nie mogłyśmy uwierzyć, że Lee -

prawdziwa żydowsko-amerykańska księżniczka - straciła głowę dla człowieka, który zakładał centralne ogrzewanie u niej w suterenie. Skończyło się na tym, że wszystkie się w nim zakochałyśmy, ona też, i w dziewięć miesięcy później za niego wyszła.

TLR

## *Emma*

Co robicie, kiedy patrzycie na nowoczesne dzieło sztuki, w głowie macie pustkę i myślicie: „Albo ja zwariowałam, albo ty, panie Wielki Artysto. Raczej ja, skoro ludzie przychodzą na wystawę twoich prac, stoją, kontemplują twoje dzieła i wypowiadają inteligentne uwagi na ich temat”.

Ja wychodzę, najszybciej jak się da, bez zbędnej gadaniny. Na otwarciu wernisażu podają mnóstwo taniego sikacza - można pić bez ograniczeń - przynajmniej wieczór nie jest stracony. Poza tym stwierdzam, że mam znacznie więcej do powiedzenia na temat dzieł artysty, jeżeli jestem lekko naoliwiona.

Lecz to rozwiązanie nie ma zastosowania, jeżeli jesteście w studio sam na sam z artystą i jego dziełami, które są dla was czarną magią, nie macie pojęcia, ile są warte. I powiedzmy, że musicie napisać poważny, dobrze płatny artykuł o tym artyście dla jednej z większych gazet, w której pracujecie. Prace artysty są wam obojętne, odczuwacie natomiast bolesny, tęskny, zmysłowy pociąg do jego ciała, nie wspominając o bezradnym i całkowicie nie na miejscu pragnieniu pozyskania jego serca, które, tak jak ciało, należy do innej kobiety? Co wtedy?

Ja czułam się wyrolowana.

- Mick, powiedz mi, jak przeszedłeś od prawa patentowego do sztuki? Z Constitution Avenue na Siódmą Ulicę. Zawsze mówię, że nigdy nie jest za późno na zmianę zawodu.

- Może usiądziesz? - Wziął brudną ścierkę ze stołu i zmiotł nią pył gipsowy z jedyne go krzesła.

Spojrzałam na to krzesło i powiedziałam:

- E, nie, dziękuję.

On ma piękny uśmiech. Opuszcza rzęsy, dłuższe od moich, i wykrzywia usta pod ostrym kątem do góry.

- Tak, to chyba nie jest najlepsze miejsce do rozmowy - mruknął pod nosem. - Może przejdziemy na drugą stronę ulicy?

Tak! Tak! Chodźmy do Murraya, do tego śmietnika ze zgniłym żarciem i stęchłym powietrzem, gdzie wszyscy wyglądają jak trupy, a kawa smakuje jak płyn do rozmrażania szyb! Siądźmy naprzeciwko siebie koło okna z brudnymi szybami i mówmy, mówmy, mówmy!

- Dobrze - bąknęłam. - Jeżeli chcesz.

Po drodze, gdy szliśmy otuleni płaszczami w listopadowej mżawce, odpowiedział na moje główne pytanie, albo raczej zdawało mu się, że odpowiedział. Uderzyła mnie myśl, że jest nieśmiały albo bardzo zamknięty w sobie. Kiedy opowiadał mi o najważniejszym wydarzeniu w swoim życiu,

nie patrzył na mnie, lecz w głąb ulicy G. Ledwie go słyszałam. Dobry moment sobie wybrał, by zająć się tym tematem - gdy znajdowaliśmy się na środku jezdni. Tak jakby chciał przemycić swą odpowiedź niezauważoną.

- Zająłem się sztuką, kiedy czułem, że mi się to uda - rzekł albo mi się tak zdawało, bo znowu mamrotał. - Żartowałaś z tym postmodernizmem...

- Nie, nie żartowałam.

- ...ale wiesz, że ten kierunek przywrócił na nowo pojęcie sensu w malarstwie. W modernizmie to było niedopuszczalne.

Na skrzyżowaniu wziął mnie za rękę i przemknęliśmy na drugą stronę ulicy. Powiedziałam bystrze:

- Możesz powtórzyć? Odchrząknął.

- Abstrakcja nigdy do mnie nie przemawiała, nie czułem jej ani nie rozumiałem. Patrzyłem na nią i wiedziałem, że to nie dla mnie. Byłem dostatecznie dumny lub głupi, aby myśleć, że dlatego nie mogę być artystą malarzem. Tak, głupi. Dostatecznie głupi. Całe lata. - Mruknął coś, czego nie dosłyszałam. Otworzył przede mną drzwi, więc minęłam go i weszłam do środka.

U Murraya z prawej strony znajduje się kontuar ze stołkami obitymi czerwoną, popękaną imitacją skóry, a z lewej strony łoże z siedzeniami z czerwonej, spękanej imitacji skóry. W zeszłym tygodniu siedzieliśmy przy kontuarze, dziś zajęliśmy łożę. Wystrój... jak w kawiarni dworca autobusowego w Trenton. Ściany wyłożone zamglonymi lustrami koloru sepii. Gdy pierwszy raz ujrzałam w nich swoje odbicie, spłoszyłam się, bo w chorym fluorescencyjnym blasku nie wyglądałam wcale tak źle jak mój rozmówca. Tłuszcz osiadły na lustrach działa jak filtr z gazy. Temperatura sięga tu około dwudziestu sześciu stopni. Mick mówi, że przychodzą tu artyści z okolicznych studiów i poddaszy, by się ogrzać.

- Kawa? - spytał.

Skinęłam głową i Mick podszedł do kontuaru. U Murraya jest samoobsługa.

- No, więc - powiedziałam z gotowym ołówkiem i otwartym notesem, kiedy wrócił. - Mówisz, że zostałeś malarzem, ponieważ atmosfera postmodernistyczna w świecie sztuki pozwoliła ci poczuć się artystą.

- Nie, to brzmi śmiesznie. Nie pisz tego. Myślałam, że to brzmi nieźle.

- To co? To jest tekst o ludziach, którzy porzucają normalne posady, które nie dają im zadowolenia, i realizują swoje marzenia. - Wyjaśniałam to już wcześniej, ale pomyślałam, że nie zaszkodzi powtórzyć. - Ja szukam handlarzy polisami, którzy postanowili zostać leśnikami. Dentystów pragnących pisać powieści kryminalne. Ludzie uwielbiają takie historie. Rozumiesz, przeczyta ją jakiś urzędniczyna i ciśnie wszystko w diabły, żeby zostać dżokejem albo mimem, treserem psów...

- Wiem, o co ci chodzi.

- Dobra. Zaczniemy tak. Dlaczego rzuciłeś prawo patentowe?

Uśmiechnął się do mnie z błyskiem w oczach.

- Jesteś niesamowita.

- Czemu?

- Spytałaś mnie o to z poważną miną.

Roześmiałam się. Czułam się w środku lekka, zwiewna i pełna optymizmu. Docenił mnie. Dostrzegł coś we mnie, co mu się podobało. Niczego ode mnie nie chciał, po prostu mu się podobałam. Siedzieliśmy chwilę w milczeniu, mieszając kawę i wyciągając jednorazowe serwetki z metalowego pojemnika.

- No, dobrze. - Mój notes przywołał mnie do porządku. - Wróćmy do postmodernizmu. No, więc ty...

- Nie, Emma, zapomnij o tym. Powiem ci prawdę.

- Świetnie - powiedziałam niepewnie. - Ale to nie jest policyjne przesłuchanie ani nic w podobnym stylu. Nie mów nic, co może cię zabołec. - Sroga, dociekliwa dziennikarka przy pracy. Wcześniej poprosił mnie, abym nie nagrywała naszej rozmowy. Zwykle upieram się przy swoim, zapewniam rozmówcę, że zapis na taśmie służy nie tylko mojej wygodzie, lecz także chroni jego prawa jako rozmówcy, bla, bla. Ale gdy Mick mnie o to poprosił, ustąpiłam bez walki.

Oparł się o stół, zgarbił i objął dłońmi poplamiony kubek z kawą. Ładne dłonie, nawiasem mówiąc, kościste, o długich palcach.

- To wcale nie jest tajemnica. - Podniósł wzrok, spojrzał mi prosto w oczy.

Patrzyłam na niego bez zmruczenia powiek, starając się wyrazić spojrzeniem profesjonalizm i uczciwość. Ale czułam się jak łania schwytna w światła reflektorów. Było oczywiste, że mnie ocenia, próbuje zdecydować, czy może mi zaufać. Milczałam - cóż mogłam powiedzieć?

Odchylił się w tył, plecami oparł o ścianę, jedną nogę położył na splekanym obiciu siedzenia. Rozluźnił krawat.

- Draco to greckie nazwisko - rzekł. Zapisałam w notesie „Grek”. - Moim ojcem jest Philip Draco. Znasz go? - Potrząsnęłam głową. - Percy, Wells, Draco i Dunn. Dostyc znana firma prawnicza z biurami w każdym większym mieście. Draco to nie jest moje prawdziwe nazwisko.

Podniosłam wzrok.

- Nie?

- Zostałem adoptowany. Nigdy nie znałem moich biologicznych rodziców.

- Och!

- Od dzieciństwa wpajano mi, że gdy dorosnę, zostanę prawnikiem jak ojciec. On jest dobrym człowiekiem - dodał - naprawdę wielkim pod niektórymi względami. Znakomity fachowiec, jeden z pięćdziesięciu najlepszych prawników w kraju.

- Wychowywałeś się w Waszyngtonie?

- W Chicago.

- Ile miałeś lat, kiedy się dowiedziałeś, że jesteś adoptowany?

- Zawsze o tym wiedziałem.

- Nawet gdy byłeś malutki?

- Nie pamiętam, abym kiedykolwiek o tym nie wiedział. - Zawahał się, zaczął się bawić tekturową podkładką pod talerz.

- Mam wspaniałych rodziców. Wierz mi. Nigdy mi nie dali odczuć, że ich zawiodłem. Staralem się... - Podniósł pusty kubek i odczytał nazwisko producenta na spodzie.

Nie jestem taka głupia, żeby podpowiadać osobie, z którą przeprowadzam wywiad, ale tym razem nie wytrzymałam:

- Bo nie chciałeś, aby żalowali, że wybrali ciebie.

- Właśnie! - Na jego twarzy malowało się zdziwienie pomieszane z wdzięcznością. Aż mi się zakręciło w głowie. Wzięłam nasze kubki i podeszłam do kontuaru po repetę.

Gdy wróciłam i usiadłam na swoim miejscu, zauważyłam, że spogląda na mnie w nowy sposób. Wiedziałam, że od tej chwili przeszliśmy do drugiego etapu naszej znajomości. Stało się dla mnie jasne, że nie tylko ja interesuję się Mickiem, ale także on jest mną zainteresowany.

Wzięłam ołówek. Zaczął mówić dalej :

- Jakies cztery lata temu, po długim namyśle, postanowiłem odszukać moją biologiczną matkę. Praktykowałem już wtedy od siedmiu lat. Niezbyt szczęśliwie. Żałośnie - rzekł ze śmiechem, rzucając na mnie okiem. - Byłem żonaty. Mój syn miał prawie dwa lata. Sally - moja żona - rzuciła pracę, kiedy urodził się Jay.

- Jaki był jej zawód? - spytałam rzeczowo, jakby ta cała opowieść rozpadła się bez tej informacji.

- Była pracownicą sądową. Tak się poznaliśmy. Pracownica sądowa, zapisałam.

- I znalazłeś matkę?

- Po pewnym czasie. Najpierw powinienem ci coś powiedzieć o sobie. Od dziecka malowałem, szkicowałem, rzeźbiłem albo tworzyłem kolaże.

- Zawsze byłeś artystą.

- Nie nazywałbym tego w ten sposób. Nigdy mi to nie przyszło do głowy. W rodzinie, nawet najdalszej, nie było żadnych artystów. Jeden z kuzynów para się fotografią - to wszystko.

- A twoja matka. Znalazłeś ją i co? Kim była? Uśmiechnął się, spodobało mu się moje podniecenie.

- Tak, znalazłem ją. Kiedy mnie oddała do sierocińca, była studentką drugiego roku w Instytucie Sztuki w Chicago.

- O Boże! Mick! Och, no wiesz! To zdumiewające.

- Wiedziałem, że ci się spodoba. Wyjdzie z tego fajny tekst, co?

- Nie żartuj! Mój dyplomowany księgowy, który zmienił się w skrzypka, i pracownik uniwersytetu, który został kaznodzieją, będą przy tej historii wyglądali anemicznie. To jest wspaniałe, to jest materiał na świetny artykuł. Widujesz się z nią? Co ona robi? Czy nadal...

- Nigdy się z nią nie spotkałem.

- Nie?

- Napisałem do niej i wiem, że dostała list, ale nie odpisała.

Mick ma zwyczaj układania ust w półuśmiech, gdy mówi rzeczy dla niego bolesne. To zniechęca do współczucia. Zrozumiałam i nie zaofiarowałam mu go, ale odczuwałam ból wraz z nim.

- Rzecz w tym - powiedział po chwili - że dowiedzenie się prawdy o matce było jak - przyłożył palce do skroni, a potem odrzucił gwałtownie rękę w bok - eksplozja. Kiedy dym się rozwiął, wszystko wróciło na swoje miejsce - wiedziałem, co mam robić. Po raz pierwszy w życiu naprawdę rozumiałem siebie.

- No, no. - Poczułam iskierkę zazdrości. - Jak zrozumienie, że się jest gejem i wyjście z ukrycia.

- No właśnie, choć nie stało się z dnia na dzień. Nie zrozum mnie źle - trzeba było około roku, żeby dym się rozwiął.

- Myślę, że sprawiła to twoja natura prawnika. Wiesz, ostrożność.

- Po części.

Nie rozwinął tego tematu, a ja zaczęłam intensywnie myśleć, jak go podejść i zapytać o żonę, co ona na to wszystko. Ale... nie zrobiłam tego. Gdyby to był ktoś inny, zadałabym to pytanie, ale moje motywy nie były czyste.

Zapytałam natomiast, czy się bał, rezygnując z pracy. Odpowiedział, że był przerażony, jego zarobki spadły z... - ugryzł się w język.

- Spadły o dziewięćdziesiąt osiem procent - rzekł, patrząc, jak to zapisuję. - Jestem od trzech lat malarzem, a sprzedałem dwa obrazy, oba przyjaciółom. Mogę nigdy nie zarobić żadnych pieniędzy.

Nie sądzę, aby w to wierzył, bo powiedział to bez lęku, a nie wydawał mi się człowiekiem, który mógłby sobie pobrażać bez poczucia winy.

Pokrewna dusza.

Otworzył jednak drzwi, a ja czułam się w obowiązku, aby w nie wejść.

- A twoja żona... hm...

- Sally.

- Sally. - Zapisałam to. - Ona jest zadowolona z tego stanu rzeczy?

- Ona jest wspaniała. Wspaniała. - Pokiwał w zadumie głową, a ja zapisałam: „S. jest wspaniała”. Patrzyłam na niego wyczekująco. Zdumiewające, ile można wyciągnąć z człowieka, nie mówiąc

nic, tylko czekając. Mick potarł z chrzęstem policzek - powinien się ogolić - i w końcu powiedział: - Jay jest w przedszkolu. Wiesz o tym, znasz Lee Patterson. Sally musiała wrócić do pracy. Jest asystentką w Departamencie Pracy.

- Aha.

- Musiała to zrobić, bo umarlibyśmy z głodu. I przenieśliśmy się na Columbia Heights.

- Skąd?

- Z Q Street, Dupont Circle. Koło Park.

- Aha.

- Remontujemy stary dom szeregowy.

- Znam to.

- Naprawdę?

- Właśnie kupiłam taki dom. Już wyremontowany.

- Aha. - Uśmiechnął się, ale myślę, że mnie małpował.

- No, to trochę co innego.

- Chyba tak.

Zmiana adresu sugerowała, że podupadł finansowo i bardzo to odczuł. Nie było jasne, czy bolał nad tym ze względu na siebie czy Sally, ale nie odważyłam się zapytać. Zresztą to nie moja sprawa.

Rzuciłam okiem na swoje notatki.

- Więc, powiedz, jak nazwałbyś rodzaj sztuki, którą teraz uprawiasz?

Skrzywił się.

- A jak ty byś ją nazwała?

Zaśmiałam się nerwowo, ale on nie był do mnie nastawiony wrogo ani agresywnie. W jego głosie brzmiała ciekawość.

- Słuchaj, Mick. Muszę ci to powiedzieć. Nie mam zielonego pojęcia o sztuce. Mówię szczerze, jestem w tym kompletny tuman, więc jeśli chcesz, aby ten artykuł był prawdziwy, musisz mówić do mnie wprost. Więcej, musisz zniżyć się do mojego poziomu. Umówmy się, że jestem twoim dzieckiem. - Roześmiał się. Boże, jak ja lubię go rozśmieszać.

Tak też i zrobił. Nareszcie. Sens tego był taki, że nie znalazł jeszcze swojego stylu ani tematyki, ale uprawiał malarstwo formalistyczne, figuralne, ponieważ dopiero się uczył i abstrakcja byłaby ślepym zaułkiem. Uważał, że postmodernizm nie jest odrębną epoką, ale ostatnim tchnieniem modernizmu przed rozpoczęciem następnej fazy. Nie chciał się domyślać, czym ona będzie, ale gdy go naciskałam, powiedział, że według niego może ona obejmować odrodzenie formalnej doskonałości, do której sztuka współczesna nie jest zdolna i którą w związku z tym cynicznie odrzuciła.

Zapytałam, kto go zachwyca, a on powiedział, że Rembrandt, Fantin-Latour, Arshile Gorky, Alice Neel, Eric Fischl. A kogo nie cierpi? Odrzekł, że nie powie, chyba że w zaufaniu, a potem wy-



klepał z pięć nazwisk, samych mężczyzn, o których nigdy przedtem nie słyszałam. On sam skłaniał się coraz bardziej do portretu, rzekł, co więcej - ostatnio w swoich obrazach i rysunkach zauważył powracającą postać młodego człowieka, może młodzieńca, którego nazwał „Joe”, a który być może jest nim samym. Jego siłą jest barwa, a rysunek słabością. Zapisał się do dwóch różnych klas rysunku, cztery wieczory w tygodniu, i już zaczął dostrzegać postępy. Chciałby mieć czas i pieniądze, żeby robić magisterium na historii sztuki, bo znalazł się w punkcie, gdzie brak formalnego wykształcenia staje się coraz bardziej odczuwalny.

Większość tego zapisałam, ale im dłużej mówił, tym bardziej stawałam się roztargniona. Był tak cudownie spięty. Sztuka była najwyraźniej jego pasją graniczącą z obsesją, a ja przepadam za mężczyznami, którzy naprawdę uwielbiają swoją pracę. Uważam ich prostolinijność za niewiarygodnie seksowną i pożądaną. A najlepsze jest to, że nie oczekują ode mnie, bym im pomogła znaleźć sens życia.

Zabrakło mi pytań. Spojrzałam na zegarek.

- Zjedźmy coś. Zaczynam się trząść z głodu. - Mick wyciągnął rękę. Palce naprawdę mu drżały.  
- Nigdy nie piję tyle kawy - przyznał i wstał, żeby pójść do toalety.

Zamówiliśmy cheeseburgery, frytki i milkshakes, chociaż oboje przysięgaliśmy, że tego nigdy nie jadamy, ale zmiotliśmy wszystko do ostatniego okrucha. Gdy jedliśmy, on zadawał mi pytania. Początkowo nie zwróciłam na to uwagi, wydawało mi się to zwykłą wymianą zdań, normalną rozmową. Ale gdy zapytał, czy praca w gazecie jest tym, co zawsze pragnęłam robić, albo gdybym się nagle dowiedziała, że moja matka nie jest moją naturalną matką, to kim chciałabym, żeby ona była? - zdałam sobie sprawę, że zamienił role i teraz on robi ze mną wywiad.

Schlebiali mi to. Wiem z doświadczenia, że większości ludzi nie obchodzi cudze życie wewnętrzne. Są mili, grzeczni, pytają jak leci, a kiedy tylko zaczniesz opowiadać, wyłączają się - widać to po ich oczach - i tylko czekają, by wejść ci w słowo i powiedzieć, o ileż bardziej interesujące jest ich życie niż twoje. To nie jest cynizm. Mówię wam, tak to już jest.

Wyjątkiem są oczywiście mężczyźni, którzy chcą się z wami przespać. Im lepsi są w tym, tym pilniej słuchają. Im bardziej was pragną, tym bardziej są zachwyceni każdą waszą wypowiedzią. To śmieszne, ale ta wypróbowana metoda naprawdę działa, przynajmniej na mnie. Jako ktoś, kto, jak to się mówi, z niejednego pieca jadł chleb, powinnam być mądrzejsza, ale nie jestem. Za każdym razem dają się nabrać.

Tak więc z mieszanymi uczuciami patrzyłam w inteligentne brązowe oczy Micka Draco, właśnie skupione na mnie z zainteresowaniem i oczekiwaniem odpowiedzi na jego ostre pytanie. „Czy próbujesz mnie uwieść?” - zapytałam go telepatycznie. „Boże, mam nadzieję”.

„Nie, nie próbuję. Wcale bym tego nie chciał”.

- Mary McCarthy.

Uniósł brwi.

- Ta pisarka?

- Tak. Albo Iris Murdoch. Katherine Anne Porter - próbowałam znaleźć kogoś, kto byłby w odpowiednim wieku, aby mnie urodzić czterdzieści lat temu. Trzydzieści dziewięć. - Cholera! Powiedziałam mu, ile mam lat. On jest młodszy. Tylko o rok, ale zawsze.

- Ach, więc chciałybyś pisać powieści?

To było doprawdy żenujące, nie że mu powiedziałam, ile mam lat, ale że zdradziłam moje najskrytsze marzenia. Nie takie bardzo skryte - znały je Gracje, ale tylko Rudy wie, jak bardzo tego pragnę. Zna je również moja matka i kilku moich byłych chłopaków, bo byłam na tyle głupia, że wypalałam im to. Ale zakładam, że to sekret. Czemu? Ponieważ nie cierpię doznawać publicznie niepowodzeń. „Dziennikarz, który marzy o napisaniu wielkiej amerykańskiej powieści”, to taki głupi, upokarzający komunał i nie chcę być z nim kojarzona.

Ale mówiłam do człowieka, który dla malarstwa porzucił ciepłą posadkę. Jeśli ktokolwiek mógł zrozumieć moje marzenie, to właśnie on. Więc nie wycofałam się ani nie próbowałam wykręcić jakimś żarcikiem. Spojrzałam mu prosto w oczy i powiedziałam:

- Kiedyś będę pisała. Właśnie to pragnę robić. Ale wiesz, boję się.

- Tak - rzekł, jakby nie mogło być nic naturalniejszego. - Bo to jest przerażające.

- Tak, jest przerażające. - Samo myślenie o tym było przerażające.

- Więc co zamierzasz robić?

- Hm. Cóż, napisałam kilka opowiadań. Były do luftu. Nikt nie chciał ich wydać. - Obrona sła-  
bła, ostrze wsuwało się do pancernej osłony. - Pracuję nad czymś dłuższym, ale to jest do niczego. Na-  
prawdę. To nie skromność przeze mnie przemawia.

- Czy ktoś to czytał?

- Żartujesz? - zaśmiałam się. - Na szczęście mam rozwinięte poczucie wstydu, ono mnie strzeże przed takimi krokami.

Mick uśmiechnął się i odwrócił wzrok.

Opanowałam swoją wylewność, bo zdałam sobie sprawę, że jest zażenowany. I ja to sprawiłam, ponieważ to, co powiedziałam, było takie przejrzyste.

- Ciekaw jestem - rzekł wolno - co jest bardziej osobiste, obraz czy wiersz. Co bardziej odsła-  
nia.

- To proste. Wiersz.

- Dlaczego?

- Bo za obrazem łatwiej się ukryć.

- Tak? Dlaczego?

Uśmiechnęłam się, próbując go ponownie zdobyć szczerością.

- Bo ja się nie znam na malarstwie.

- A ja się nie znam na poezji. Roześmiałam się, ale on nie.

- Dobra - powiedziałam gniewnie - wiem, do czego zmierzasz.

- Do czego?

- Że jesteś dzielniejszy ode mnie. Jesteś bohaterem, a ja tchórzem. Słuchaj, ja się z tobą nie spieram, masz rację.

- Nie o to mi chodzi. Chwileczkę, ja tego nie powiedziałem...

- Więc dobrze, pomyliłam się. Zapomnij o tym, to i tak nie ma znaczenia. Ja nawet nie wiem, o czym rozmawiamy.

W jego westchnieniu była irytacja.

- Mam całkowitą pewność, że nie jestem dzielniejszy od ciebie, Emma.

- Nie znasz mnie.

- To prawda, lecz wiem, że nie jesteś tchórzem.

- Skąd? - Och, jakie to żenujące, dziecinne, niedojrzałe, patetyczne. - Hm, skąd wiesz?

Nie mógł odpowiedzieć. Rozdzierająca uszy syrena policyjnego samochodu, potem karetki pogotowia i drugiego radiowozu uniemożliwiły rozmowę. Mick uśmiechnął się, wzruszył ramionami i obrócił się, żeby zobaczyć, jak przejeżdżają z rykiem za mętnym, zamazanym tłuszczem oknem.

- O Boże, jest za dziesięć trzecia. Spojrzałam na zegar nad frontowymi drzwiami.

- Toco?

Zaczął grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu portfela. Wydawał się oszołomiony.

- Muszę iść po Jaya. Przepraszam, nie wiedziałem, że jest tak późno. Mam dziesięć minut, żeby dojść do Judiciary Square. Ale zdążę. Jak to się stało? Czy już skończyliśmy?

- Chyba tak. - Nie mogłam myśleć, w głowie miałam pustkę. - Ja to załatwię - powiedziałam, odsuwając jego banknoty.

- Nie...

- To na koszt gazety. Mam pieniądze na wydatki.

- No dobrze. Słuchaj, bardzo mi przykro, ale muszę już iść.

- Oczywiście. Idź. Metrem to tylko jeden przystanek.

- Nie. Pobiegnę. - Stał nade mną ze zmarszczonym czołem i uśmiechem na twarzy, przyglądając palcami włosy, pełen udręki i niepewności. - No to na razie. Jeżeli będziesz mi chciała zadać jeszcze jakieś pytania, wiesz, jak się ze mną skontaktować.

- Tak. A tu jest moja wizytówka. Zadzwoń do mnie, jeśli coś ci przyjdzie na myśl.

- To będzie świetny artykuł.

- Dzięki.

- Było mi bardzo miło. - Zrobił nieśmiały gest w stronę zegara.

- Tak, mnie też.
- Powodzenia.
- Dzięki. Będę wypatrywała twoich prac w „Art World”.
- Ha!

W końcu musiałam przestać się uśmiechać. Mick przybrał obojętny wyraz twarzy. Przez jakieś trzy sekundy oboje byliśmy obnażeni. Chciałam coś powiedzieć, ale nie mogłam. On także nie mógł. Już po wszystkim, to już koniec. Halo, żegnaj. Gdybyśmy uścisnęli sobie dłonie...

Ale nie - on tylko wypowiedział moje imię, skłonił głowę, zaciskając usta w grymasie, który robi, gdy coś jest nie po jego myśli. A potem odszedł z mojego życia, nawet mnie nie dotknąwszy.

I bardzo dobrze. Mało brakowało. Mogłam nie przepuścić okazji.

Pojechałam do domu autobusem. Mam samochód, ale lubię poruszać się po mieście autobusem albo metrem, to mi daje czas do myślenia. Jeżeli jestem w dobrym nastroju, przyglądam się pasażerom, rozmyślam o ich życiu, mierzę ich wąską, bezlitosną skalą Kryterium Normalności Emmy. Jeśli zaś jestem w złym nastroju, patrzę tępo przez okno autobusu numer 42, przemieniając każdy budynek, każdego przechodnia, każdy słup telefoniczny w metaforę korupcji, rozkładu i miejskiej nudy. To mnie rozwesela.

Ale dziś nie byłam ani w złym, ani w dobrym nastroju. Byłam speszona. Nie rozumiałam tego. Jestem swoim najlepszym przyjacielem, ufam sobie, prowadzę stały wewnętrzny dialog - głośno, jeśli jestem sama. W ten sposób zaprowadzam ład w swoim życiu. W przeciwnym razie grozi mi chaos.

Dlaczego czuję się spustoszona? Okropne słowo, takie melodramatyczne. Całe popołudnie spędziłam z mężczyzną, rozmawialiśmy szczerze, otwarcie, co mi się wcale tak często nie zdarza, z wyjątkiem Rudy, a rzadko z mężczyznami, których widywałam w ciągu ostatnich pięciu lat. Zwłaszcza na trzeźwo.

Świetnie. Lecz mimo to nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Gdyby Mick pozwolił mi nagrać ten wywiad, mogłabym go teraz odtworzyć i założę się, że drapałabym się w głowę i zastanawiała, co się właściwie zdarzyło. Skąd ten cały zamęt? I ból. Czułam się, jakbym uległa jakiemuś wypadkowi, ale nie mogłam wskazać palcem miejsca, które mnie boli. Cała byłam obolała.

Brak w tym poczuciu proporcji. Zobaczyłam coś, czego pragnęłam i nie mogę tego mieć, to wszystko. Ludzie nazywają to stratą, a reakcją jest smutek. Jestem więc normalna. A jak długo może to trwać? Niedługo - jestem Emma DeWitt, nie Emma Bovary.

O czwartej po południu w moim domu było ciemno jak w nocy. Obeszłam cały dom i pozapalałam lampy, podkręciłam ogrzewanie, zastanawiając się, czy nie powinnam postarać się o kota. Albo ptaka, takiego, który by robił mnóstwo hałasu, gdy wracam do domu. Zrobiłam sobie herbatę - brawo, jeszcze więcej kofeiny - i przewertowałam swoją nudną pocztę. Potem patrzyłam, jak krople deszczu ześlizgują się po szybie długimi, powolnymi, monotonnymi ścieżkami.

Zadzwoił telefon i serce skoczyło mi do gardła.

- Halo?

- Sandra?

- Kto?

- Och, przepr... - klik. Nawzajem.

Był to bardzo wiele mówiący incydent. Kolana ugięły się pode mną. Z łokciami na kontuarze oparłam głowę na dłoniach i nurzałam się w niedoli przez pełną minutę.

Mick nie zamierzał do mnie zadzwonić. W głębi ducha nawet tego nie pragnęłam. A ja nie zamierzałam wymyślać żadnego pozornie ważnego pytania i dzwonić do niego. Stać nas na więcej.

Jest coś pocieszającego w nieodwołalności. Nie cierpię dwuznaczności, chcę mieć wszystko albo nic.

Postanowiłam wziąć kąpiel. Jestem zwolenniczką prysznicza, a najlepsze na smutek jest zanurzenie się w gorącej wodzie. Kąpiel albo miseczka gorącej owsianki z mnóstwem masła - oto dwa najlepsze lekarstwa na depresję. No, może nie najlepsze, ale najzdrowsze. Wezmę ze sobą do wanny telefon i zadzwonię do Rudy. Curtisa pewnie jeszcze nie ma w domu, więc będzie mogła porozmawiać.

Na górze, w moim gabinecie, automatyczna sekretarka błyskała, że jest wiadomość.

- Cześć, Em, tu Lee, jest poniedziałek, godzina druga czterdzieści siedem po południu. Dzwonię, żeby się dowiedzieć, czy mogłabyś przyjść w piątek na kolację.

Świetnie! Rozrywka. Nie widziałam Henry'ego, który mnie wynosi pod niebiosa, od wieków.

- Czy wciąż widzisz się z Bradem, tym inżynierem? (Niestety tak). Przyrowadź go, jeżeli chcesz, albo kogoś innego, kogo tylko zechcesz. Albo przyjdź sama, jeżeli wolisz. Mam nadzieję, że przyjdiesz i że nie zawiadomiłam cię za późno. - Lee schlebia mi, myśląc, że prowadzę bujne życie towarzyskie. - Przyjęcie będzie bardzo nieformalne, takie tam byle co do zjedzenia, przyjdź, w czym chcesz. - Co znaczy, że ja przyjdę w swetrze i leginsach, a ona będzie w sukni za dwieście dolarów.

- Zaproszę też Draców. Wczoraj spotkałam Sally, znasz już Micka, jej męża. Będzie fajnie, jak się wszyscy spotkamy. Sally ci się spodoba, Em, jest bystra. I miła, naprawdę cieszę się, że ją poznałam.

O Jezu Chryste. Boże Wszechmogący.

- No dobrze, zadzwoń do mnie, jak będziesz mogła. Jestem cały wieczór w domu. Albo jutro - zostaw wiadomość, jeśli będziesz się całą noc wałęsać poza domem. Cha, cha! Pa!

Jak powiadam, nie cierpię dwuznaczności. Zeszłam z powrotem na dół, bo przyszedł czas na ciężką artylerię: miskę owsianki i gorącą jak ukrop kąpiel.

## 8.

### Lee

Przyjęcie, które urządziłam, byłoby bardziej udane, gdyby Emma i Mick Draco, mąż Sally, byli dla siebie miłsi. Uważam, że to niegrzecznie przenosić osobiste animozje na grunt towarzyski. Nie zamienili ze sobą ani jednego słowa. Ledwie na siebie spojrzeli. Goście czuli się zbici z tropu ich zachowaniem. Najwyraźniej poniedziałkowy wywiad nie wypadł najlepiej, ale czy to moja wina?

Staralam się załagodzić sytuację i ktoś mniej spostrzegawczy niczego nie zauważył. Na przykład Henry, ale to mężczyzna. Kobiety są lepszymi obserwatorami.

Po kolacji podałam deser (mus jabłkowy z sosem zaprawionym calvadosem) w salonie.

- Od jak dawna jesteście małżeństwem? - spytała uprzejmie Sally, popijając kawę.

- Cztery lata - odparłam. - A ty i Mick?

- Sześć. Sześć? - Spojrzała na męża, który kiwnął głową. - Raju, wcale mi się nie wydaje, że tak długo. Jak się poznaliście? Uwielbiam opowieści o tym, jak szczęśliwe pary się poznały, a ty nie? - Doceniałam jej wysiłki ożywienia konwersacji. Widocznie też zauważyła napięcie pomiędzy Mickiem i Emmą.

Chciałam odpowiedzieć, ale Henry mnie uprzedził.

- Któregoś dnia wracałem z pracy do domu, gdy moja matka zadzwoniła na mój samochodowy telefon. Ugrzęzła w jakiejś robocie w Aleksandrii i chciała, abym przejął od niej ostatnie wezwanie.

- Kim jest twoja matka?

- Hydraulikiem, jak ja. W firmie Patterson i Syn ja jestem tym synem.

- Ach tak? Nie wiedziałam.

- Tak. Poprosiła mnie, abym pojechał do Maryland. U jakiejś pani zatkała się toaleta.

Sally roześmiała się.

- Jakie to romantyczne. Domyślałam się, że to była Lee. Henry kiwnął głową.

- Pojechałem na Chevy Chase i zapukałem do drzwi - tych drzwi - i stało się. Jedno spojrzenie i było po mnie.

- O rany! - powiedziała Emma. - Co miałas na sobie, Lee?

- Nie pamiętam.

- Ja pamiętam. - Henry uśmiechnął się, rzucając mi spojrzenie, które przywołało pewne wspomnienia. - Kostium w krateczkę, z kamizelką i czarną muszką. Męski strój, co mnie śmieszyło, bo nic w niej nie było męskiego. Na nogach miała czerwone pantofle na bardzo wysokich obcasach, ale mimo to sięgała mi do brody. Była miluchna jak cały koszyk kociaków.

Nigdy w życiu nie miałam czerwonych pantofli na wysokich obcasach. Koloru burgunda - tak, i parę wiśniowych lakierków na średnim obcasie, ale nie czerwonych. Nie prostuję, bo Henry opowiada o tym, jakby się wydarzyło wczoraj i niby pamięta każdy szczegół.

Ja ze swej strony pamiętam doskonale, co on miał na sobie tego pierwszego dnia: granatowy uniform i pas z narzędziami. Do tego zdarte buty robocze. Od pierwszej chwili urzekł mnie jego południowy akcent i to ja pierwsza straciłam dla niego głowę. Jego oczy mówiły, że chce mnie zjeść, ale rozmawialiśmy wyłącznie o zepsutej toalecie.

- Po skończonej robocie poczęstowała mnie herbatą i ciastkiem...

- Placuszkiem - skorygowałam.

- Placuszkiem. Siedzieliśmy przy kuchennym stole i rozmawiali półtorej godziny.

- O czym? - Sally wyglądała na zafascynowaną.

Spojrzyliśmy z Henrym na siebie i wzruszyliśmy ramionami.

- Nie potrafię powiedzieć - rzekł - ale nim wyszedłem, zatrudniła mnie do wymiany wszystkich starych rur na nowe, miedziane.

- A potem wszystkie rury centralnego ogrzewania.

- A potem cały system klimatyzacyjny.

- Potem musieliśmy się pobrać - zażartowałam - bo zbankrutowałam.

Sally wstała, żeby nalać wszystkim kawy.

- A ty, Emma? Jak poznałaś się z Bradem? - Uśmiechnęła się zachęcająco, próbując rozbroić Emmę, która skrzywiła się zniechęcająco.

- Och, wiesz - burknęła. - Normalnie, w barze.

- Oho - powiedziała Sally z rozbawieniem. - To brzmi interesująco.

- Nie, doprawdy.

Brad, który siedział obok Emmy na sofie, położył rękę na jej udzie. Emma wyglądała bardzo ładnie, tym razem miała odpowiedni makijaż i włosy zaplecione we francuski warkocz. Ubrała się też starannie - już nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałam ją w spódnicy. Musi lubić Brada, zwykle nie zadaje sobie tyle trudu dla facetów, z którymi się umawia.

- Od razu ją zauważyłem - rzekł Brad. - Udawała niedostępną. Użyłem całego swojego męskiego uroku, żeby ją zdobyć.

- Po prostu stawiałeś mi drinki.

- Ona żartuje - zapewniłam Sally. - Emma bywa zgryźliwa.

- Ja przyszedłem z kolegami z biura, a Emma z przyjaciółką.

- Którą? - przerwałam, zaciekawiona. Nigdy nie słyszałam tej historii.

- Nie znasz jej - odparła Emma. - Koleżanka z redakcji.

- To było u Shannona na L. Street, w tygodniu, w środę wieczorem - ciągnął Brad. - Na kolację było za wcześnie, więc zamiast pójść do domu, postanowiłem zabalować. Mój stolik znajdował się obok jej stolika. Gapiłem się na nią przez cały wieczór, a kiedy wstała, żeby pójść do toalety, wstałem również. Powiedziałem... - nie, lepiej ty to opowiedz.

- Nie, ty - rzekła szybko Emma. Twarz miała bez wyrazu.

- Dobra. „Czy mogę pani opowiedzieć dowcip?” - rzekłem. A ona: „Czemu?”. Na to ja: „Bo ma pani tak wspaniały śmiech, że chcę go usłyszeć”.

- Och, cudownie powiedziane - rzekła Sally. - Czyż nie jest to świetnie powiedziane? - spytała swojego męża, a on odparł, że tak, wspaniale.

- Wtedy zajęło mi godzinę, żeby ją namówić na kolację ze mną - prawda, Em? - Byliśmy oboje już tak znieczuleni, że...

- Widzisz? - przerwała mu Emma, zakładając nogę na nogę, aby musiał zabrać rękę z jej uda. - To wcale nie jest ciekawe.

- ...więc wtedy zajęło mi już tylko dwie godziny, żeby pozwoliła się odprowadzić do domu. A potem...

- Koniec opowieści - warknęła Emma. - Odtąd żyliśmy szczęśliwie.

- Dobrze, dobrze - rzekł Brad ze śmiechem. - Reszta ulega ocenzurowaniu.

Sally zaśmiała się.

- A jak długo jesteście razem?

Emma wzruszyła ramionami.

- Cztery, prawie pięć miesięcy - powiedział Brad. - Tak, poznaliśmy się w wieczór po Czwartym Lipca i kolej podziemna była wciąż zaśmiecona. Pamiętasz, Em?

- Tak - odparła, kręcąc głową przecząco i zaczerwieniła się. Bardzo interesujące. O ile mi wiadomo, Emma nie ma zwyczaju podrywać mężczyzn w barach i zapraszać ich do domu, ale zarazem nie jest kobietą, która by się przejmowała, gdyby ktoś pomyślał, że ona tak robi. Powiedziałaby „Odwal się” i zajęła swoimi sprawami. Ale teraz zaczerwieniła się, chyba jednak ze wstydu. Widocznie ona i Brad spali ze sobą po tym pierwszym spotkaniu.

- A my - rzekła Sally, wsuwając rękę pod ramię Micka - poznaliśmy się, kiedy Mick mnie uratował. Mój rycerz. Odgonił złodzieja, który próbował wyrwać mi torebkę na Mac Pherson Square.

- Jakie to podniecające - rzekłam.

Mick i Sally tworzą bardzo atrakcyjną parę - on wysoki, ciemny, opanowany, ona jasna, malutka, żywe srebro. Naprawdę wyglądają, jakby byli stworzeni dla siebie.

- Zaczekaj, nie wiesz jeszcze wszystkiego - powiedziała, prostując się. - Chciałam mu jakoś podziękować, ale on powiedział, że jest spóźniony i musi iść. Upewnił się tylko, że nic mi się nie



stało i odszedł. Czułam się osierocona! Był taki przystojny w swoim trzyczęściowym garniturze. Miał spodnie na szelkach! A ja przepadam za mężczyznami, którzy noszą szelki.

Roześmiałam się.

- Nigdy bym nie przypuszczała.

- Doprawdy? Emma, lubisz, jak mężczyzna nosi szelki?

- Czasami.

- I kamizelkę - uwielbiam, kiedy zdejmują marynarkę i zostają w samej kamizelce i świeżej koszuli z podwiniętymi rękawami. To takie seksowne.

- Będę o tym pamiętał - rzekł Brad, trącając łokciem Emmę. - Przypomnij mi, żebym częściej zdejmował marynarkę. - Posłała mu jedno ze swoich słynnych poskramiających spojrzeń, ale on tylko się roześmiał.

- No więc to było w czwartek, a w piątek zgadnijcie, na kogo się natknęłam w biurze na przyjęciu bożonarodzeniowym?

- Niemożliwe - zdziwiłam się. - Na Micka?

- Okazało się, że pracujemy w tym samym budynku na Vermont Avenue. Możesz w to uwierzyć? Dla tej samej firmy prawniczej.

- Nie spotkaliśmy się - Mick odchrząknął - bo ona była nowa, a ja ciągle w rozjazdach.

- Co za zbieg okoliczności - rzekł Brad.

- Ja uznałam to za cud - powiedziała Sally, opierając się ponownie o ramię Micka. - Przeznaczenie. Kismet!

- Bardzo romantyczne - powiedziałam.

- Romeo i Julia. - Emma wstała. Wytrzeszczyliśmy na nią oczy, wyglądała na lekko zdziwioną, że utrzymuje się na nogach. - Przepraszam, muszę iść. Zapomniałam, że jutro roboczy dzień.

- Pracujesz w sobotę? - Brad był zdumiony.

- To jest gazeta codzienna.

I wtedy wszyscy zdecydowali, że muszą iść, i wieczór się zakończył o wiele za wcześnie. Kiedy podawałam jej płaszcz, Emma przeprosiła mnie szeptem.

- Bardzo mi przykro, Lee. Zepsułam ci przyjęcie.

- Cóż, wolałabym, żebyś mnie uprzedziła.

- Wiem. Po prostu zapomniałam. Zbyt dobrze się bawiłam. Naprawdę mi przykro, a przyjęcie było wspaniałe, wszystko było doskonale jak zwykle. Jesteś świetną gospodynią.

Odwróciłam się tyłem do pozostałych gości, zajętych ubieraniem się i rozmową.

- Przykro mi, że ci się nie spodobał - wyszeptałam.

- Kto?

- Mick - wymówiłam bezgłośnie.

Emma zamrugała powiekami.

- Co?

- Szs. Zadzwoń do ciebie, porozmawiamy.

- Dobra. - I roześmiała się. Odrzuciła głowę w tył i zanosła się śmiechem. Wszyscy przestali rozmawiać i patrzyli na nią.

- Co jest takie śmieszne? - pragnął wiedzieć Henry.

- Nic - powiedziałam i odwróciłam się, żeby otworzyć drzwi. Pomyślałam: „Cóż, może się pomyliłam”.

Sally zaczęła się żegnać ze wszystkimi, Brad uścisnął dłoń Henry'ego i Micka, Henry przytulił Emmę, Mick przytulił mnie - a Mick i Emma nawet nie spojrzeli na siebie. Chyba bąknęli dobranoc, ale tylko tyle. Wiedziałam, że coś się święci. Rzadko się mylę w tych sprawach.

- Dobra kolacja - rzekł Henry, oglądając swoje zęby w łazienkowym lustrze.

- Tak. - Zrobiłam *thaaazi saag aur narial* (wołowinę ze szpinakiem w sosie curry z kokosem), w przepisie podano, że „na dziesięć osób”, ale my zjedliśmy wszystko w sześcioro.

To jest dla mnie definicja udanej kolacji. Powiedziałam:

- Sally jest bardzo miła, prawda? - Henry chrząknął. - A ty i Mick naprawdę przypadliście sobie do gustu. - Wcale mnie to nie zaskoczyło. Jeszcze nie spotkałam nikogo, kto by nie lubił Henry'ego.

- Tak. Spodobał mi się. Ciekawy facet. Wiesz, co powiedział? Pewnie nic z tego nie wyjdzie, ale zamierza polecić mnie i Jenny szefowi swojego biura. A wiesz, kto jest jego szefem?

- Kto?

- Carney. Gdybyśmy się dostali do któregoś z tych wielkich domów w śródmieściu - tam wciąż coś nawala, to jest kopalnia pieniędzy. Kilka kontraktów na konserwację i bylibyśmy ustawieni. Prawda, że to byłoby coś?

- Prawda.

- Jutro zadzwonię do Jenny, dziś jest już chyba za późno. Pewnie nic z tego nie wyjdzie - powtórzył. - Ale to miło ze strony Micka, że z tym wystąpił. Większości ludzi nie przyszłoby to do głowy.

Henry nazywa swoją matkę Jenny. Kiedyś wydawało mi się to dziwne - nie mogę sobie wyobrazić, abym mówiła do swojej matki Irene. Ale on się wychowywał w latach sześćdziesiątych w żeńskiej wspólnocie w Karolinie Północnej, więc miał mnóstwo matek. Żadnych ojców, za to mnóstwo matek. Zamiast mówić do nich wszystkich „mama”, nazywał je po imieniu, włącznie z własną matką. Myślę, że to nie jest pozbawione sensu.

- Przyjęcie było udane, ale zdawało mi się, że coś wisi w powietrzu - rzekł Henry, odsuwając się na bok, żebym mogła zmyć makijaż nad umywalką. - Pomyślałem, że może Emma nie lubi Sally, albo ona i Brad się pokłócili. Nie mam pojęcia, co ona widzi w tym facecie.

- Bradzie? Myślę, że jest całkiem miły. Nie, Emma lubi bystrych ludzi, a Sally jest taka mądra, nie, to co innego. Ona nie lubi Micka.

- Micka? Tak sądzisz?

- Czy słyszałeś, żeby zamienili ze sobą choć dwa słowa?

- Ha! - powiedział Henry w zamyśleniu.

- Patrzyli na siebie, ale nie rozmawiali. Najwyraźniej ten wywiad, który razem robili dla gazety, nie wypadł dobrze.

- Ha!

Skończyłam myć zęby i ziewnęłam.

- Zmęczona? - Henry przyglądał mi się w lustrze. Byłam zmęczona, ale wzruszyłam ramionami.

- Och - powiedziałam wymijająco. Na wypadek, gdyby miał coś na myśli. Zepsułam nastrój, mówiąc: - Przygotuję przepiórki nadziewane owocami na przyjazd moich rodziców w grudniu. Sądzisz, że to dobry pomysł?

Właśnie masował mi plecy. Zabrał ręce i rzekł:

- Chyba tak. - Wychodząc z łazienki, rzucił przez ramię: - A jeżeli nie, to co?

Skończyłam, co miałam do zrobienia, i wyszłam za nim, poprzedzana przez Lettice. Henry był już w łóżku, światło zgaszone, oczy miał zamknięte, ręce złożone na brzuchu. „O, nie, mój drogi” - pomyślałam. Ułożyłam Lettice na jej posłaniu, a potem usiadłam na łóżku po stronie Henry'ego, więc musiał na mnie spojrzeć.

- Nie chcesz, żeby przyjeżdżali? To tylko dwie noce.

- Ależ chcę. Przecież to twoi rodzice.

- Na pewno chcesz?

- Oczywiście. Ale to nie dwie noce, kochanie, tylko cztery.

- Owszem, ale w tym dwie noce w podróży. - Moi rodzice zamierzali się u nas zatrzymać w swojej corocznej podróży na Florydę.

- Rzeczywiście.

Poczuł taką ulgę, że aż się roześmiał. Skręcałam palcami końce jego wąsów i podkręcałam w górę. Uśmiechnął się i znowu zamknął oczy. Mój mąż wygląda jak starzejący się hipis, ale mnie się podoba. Włosy ma w dzień spięte w schludny, starannie utrzymany koński ogon, na noc je rozpuszcza i leżą rozrzucone na poduszce jak lśniąca ciemnoczerwona flaga, bujne i przepyszne. Nie mogę utrzymać rąk z dala od nich.

- Nie będzie tak źle - powiedziałam. - Oni cię lubią.

- Yhm.

- Naprawdę cię lubią.

- Lee, daj spokój. Wyszłaś za goja robociarza. Rudego goja robociarza. Z punktu widzenia twoich rodziców mogłabyś postąpić gorzej, gdybyś poślubiła Araba.

- Człowieku, co ty wiesz! - Wstałam i przeszłam na swoją stronę łóżka, wyrywając prześcierało spod Henry'ego, żeby się przykryć. - Ty ożeniłeś się z heteroseksualistką, ale twoja matka wcale mnie nie nienawidzi.

Celny strzał. Punkt dla Lee.

Henry zaczął się śmiać. Ja nie widziałam w tym nic śmiesznego, więc tylko leżałam. Kiedy zobaczył, że nie jestem rozbawiona, ułożył się znowu na plecach, splótł dłonie na czole i zapatrzył się w sufit.

Mówię to z przykrością, ale moja rodzina onieśmiela Henry'ego.

Oni go szczerze lubią, ale on tego nie dostrzega. Nie może się z tym pogodzić, że mój ojciec jest fizykiem, matka ekonomistką, jeden brat psychologiem, a drugi kardiologiem. On zaś jest hydraulikiem, nieślubnym dzieckiem, pochodzi z Południa i prowadzi firmę z matką. To prawda, że ja mam więcej pieniędzy, ale nie dlatego, że je zarobiłam. Moja specjalność to wczesny rozwój dziecięcy, zawód sfeminizowany, czyli żaden status i niewielkie pieniądze. Powodzi mi się nieźle, bo matka mi mówi, w co mam inwestować i rzadko się myli. Z przykrością stwierdzam, że to jeszcze jeden bolesny punkt w stosunkach między mną a Henrym. On mnie nie potępia, wini raczej samego siebie, staje się coraz bardziej milczący i popada w ponury nastrój. Nasze kłopoty z poczęciem dziecka też nie są pomocne, wierzcie mi.

Bokiem stopy dotknęłam jego kostki, a potem trzymałam nogę nieruchomo, udając, że stało się to przypadkiem. Co wieczór Henry wkłada czyste spodenki i świeżą koszulkę. Lubię zapach zmiękczacza tkanin, świeży zapach pasty do podłóg i suszarki. One mnie zawsze wprawiają w odpowiedni nastrój.

Seks stał się u nas sprawą skomplikowaną. Sprowadza się do wykresów temperatury i terminów płodności. Wiąże się z wczesnym wstawaniem, żeby nasikać do kubka i włożyć test ciążowy. Wiem wszystko o luteinizującym hormonie moczowym. Mam w łazience trzy zestawy do przewidywania owulacji. Dziękowaliśmy Bogu, kiedy okazało się, że Henry ma żyłaka powrózka nasiennego. Podnosi to temperaturę jąder i jest najpospolitszą przyczyną męskiej niepłodności. Poddał się małemu zabiegowi i zaczęliśmy od nowa. Nic. Wróciliśmy więc do termometrów, okresów płodności i małych różowych patyczków. Kiedy po włożeniu do moczu robią się niebieskie, musisz się kochać, czy tego chcesz, czy nie.

Poruszyłam stopą, głaszcząc Henry'ego po łydce. Od strony hormonalnej był to dla mnie dobry moment. On o tym wiedział - mówiłam mu rano. Gdybym teraz wystąpiła z jakąś sugestią, pomyślałby, że to ze względu na właściwą porę. I miałby rację, ale tylko częściowo.

O, Boże, co to będzie? Czasami Henry nie może. Nieczęsto - zdarzyło się ze dwa razy, i to z powodu stresu. Za drugim razem powiedział:

- Nigdy w życiu nie byłem impotentem! A ja odrzekłam:

- Cóż, ja też jestem impotentką, tylko że u mnie tego nie widać. - To pomogło i od tego czasu już się nie zdarzyło.

Ach, jak ja pragnę dziecka! Utknęłam w martwym punkcie, moje życie stanęło w miejscu, nie mogę pójść naprzód, póki nie rozwiążę tego problemu. Wiem, że to niesprawiedliwe, zwłaszcza wobec Henry'ego, ale nie wiem, co robić, żeby się wyrwać z tego błędnego koła.

Westchnęłam i zgasiałam światło. Zawsze całujemy się przed snem. Czasem to do czegoś prowadzi, ale zwykle jest to tylko słodki pocałunek na dobranoc. Odszukaliśmy się w ciemnościach i po omacku znaleźli swoje usta.

- Dobranoc.

- Dobranoc.

Zaczęłam się przetaczać na swoją stronę, lecz Henry przyciągnął mnie do siebie i wciągnął na swoją pierś. Ma bardzo wypukłą pierś. Niewygodnie na niej spać - próbowałam, zupełnie jak na za wysokiej poduszce. Powiedziałam:

- Kochanie...

Lecz on objął mnie i wciągnął na siebie. Tak było lepiej. Wyciągnęłam się i ułożyłam wygodnie.

- Co sobie pomyślałeś?

Wsunął swoje wielkie dłonie w moje spodnie od pizamy.

- Pomyślałem, że może zechcesz mnie zgwałcić.

Ziewnęłam.

- Mogłabym, ale jestem zmęczona.

Spróbował dostrzec moją twarz w ciemnościach. Nie jestem kimś, kogo by można nazwać żartownisią - nie wiedział, czy się z nim drażnię, czy nie.

- Naprawdę?

- Nie, nie naprawdę. - Objęłam go za szyję.

Więc kochaliśmy się. I było dobrze, zawsze jest dobrze, ale w krytycznej chwili nie miałam orgazmu. Nie sądzę, aby Henry o tym wiedział. Chciałam, ale byłam za bardzo roztargniona. Myślałam o jednym: „Tym razem zadziała. Tym razem na pewno”.

## 9.

### *Isabel*

Wczoraj wieczorem Kirby mnie pocałował. Nie zdziwiłabym się bardziej, gdyby wyciągnął pistolet i mnie zastrzelił. Myślałam, że jest gejem. Teraz widzę, że moje przypuszczenie było oparte na bardzo kruchych podstawach. Nie widziałam, żeby się umawiał z jakąś dziewczyną, on też nie mówił o kobietach, z którymi się umawiał - to po pierwsze. A po drugie, jest aktorem. Jestem głęboko zażenowana. Szczerze mówiąc, nie znoszę myślowych stereotypów.

Wracaliśmy do domu z przedstawienia w podziemiach kościoła na Siedemnastej Ulicy. Wystawiano tam sztukę miejscowego dramaturga, w której Kirby grał niemego operatora szlabanu przy wjeździe na autostradę. Nie zrozumiałam ani słowa z tej sztuki, więc próbował mi nieśmiało i taktownie wyjaśnić jej przesłanie. Właśnie zaczął padać śnieg, pierwszy w tym sezonie. Zatrzymaliśmy się, żeby popatrzeć, jak grube, mokre płatki wirują w aureoli lampy ulicznej. Nigdy przedtem nie dotykaliśmy się, nawet nie trzymali za ręce. Mimo to wydało mi się całkiem naturalne, że oparłam głowę na jego ramieniu i rzekłam:

- Prawda, jakie to śliczne? - Zupełnie jakbyśmy grali w filmie, bo spojrzał mi w oczy i powtórzył jak echo:

- Śliczne. - I dotknął mojej twarzy koniuszkami palców w rękawiczce.

Pocałował mnie w policzek. Poczułam się nagle skonfundowana i onieśmielona, nie znajdując wytłumaczenia dla tego żenującego obrotu sprawy. Pomyślałam: „Przecież jesteś gejem!”. A wtedy on pocałował mnie w usta i już wiedziałam, że nie jest. To było jak odkrycie, że ktoś, kogo zdawało się znasz, był cały czas w przebraniu transwestyty, albo że twoja przyjaciółka jest w rzeczywistości mężczyzną.

Uśmiechnął się do mnie. Nie potrafiłam odpowiedzieć mu tym samym, nie mogłam nawet mówić. Zupełnie oniemiałam. Stopniowo moje milczenie zaczęło go krępować.

- Przepraszam - powiedział. - Isabel, bardzo cię przepraszam.

- W porządku - odparłam machinalnie.

Ruszyliśmy dalej. Wrócił do wyjaśniania mi sztuki, ale oczywiście teraz wypadło to niezręcznie. Nie mogłam nic zrobić, żeby załagodzić sytuację.

Mieszkamy w tym samym domu w hałaśliwym sercu Adams-Morgan. On na drugim piętrze, dokładnie nade mną. Jest cichym sąsiadem, ale ściany i podłogi są takie cienkie, że słyszę każde jego poruszenie. Wiem na przykład, w którym jest pokoju. Przypuszczam, że on słyszy mnie równie dobrze. Nasza znajomość zaczęła się od tego, że zadzwonił, abym z łaski swojej nastawiła trochę głośniejszą ma-

gnetofon, bo chce wysłuchać *Appassionaty* bez wyężdżania słuchu. Jego głęboki, kulturalny głos mnie zaintrygował, mimo że początkowo podejrzewałam go o sarkazm.

Kiedy spotkaliśmy się twarzą w twarz, jego wygląd ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył, że jest homoseksualistą. Wysoki, chudy jak patyk, niemal całkowicie łysy. Napięcie widoczne w jego spojrzeniu łagodzi ciepły brązowy kolor oczu. Nos ostry i spiczasty, ale usta miękkie, jak się przekonałam. Wygląda na niedożywionego, ale w rzeczywistości jest dosyć silny - wiem, bo przestawiał u mnie meble i naprawiał drobne usterki. Przyciągnęła nas do siebie wspólna pasja muzyczna i bardzo zbliżyła. Uwielbiamy chodzić razem na koncerty. Dziwne, że nie spotkaliśmy się wcześniej, bo od lat kupujemy najtańszy abonament i siadamy na tych samych miejscach w sali koncertowej.

W ubiegły wieczór, po naszym niefortunnym powrocie do domu w padającym śniegu, Kirby odprowadził mnie pod drzwi, tak jak to zawsze czynił, i powiedział mi dobranoc. Ale tym razem oczywiście było inaczej.

- Może wejdiesz? - zapytałam.

- Nie, pójdę na górę. Dziękuję. Jest późno.

Nie mogłam pozwolić mu odejść. Musiałam coś powiedzieć. Udawanie, że nic się nie stało, byłoby dla niego obraźliwe, a z mojej strony tchórzostwem. Jeśli jego pocałunek był jedynie impulsem, gestem przyjaźni? Nie, dla niego był czymś więcej, byłam tego pewna.

- Moje życie zmienia się, Kirby, ja sama się zmieniam, ostatnio tak szybko, że ledwie mogę dotrzymać sobie kroku. Jestem tym całkowicie zaabsorbowana. To jest po prostu niedobry czas na wiązanie się z drugą osobą. Cenię naszą przyjaźń, nie chcę niczego zmieniać. Tak bardzo cię lubię. Proszę, zrozum.

Mówiłam jeszcze więcej, ale nie pamiętam co. Wysłuchał mojej przemowy w napięciu, cały pochylony ku mnie. Jest rzeczywiście najcudowniejszym słuchaczem.

W końcu umilkłam, zakłopotana, niezadowolona z siebie. Czułam, że coś traciłam.

- Isabel - powiedział cichym, opanowanym głosem - nie chciałem cię zdenerwować. Nie wiedziałem, że to cię tak bardzo zaskoczy. Już dawno pragnąłem cię pocałować.

- Nie miałam o tym pojęcia - powiedziałam, czerwieniąc się.

Zmarszczył brwi, jakby go to zdumiało. Nie powiem mu przecież, że w moim przekonaniu jeszcze do wczoraj był gejem.

Włożył rękę do kieszeni marynarki i patrzył na swoje stopy.

- Proszę cię, zastanów się jeszcze. Zaczekaj z decyzją, aż minie zaskoczenie. A wtedy... - Zrobił niedbały, pełen nadziei gest, rzucając mi ukradkowe spojrzenie spod rzęs.

- Zapewniam cię, że dziś o niczym innym nie będę myślała.

- To tak jak ja.

Pocziwy Kirby. Skłonił się lekko, mruknął dobranoc i poszedł. Wie, kiedy odejść. Czuje to podskórnice. Pod tym względem jest przeciwieństwem Gary'ego.

Dotrzymałam słowa i myślałam o nim długo. Chyba przyszedł już czas, żebym sobie kogoś znalazła. Rozwiodłam się z Garym przed czterema laty i od Richarda Smitha nie miałam nikogo. „Dick”, jak mówi Emma, nie pozostawił po sobie dobrego wspomnienia. W jakieś półtora roku po rozwodzie, trzy miesiące od nawiązania romansu z Richardem - był instruktorem na moim kursie magisterskim - wymacałam sobie guzek na piersi. Właściwie Richard go znalazł, obmacując mi pierś w kinie.

- Co to jest? - szepnął w samym środku wzruszającej sceny w „Rozsądku i uczuciu”.

W jednej chwili wiedziałam wszystko, co się stanie, aż do mojej śmierci włącznie. Na szczęście w połowie się myliłam, ale Dickowi dość było tej połowy. Pozostał przy mnie do operacji, ale po operacji „nie widział dla nas przyszłości”. Nie byłam zła - gniew pozostawiłam Emmie. Co ja bym bez niej zrobiła?

Richard odszedł ponad dwa lata temu, od tamtej pory nie miałam nikogo. Nie odczuwałam braku mężczyzny, wystarczają mi rozkosze mego samotnego życia. Kocham swoje zagracone mieszkanie. Pomalowałam ściany na kolor brzoskwiniowy, biały i morskiej zieleni, zerwałam stare wykładziny dywanowe, odsłaniając zniszczoną drewnianą podłogę. W moim domu w Chevy Chase było za dużo mebli, pozwoliłam Gary'emu zabrać prawie wszystkie. Wzięłam tylko półki na książki, fotel bujany, starą kanapę, kilka sfatygowanych lamp stojących i wielkie poduchy, żeby moi przyjaciele mieli na czym siedzieć, gdy przyjdą mnie odwiedzić. Mam dosyć talerzy i sreber, żeby podać obiad ośmiu osobom - i tyle mi wystarczy. Mam wrzaskliwych sąsiadów, cichych sąsiadów, ekscentrycznych sąsiadów. Moja gospodyni, pani Skazafava, prawie nie mówi po angielsku. Lee twierdzi, że żyję jak hippis i być może tak jest - przegapiłam ten ruch, kiedy byłam młoda. Ramakriszna powiada, że w naszym życiu zachodzą rozmaite cykle w nieokreślonym porządku. Ja się poruszam w kręgu, który moim współczesni przeżyli trzydzieści lat temu. Nieważne, liczy się sam ruch.

Było popołudnie, siedziałam sobie przy biurku i marzyłam, głaszcząc Grację i wyglądając przez okno, zamiast przygotowywać się do egzaminu z tematu rodzin zagrożonych, kiedy usłyszałam, że na górze drzwi do mieszkania Kirby'ego otwierają się i zamykają. Zawsze to słyszę i w ten sposób nieświadomie, niechcący, kontroluję go. Wkrótce usłyszałam kroki w holu i pukanie.

Grace przestała szczeakać, gdy tylko otworzyłam drzwi. Kirby miał na sobie swój uniform: sztruksowe spodnie i rozciągnięty sweter.

- Zobacz, co kupiłem - rzekł i pokazał ciągle jeszcze zapakowaną płytę kompaktową. Był to Beethoven, trzeci *Koncert fortepianowy c-moll*. - Chciałabyś posłuchać?

Zaparzyłam więc herbatę, usiedliśmy i słuchaliśmy, jak za dawnych czasów, ale pozornie. Gdy muzyka umilkła, nie chciałam rozmawiać o byle czym i zapytałam wprost:



- Byłeś kiedyś żonaty?

- Tak.

- Doprawdy? - Zamaskowałam zaskoczenie, bawiąc się siteczkiem do herbaty. - Nigdy o tym nie wspominałeś.

- Byłem żonaty dziewiętnaście lat. Miałem syna i córkę. - Zamieszał cukier w filiżance i sączył herbatę. - Zginęli przed jedenastu laty. Wszyscy troje, w wypadku na Beltway. Julie miała dwanaście lat, Tyler osiem.

- Tak mi przykro. - Słowa zabrzmiały żałośnie banalnie, ale cóż można powiedzieć.

- Dziękuję - rzekł Kirby, jakby naprawdę był mi wdzięczny. - Jedenaście lat - powtórzył w zamyśleniu. - Kawał czasu. Początkowo samotność mi odpowiadała. Teraz już nie. - Spojrzał na mnie wyczekująco znad filiżanki.

Wstałam, podeszłam do magnetofonu, wyjęłam płytę i włożyłam z powrotem do pudełka. Pochyliłam się i przesunęłam palcem po tytułach moich płyt na półce, szukając czegoś odpowiedniego do tego, co zamierzałam mu teraz powiedzieć. Nie mogłam nic znaleźć.

- Kirby... - oparłam się o parapet okna. - Wiesz o moim raku piersi. - Wiedział - powiedziałam mu już przed miesiącem. Nie robię z tego tajemnicy, ale też nie chodzę i nie rozpowiadam wszystkim. Ale jemu powiedziałam, nie wdając się w szczegóły. - Sądziłam, że... może myślałeś, że usunięto mi tylko guz albo że może mam zrekonstruowaną pierś, ale ja tam po prostu nie mam nic. Spójrz. - Wskazałam. - To tylko proteza.

Poza lekarzami specjalistami nikt nigdy nie widział mojej nagiej, asymetrycznej klatki piersiowej. Pogodziłam się z myślą, że nikt jej nigdy nie zobaczy. Przestałam więc wyobrazać sobie tę niezręczność sytuacji z ewentualnym kochankiem.

Kirby rozplątał swoje długie nogi, podniósł się z podłogi i stanął przede mną. Jego wąska twarz wydawała się surowa i lekko zniecierpliwiona.

- To dla mnie nie ma najmniejszego znaczenia. Guzik mnie to obchodzi. Nic a nic.

- No, no - powiedziałam. Wierzyłam mu.

- Isabel, jestem w tobie zakochany.

Odsunęłam się od niego, wstrząśnięta. W to już nie wierzyłam. Nie byłam zainteresowana zakochaniem się w kimkolwiek. Robiłam to kiedyś. Teraz jestem za stara, zbyt samolubna. Chcę się skoncentrować na sobie, nie na kimś, kto się zakochuje we mnie.

- Och, Kirby, wolałabym, żebyś tego nie powiedział.

Odwrócił się i z ogromną ulgą zobaczyłam, że nie jest przygnębiony, zły albo zażenowany. Wyglądał na zamyślonego. Uśmiechnął się.

- Więc i ja żałuję, że to powiedziałem. - Wyjął coś z kieszeni i podszedł do mnie z wyciągniętą dłonią. Pierścioneł - cofnęłam się w przerażeniu. - Przyniosłem kilka uszczerek do wypróbowania - rzekł łagodnie.

- Ty... Co?

- Kran w twojej kuchni. Wciąż cieknie, prawda? Kiwnęłam głupio głową.

- Zobaczą, czy da się go naprawić. - Wyszedł do kuchni.

Osunęłam się na podłogę tam, gdzie stałam. Gracja dźwignęła się ze swojego miejsca przy kaloryferze, przyczłapała do mnie i padła obok. Gracja lubi Kirby'ego, myślałam, głaszcząc jej miękkie, szare pyski. Poza tym nie było w mojej głowie żadnej spójnej myśli.

We wtorek czeka mnie ostatnie cosześciomiesięczne badanie. Odtąd, zakładając, że wszystko będzie dobrze, będę musiała odwiedzać mojego chirurga onkologa raz na rok. Jeszcze jeden kamień milowy w chorobie raka piersi. Głaszcząc Grację i patrząc w przestrzeń, podjęłam decyzję. Jeżeli wszystko będzie w porządku, bez przerzutów, bez guzków i prześwietlenia niczego nie wykażą - a byłam pewna, że tak będzie - wtedy się zastanowię, czy chcę się związać z Kirbym. Po prostu się zastanowię. Bez ustalania terminów, zakładania czegokolwiek. Po prostu pomyślę o tym.

Tymczasem miło było siedzieć sobie z Gracją i słuchać stukotu, łomotu i grzechotania narzędzi w kuchni. Męskie dźwięki. Kojące. One sprawiały, że po raz pierwszy od dawna poczułam się kobietą.

# 10.

## *Rudy*

Curtis uważa, że nie muszę podejmować prawdziwej pracy, bo on zarabia dostatecznie dużo. Mówi, że praca wolontariuszki (z wyłączeniem Gorącej Linii Pomocy) daje mi zadowolenie, a każdy rodzaj płatnej, pełnoetatowej pracy zawodowej przyprawiłby mnie o szaleństwo, nie uporałabym się z towarzyszącym mu stresem.

Nie wiem. Nie jestem pewna. Może on ma rację.

Patrzę na Lee, doktora filozofii, dyrektora federalnego ośrodka opieki. Ona zawsze wiedziała, czego chce, krok po kroku zmierzała do celu. Ja nie jestem taka konsekwentna. Isabel wróciła na studia, mając pięćdziesiąt lat, i metodycznie pracuje nad uzyskaniem stopnia, który ją zaprowadzi dokładnie tam, gdzie chce się znaleźć. Skąd one wiedzą, czego chcą? Nawet Emma to wie, chociaż pilnie dba, żeby nikt nie poznał jej sekretu.

Boi się tak samo jak ja. Jej lęk jednak wypływa z dumy i niechęci zrobienia z siebie głupca. Mój zaś pochodzi ze zrozumienia własnej niekompetencji.

Próbowałam jej to wytłumaczyć wczoraj wieczorem, gdy wracałyśmy z kina. Curtis jest jedynym człowiekiem, który mnie naprawdę rozumie. Omal się nie pokłóciłyśmy. Zatrzymałam samochód przed domem Emmy, żałując, że nie poszłyśmy na drinka zamiast na lody po kinie, bo wtedy może znalazłabym lepsze argumenty.

Patrzyła na mnie z furją, trzymając jedną rękę na klamce drzwi, a drugą gasząc papierosa w popielniczce. Kiedy jest zła pogoda, nosi czarny wełniany beret ściągnięty nisko na czoło, niemal do brwi, a jej zwariowane rude włosy tworzą ognistą aureolę wokół twarzy.

- Rudy, jesteś artystką. Marnujesz swój talent. Utknęłaś w miejscu i nie mam pojęcia, co cię powstrzymuje.

Tchórzostwo. Kompleksy. Inercja. Mogłam się obronić, ale nie chciało mi się walczyć z Emmą. Zraniłabym jej uczucia, mówiąc o własnych lękach, i dotknęłabym drażliwego punktu w jej sercu.

- Robię różne rzeczy. Może pošlę zdjęcie na konkurs fotograficzny w Corcoran. W przyszłym roku mogłabym objąć klasę garncarstwa we Free School.

- Klasę garncarstwa? Ależ ty już nie lepisz garnków.

Jeszcze jeden bolesny temat. Emma winiła Curtisa, że sprzedałam swoje koło garncarskie. Trzymałam je w suterenie i to prawda, że zaczęło zawadzać, gdy wstawił tam swoje przyrządy do ćwiczeń. Wcale nie dlatego zarzuciłam garncarstwo. Zabierało mnóstwo czasu i Curtis powiedział, a ja

się z nim zgodziłam, że skoro nie zamierzam zająć się ceramiką zawodowo, to po co zawracać sobie głowę.

- Sama nie lepię - powiedziałam nasrożona - ale mogę uczyć początkujących. Wracając do tematu - pracuję nad pewnymi rzeczami, tylko nie zawsze ci o tym mówię.

- Tak, tak, wiem. - Zaczęła się wycofywać, wiedziała, że zraniła moje uczucia swoją bezceremonialnością. - Przepraszam, jeśli napadłam na ciebie jak twoja matka. Nie, nie twoja matka. Jakaś normalna matka.

Zaśmiałam się, żeby ją rozśmieszyć, i już znowu było między nami dobrze. Lecz kiedy zaprosiła mnie do siebie na herbatę, odmówiłam. Emma była w złym nastroju i bałam się, że znowu zacznie mi wiercić dziurę w brzuchu.

- Dobranoc - powiedziała i klepnęła mnie leciutko po ramieniu. Ona nie lubi pożegnalnych uścisków. Zaczekałam, aż dobiegnie przez deszcz do domu. Zapaliła i zgasiła kilka razy lampę oświetlającą ganek - nasz znak, że jesteśmy bezpieczne, że w krzakach nie ukrywa się żaden gwałcieł. Zatrąbiłam i odjechałam.

Kiedy wracałam wzdłuż Rock Creek do domu, deszcz przeszedł w deszcz ze śniegiem. Byłam rada, że nie zakończyłyśmy wieczoru kilkoma drinkami. Dzięki Bogu, jestem trzeźwa, myślałam, krążąc w poszukiwaniu miejsca do zaparkowania. Wszystkie okna na dole były oświetlone, a więc Curtis wrócił z Atlanty dzień wcześniej. Powinam była siedzieć w domu. On nie cierpi wracać, gdy jest pusto.

Przypominałam sobie, jak Eryk radzi walczyć z bezsensownym poczuciem winy - trzeba zadać sobie pytanie, co złego się uczyniło. Odpowiedź niemal zawsze brzmi: nic. Cóż, może, ale ja nigdy nie czuję się niewinna. Wciąż towarzyszy mi poczucie, zwłaszcza wobec Curtisa, że mogłam zrobić więcej, lepiej, inaczej.

- Curtis?

Nie było go na dole. Poszłam na górę, zdejmując po drodze płaszcz. Curtisa nie było w sypialni ani w łazience. Usłyszałam jakiś odgłos w jego zaciemnionym gabinecie. Weszłam, nie odwrócił się, siedział oklapnięty na fotelu przy biurku i patrzył na czarny ekran komputera.

- Curtis?

Miał wciąż na sobie garnitur. Dotknęłam jego ramienia. Gdy się nie poruszył, przesunęłam dłońmi po jego karku. Pod palcami wyczułam napięte mięśnie.

- Co tu robisz, dziecinko? Sam i zupełnie po ciemku.

Jego włosy tworzą z tyłu idealne półkole. On tego nie cierpi, każe fryzjerowi na Capitol Hill, gdzie się strzyże, usuwać je co dwa tygodnie, ale bezskutecznie. Lubiłam się nimi bawić, ale teraz już mi nie pozwala. To go irytuje.

- Gdzie się podziewałaś? - zapytał swoim powolnym tonem.

- Myślałam, że wrócisz dopiero jutro.

Czekał na właściwą odpowiedź.

- Byłam w kinie.

- Sama?

- Nie, z Emmą. Chciała koniecznie zobaczyć ten francuski film, historię miłosną, już zapomniałam tytuł. Jej się podobała, a według mnie była głupia. - To nie była całkowita prawda. - Film był z napisami, ledwie je widziałam - dodałam, żeby dać mu do zrozumienia, że nie za dobrze się bawiłam.

Wsunęłam palce pod kołnierz jego marynarki i zaczęłam delikatnie, wolno masować mu barki. Czułam zapach wody kolońskiej, wciąż świeży po długim dniu pracy, i pizmowy zapach pomady do włosów. Jego głowa wolniutko opadała, czułam, że zaczyna się odprężyć.

- Jak było w Atlancie? - zapytałam.

Błąd. Nie powinnam była go o to pytać, jeszcze nie teraz. Wszystkie mięśnie mu się napięły.

- Klęska.

Cokolwiek się stało w Atlancie, nie miało nic wspólnego ze mną, a mimo to czułam się za to odpowiedzialna.

- Co się stało? - zapytałam.

- Morris.

- Och, nie. - Prychnęłam pogardliwie. Frank Morris jest wrogiem Curtisa. Ma znacznie krótszy staż, ale dybie na posadę Curtisa i przy każdej okazji przedstawia go w złym świetle przed kongresmanem. - Co zrobił?

Żadnej odpowiedzi.

- Co Morris zrobił? - powtórzyłam.

- A czy to cię obchodzi?

Czułam, jak przenika mnie gęsta, dusząca mgła winy.

- Wiesz, że mnie obchodzi. - Co ja takiego zrobiłam? Curtis wiedział co, ale nie śmiałam go zapytać.

Minęła długa chwila, nim zdałam sobie sprawę, że nie zamierza mi powiedzieć. To była jego najgorsza kara dla mnie - milczenie.

Objęłam go i przytuliłam.

- Och, dziecino - szepnęłam. Gdybym mogła go po prostu rozgrzać, zmiękczyć.

- Curtis, to jest...

Wstał. Ręce mi opadły, gdy odstępowałam w tył. Bez jednego spojrzenia wyminął mnie i wyszedł z pokoju.

To część rytuału, ale Curtis wcale nie odgradza się ode mnie. Potrzebuje mnie tak samo, jak ja jego. Różnica polega na tym, że on jest silniejszy. Ja bym zginęła bez niego. Eryk mówi, że nie, ale ja wiem swoje.

Później przyniosłam Curtisowi kieliszek koniaku do łóżka.

- Nie chcę - powiedział.

Sączyłam koniak i patrzyłam na niego. Miałam na sobie koszulę nocną, którą najbardziej lubi, czarną i głęboko wyciętą, z miękkiego aksamitu.

- Zmęczony?

Wzruszył ramionami. Skrzywił się.

- Za dużo pracujesz. - Odstawiłam kieliszek. Pozwolił sobie zabrać pismo, które czytał. Kosmyk włosów opadł mu na czoło, sprawiając, że wyglądał młodo i chłopięco. Przypomniały mi się czasy w Durham, gdy zamieszkaliśmy razem. Najszczęśliwszy, najbezpieczniejszy okres w moim życiu. On mnie wtedy naprawdę kochał.

- Morris to idiota - powiedziałam. - Nie znoszę go. - Curtis chrząknął. - I strasznie szybko łyś sieje. - Parsknął śmiechem i wziął mnie za rękę. Zrozumiałam, że mi przebaczył.

- Odchodzę stamtąd - rzekł, pociągając czarną wstążkę u mojej koszuli nocnej. - Przechodzę do Teetera i Jacka.

- Co takiego? - Szarpał wstążki, musiałam przytrzymać go za rękę, żeby przestał. - Chcesz powiedzieć, że rzucasz tę pracę?

- Tak, dziś się zdecydowałem.

- Ale...

- To skurwiele, Rudy. Dłużej tam nie wytrzymam.

- Tak, tak, dawno powinienes stamtąd odejść.

A to niespodzianka! Ledwie mogłam myśleć. W biurze kongresmana Wingerta pracowali sami hipokryci, podstępni i bezwzględni. Gotowi wbić człowiekowi nóż w plecy. Teeter Reese i Jack Birmingham byli kolegami Curtisa ze studiów. Założyli firmę lobbistyczną i podobno zarabiali mnóstwo pieniędzy. Curtis nie znosił podporządkowania. Chciał być współnikiem, swoim własnym szefem, a nie czyjś podwładnym, wtedy by rozkwitł.

- Wingert może się ode mnie odpierdolić - rzekł z błyszczącymi oczyma, błyskając białymi zębami. - Może pierdolić Morrisa. Mogą się razem pierdolić. - Jego wulgarność wstrząsnęła mną - rzadko używa takich słów. Przyciągnął mnie do siebie. Pozwoliłam mu na brutalne pieszczoty. Potrzebowałam tego ze względu na swój dziwny nastrój. Przestał, kiedy zdał sobie sprawę, że nie reaguję tak, jak by tego chciał, nie jestem gotowa. Jego dłonie złagodniały, stały się czułe.

Czułość - ona przełamuje moje opory. Curtis dobrze mnie zna. Wie, że może ze mną zrobić co zechce, jeśli jest czuły. Otarł palcami łyzy z mojej twarzy.

- Już dobrze, Rudy, już dobrze - zamruczał i kolanami rozsunął moje nogi. Chciałam, żeby wypełnił, zajął sobą całe puste miejsce wewnątrz mnie. Wypełnił je. Och, potrafi mnie rozpalić. Dyszałam, nazywałam go dzieciną, jęczałam z wielkiego pożądania. Zatopił twarz w moich włosach i zniechęcił się.

- O Chryste!

Ja też zniechęciłam się, przerażona odrazą w jego tonie.

- Co się stało?

Skrzywił usta, ciągle wilgotne od całowania mnie.

- Co się stało? Powiem ci. Śmierdzisz jak cholerna popielniczka. - Odsunął się ode mnie.

- Przepraszam. - Poczulałam lodowate igiełki na całym ciele, przenikał mnie chłód. - Bardzo mi przykro. Wiesz, że nie palę, ale Emma poczęstowała mnie i zapaliłam jednego w samochodzie. Przepraszam. - Zmusiłam się do zamknięcia. I tak nie szło o palenie. - Nie cierpię, kiedy to robisz - szepnęłam za jego plecami. Dotknęłam jego biodra, ale on szarpnął gniewnie kołdrę, więc szybko cofnęłam rękę. - Curtis, proszę.

Nie odpowiadał i nie odpowiedziałby, choćbym błagała go na kolanach. Łatwo mi nienawidzić siebie, trudniej nienawidzić jego. Ale czasem udaje mu się nawet to.

Wstałam i wzięłam dwie tabletki na ból głowy i dwie na znieczulenie psychiki. Czarny, głęboki sen jest jedynym lekiem na ten szczególny rodzaj bólu. Szkoda, że nie osiągam tego w sposób naturalny.

Nazajutrz zadzwoniła moja matka. Nie rozmawiałam z nią ze trzy miesiące. Dostyc długo, ale u nas to nic niezwykłego. Miała okropny głos. Zamknęłam oczy i pomyślałam: „Cholera, znowu jest pijana”.

- Rudele? Och, jak dobrze słyszeć twój głos. Jak się czujesz, kochanie?

- Dobrze, mam. Stało się coś?

- August jest w szpitalu.

- Och, nie. Co mu jest? Mam? - Usłyszałam jakiś ostry hałas w słuchawce. - Jesteś tam?

- Upuściłam ją. - Zaczęła płakać.

Wyniosłam telefon z sypialni. Położyłam się na podłodze w korytarzu, zwinęłam w kłębek na włochatym fiołkoworóżowym dywanie.

- Proszę cię, nie płacz, mam, nie płacz. Co się stało Augustowi? - Mój ojczym skończył we wrześniu osiemdziesiąt lat. Jest o szesnaście lat starszy od mojej matki.

- Serce. Wczoraj późnym wieczorem. Zadzwoniłam do Allena, ale on nie może przyjść. Och, Rudele, gdybyś choć ty przyjechała.

- Mam...

- Jestem trzeźwa. Nie piłam. Może tak, a może nie.

- Czy on miał zawał?

- Nie wiem.

- Ale... to znaczy, że wydobrzeje?

- Wraca dzisiaj do domu.

- Więc jest zdrow. To nie może być nic poważnego, bo inaczej nie wypuściliby go ze szpitala. -  
Leżałam nieruchomo, myśląc: „Najpierw zadzwoniła do Allena”. Mój brat jest alkoholikiem, narko-  
manem, dwukrotnie rozwiedziony i nie ma pracy, a moja matka dzwoni najpierw do niego.

- Możesz przyjechać? Tak dawno cię nie widziałam, Rudele.

- Teraz nie mogę.

- No to na Boże Narodzenie. Tutaj jest pięknie. Pamiętasz? Przyjedź z Curtisem. Tak dawno tu  
nie byliście.

- Curtis musi pracować. - To nie było kłamstwo. - Mamo, oddzwonię do ciebie później.

- Rudele...

- Mam drugi telefon. Muszę kończyć. Zadzwonię później. - Nacisnęłam widełki i przerwałam  
połączenie.

Kiedyś była piękna. Ciekawam, czy wciąż jest. Nie widziałam jej od prawie pięciu lat, od mo-  
jego ślubu. Wobec przyjaciół nazywam ją Felicją, nie „matką” ani „moją mamą”, i tak też oni mówią o  
niej. „Jak się ma Felicja i jej playboy?” - pyta Emma. Osiemdziesięcioletni playboy. August jest  
Szwajcarem. Matka poznała go w Genewie na rok przed śmiercią mego ojca. Zostali kochankami,  
oczywiście.

Co jakiś czas moja matka pragnie mnie zobaczyć. Dzwoni i rozwodzi się nad tym, jak dawno  
mnie widziała, jak cudownie byłoby się zobaczyć, jak bardzo jest stęskniona. Nie potrafię gruchać tak  
jak ona ani przełamać wewnętrznego oporu i pojechać do niej. Eryk uważa, że są pewne kwestie zwią-  
zane z matką, które powinnam rozwikłać, ale ja nie robię nic w tym kierunku. Nie mogę.

Wyobraziłam sobie, jak wyglądam zwinięta w kłębek na podłodze w korytarzu. Eryk mnie tego  
nauczył. Czasami to skutkuje. Zmusza do reakcji. Wstałam i ruszyłam do łazienki. Weszłam w drzwi,  
ale gdy zapaliłam światło, zastygłam ze stopą w powietrzu, o kilka centymetrów nad białymi kafelkami  
podłogi. Wpadłam w panikę. Mogłam poruszać rękami, więc zgasłam światło w łazience. Po chwili  
odblokowałam się, wróciłam do sypialni i siadłam na skraju łóżka.

Wciąż trzymałam w ręku telefon. Przycisnęłam pamięć i cyfrę dwa. Recepcjonistka w biurze  
Wingerta powiedziała, że Curtis jest na zebraniu, i zapytała, czy zostawię jakąś wiadomość.

- Nie, dziękuję. - Nie poznawałam własnego głosu.

Rozłączyłam się szybko i wybrałam następny numer.



Głos Emmy nagrany na taśmie w automatycznej sekretarce uspokoił mnie. Miałam ją wyraźnie przed oczami - roześmianą, z roziskrzonymi oczami. Kiedy nagrywałam wiadomość, mój głos brzmiał już prawie normalnie.

- Cześć, to ja. Miałam nadzieję, że cię zastanę. Chyba jesteś w pracy. To nic... nic ważnego. Do widzenia - powiedziałam szeptem i rozplakałam się.

Rudy, Rudele. Nie cierpię tego imienia. Po niemiecku znaczy sławna. Urodziłam się w Niemczech. Moi rodzice bardziej lubili Europę niż Amerykę. Gdy byłam dzieckiem, nazywali mnie Rudi. Rudi O'Neill. Gdy moja matka wyszła za Augusta, musiałam przyjąć nazwisko Lacretelle. Rudelle Racretelle. Na studiach posługiwałam się nazwiskiem matki i zmieniłam Rudi na Rudy. Rudy Surratt. Lubiłam je. Czulałam się z nim dobrze. Potem wyszłam za Curtisa i teraz nazywam się Rudy Lloyd. Emma wymawia moje imię miękko i śpiewnie - po prostu wyśpiewuje moje imię.

Wstałam z łóżka i znowu wybrałam numer, pamięć i jedynekę. Odpowiedziała automatyczna sekretarka Eryka, ale w połowie jej słów on sam podniósł słuchawkę.

- Możesz mnie dziś przyjąć?

- Rudy? Stało się coś?

- Nie, naprawdę, ale chcę się z tobą zobaczyć.

- Czy czwarta godzina ci odpowiada?

- Dziękuję ci.

- Pierwsze dwa lata po śmierci ojca były najgorsze. Mieszkaliśmy wtedy z jakichś przyczyn w Austrii, w ośrodku sportów zimowych w górach. Czy opowiadałam ci o tym? Mój brat zamieszkał z nami, bo wyleciał ze szkoły przygotowawczej na Rhode Island. Claire i ja chodziłyśmy do szkoły klasztornej w miasteczku. August większość czasu spędzał z nami, ale jeszcze wtedy nie był żonaty z moją matką. Mieszkaliśmy w hotelu. Opowiadałam ci już to, prawda?

- To nie ma znaczenia.

- Znasz tę część. O mojej matce. O dniu, kiedy ją znalazłam.

- Opowiedz jeszcze raz.

- Opowiadam... Chcę opowiedzieć. Było lato, ja miałam dwanaście, a Claire czternaście lat. Allen, nasz brat, codziennie gdzieś wychodził. Mówił, że na spacer. Matka nie mogła go utrzymać w domu. Ona niczego nie potrafiła. No, nie, potrafiła pić i spać, a kiedy wzięła właściwe pigułki, potrafiła też być kochająca i słodka. Bardzo ją kochałam, Eryku. Nigdy potem nie czulałam większego bólu. Od tamtego wydarzenia jestem jak odrętwiała.

Umilkłam i zamknęłam oczy. Eryk cierpliwie czekał. Pod moimi powiekami ukazała się ta scena jak na starym czarno-białym filmie, tylko krew była czerwona. Znalazłyśmy ją razem z siostrą. Myślałyśmy, że nie żyje, leżała naga na białych kafelkach podłogi w łazience. Wanna była pełna zakrwawionej wody. „Wezwij pomoc! Wezwij doktora!” - wrzeszczałam do Claire. Powinnam poznać po jej

twarży, na wpół uśmiechniętej, bez wyrazu, że jest w szoku. Po prostu wyszła. Jacyś ludzie znaleźli ją i przyprowadzili następnego dnia. Jeździła na rowerze, powiedzieli.

- Rudy - rzekł Eryk.

- Nic mi nie jest. Nie mówiłam ci tego, prawda? Że przez wiele godzin pozostawałam sama z matką? Była prawie taka biała jak kafelki. I zimna. Myślałam, że jeśli ją wypuszczę z ramion, ona umrze. Miała siniec na twarzy od uderzenia przy upadku, ale krew na podłodze, niby czerwone monety, była menstruacyjna. Użyła pigułek, nie brzytwy. Pigułek i wódki. Och, jak mogła nam to zrobić! Wiedziała, kto ją znajdzie! Jej małe dziewczynki, jej dzieciątka. Och, mamó. Trzymałam ją w ramionach. Zamieniłyśmy się miejscami, matka i dziecko, ale myślałam, że to moje dziecko umiera, a ja nie mogę temu zapobiec.

Dławiłam się, krew łomotała mi w skroniach - Eryk wziął mnie za rękę, ścisnął mocno i przestałam szlochać.

- Nic mi nie jest.

Kiedy się uspokoiliłam, opowiedziałam mu o telefonie matki tego ranka.

- Wszystko powróciło. Śmiesznie. Mijają lata i myślisz, że sobie z tym poradziłaś, a tymczasem nie. Czy można o tym zapomnieć?

- Nie sądzę.

- Tak - rzekłam. - Wiem.

- Ale nie musi być takie bolesne.

- Co łagodzi ten ból? Nie czas. Minęło trzydzieści lat. - Uśmiechnęłam się do niego. - Czy ja kiedykolwiek wydobrzeję?

Nie oczekiwałam odpowiedzi. On zwykle ignoruje tego rodzaju pytania. Ale dziś go przestraszyłam. Jego twarz, gdy trzymał mnie za rękę, nie była spokojna.

- Myślę, że tak - rzekł, kiwając głową poważnie. - Nie spotykałbym się z tobą, gdybym w to nie wierzył.

- Nie spotykałbyś się ze mną? - Potarłam zziębnięte ramiona.

- Nie widywałbym się z tobą, gdybym nie wierzył, że wydobrzejesz.

Ale ze mną jest coraz gorzej. Terapia małżeńska, oto co mi zaproponował. Powiedziałam, że to niemożliwe, ale to na nim nie robi wrażenia, on nie rozumie, że Curtis tu nie przyjdzie. Choćbym umierała, a terapia miała uratować mi życie, Curtis nie przyszedłby tutaj.

- Lepiej już pójdę - powiedziałam, choć zostało jeszcze dziesięć minut. - Curtis może dziś wrócić wcześniej, a on lubi, jak jestem wtedy w domu.

Eryk nic nie powiedział. Zacisnął wargi i pozwolił mi wyjść.

# 11.

## *Emma*

- To nie jest robota dla kobiety.

Wypowiedziałam to głośno i z mocą. Miałam powód. Odżyłkowanie krewetek wyzwala we mnie najgorsze instynkty, a dwadzieścia pięć minut takiej pracy nad zlewem, jedynie z *All Things Considered* do towarzystwa, mogłoby doprowadzić Patricię Ireland, czy ktokolwiek ostatnio pełni jej funkcję, do szału. Jestem jakoby feministką. Powinnam więc z uśmiechem na ustach czyścić krewetki, obierać jabłka i fasolkę szparagową, gdy na kolację przychodzą moje przyjaciółki.

„Ja naprawdę kocham te moje dziewczyny” - myślałam. Właśnie słuchałam wywiadu z Lonnie McKimś - Szkotem, który napisał powieść o dorastaniu w Glasgow. Wielka mi sprawa. Wcale mu nie zazdroszczę, ani trochę. Łokciem wyłączyłam radio i zabrałam się do drugiej kupy krewetek.

W każdym razie zadaję sobie co najmniej tyle samo trudu, kiedy wypada moja kolej przygotowania kolacji dla naszej grupy, ile na przyjęcie dla par, znacznie więcej niż dla pojedynczych facetów, którzy mają szczęście, jeśli dostaną rano filiżankę kawy, zanim zostaną wyrzuceni za drzwi. Grzecznie - zawsze jestem grzeczna. Lubię gotować dla moich dziewczyn. Trzy z nas biorą udział w konkursie o wicemistrzostwo kucharskie (mistrzostwo przypadło na stałe Isabel) i przygotowujemy na dzisiejszy wieczór krewetki w sosie curry z fasolką szparagową i jabłkami są mocną pozycją. Poza tym upiekłam ciasto. Nie od początku - bo co ja jestem, June Cleaver? - ale dodałam czerwonego barwnika spożywczego do białego lukru i wypisałam wielkimi literami na niebywale artystycznym wyobrażeniu klepsydry: „Dwa lata i odliczamy: naprzód, dziewczyno!”. Właśnie w tym miesiącu minęły dwa lata, odkąd Isabel namacała sobie guzek w piersi. Podobno można naprawdę odetchnąć dopiero po pięciu latach, ale dwa lata to też rocznica i, jak rany, będziemy ją obchodzić.

Siódma piętnaście. Rudy się spóźnia. Powiedziałam, żeby przyszła na siódmą, bo chciałam z nią porozmawiać. Powinnam to przewidzieć i zaprosić ją na szóstą trzydzieści.

Skończyłam czyścić krewetki i wycisnęłam trochę płynu do mycia naczyń na ręce, zastanawiając się, ilu jeszcze ludzi nie może zmyć rybiego zapachu z dłoni bez pomyślenia o Susan Sarandon. Hej, czy to nie byłoby dobrym materiałem na artykuł o tym, jak amerykańska ikonografia filmowa wkrada się w nasze codzienne życie? Jakiś pseudowytworny magazyn mógłby to kupić, gdybym dorzuciła dostateczną dozę sarkazmu. Moja specjalność. Ale wołałabym napisać to w sposób prosty. Słodko. Mogłabym podać ze sto przykładów - związek między, dajmy na to, gwizdaniem a Lauren Bacali. Trycyklami i istotami pozaziemskimi. Pytanie: Czemu czujesz się sexy, gdy widzisz Amisha na polu? Odpowiedź: Harrison Ford, *Świadek*. Zgoda, przykład banalny, lecz mogą ich być setki.

Do kitu - uznałam. Zbyt oczywiste. Tak jest ze wszystkimi moimi pomysłami na opowiadanie. Mimo to nagryzmoliłam „Sarandon/cytryny/staw-kult” na bloczku przymocowanym do lodówki. Nigdy nie wiadomo, co się może przydać.

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Zapaliłam światło na ganku i przez szybkę zobaczyłam Rudy, wysoką i olśniewającą w długiej, czarnej pelerynie - tej samej, w którą owinęła Grację osiem lat temu na MacArthur Boulevard. Tej pelerynie, której nadal jej zazdrozczę. Twarz Rudy wydała mi się markotna, ale kiedy zobaczyła mnie przez szybkę, rozpromieniła się w szerokim, roziskrzonym uśmiechu. Otworzyłam drzwi i Rudy wpłynęła do środka na podmuchu chłodnego powietrza, perfum i...?

- Zabrakło mi benzyny. Uwierzysz w to? Na środku Szesnastej Ulicy i nikt się nie zatrzymał, nikt mi nie pomógł, musiałam się telepać aż do Euclid i z powrotem po jeden zawszony kanisterek benzyny.

- Och, to okropne. - Ale jakaż wspaniała wymówka, i taka nieoczekiwana. Rudy chronicznie się spóźnia i w ogóle nie przywiązuje do tego wagi, nigdy nawet nie przeprosza. Poczułam się zbita z tropu. - Nie rozumiem tego - rzekłam zrzędliwie - jak mogło ci zabraknąć benzyny. Nie patrzysz na wskaźnik ilości paliwa, kiedy włączasz silnik?

Roześmiała się.

- Świetnie wyglądasz. Obciąłeś włosy.

Nie lubię się obściskować, przynajmniej takie jest o mnie zdanie grupy, ale mężnie zniosłam mocny uścisk Rudy, ciekawa, co zgniatamy pomiędzy sobą w papierowej torbie, którą trzymała w drugiej ręce.

- Musiałam coś z nimi zrobić. Nie są za krótkie, co? Powiedziałam fryzjerowi, żeby mnie ostrzygł średnio. Spójrz na mój nowy wieszak na palta - prezent bożonarodzeniowy ode mnie. Chodź do kuchni, napijemy się.

Znalazłam kieliszki, otworzyłam wino, wsypałam fistaszki do miseczki, a tymczasem Rudy chodziła po kuchni, wypatrując, co się zmieniło od jej ostatniej bytności.

- Och, powiesiłeś to! - wykrzyknęła. Zrobiła dla mnie „kuchenny collage” pod choinkę. To dobre miejsce dla niego, nad drzwiami.

- Bardzo mi się podoba. - To prawdziwe arcydzieło: portret z aluminiowych przyrządów kuchennych z lat pięćdziesiątych XX wieku. Dwie łyżki-miarki stanowią oczy, plastikowa rurka to nos i brwi, zgięta pomarańczowa zakrętka słoika tworzy usta - o psiakość, nie zdołam tego opisać - żeby to docenić, trzeba samemu zobaczyć. Ale wierzcie mi, nie można na to patrzeć i się nie śmiać. Rudy mogłaby zarabiać, wykonując takie rzeczy.

- Nie masz pojęcia, jak mnie cieszy posiadanie domu - powiedziałam, podając jej kieliszek merlota, jej ulubionego. - Napęlnia mnie mnóstwem odrażającego, mieszczańskiego zadowolenia.

Mieszkałam już w szykowniejszych miejscach - w Georgetown, Foggy Bottom, Woodley Park - ale nie byłam właścicielką tych mieszkań, więc to się nie liczy. Mój osiemdziesięcioletni dom na Mt. Pleasant nie wygląda wspaniale, zwłaszcza z zewnątrz. Sąsiadów mam takich, że lepiej wieczorem nie wychodzić bez własnego buldoga. Ale jest mój.

- Za Sloanów - powiedziałam.

- Za Sloanów.

Wypiliśmy za poprzednich właścicieli, którzy odremontowali ten dom, kiedy znajdował się o włos od ruiny, a potem, gdy ona zaszła w ciążę, przestraszyli się i zdecydowali, że wolą wychowywać juniora na przedmieściu.

- Ich paranoja to mój zysk. Zaczynam nawet lubić te kraty w oknach.

- Czemu nie? - rzekła Rudy. - Białe kute żelazo jest piękne. To po prostu kwestia oddzielenia formy od funkcji.

- I niepopadania w histerię.

- Też bym chciała zamieszkać w naszej pięknej i historycznej stolicy...

- Zaryzykuj.

Wzniosłyśmy następny toast.

- No więc - powiedziałam, sadowiąc się na ławie przy kuchennym stole. - Jak ci poszło z Greenburgiem? - Łatwo poznać, że była u swojego psychoanalityka, bo oczy miała przekrwione i opuchnięte.

Rudy potrząsnęła paczką, wysunęła dwa winstony i poczęstowała mnie.

- Dobrze. Rozmawialiśmy o moim ojcu. Eryk mówi, że jego śmierć niekoniecznie była samobójcza.

- Co ty mówisz? Czekaj - przecież popełnił samobójstwo, prawda? Taka jest oficjalna wersja. Chcesz powiedzieć, że on się nie zabił?

- Ja tylko twierdzę, że jest możliwe, iż się nie zabił. Nikt tego nie wie na pewno. To jest nasz rodzinny mit, że on to zrobił umyślnie, ale równie dobrze mogło być tak, że się upił i wypadł za burzę.

To nie był tylko rodzinny mit, to był też mit grupy. Słyszałam tę opowieść przed laty i mam jej żywy obraz w pamięci. Zdarzyło się to na jeziorze Como przed trzydziestu laty, gdy Rudy miała jedenaście lat. Widzę błękitne niebo i biały jacht, miękkie, żółte włoskie światło. Jest zmierzch. Ojciec Rudy, Allen Aubrey O'Neill, ma na sobie biały sweter i białe, wypchane na kolanach spodnie. Jest bosy, pali camele, wygląda jak Joseph Cotton. Wypija resztkę wódki z oprawionej w skórę flaszki. Sięga do podpory pokładowej, podciąga się na niej. Mewy wzlatają w powietrze i opadają lotem nurkowym, on chwilę nasłuchuje ich głodnych krzyków, po raz ostatni wciąga w nozdrza słodkie, nagrzane słońcem powietrze i skacze w gładki, chłodny błękitny wód jeziora.

I to już koniec filmu - żadnego miotania się w wodzie, żadnej walki o haust powietrza. Nigdy nie towarzyszę mu w drodze w dół ani nie próbuję sobie wyobrazić jego strachu albo chorych myśli. Przystojny, arystokratyczny ojciec Rudy po prostu się skasował.

- No cóż - powiedziałam wolno. - On dużo pił, prawda?

- Och, Boże.

- No tak, więc... - kiwnęłam głową. - Czemu nie? Masz rację, równie dobrze mógł wypaść za burzę. A to oczywiście zmienia wszystko. Och, Rudy - zaczynałam rozumieć, co by to dla niej znaczyło. - A więc nie popełnił samobójstwa. To świetnie, bo jeśli był tylko pijakiem, nie...

- Mimo to miał stany maniakalno-depresyjne. To wcale nie znaczy, że nie był pomyłony, Emma.

- Nie, wiem, ale...

- To po prostu daje do myślenia i nic więcej.

- Słusznie. - Wycofałam się, żartując: - Założę się, że Greenburg artykułami o twojej rodzinie mógłby zapłacić wszystkie strony czasopisma Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychiatrycznego.

Uśmiechnęła się i odchyliła głowę na długiej szyi, żeby dmuchnąć dymem pod sufit.

- No, cóż - powiedziała i zaśmiała się z zakłopotaniem. - Sądziłam, że jestem już gotowa, by móc się tym ludzić, ale wygląda na to, że nie jestem. A w każdym razie nie głośno. Nie publicznie.

- Ja nie jestem publicznością.

Rudy ma piękne szare oczy, jak w powieściach o angielskich guwernantkach. Patrzyłam jak łagodnieją i mięknią, stają się czułe.

- Nie, nie jesteś. - Odstawiła kieliszek. - Mam nadzieję, że się uchłał, wpadł do tego cholernego jeziora i utonął, bo wtedy martwiłabym się tylko o swoje predyspozycje genetyczne do alkoholu, depresji, narkomanii i paranoidalnej schizofrenii. Ale nie do samobójstwa.

Żadna z nas nie wspomniała o jej matce i wybuchnęłyśmy głośnym, oczyszczającym śmiechem, który jest częścią naszego repertuaru terapeutycznego i działa jak miłe słowa współczucia. Potem już nie musimy rozmawiać, przynajmniej nie teraz, na temat śmierci ojca Rudy. Omówiłyśmy wszystko.

Nalałyśmy sobie jeszcze wina. Pomyślałam, że powinnam wstać i zacząć siekać cebulę albo coś - Lee, Isabel i ta nowa, Sharon, lada chwilą przyjdą. Lecz było tak miło - siedzenie z Rudy w kuchni, palenie, picie wina i rozmawianie o życiu sprawiało nam tyle przyjemności, że jak mówi reklama piwa, lepiej już nie może być.

- Miałam okropny dzień - odezwałam się pogodnie i opowiedziałam jej o artykule dla „Washingtonian”, którego nie mogę skończyć, a powinien być gotowy na poniedziałek. Rudy opowiedziała mi o kursie projektowania ogrodów, na który chciała się zapisać. Zaczyna się na wiosnę, trwa dwa lata i kończy się egzaminem. Dyplomowany projektant może odbyć praktykę w firmie aranżującej tereny zielone albo u mistrza ogrodnictwa i wyjść na swoje. Bardzo ją to podniecało, ale w końcu się wycofa-

ła, mówiąc, że miała taki pomysł, ale prawdopodobnie nic z tego nie wyjdzie, bo to dużo kosztuje i zajęłoby mnóstwo czasu.

- Och, szkoda, to coś dla ciebie. Byłabyś w tym świetna. Uwielbiasz pracę w ogrodzie.

- Nie wiem, nie wiem. Trzeba by się było temu w całości poświęcić, bardzo intensywnie, więc nie wiem, po prostu nie sędzę... - Skrzyżowała nogi i osunęła się na siedzeniu, gładka jak foka. - Prawdopodobnie tego nie zrobię. Nawet nie rozmawialiśmy o tym.

„My” to znaczy Curtis. Przywykłam już, że w takiej sytuacji należy ugryźć się w język i zmilczeć.

- Jak Curtis się miewa? - zapytałam możliwie najbardziej neutralnym tonem. Ale tym samym dawałam buzi naszej miłej rozmowie na pożegnanie.

- Bardzo dobrze. - Nie odrywała wzroku od rozjarzonego koniuszka papierosa. - Prosił, żeby cię ucałować.

A jakże. Jego miłość do mnie nie ma granic.

- Pozdrów go ode mnie - powiedziałam i wstałam, żeby posiekać cebulkę.

Już dawno zrozumiałam, że gdy jest mowa o mężu Rudy, za cenę przyjaźni z nią, trzeba się przymilnie uśmiechać, kłamać albo zgrzytać zębami w milczeniu. Nie cierpię takiego układu, gardzę tą hipokryzją, jakbyśmy miały do czynienia z jakąś świętością. Ale czy mam jakiś wybór? Taka jest Rudy. Nie zrobiłabym tego dla nikogo innego na świecie.

Usłyszałam, że wstaje.

- Powiedz mi, Em, co tam nowego u Micka Draco?

Nie wierzyłam własnym uszom, serce na chwilę mi stanęło. Dobrze, że nóż jest tępy, bobym ucięła sobie kawałek palca. Spuściłam głowę, żeby Rudy nie zobaczyła rumieńca na mojej twarzy. Chryste, jest gorzej, niż myślałam. Nie zdawałam sobie sprawy, że tak bardzo pragnęłam o nim rozmawiać. Zachowałam zimną krew.

- Byliśmy znowu na kawie w piątek. W czwartek albo w piątek. W piątek. W tej norze naprzeciwko jego studia. Poszliśmy pogadać.

- O czym rozmawialiście?

- O różnych rzeczach. O jego dzieciaku, mojej pracy. O jego malarstwie.

- Jego żonie.

- Ha! Nie!

Minęły trzy miesiące, odkąd go poznałam. Trzy miesiące tortur. Przywykłam już do tego, że mężczyźni mnie torturują, ale nie w ten sposób. Dzwoniliśmy do siebie i mówili na przykład: „Wyobraź sobie, że właśnie jestem w twojej okolicy, masz ochotę na kawę?” Albo: „Właśnie nauczyłam się robić litografie, chcesz je zobaczyć?”. Ponieważ żadne z nas nie lubi kawy, a ja nie bardzo wiem, co to

jest litografia, można śmiało powiedzieć, że są to preteksty. Ale niewinne. Dręcząco niewinne. Umieram z miłości do niego.

Rudy pochyliła się, oparła łokciem o kontuar, jej Aqua di Gió dodawała klasy odorowi cebuli.

- No więc? Co się dzieje?

- Nic się nie dzieje. Spotykamy się co jakiś czas i rozmawiamy. Jesteśmy przyjaciółmi. To wszystko. - Odłożyłam nóż i spojrzałam jej w oczy. - Och, Rudy. Ja oszaleję.

Uśmiechnęła się i jej oczy zmrużyły się współczująco.

- Biedna Emma.

- Nie mogę tego znieść. Nawet nie dotknęliśmy swoich dłoni. Wpadłam, naprawdę. Myślę, że on też, chociaż o tym nie mówi. Beznadzieja. Nic się nie może zmienić, nic nie może się zdarzyć.

- Co takiego? - powiedziała Rudy niedowierzająco.

Kiedy objęła mnie w pól, o mało się nie rozplakałam. Odeszłam więc na bok, mrużąc: - Och, nic mi nie jest - i pokrywając to śmiechem. Byłam rozdarta. Pragnęłam, żeby to wszystko wreszcie się skończyło i żebym mogła mówić o Micku w czasie przeszłym. „Nie uwierzysz, jaka byłam zakochana w tym facecie Micku - pamiętasz go?”

- Jeżeli to cię tak unieszczęśliwia - powiedziała - to może powinnaś przestać go widywać.

- Nie jestem nieszczęśliwa. Nie przez cały czas. Wiem, że muszę przestać go widywać. Ale kiedy już jestem zdecydowana z nim zerwać, Lee urządza przyjęcie i zaprasza Micka z uroczą Sally - już dwa razy to zrobiła.

- Musisz powiedzieć o nim Lee.

- Nie mogę, już za późno, czekałam za długo. Więc jeśli nawet staram się go nie widywać, to i tak go widuję. Tracę rozum! A on jest...

Zadzwiećczał dzwonek u drzwi.

- Cholera - powiedziałyśmy unisono.

- Ale to nic, jest świetnie, naprawdę. Resztę powiem ci później. Słuchaj - wyszeptałam, wycofując się do holu. - Wyraz twarzy Rudy sprawił, że zaśmiałam się nerwowo i znów poczerwieniałam. - Ja wiem... jestem wariatka. O Boże, Rudy!

\* \* \*

Przez pierwsze dwadzieścia minut spotkania naszą grupą rządzi chaos - wszystkie się ściskają, całują, nalewają wino, próbują znaleźć deskę do krojenia, nóż, przepychają się przy zlewozmywaku, wymieniają nowinami, a dzieje się to, z wyjątkiem kuchni Lee, w pomieszczeniu wielkości dużej łazienki.

- Czy już ci niepotrzebny ten cedzak?

- Em, wyglądasz w tej fryzurze prześlicznie.

- Dobry jest ten ser. Czy to Saga?



- Mogę wziąć prysznic? Przyszłam prosto z lekcji baletu.

- Isabel, wstaw ryż do mikrofalówki, dobra? Potrzebny mi będzie piekarnik. Dajcie mi pięć minut. Muszę skończyć z tymi krewetkami.

- A niech to, nie będę brała prysznic.

- Ona jest strasznie ważna, kiedy gotuje.

Uwielbiam to. Najlepsze, co może być, to przygotowywanie smakołyków dla moich przyjaciółek, słuchanie, jak się śmieją, żartują, opowiadają dowcipy. Wino, ser, plotecki i przyjaciółki. Gdyby można było dodać do tego seks, miałabym już wszystko.

Zadzwonił telefon.

- Czy ktoś może podnieść słuchawkę? - Ja byłam na etapie sosu Dijon ze śmietaną, wymagającego uwagi. Lee podniosła słuchawkę:

- Rezydencja pani DeWitt. Cześć, Sharon. Nie, tu Lee. Och, naprawdę? Bardzo mi przykro.

- Wiedziałaś - rzekła Rudy scenicznym szeptem.

- I tak mi się nie podobała - powiedziałam. Lee wykrzywiła się do mnie i wyszła z telefonem do pokoju stołowego. - Nie spodobała mi się. Wyskubuje brwi, a potem rysuje je na nowo.

- To jest jednak rekord. Zwykle zostają dłużej. Była tylko na dwóch spotkaniach.

Wróciła Lee z ponurą miną.

- Jeszcze jedna. - Opadła ciężko na stół. - Czy to nasza wina? - Wyglądała na tak strapioną, że Rudy i ja wybuchnęliśmy śmiechem. - Nie, naprawdę. - Zwróciła się do Isabel. - To już trzecia w ciągu...?

- Około dwóch lat.

- Cóż, wiedziałaś, że się nie utrzyma.

- Ja też - zgodziła się ze mną Rudy.

- Czy powiedziała, czemu rezygnuje? - spytała Isabel.

- Nie ma czasu.

- Mogła wymyślić lepszą wymówkę.

- Właśnie - dodała Rudy. - Co jeszcze mówiła?

- Powiedziała, że myślała, że będziemy dyskutowały na różne tematy.

- Tematy? No, no - parsknęłam. - Kobieta w miejscu pracy. Postfeminizm w epoce wyzwolenia. Autentyzacja życia. Godzenie obowiązków rodzinnych i zawodowych...

- Czy nie powiedziałaś jej - przerwała łagodnie Isabel - że przestałyśmy dyskutować na zadany temat już przed laty?

- Tak, ale...

- Tematy - rzekła Rudy - to coś, o czym ludzie rozmawiają, kiedy się jeszcze dobrze nie znają.

- Tematy - powiedziałam - to to, o czym dyskutują mężczyźni.

Lee potrząsnęła głową z rozczarowaniem.

- Myślę, że komuś nowemu bardzo trudno przyłączyć się do naszej grupy - powiedziała Isabel. Sharon była jeszcze jednym znaleziskiem Lee - Isabel nie chciała, aby Lee było przykro. - Jesteśmy zgraną paczką. Każda nowa kandydatka czuje się jak intruz, choćbyśmy się nie wiem jak starały.

- Nie rozumiem. - Isabel miała oczywiście rację, ale ja pragnęłam podtrzymać rozmowę na ten temat. - Czyż nie jesteśmy wesołą gromadką? - Zwróciłam się do Rudy. - Pamiętasz tę łysą? Wyglądała jak podstarzała prostytutka. Jak jej było...

- Moira, i była miła - powiedziała Rudy defensywnie. To ona ją przyprowadziła.

- Ja nie powiedziałam, że była niemiła. Powiedziałam, że była łysa. Łysa jak jajo. Łysa jak kula bilardowa. Łysa...

- Od jak dawna jesteśmy grupą? - spytała Isabel, żeby mi przerwać.

Co czwarte albo piąte spotkanie ktoś musi zadać to pytanie.

Zawsze odpowiada Lee i zawsze udajemy zdziwienie i niedowierzanie.

- W czerwcu będzie dziesięć lat - powiedziała Lee.

- Dziesięć lat.

- Mój Boże.

- Kto by pomyślał.

Rudy uniosła w górę kieliszek.

- Za nas.

- Za nas.

Stuknęłyśmy się. Ja myślałam o dwóch rzeczach: „Boże, jakie jesteśmy szczęśliwe” i „Chcę, żeby to trwało wiecznie”.

- Więc jutro - zagaiła Lee - Henry ma trzecie i ostatnie badanie spermy. Dwa poprzednie różniły się, więc mamy nadzieję, że to badanie w końcu coś wyjaśni. Po pierwszym powiedzieli, że jest za mało plemników, a po drugim, że w normie. Za to morfologia była w porządku, a w pierwszym nie za dobra. W obu testach plemniki wykazywały ruchliwość drugiego stopnia.

- Co to jest morfologia? - spytała Rudy.

- Budowa. Jeżeli sperma jest zbyt wodnista, może być w niej brak akrosomu, który pomaga plemnikom przedostać się do jajeczka.

- Hej, ja tu jem.

Chciałam tylko wprowadzić lżejszy nastrój. Boje Lee z bezpłodnością trwają już ze dwa lata i zaczynały się już naprawdę dawać jej we znaki. Tak przywykłam do niej jako osoby pogodnej, że z przykrością patrzyłam, jak przegrywa w walce o macierzyństwo. Jest pewien rodzaj szczęśliwców, którym wszystko się udaje, a gdy się im wreszcie noga powinie, chcąc nie chcąc, odczuwa się satysfakcję. Ja odczuwam. Ale nie w przypadku Lee. Ma wspaniałą pracę, mnóstwo pieniędzy, kawał chło-

pa za męża, który ją uwielbia. Znam ją prawie dziesięć lat i moim zdaniem ona w pełni zasługuje na to, co ma. Nie chcę, żeby była rozczarowana albo zawiedziona. To by mnie bolało. Parę spotkań temu, w czasie swoich piętnastu minut miała łzy w oczach, kiedy mówiła, jak bardzo pragnie dziecka. Nie mogłam znieść widoku Lee załamanej - wyszłam do kuchni.

- Ale przynajmniej jutro będziesz wiedziała więcej - powiedziała Isabel. - Najgorsza jest niepewność.

- Najgorsza - przyznała Lee. Wsunęła palce w swoje krótkie, brązowe włosy i zmierzwiła je, co oznaczało zmianę tematu.

Lee ma metr sześćdziesiąt wzrostu, jest drobnokoścista i delikatna, lecz wcale nie krucha. Grywa w golfa i tenisa, pływa, tańczy - i jest w tym wszystkim dobra. Któregoś wieczoru wypłam za dużo ginów z tonikiem i wyzwałam ją na rękę. Wkręciła mnie pod stół.

- No, ja skończyłam - powiedziała żywo. - Rudy, teraz ty.

- To wszystko? W pracy wszystko w porządku? A rodzice i święto Chanuka?

- Wszystko. - Lee uśmiechnęła się. - Zyskałaś pięć minut - razem masz dwadzieścia. Z pewnością potrafisz wykorzystać ten czas.

Rudy roześmiała się.

- No, dobra, zaczynam. Jedna rzecz mnie nurtuje... - Pochyliła się ku Lee i dotknęła jej dłoni. - Curtis i ja często o tym myśleliśmy ostatnio, i...

- Co?

- Zdecydowaliśmy, że już czas mieć dziecko.

Nie odrywała wzroku od Lee, nawet nie spojrzała na mnie, kiedy wypowiedziała tę nowinę. Dołączyłam się do okrzyków zaskoczenia, lecz wewnątrz byłam odrętwiała. Póki byli bezdzietni, nieunikniony rozpad małżeństwa Rudy i Curtisa mógł zranić tylko ich dwoje. Teraz w grę wchodzi jeszcze dziecko. Po drugiej stronie stołu Isabel przesłała mi szybkie spojrzenie. Myślała o tym samym co ja. Jej zdanie na temat Curtisa Lloyda jest nieco uprzejmiejszą, łagodniejszą wersją mojej opinii, lecz kiedy ją mocniej przyciskam, zgadzamy się co do podstawowej sprawy: Curtis to skurwiol.

- Długo myślałam, czy powinnam powiedzieć ci o tym już teraz. - Rudy zwracała się wprost do Lee. - Doszłam do wniosku, że byłoby gorzej, gdybym to przed tobą ukryła. Zupełnie jakbym ci nie ufała, że sobie z tym poradzisz...

- Nie, nie. Cieszę się, że mi powiedziałaś. Och, Rudy. Bardzo, bardzo się cieszę ze względu na ciebie.

- A potem pomyślałam, co będzie, jeśli zajdę w ciążę. Jak ją przed tobą ukryję?

Zaczęły żartować, że Rudy musiałaby oddać dziecko cygańskiej rodzime na wychowanie, żeby tajemnica się nie wydała. Lee udawała rozbawioną, ale trudno powiedzieć, czy rzeczywiście była. Na

pewno cieszyła się ze względu na Rudy, ale jeśli Rudy zajdzie w ciążę, dla Lee będzie to cios w samo serce.

Wstałam, żeby przynieść więcej chleba, a kiedy wróciłam, Rudy mówiła o kursie projektowania terenów zielonych. Nie odzywałam się, pozwoliłam Isabel i Lee nakłonić ją, aby zapisała się na ten kurs. Ale mogę się założyć, że się nie zapisze. W ubiegłym roku ekscytowała się pracą, która miała polegać na poradnictwie w sprawie zakupu dzieł sztuki dla jednego z wielkich stowarzyszeń w mieście. Byłby cud, gdyby dostała tę pracę, ponieważ zarzuciła studia na historii sztuki, gdy miała już do napisania tylko pracę magisterską. Lecz miło było ją widzieć zainteresowaną czymkolwiek, więc wszystkie zachęcałyśmy ją do spróbowania. W końcu w ogóle nie wystąpiła o tę pracę, nie przesłała nawet swojego CV, bo to by pociągało za sobą konieczność podróżowania. Curtis się na to nie zgodził.

Nie znoszę tego śliskiego, psychopatycznego kutasa.

Kiedy przyszła moja kolej, opowiedziałam dosyć śmieszną historyjkę o randce w ciemno, jaką miałam na sylwestra, która, wierzcie mi, nie była wcale śmieszna, kiedy się odbywała. Lee śmiała się tak bardzo, że musiała sobie wytrzeć oczy chusteczką.

- Och, Emma - wyświszczała. - Gdzie ty wynajdujesz tych facetów?

- Przyciągam ich jak magnes. Wy, dziewczyny, nie macie pojęcia, jakie jesteście szczęśliwe. Skończyłam. Isabel, twoja kolej. U mnie poza tym nic nowego. W poniedziałek muszę oddać artykuł dla „Washingtonian” i to wszystko. Teraz Isabel.

Lee powiedziała:

- Poczekaj, nie tak szybko. A co z tym twoim żonatym facetem?

Parę tygodni temu, pod wpływem głupiego impulsu, zrobiłam błąd, wspominając Isabel i Lee o Micku. Nie wymieniłam jego nazwiska ani nie podałam żadnych szczegółów, które pozwoliłyby go zidentyfikować. Powiedziałam tylko, że widuję się z żonatym facetem, który mnie niesłychanie pociąga. Szaleję za nim. Trywializuję moje uczucia, ale grupa zna mnie dość dobrze, aby mnie rozszyfrować. W każdym razie wygadałam się - nie mogłam się opanować. Sytuacja zrobiła się paskudna. Lee bierze lekcje tańca z Sally, a Henry i Mick zaprzyjaźnili się. Powiedziałam im wtedy, że to „ktos z pracy”.

- Nic nowego z żonatym facetem - ucięłam.

- Przestałaś go widywać? - Lee nie dawała za wygraną.

- Och, wpadamy na siebie co jakiś czas.

- Czy to znaczy, że nadal się nim interesujesz?

- Och, wiesz. To jest beznadziejne, więc... - Uśmiechnęłam się, wzruszyłam ramionami i zaczęłam się bawić sztuczkami.

Lee zrozumiała aluzję.

- Dobra. Ja się tylko zastanawiałam, bo nie wspominałaś o nim ostatnio.

- Nie wspominałam, bo nie ma o czym mówić.

Rudy przesłała mi cierpkie spojrzenie, które zignorowałam.

- Teraz Isabel. Powiedz nam, co w szkole.

- Wspaniale. Dostałam A minus z końcowego egzaminu z rodzin zagrożonych. - Wiwaty i łomotanie w stół. Isabel robi magisterium ze stosunków społecznych na American University. - Co innego z... - potrząsnęła głową i uśmiechnęła się smutno. Zdałam sobie sprawę, że tego wieczoru była niezwykle cicha. Przyjrzałam się jej uważniej. Isabel staje się coraz młodsza i ładniejsza. Podczas chemoterapii wypadły jej włosy, a te, które odrosły, wiją się i są miękkie jak u małej dziewczynki. Pasują do jej gładkiej twarzy bez zmarszczek. Nie wyglądała jednak łagodnie, nie to mam na myśli. Ma w sobie jakiś spokój, który mi się kojarzy ze średniowiecznymi obrzędami. Ona jest inna, jedyna w swoim rodzaju.

- W ogóle nic się nie dzieje? - naciskała Lee.

- Nie, doprawdy. Niewiele.

- A co z twoim sąsiadem?

- Cóż, właśnie dziś myślałam o Garym - powiedziała szybko. Jęknęłyśmy. - A ściślej, myślałam o niewierności i przebaczeniu. Niewierności seksualnej, jak różnie traktują ją mężczyźni i kobiety. Kobietom się nie wybaczają, dla mężczyzn jest niczym.

- Nie dla wszystkich - poprawiła Lee.

- Nie. - Miętkość jej głosu, kiedy wypowiadała to słowo, sposób, w jaki dotknęła ramienia Lee na jedną sekundę - było w nim tyle miłości, że poczułam zazdrość. - Zdecydowanie nie wszystkich mężczyzn. - Oparła brodę na złożonych dłoniach. - Opowiem wam coś - rzekła. - Ostatnio dużo myślałam o Garym. Opowiem wam o jego ostatniej przyjaciółce.

- Masz na myśli Betty Cunnilefski? - parsknęłyśmy jak zawsze, gdy pojawiał się nazwisko Betty.

- Nie, Betty była jego pierwszą przyjaciółką. Albo pierwszą, o której wiedziałam. Były jeszcze inne.

- Inne? W liczbie mnogiej, Isabel? - Spojrzałam na Rudy. Wyglądała na zaskoczoną, podobnie jak ja. Lee nie powiedziała nic - widocznie już wiedziała.

- Czemu nigdy nam nie powiedziałaś? - wybełkotała Rudy.

- Ja... - Isabel wzruszyła bezradnie ramionami. - No bo... nie chciałam.

- Wstydziałaś się? - teoretyzowała Rudy.

- Nie. No może. Tak, trochę tak. Trudno przyznać, że kocham człowieka, który przez większą część naszego dwudziestoletniego pożycia nie był mi wierny.

- Och, ale...

- Myślę, że najpierw musiałam być zdolna mu wybaczyć, nim zdobyłam się na to, żeby wam powiedzieć.

- Przebaczyć mu? Przebaczyć draniowi? Isabel już źle było, gdy miał tylko tę poprzednią sukę. O ilu babach, do licha, rozmawiamy? - Klęłam Gary'ego, ale prawda była taka, że byłam także zła na Isabel za to, że trzymała ten drobny szczegół ze swojego życia w tajemnicy. Ona też to wiedziała. Wyciągnęła do mnie rękę.

- Emma, to było zbyt brzydkie. Gdybym wam powiedziała, wyzwoliłabym w sobie jeszcze więcej gniewu, więcej goryczy.

- Masz rację.

- No, dobrze. Rozumiem. Równowaga, pragnęłaś kosmicznej równowagi. Nic więcej nie mów. Przybrała wyraz cierpliwości.

- Nie wściekaj się. Wszystko ma swój czas. Dziś mogę powiedzieć o Garym i o mnie.

- No dobrze - uśmiechnęłam się bez urazy. Lee wiedziała o tym już dawno. Byłam zazdrosna. Jeszcze jedna z moich wielu wad. Wołałam się do tego nie przyznawać.

- Więc kto był jego ostatnią dziwką, Isabel? - Rudy przerwała niezręczne milczenie.

- Miała na imię Norma i wcale nie była dziwką, ale księżową, jeszcze jednym biurowym podbojem Gary'ego. Po Betty zawsze wiedziałam, kiedy się z kimś widywał, ale to...

Nie mogłam dłużej milczeć.

- Jezu, Isabel, ile ich było?

Gary Kurtz? Nie mogłam sobie go wyobrazić w roli casanowy. To taki tęgi facet w średnim wieku, z brodą, w typie świętego Mikołaja, ale pozbawionego serdeczności. Nudziarz, urzędnik w departamencie handlu. Dawniej, kiedy jeszcze z nim rozmawiałam, ciągle mówił o swojej pracy.

- Nie wiem ile - odparła Isabel, unosząc brew w rzadkim przejawie irytacji. - Wiem tylko, że ta ostatnia nie chciała się odczepić. Więc poszłam ją zobaczyć.

Zatkało nas.

- Naprawdę?

- Poszłaś ją zobaczyć?

- Poszukałam jej w książce telefonicznej i znalazłam - Norma Stattlemyer, mieszka przy Coleville Road.

- Skąd znałaś jej nazwisko?

- Gary mi powiedział. On się nigdy nie wypierał. Muszę mu oddać sprawiedliwość. Nigdy nie kłamał.

- Myślę, że to pogarsza sprawę - powiedziała Lee wściekłym głosem.

- Wybrałam się w sobotnie popołudnie, Gary'emu powiedziałam, że jadę do Safeway. Ona mieszka w Silver-Spring, w jednym z tych domów z ogródkiem, tuż przy szosie. Wszędzie było pełno

dzieci i porozrzucanych plastikowych zabawek. Przestraszyłam się, że może ona jest zamężna i skończy się na tym, że zniszczę jej rodzinę. Na wypadek, gdyby otworzył mi mężczyzna lub dziecko, powiedziałabym, że zbieram pieniądze na chorych na leukemię.

- Dobra wymówka.

- Tylko że nie miałaś identyfikatora - zauważyła zawsze praktyczna Lee.

- W każdym razie drzwi otworzyła mi ona sama, w różowym sztruksowym płaszczu kąpielowym. Od razu wiedziałam, że mieszka sama. Miała w sobie coś takiego...

- W jakim jest wieku? - zapytałam.

- Przed trzydziestką.

- A to skurwiel. Jak wyglądała?

- Było jeszcze dosyć wcześnie. Zaskoczyłam ją, nie zdążyła się oporządzić.

Rudy i ja potrzęsnęliśmy głowami. Ona jeszcze usprawiedliwia zdziwę, która puszcza się z jej mężem.

- Więc jest brzydka - powiedziałam.

- Nie, nie brzydka, ale nie pociągająca. Nie seksowna, nawet nieciekawa z wyglądu. Całkiem zwyczajna. Kiedy powiedziałam: „Jestem Isabel Kurtz” - spojrzała na mnie nierozumiejącym wzrokiem. Wyjaśniłam: „Żona Gary'ego”. A wtedy myślałam, że zaraz zemdleje.

- Nie wiedziała?

- Wiedziała, że jest żonaty, lecz była wstrząśnięta. Cofnęła się, gestem zaprosiła mnie do środka. Zrozumiałam, że nie będzie między nami żadnych dramatycznych scen. Nie miała w sobie ducha walki.

- Mięczak. Śmieciara.

- O jej mieszkaniu mogłabyś napisać coś zjadliwego i śmiesznego, Emma. - Potraktowałam to jako komplement. - Zaprowadziła mnie do kuchni, nie do pokoju. Słychać było muzykę z sąsiedniego mieszkania. Temat basów. Na blacie stała miseczka z zupą - jadła na śniadanie zupę. Fasolową z boczkiem. - Uśmiechnęła się kącikiem ust, cierpko, smutnie i zarazem z goryczą. - Nad kuchenką wisiała jedna z tych tanich półeczek z sześcioma szklanymi słoikami na przyprawy. Kupowała przyprawy, wsypywała je do tych słoików i wypisywała na nich: CYNAMON, CZARNY PIEPRZ, CZOSNEK W PROSZKU. Tylko sześć słoików. - Spojrzała na nas z wyrazem politowania i zdumienia, ale nie wiem, co uznała za bardziej poruszające - to, że Norma podpisywała swoje przyprawy, czy to, że używała tylko sześciu. - Na lodówce stała pozytywka. Oparła się o lodówkę, pozytywka spadła na podłogę i zaczęła grać „Tyś moje słońko”.

- Isabel - powiedziałam. - Ty mnie dobijasz.

- I co się stało? - spytała Rudy.

- Wiedziałam, że sama nie zacznę, więc powiedziałam: „Przyszłam zobaczyć, jaka jesteś”. Rozumiałam to dosłownie, że po to przyszłam, żeby ją zobaczyć, spróbować zrozumieć, co Gary widział w niej atrakcyjnego. Lecz ona wzięła to za potępienie i zaczęła płakać.

- O Jezu...

- I co zrobiłaś?

- Płakałam razem z nią. Odwróciłyśmy się do siebie plecami i ukryłyśmy twarze - ja płakałam w chusteczkę, ona użyła papierowego ręcznika.

Rudy próbowała powstrzymać śmiech.

- Boże, mam to przed oczyma.

- Potem po prostu przestało mnie to interesować. Była taka żalosna, że nawet nie mogłam jej nienawidzić. Ale po raz pierwszy poczułam pogardę dla Gary'ego. Najwyższą pogardę.

- Gary to świnia - powiedziałam.

- Norma przestała płakać i powiedziała, że jest jej przykro, bardzo przykro i że przestanie go widywać. Spytałam ją, czy jest w nim zakochana, a ona powiedziała, że tak. - Uśmiechnęła się leciutko. - Ale, wiecie, nie sądzę, że była. I myślę, że w tej chwili zdała sobie z tego sprawę. Powiedziałam, że to nie ma dla mnie żadnego znaczenia, czy będzie go widowała, czy nie, bo ja go porzucam. I powiedziałam, że moim zdaniem powinna zrobić to samo.

Klasnęłam w dłonie.

- To dobre!

- Wróciłam do domu i powiedziałam Gary'emu, że to koniec. Moim jedynym błędem...

- Było porzucenie go zamiast wyrzucenia - dokończyła za nią Lee, a my wszystkie przytaknęłyśmy. Ten gest kosztował Isabel dom przy podziale majątku. Gary - świnia - nadal mieszka w podmiejskiej rezydencji, kosi ten swój trawnik, a Isabel musi się zadowolić ciasnym mieszkankiem z jedną sypialnią przy ruchliwej ulicy w Adams-Morgan. W niecałe dwa lata po rozstaniu się z Garym zachorowała na raka piersi, a Gary pokazał swoją klasę, próbując skreślić ją ze swojej polisy ubezpieczenia zdrowotnego. Ona w końcu wygrała, ale ta walka wcale nie była jej potrzebna w tym szczególnym okresie. Myślę, że bardziej go nienawidzę za to właśnie niż za cokolwiek innego.

- Nie wiem, czemu wam to opowiedziałam - Isabel potrząsnęła głową. - Mówię szczerze, nie myślałam o Normie od wieków.

- To smutna opowieść - rzekła Rudy.

- Powiedziałaś, że myślałaś o niewierności - przypomniała jej Lee.

- Tak. Ale bez specjalnego powodu.

Czy to sprawiła moja pełna winy wyobraźnia, ale zdawało mi się, że Isabel obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem! Szybkie, taksujące spojrzenie, by sprawdzić, czy to dotarło do mnie. Temat niewierności ostatnio i mnie zaprzęta. Nie wiem, czy mogłabym popełnić cudzołóstwo. Jeżeli ona



próbowała mi coś przekazać, to się sprytnie sprawiła. Przyda się mieć na uwadze, że gdybym nawiązała romans z Mickiem Draco, wówczas od takich Norm Stattlemyer odróżniałyby mnie tylko meble w mieszkaniu.

Isabel wsparła się rękami o stół i nachyliła.

- Już wiem, czemu wam to opowiedziałam. - Mówiła cichym, przejętym głosem i nachyliłyśmy się ku niej wszystkie, zaciekawione. - Chciałam, abyście wiedziały, że mu przebaczyłam. Nie, zaczekajcie - zniecierpliwiła się, usłyszawszy moje pogardliwe prychnięcie - posłuchajcie, to ważne. Nikt nie wie, czemu mężczyzna to robi...

- Isabel, istnieją pewne standardy... - Uczyniła gwałtowny, ucinający ruch dłonią. Zamknęłam usta.

- Nikt nie wie, czemu ktoś postępuje tak, a nie inaczej, nie zna wszystkich powodów, które do tego doprowadziły. Słuchajcie, chcę wam tylko powiedzieć, że życie jest krótkie. Jest takie krótkie, że nie warto go tracić na urazy. Wybaczenie nie jest wyrazem słabości i wcale nie oznacza braku moralności. Budda powiedział, że pragnienie zemsty jest jak plucie pod wiatr - szkodzisz jedynie samemu sobie. - Rozpostarła ramiona. W poświęceniu świec o waniliowym zapachu wyglądała jak anioł. - Wierzę, że wszyscy stanowimy jedno, wszyscy... jedno. - Zaśmiała się zażenowana, całkowicie świadoma, jak głupio to zabrzmiało dla kogoś takiego jak, dajmy na to, ja. - A separacja jest złudą. Kiedy przebaczam Gary'emu, przebaczam sobie.

- Tak, ale ty niczego nie zrobiłaś - wtrąciłam, głównie po to, by przerwać milczenie. Smutny uśmiech Isabel mówił, że nie zrozumiałam, ale ona mimo to mnie kocha. Wstałam, żeby zrobić kawę.

Przygasiałam światła, żeby wnieść deser - tort ze świeczkami roboty Isabel. To był gwóźdź programu. Śpiewałyśmy: „Sto lat”, a ona zdmuchnęła świece.

- Och, czemu nie przyniosłam kamery filmowej? - zawodziła Lee. - Jestem z ciebie taka dumna - powiedziała do Isabel, całując ją w oba policzki.

- Ja też - rzekła Rudy, pochylając się. - Cieszę się, że w końcu dla odmiany robisz coś dla siebie. Odtąd wszystko będzie lepsze.

- Słusznie - powiedziałam. - Druga połowa życia Isabel będzie wspaniała.

- Za drugą połowę życia Isabel - wzniosła toast Lee.

Uniosłyśmy nasze filiżanki z kawą, szklanki z wodą i resztki wina w kieliszkach.

Nie sądziłam, że ona będzie w stanie coś powiedzieć. Nigdy nie widziałam Isabel tak przejętej. Mało się nie rozpląkała. Jej łagodne niebieskie oczy lśniły, lecz w końcu zdołała rzec:

- Za nas wszystkie.

- Za nas wszystkie - powtórzyłam za nią i dodałam mój ulubiony toast: - Obyśmy żyły wiecznie.

Po wyjściu Lee i Isabel włożyłam płaszcz i wyszłyśmy z Rudy na ganek, żeby zapalić papierosa i popatrzeć na księżyc. Moi sąsiedzi to w jednej trzeciej Murzyni, w jednej trzeciej biali, w jednej trze-

ciej Latynosi, i to mi się podoba. Czasami o czwartej nad ranem budzi mnie wycie syren radiowozów policyjnych, czytam w gazecie o napadzie w następnej przecznicy czy natykam się na narkotykowe transakcje przed latynoskim warzywniakiem. Mimo to podoba mi się ta mieszanina klas i kolorów skóry, przy czym większość to ludzie prawomyślni i wszyscy próbujemy żyć w zgodzie, jak powiedział Rodney. Tego wieczoru panował spokój. Z okien moich sąsiadów padał miękki, żółty blask. W nocnej ciszy słyhać było tylko kroki spacerujących ze swymi ulubieńcami właścicieli psów.

- Isabel była dziś strasznie cichutka, prawda? Wyjąwszy tę opowieść o Normie - rzekła Rudy, a ja powiedziałam, że też to zauważyłam. - Emma, sądzisz, że Lee ma za złe mnie i Curtisowi, że chcemy mieć dziecko?

Odpowiedziałam ostrożnie:

- Myślę, że to musi być dla niej przykre. Ja i Henry'ego czekają trudne chwile. - Rudy westchnęła. Patrzyłam, jak para mojego oddechu unosi się w chłodnym, srebrzystym powietrzu. - Sądziłam, że Curtis nie jest zainteresowany posiadaniem dzieci.

Miała ten wyraz twarzy, jaki obie przybieramy, kiedy mówimy o Curtisie.

- Początkowo nie był, ale teraz jest. Ta nowa praca, o której ci mówiłam, jest już niemal murowana, a wtedy nasz dochód będzie ponad dwa razy większy. I to na początek.

- Więc to pieniądze go powstrzymywały? - Oto, pomyślałam, jest totalne samouwikłanie.

- Głównie. Och, Emma. Jestem taka podniecona. Nie chciałam tego okazywać ze względu na Lee. Ale, Boże, możesz sobie mnie wyobrazić jako matkę?

Zrobiłam unik, pytając:

- A co Greenburg myśli o tym?

Zaciągnęła się nerwowo i strząsnęła popiół za poręcz ganku.

- Nie wiem. On jest od zadawania pytań - zaśmiała się trzpiotowato. - Prawdopodobnie jest temu przeciwny.

- Cóż, nie można żyć tak, jak się psychoanalitikowi podoba. - Chociaż czasami nie byłoby wcale źle. Usiłuję się od niej dowiedzieć w jakiś sprytny dookolny sposób, co Greenburg myśli o Curtisie, ale Rudy mnie zwodzi. Nie chciałabym, aby Greenburg pozbawił ją złudzeń co do Curtisa. Czasami odnoszę wrażenie, że ja i psychoanalityk Rudy jesteśmy w zмовie polegającej na tym, aby nie mówić nic złego o Curtisie, aby nie urazić Rudy.

- Słusznie, i nie można czekać z urodzeniem dziecka, aż będę idealnie zdrowa i emocjonalnie zrównoważona. Boże, chybaby mi życia nie starczyło.

- Cóż, mam nadzieję, że urodzisz dziewczynkę i że będzie podobna do ciebie, nie do Curtisa - powiedziałam, udając żartobliwy ton.

Zbagatelizowała moją uwagę śmiechem. Oczy jej lśniły tęsknotą i nadzieją. Uderzyło mnie, jak bardzo pragnęła dziecka.

- Och, pomyśl tylko, Em. Mogłabym być matką za dziewięć miesięcy. - Uniosła twarz do księżycy i zadrżała, ale nie z zimna.

- Życzę ci tego - powiedziałam szczerze. - Mam nadzieję, że naprawdę tak będzie, i myślę, że to wspaniale. Mam nadzieję, że to się wkrótce stanie.

- Dziękuję ci bardzo. To dla mnie wiele znaczy. Zrobiło się późno. Muszę już iść.

Uściskała mnie mocno, a ja zrewanżowałam się jej słabiutko. Zapomniała zapytać mnie o Mica. A ja jestem tak przewrażliwiona w tej kwestii, że sama nie poruszyłam tego tematu.

- Naprawdę musisz już iść? Jest dopiero jedenasta. - Co miało znaczyć: Zostań dłużej i zapytaj mnie o mężczyznę, który mnie opętał.

- Nie, powinnam już iść, Curtis nie lubi, jak jeżdżę po ciemku. - Ruszyła w dół po schodkach.

- Chcesz, żebym do niego zadzwoniła? Powiedziała, że już jedziesz?

- Nie trzeba, mam swój telefon. - Poklepała torebkę. - Dziękuję za kolację. Było wspaniale. Chcesz pójść do kina w poniedziałek?

- Oczywiście. Zadzwonię w niedzielę wieczorem.

- Świetnie. - Pocałowała mnie. - Dobranoc, Em.

Zaparkowała w połowie kwartału. Patrzyłam, jak przemierza pas trawnika między chodnikiem a krawężnikiem, z wdziękiem omijając psie kupy. Bezmyślność, egoizm, zamyślenie, niedbalstwo - tego wszystkiego można się spodziewać po znajomych, ale nie po najlepszej przyjaciółce. Od niej oczekujesz doskonałości. Chcesz, żeby czytała ci w myślach.

Parkowanie na mojej ulicy jest trudne. Samochód, który stanął za wranglerem koloru khaki Rudy, zablokował ją. Musiała z dziesięć razy manewrować w przód i w tył, w przód i w tył, zanim w końcu wydostała się. W chwili, kiedy ruszała, przejechał obok z rykiem samochód, który o mało nie potracił jeepa Rudy, i zahamował z piskiem opon o kilka metrów od mojego ganku. Serce mi zamarło, ale ruszyło znowu i zaczęło szybko bić, gdy zobaczyłam, że to volvo kombi i wysiada z niego Lee.

Napadłyśmy z Rudy na nią.

- Co się stało? Gdzie Isabel?

Objęła nas obie i trzymała. Płakała i nie mogła mówić. Musiałam nią potrząsnąć.

- Gdy zawiozłam ją do domu, powiedziała mi w tajemnicy.

- Co?

- Rak.

- O mój Boże.

Przelykała łzy. Wzięłam ją za rękę, czułam, jak drży.

- Nawrót. Lekarz jest prawie pewien. Isabel musi się poddać badaniom szpiku kostnego.

Lee była załamana i Rudy ją przytuliła. Objęłam je obie i stałyśmy tak we trzy na środku ulicy, tuląc się do siebie.

Nadjechał samochód i zatrafił na nas. Pokazałam mu środkowy palec.

- Chodźmy. - Ruszyłam w stronę samochodu Lee, którego silnik wciąż pracował na wolnych obrotach. - Rudy, ty prowadzisz.

- Dokąd? Do Isabel?

- A jak myślisz, u licha?

- Ale ja miałam wam nie mówić! - wykrzyknęła Lee. - Wy o niczym nie wiecie!

Tylko na nią popatrzyłam.

- Słusznie - powiedziała, wychodząc z transu. - Jedźmy.

TLR

## 12.

### *Isabel*

Spora część mojej młodości ginie w pomroce niepamięci, wielu kawałków układanki brakuje, tak jakbym obok zwykłych chorób okresu dziecięcego, jak odra i wietrzna ospa, okresowo zapadała na amnezję. Jednak wieczór, gdy skapitulowałam przed swoimi rodzicami, jest wciąż żywy i wyraźny jak wycinanka. Miałam wtedy osiem lat. Wiem, ponieważ oznaczyłam to w mojej pamięci jak zakładką w książce, w pełni świadoma, że stało się coś znamiennego. „Mam osiem lat - myślałam - i to jest prawda. To jest coś, co wiem o mamie i tacie”.

Działo się to w Marshalltown w Iowa, we wczesny wieczór zimowy. Pamiętam światła palące się w salonie, zapach rozgrzanego kurzu od syczącego kaloryfera. Odgłos przewracanej kartki, a potem suchy kaszel matki. Przekradając się w dół po schodach, przystanąłam, aby popatrzeć na rodziców znad poręczy. W naszym małym domku nie było gabinetu i ojciec pisał swoje kazania w salonie na fotelu, wykorzystując szerokie podpórki pod łokcie jako biurko - notes na jednej, Biblia na drugiej. Siedział z nogą opartą o stołeczek, łokciem o kolano i czołem wspartym na dłoni. Układał w myślach suchy i niewypowiedziany nudny dyskurs, który miał wygłosić w beznamiętnym monologu w przyszłą niedzielę w Ewangelicznym Kościele Luterskim Concordia.

Po drugiej stronie błękitnego owalnego dywanu obszytego wstążką, w lichym, sześćdziesięciowatowym blasku koloru starego złota od emaliowanej lampy moja matka schylała się nad sztuką ciężkiego materiału na kolanach - może zasłoną, a może częścią ciemnego, ponurego ubioru mego ojca. Jej czoło lekko się marszczyło za każdym razem, gdy wbijała gładko igłę i wyciągała długą nitkę po drugiej stronie szwu. Nie grała muzyka, nie mieliśmy radia ani telewizora. Moi rodzice siedzieli naprzeciwko siebie milczący i nieruchomi.

W tej chwili zrozumiałam znaczenie słowa zastój. Poznałam czczość nadziei, że się cokolwiek zmieni, nie tutaj, nie w tym pokoju. W salonie królowała cisza, cisza przesyciała wszystko. Między nami. Mój ojciec więcej mówił w niedzielę w kościele niż w domu przez resztę tygodnia. Pomyślałam: „Coś jest nie tak. Inni ludzie nie są tacy”.

Pochłonięta tą myślą, zeszałam na dół, podeszłam do matki i stanęłam przy jej krześle. Wykonała jakiś gest, skinęła głową lub wzruszyła ramieniem, ale nie podniosła wzroku ani nic nie powiedziała. Miała na sobie brązowy, wełniany, rozpinany szlafrok i bluzkę musztardowego koloru, białe podkolanówki i bambosze. Oparłam się o jej twarde, żylaste ramię i przyjrzałam się jej postarzałej twarzy kobiety pięćdziesięcioletniej, siwym falującym włosom. Spojrzała na mnie zdumiona.

- Co się stało? - zapytała i położyła chłodną, pająkową dłoń na moim czole.

Zastanawiałam się nad odpowiedzią. Mogłam powiedzieć: „Nie czuję się dobrze”. Tak mówiłam w przeszłości, żeby zwrócić na siebie uwagę. Byłam bystrym dzieckiem. Ale ten wieczór był inny. Tego wieczoru dorosłam.

- Nic - powiedziałam i oddaliłam się.

Ojciec nawet nie podniósł wzroku i nie przestał pisać. A ja skapitulowałam. Straciłam nadzieję.

Jakże ponuro to brzmi. Biedne dziecko, którym wtedy byłam. W rzeczywistości nieźle sobie radziłam. Myślę, że dobrze wtedy postąpiłam, porzucając wszelką nadzieję na zbliżenie, które miało nigdy nie nastąpić. Moi rodzice nie byli potworami.

Wiele lat później, kiedy umierał ojciec, czuwałam przy nim z matką i siostrą przy żelaznym szpitalnym łóżku. Leżał z kamienną twarzą, milczący jak zawsze. „Kocham cię, tato” - powiedziałam ten jeden raz. Był wtedy jeszcze przytomny. Skierował spojrzenie swoich bladoniebieskich oczu na mnie i zamrugał powiekami. Zwilżył usta językiem i myślałam, że przemówi, ale on pokiwał tylko głową. A ja pomyślałam: „Może sądzi, że to zrozumiałe. Przez te wszystkie lata było dla niego oczywiste, niewarte, by wypowiadać na głos. Może”.

Moja siostra jest taka sama jak oni. Ledwie ją znam. O osiemnaście lat starsza, bardziej ciotka niż siostra, krewna, którą się rzadko widuje. Raz w roku posyłam jej kartkę z podziękowaniem, jeśli pamięta i przyśle mi życzenia urodzinowe. Jednak ostatnio pisze do mnie częściej. „Czy umieścimy mamę w domu opieki?” - pyta. Odpisuję: „Chyba tak”. Mama ma pięćdziesiąt cztery lata i traci rozum. Dziwne: nigdy nie poświęcała mi więcej czasu niż to niezbędne, nic ekstra, jak przytulanie, żarty, śmiech, rozmowa. A mimo to teraz, kiedy już prawie odeszła, bardzo mi jej brak. Ojca też. Dziwne.

Mimo to nie wyrosłam na wyobcowaną i zimną kobietę, uganiającą się za mężczyznami w poszukiwaniu akceptacji. W poradnikach, telewizyjnych pogadankach przestrzegają, że taki los czeka każde samotne dziecko. Prawdziwe życie jest o wiele bardziej skomplikowane. Albo prostsze. Jedno wiem: miłość jest silniejsza niżli zaniedbanie, obojętność, odtrącenie. Ja szukałam jej w innych miejscach niż dom moich rodziców - i znajdowałam.

W końcu jednak Gracje nie dotarły do mnie tego wieczoru, gdy Lee pognała z powrotem do Emmy i powiedziała jej i Rudy o mnie, chociaż prosiłam, żeby im nie mówiła. Przyjechały na moją ulicę i zaparkowały przed domem. Dziesięć minut debatowały, co robić. Postanowiły zrobić rekonesans - objechać dom dookoła i zobaczyć, czy u mnie się świeci. Gdyby się świeciło, zapukałyby i zażądały wpuszczenia do środka.

Wszystkie okna były ciemne.

Znowu podebatowały i wróciły pod dom Emmy. Siedziały w samochodzie ponad godzinę i rozmawiały o mnie. Było to najlepsze ze wszystkich możliwych rozwiązań, ponieważ rozmowa o mnie w ten wieczór była im bardziej potrzebna niż rozmowa ze mną.

- Żadna z nas nie chciała wysiąść z samochodu - doniosła mi później Lee. - Nie wyobrażałyśmy sobie, że mogłybyśmy ot tak, wejść, usiąść, pić kawę, spoglądać na siebie w pełnym świetle. Siedziałyśmy więc w samochodzie, rozmawiały i patrzyły przed siebie. Jak w kinie.

Emma czuła się urażona, ponieważ zwierzyłam się Lee, a nie jej. (Mnie tego oczywiście nie powiedziała, dowiedziałam się od Rudy. Emma myśli, że jeśli przemilczy swoje słabostki, nikt ich nie zauważy). Ale nie było na to rady, mogłam zrobić tylko to, co robiłam. Ta wiadomość była zbyt świeża, a ja zbyt - obolała. W ogóle nie powinnam była przychodzić tego wieczoru do Emmy, ale w ostatniej chwili jakiś impuls nakazał mi opuścić moją samotnię i spotkać się z Gracjami. Byłam przemarznięta, a wiedziałam, że tam będzie ciepło.

„Metastasis, jestem prawie pewien - powiedział doktor Glass. - Bardzo mi przykro”. Potem ledwie mogłam słuchać. Usłyszałam jeszcze „czwarty stopień” i coś o kości. Pomyślałam o lekkim bólu w biodrze, o którym sądziłam, że to nadwerżony mięsień. W głowie miałam pustkę. Co najdziwniejsze, zrobiłam się cała lodowato zimna, ogarnęło mnie odrętwiające przerażenie. Pamiętam, że wyszłam z gabinetu doktora Glassa, ale nie pamiętam, jak wsiadłam do windy i jak wyszłam z budynku. Robotnicy rozkopywali chodnik na ulicy P. Hałas młotów pneumatycznych był tak ogluszający, że się ocknęłam. Padał deszcz. Przystanek autobusowy był o kilka przecznic dalej. Może powinnam wziąć taksówkę? Ale taksówka zawiozłaby mnie do domu, a jaki był w tym sens? Jaki był sens w czymkolwiek? Stałam i patrzyłam na przechodniów, którzy przechodzili na drugą stronę ulicy, słuchałam, jak światła zmieniają się z pstryknięciem z zielonego na czerwone. Jakaś kobieta mnie potrąciła. „Och, przepraszam” - powiedziała z uśmiechem, a ja spojrzałam na nią z tępym zdumieniem. „Sądzisz, że to ważne?” Skierowałam to pytanie do jej oddalających się pleców. Czy ktoś cię potrąci, czy masz na sobie ciepłe wełniane palto albo kupisz drogą aktówkę, czy przeczytasz gazetę albo umówisz się z optykiem, by sprawić sobie nowe okulary, urządzisz wystawną kolację, dostatecznie się wysypiasz, marzysz o wakacjach, spotykasz się z mężczyzną, łykasz witaminy, kupujesz kwiaty u sprzedawcy na rogu? - Sądzisz, że cokolwiek z tego ma znaczenie? Nic nie ma znaczenia. Ja to wiem.

Wpadłam w duchową koleinę, tak jak poprzednio, gdy dowiedziałam się, że mam raka. Chłodny deszcz przemoczył mój trencz na ramionach i ocucił mnie, tak jak przedtem młoty pneumatyczne. Ziemska rzeczywistość wymusiła na mnie ruch. Mogłam pójść do domu, ogrzać się, uporać z tym. Póki nie umarłam, jestem żywa. Uniosłam rękę. Hamująca raptownie taksówka ochlapała mi wodą z kałuży pantofle. Podałam kierowcy adres i zawiózł mnie do domu.

Od tej pory żyję chwilą. Karmię psa, wydaję pocztę ze skrzynki, zmiatam okruchy z kontuaru. Wbrew temu, co czuję, moje życie nie zatrzymało się w gabinecie doktora Glassa, trwa nadal, a przyszłość jest jak zawsze wielką tajemnicą. No, nie, to nie jest całkowita prawda. Właściwie jedyna dobra rzecz, jaka wynika z mojej sytuacji, jest taka, że przynajmniej skończyła się niepewność. Wygląda na to, że Isabel Thorlefsen Kurtz umrze na raka piersi, nie w wypadku samochodowym, nie spokojnie we

śnie ze starości, nie na AIDS ani na zawał, nie przypadkowo zastrzelona. Nie będzie więcej spekulowania: jest wreszcie pewność. To już coś.

Chcę być szeroko otwarta na prawdę, nie chcę udawać ani się kryć, dygocząc, za ironią czy biernością. Akceptacja jest jednak na samym końcu słynnej listy pięciu etapów. Najpierw przychodzi odrzucenie, lecz ja chyba ominęłam ten etap. Doświadczyłam tego poprzednio, teraz jestem już poniekąd zahartowana. Jaka jest różnica między nadzieją a fałszywą nadzieją? Kto może powiedzieć, jaka jest „najlepsza śmierć”? Skąd ja, skąd ktokolwiek może to wiedzieć? Wkrótce będę na zażyłej stopie z tymi i wszystkimi innymi pytaniami, na które nie ma odpowiedzi.

Mam jeszcze wiele do zrobienia, kilka decyzji do podjęcia. Muszę mieć jasną głowę i nie zamącać jej lękiem i myślami o stracie. Będzie czas i na to. Nie jestem jeszcze przygotowana na współczucie ludzi, którzy mnie kochają (tego właśnie Emma nie mogła zrozumieć, a ja sprawię, że zrozumie, ale jeszcze nie teraz). Muszę wytrwać jak najdłużej i utrzymać moją chorobę w tajemnicy. Dlatego nie dzwoniłam do nikogo. Najpierw uporządkuję dom. To bardzo istotne, żebym pracowała, planowała, chodziła koło swoich spraw, jakby to nadal miało sens. Jakaś część mojego mózgu ciągle ma nadzieję, że z tego wyjdę. Cichy wewnętrzny głos mówi: „Masz dopiero pięćdziesiąt lat, nie umrzesz. To nie może być koniec”.

Ostatnie dwa lata były dla mnie najlepsze i gdybym nie zachorowała, nie miałabym ich. Więc muszę zadać nieuniknione pytanie: czy było warto? Czy to sprawiedliwa wymiana? Na pozór wyglądało, że najlepsze miało mi się właśnie przydarzyć - zadowolająca praca, wreszcie jakieś ustabilizowanie i bezpieczeństwo, może nawet miłość. Ale od wewnątrz miałam już wszystko. Życie jest po to, aby je przeżywać, a nie smakować w czasie przeszłym. Otrzymałam dwa wspaniałe lata bogatej, dręczącej niepewności i nieoczekiwanego zadowolenia. Czy to dość?

Boję się tego pytania. Powiedziałam, że nie zrobię tego, ale wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie, wszystko, co kocham. Zaparzyłam czajniczek indyjskiej herbaty i wypiłam ją z miodem szafranowym. Delektowałam się jej piżmowym, dymnym smakiem jak nigdy dotąd. Gdybym miała szkocką, nalałabym sobie szklaneczkę. Szczypałaby mnie w język, gorący, męski ogień paliłby mi przełyk.

W nocy napadało trochę śniegu. Otworzyłam okno, zgarnęłam garstkę i pozwoliłam, by topniał mi na dłoni. Wysunęłam język i spróbowałam go, był brudny, metaliczny i rozkoszny.

Nie mogę się nasycić muzyką. Nastawiłam sonatę Beethovena na fortepian, która mnie zawsze skłania do płaczu, a gdy przyszło adagio, załamalam się.

Gracja coś podejrzewa. Obserwuje mnie bezustannie. Podnoszę wzrok i napotykam spojrzenie jej brązowych oczu, wlepione we mnie i zatroskane. Słodka staruszka. Ma chyba dziesięć lat i prawdopodobnie przeżyje mnie. Nigdy się tego nie spodziewałam.

Drobiazgi. Myśl o ich utracie sprawia, że stają się mi jeszcze droższe. W sytuacji takiej jak moja łatwo zapomnieć, że na życie składają się również okrucieństwo, obojętność, brutalność, zakłama-



nie, bigoteria, głód, chciwość, sprzedajność, obłąd, korupcja. Myślę tylko o słodyczy i ulotności. Księżyc w nowiu, smak pomarańczy. Zapach kartek nowej książki. Słyszę Kirby'ego, jak kręci się po swojej sypialni, dokładnie nad moją. Czy zostałby moim kochankiem? Słucham głosów moich przyjaciółek, które dzwonią i nagrywają się na sekretarkę. „Isabel, o Boże, nie wiem, co powiedzieć”. „Isabel, błagam, zadzwoń, całuję”. I wiem, że nie będę mogła długo trzymać się od nich z dala. Muszę powiedzieć synowi, matce, siostrze. Och, świat bombarduje mnie. Zostanę zasypana miłością, jeżeli nie będę uważała.

Badanie kości we wtorek - pro forma, Glass już wie wszystko. W środę znów wizyta w jego gabinecie. Wezmę notes i zapiszę każde jego słowo. Wypytam go o wszystko. A może nie...

Tak. Poproszę Lee, żeby ze mną poszła.

TLR

## 13.

### *Lee*

Z początku myślałam, że tylko ja nie mogę znieść doktora Glassa, ale okazało się, że wszystkie go nienawidzimy. Z wyjątkiem Emmy potrafiłyśmy jednak zdobyć się na grzeczne zachowanie.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi - powiedziała pochylona do przodu, z wysuniętą głową, jakby ktoś ciągnął za smycz owiniętą wokół jej szyi. - Jest pan jedynym doktorem w tym pokoju, więc proszę z łaski swojej wyrażać się zrozumiale.

Nigdy nie słyszałam u niej takiego ostrego tonu. Czułam się trochę zażenowana, ale w pewnym sensie Emma mówiła w imieniu nas wszystkich.

Na ścianie nad biurkiem doktora Glassa wisiało mnóstwo oprawionych w ramki dyplomów. Miał ze smakiem urządzony gabinet, spory personel i związki z kilkoma prestiżowymi szpitalami. Czego mu nie dostawało, to odpowiedniego stosunku do pacjenta. Pan doktor nie sprawiał wrażenia, że zależy mu na ludziach, którzy do niego przychodzą wysłuchać najgorszych wiadomości. Może mu i zależało, ale trudno to było wyczytać z jego oczu bez wyrazu, słabiotkiego uśmiešku i niemal niedo-słyszalnego głosu. Poruszał ustami jak brzuchomówca - to znaczy prawie wcale. Musiałyśmy się pochylić, ja z notesem przyciśniętym do piersi - byłam oficjalną sekretarką - i wytężyć słuch, żeby usłyszeć jego szybkie jak karabin maszynowy mamrotanie.

- Mówię, że są przerzuty i chirurg nie ma tu już nic do roboty. W stadium czwartym choroby nowotworowej jest kilka sposobów leczenia, aczkolwiek tylko niektóre z nich są wskazane w przypadku tej pacjentki...

- W przypadku Isabel. Ona jest tą „pacjentką” i ma na imię Isabel.

- Emma... - powiedziała proszącym tonem Isabel. Była biała jak kreda, ale spokojna, spokojniejsza od nas. Nawet gdy Glass wyliczał te metastazy - mówił o nich mets - w kręgosłupie i miednicy, w obu kościach udowych i w klatce piersiowej, siedziała z dłońmi złożonymi na kolanach i patrzyła mu prosto w oczy. Ręce mi się tak trzęsły, że ledwie mogłam pisać. Nie tylko sposób mówienia doktora utrudniał notowanie. Mój umysł wciąż włączał się i wyłączał - było to najdziwniejsze uczucie, jakby lęk spinał mi na krótko obwody w mózgu.

Przynajmniej nie płakałam. Płakała Rudy i żeby ukryć to przed Isabel, wstała, podeszła do okna i udawała, że patrzy na ruch uliczny na Reservoir Road. Zobaczyłam jednak, jak ukradkiem wyjmuje chusteczkę z kieszeni i zakrywa nią usta i nos. Chciałam krzyknąć na nią: „Nie waż się chlipać!”. Tego nam tylko brakowało. Szorstkość Emmy miała na celu odwrócenie uwagi - mogłyśmy skupić się właśnie na niej zamiast na tych okropnych rzeczach, które doktor Glass wymieniał jedna po drugiej.

- W przypadku Isabel - rzekł, mrużąc oczy za okularami z dwiema ogniskowymi - mamy do czynienia z carcinomatozą w odległym miejscu. Pacjentka właśnie przechodzi menopauzę, poziom estrogenu jest zadowalający, w przeciwieństwie do progesteronu, była już raz poddana chemoterapii - w tej sytuacji twierdzą, że dostępne środki terapeutyczne są mocno ograniczone.

- A co z przeszczepem szpiku kostnego? - Emma ścisnęła poręcze krzesła obiema rękami, aż kostki jej palców pobieleły. - To by ją mogło uleczyć, prawda?

Doktor Glass złożył koniuszki palców i zacisnął usta.

- Trzeba rozważyć kilka czynników przed zaaprobowaniem APSK/TKK. Autologiczny przeszczep szpiku kostnego lub transplantacja komórek krwi - rzekł. Kiedy Emma tupnęła obcasem w okrytą dywanem podłogę, skierował zimne spojrzenie na Isabel. - Na początek nie wykluczyłbym terapii antyestrogenowej, aczkolwiek pani już zażywała tamoksifen, z niepomyślnym skutkiem. Nie robiłbym więc sobie wielkich nadziei. Jest jeszcze chemoterapia. W chwili obecnej nie można powiedzieć, czy pani będzie lepiej reagowała na WDC czy SDC.

- Wysokie dawki chemoterapii czy standardowe dawki chemoterapii - wtrąciłam. - Czytałam o tym w Internecie.

Uśmiechnął się prawie niedostrzegalnie.

- Bardzo dobrze. - Ale zdziwienie w jego głosie było obraźliwe i solidaryzowałam się z Emmą, kiedy cmoknęła językiem. - Z czasem - jeszcze za wcześnie, aby o tym mówić - może się pani zdecyduje poddać temu, co nazywamy chemoterapią wzbudzającą, stosowaną u pacjentów zakwalifikowanych do WDC w połączeniu z APSK/TKK. Nie jest to terapia sama w sobie, ale pomaga zorientować się, czy rak zareaguje na leki stosowane w chemoterapii wysokich dawek, co wcale nie oznacza, że WDC z APSK/TKK będzie bardziej skuteczne niż SDC, to po prostu znaczy, że nowotwór jest wrażliwy na chemoterapię. Trudno powiedzieć, czy będzie pani dłużej żyła lub żyła lepiej z WDC niż z SDC.

- Więc tak naprawdę to nie znaczy nic.

- Znaczą dokładnie to, co powiedziałem.

Patrzyliśmy to na Glassa, to na Emmę, którzy nie odrywali od siebie wzroku. On wyglądał na zirytowanego, ona zaś jak czarownica, jak furia. Mogłabym przysiąc, że włosy stały jej dęba. Nawet Rudy odwróciła się od okna, zarażona wrogością panującą w pokoju, gęstą jak mgła.

W środku pełnej napięcia ciszy Isabel wstała.

- Zadzwoń do pana w sprawie terapii hormonalnej i testu przed, jak pan się wyraził, chemoterapią wzbudzającą... - Machnęła lekko ręką. - Szło jej o to, że prawdziwa nazwa nie jest ważna. Wszyscy, nawet Glass, a zwłaszcza Emma, wyglądali na smutnych i zażenowanych. Bo przez kilka minut łatwiej było zachowywać się, jakby problem dotyczył konfliktu między lekarzem a pacjentką, a nie czyjeś życie. Życia Isabel.

Zjeżdżałyśmy windą w dziwnym, pełnym skrępowania milczeniu, póki Rudy nie zapytała, dokąd pójdziemy na obiad. Zdecydowałyśmy, że do Sergieja do Georgetown, bo mogłyśmy tam dotrzeć pieszo. Stałyśmy w windzie zbite w gromadkę, stykając się rękami i barkami jak maszerujący w demonstracji, i nie patrzyłyśmy sobie w oczy. To mnie Isabel prosiła, żebym z nią poszła do doktora Glassa, nie Rudy ani Emmę. Ale one się jakoś dowiedziały i uparły, żeby pójść z nami. To mnie doprowadzało do szału, jak można być takim nachalnym, takim nieczułym, myślałam. A teraz... och, Boże. Teraz nawet nie chciałam myśleć, co bym bez nich zrobiła.

Poprosiłyśmy o łóżę w kącie restauracji, a ja poszłam zadzwonić do biura. Powiedziałam mojej asystentce, że przyjdę później, niż myślałam. Kiedy wróciłam, Rudy zamawiała napoje.

- Podwójna szkocka z lodem - powiedziała jak mężczyzna, jak mój ojciec. Isabel i ja poprosiłyśmy o mrożoną herbatę.

- Proszę piwo, jakie tam macie, z beczki - powiedziała Emma.

Gdy przyniesiono napoje, żadna z nas nie wzniosła toastu. Zawsze wnosimy jakiś toast przy pierwszym drinku. Ale tym razem po prostu sączyłyśmy swoje napoje, nadal nie patrząc na siebie. Wszystko, co mi przychodziło na myśl, brzmiało zbyt lekko albo zbyt ponuro, toteż po prostu milczałam. W końcu Emma powiedziała:

- Kto tu jest skurwielem? Ja czy ten facet - i wtedy wszystkie razem zaczęłyśmy mówić.

Glass był okropny, ale nie chciałam tego powiedzieć w obawie, że może Isabel go wciąż lubi - lecz się u niego od dwóch lat. Ale ona nam powiedziała:

- Poszłam do niego, bo słyszałam, że jest dobry, a potem już nie było powodu, żeby iść do kogoś innego - sądziłam, że jestem wyleczona. Ale zawsze uważałam, że jest arogancki.

- Arogancki to za mało powiedziane - prychnęła Emma. - Znienawidziłam go od pierwszego wejrzenia. Zauważyliście z jaką miną przytrzymywał drzwi?

Nie chciał nas wpuścić do gabinetu. Powiedział, że z pacjentką może wejść tylko jedna osoba towarzysząca. Jakaś częśćka mnie nawet go rozumiała, ale to właśnie ja powiedziałam z naciskiem:

- Chcemy usłyszeć, co pan ma do powiedzenia naszej przyjaciółce, doktorze. Występujemy tu jako rodzina zastępcza Isabel. - On na to rozłożył ręce, jakby sugerował, że to absurd. Patrzyłyśmy na niego zimno i ani drgnęłyśmy, więc w końcu nie miał wyjścia. Emma miała rację: przytrzymywał drzwi z sarkastyczną miną.

Zamówiłyśmy obiad, jakby nie stało się nic okropnego. Isabel jadła sałatkę z owoców morza. Na pewne tematy mogłyśmy rozmawiać, ale żadna nie zdobyła się na to, żeby zapytać Isabel, jak się czuje. Jak się czuła, kiedy Glass mówił o raku w jej ciele? Mogłyśmy jedynie być sobą, razem, tak jak zawsze.

Emma zadała Isabel pierwsze osobiste pytanie:

- Powiedziałaś Terry'emu albo matce?

- Jeszcze nie. Chciałam mieć pewność. - Odłożyła widelec i odchyliła się w tył. Prawie nic nie zjadła. - Moja matka nie zrozumie - prawdopodobnie wcale jej nie powiem. Nie ma sensu. - Razem z siostrą umieściły ją w domu starców, gdy zachorowała na Alzheimera. - Muszę jednak powiedzieć siostrze. I Terry'emu. Och, Boże - szepnęła i mocno zacisnęła powieki.

Rudy poczerwieniała, zakryła usta dłonią. Emma odwróciła wzrok.

- Może ja zadzwonię do Terry'ego - zgłosiłam się na ochotnika.

Isabel pogłaskała mnie po ramieniu, uśmiechając się z zaciśniętymi zębami.

- Dzięki. Zadzwonię dziś wieczorem. Tak będzie lepiej. - Ścisnęła mój łokieć. - Dzięki - rzekła bezgłośnie.

Tego dnia była najbliższa płaczu.

- Mogę zacząć szukać w sieci - powiedziałam, usiłując, aby to zabrzmiało dziarsko. - Robiłam to już w pracy. Zdumiewające, ile tam można znaleźć informacji, w dodatku łatwo dostępnej.

- Prawdę mówiąc, Kirby już to robi.

- Kirby? Twój sąsiad?

Isabel kiwnęła głową.

- Zaczekaj chwilę. Kirby wie? - Nie mogłam uwierzyć. Kirby wiedział, a Terry'emu jeszcze nie powiedziała?

Jej policzki lekko poróżowiały. Wciąż obracała łyżeczkę na obrusie.

- Jeszcze wam tego nie powiedziałam. Nie miałam okazji.

- Czego?

- Że Kirby... - uniosła oczy i zaśmiała się. - Kirby jest we mnie zakochany. Tak mówi.

- Cooo?

- Przecież jest gejem!

- Sama mówiłaś, że jest gejem.

- Tak, cóż. Widocznie się myliłam.

- No, no. - Emma odchyliła się w tył i zaczęła się śmiać.

- Świetnie - rzekła Rudy z zadowoloną miną. - Lubisz go? Isabel wzruszyła ramionami.

- Czy jesteście, no wiesz...

- Kochankami? Nie.

Emma przestała się śmiać, żeby zapytać:

- A będziecie?

Twarz Isabel była przez chwilę ożywiona, ale teraz spoważniała.

- Może. Jeszcze nie zdecydowałam. Ponadto... - Potrząsnęła głową. - On jest przyjacielem, dobrym przyjacielem.

Dobrym przyjacielem. Pierwsze słyszę. I powiedziała mu o swojej chorobie, a własnemu synowi nie. Ale najpierw powiedziała mnie, a może jednak jemu. Nie cierpię zazdrości. Sprawia, że czuję się podle.

Po krótkiej chwili zaczęłyśmy mówić o innych rzeczach, rzeczach normalnych. Ciekawa byłam, czy któraś z Gracji była tak samo tym zaskoczona jak ja. „I tak już będzie do końca” - zdałam sobie sprawę. Cokolwiek się stanie, Isabel dołoży starań, żeby to było dla nas jak najłżejsze.

Przy kawie zapytała o Henry'ego.

- Co z tym badaniem spermy? Macie już wyniki?

- Tak - odparłam. - Wczoraj zadzwoniła pielęgniarka. Wszystko już wiemy.

- Tak?

- I co?

Czułam się winna, że jestem szczęśliwa, podczas gdy moja najbliższa przyjaciółka przeżywa kryzys. Lecz wyczekiwanie na twarzach Gracji i podniecenie Isabel zatarło wszystko.

- Nie uwierzycie. Henry ma za dużo spermy.

Twarze im się wydłużyły, a potem wszystkie wybuchnęły śmiechem - wiedziałam, że tak będzie.

- Odczuł taką ulgę. Norma jest od dwudziestu milionów do dwustu milionów na milimetr kwadratowy, a Henry ma ponad miliard.

- Co ty mówisz!

- Miliard?

- To rzadki przypadek.

- Ach, jaki to męski mężczyzna - rzekła Emma. - Powiedz mu, że wzbudza we mnie grozę.

- I co teraz będzie?

- Cóż, prawdopodobnie nie mogę zająć w ciążę w normalny sposób. Jest to kwestia ruchliwości - on ma tak wiele plemników, że się zbijają w kupę i nie mogą się ruszać. Musimy więc zrobić SZ. Sztuczne zapłodnienie.

- Przy użyciu spermy dawcy?

- Nie, mogą posłużyć się spermą Henry'ego.

- Och, Lee, to cudownie!

- Tak się cieszę!

- Pielęgniarka powiedziała, że za sześć miesięcy mogę już być w ciąży.

Isabel pochyliła się i pocałowała mnie. Ta wiadomość trzymała mnie przy życiu. Jak mogłam stracić nadzieję na jej uleczenie, skoro mnie samej zdarzyło się coś tak cudownego?

- To wspaniale. Ale wiesz - rzekła Emma - pięćdziesiąt lat temu nie miałybyś tyle szczęścia. Dziękujemy Bogu za cud nowoczesnej medycyny. - Zobaczyłam, jak wyciąga rękę po swój napój, a potem ją cofa.

Zapadło pełne zakłopotania milczenie. Emma zamierzała wznieść toast za cud nowoczesnej medycyny. Potem przypomniała sobie: najbardziej potrzebującą cudu była Isabel.

- Dobra - powiedziałam, odsuwając talerz - jaki jest plan? Jak zamierzamy to rozpracować? Ja zajrzę znów do Internetu.

Kirby też - co dwie głowy to nie jedna. Naprawdę tak uważam. Najpierw będziesz musiała zdecydować, co z terapią hormonalną, więc od tego właśnie zacznę. Wciąż mamy mnóstwo czasu, żeby się zastanowić nad WDC i SDC czy TKK, jeżeli zdecydujesz się pójść tą drogą. Mój ojciec zna świetnego onkologa w Sloan-Kettering, grywali kiedyś w golfa, spróbuję do niego zadzwonić i poprosić, żeby polecił nam lekarzy specjalistów, najlepiej miejscowych. Będziesz potrzebowała co najmniej dwóch niezależnych opinii, nie sądzisz? To byłoby idealne, pozwoliłoby rozstrzygnąć dalsze postępowanie. Jak wygląda twoje ubezpieczenie zdrowotne? Sprawdzalas, co wchodzi w pakiet zdrowotny, a za co będziesz płaciła sama?

Emma zaczęła się śmiać. Isabel przyłączyła się do niej, nawet Rudy wyglądała na ubawioną.

- Co was tak śmieszy? - zapytałam.

- Nic. - Isabel objęła mnie ramieniem.

- Czy się rządzą?

- Nie.

- Jesteś wspaniała - powiedziała Emma.

- Naprawdę - dodała Rudy.

- Cóż, ktoś to musi zorganizować. A przypuszczam, że czas odgrywa tu istotną rolę, nie? Mam rację?

Przestały się śmiać.

- Masz rację - rzekła cicho Isabel.

# 14.

## *Rudy*

- Ona musi wyzdrowieć, Emma. Wygląda świetnie, Boże, wygląda pięknie.

- Wiem, nigdy nie wyglądała lepiej.

- Jak to się mogło stać?

- Nie wiem. - Emma potrząsnęła głową, przygnębiona.

Zostałyśmy same, Isabel i Lee wyszły od Sergieja około trzeciej, ale my z Emmą ani drgnęłyśmy. Jak za dawnych czasów.

Podeszła kelnerka.

- Może chcą panie jeszcze trochę kawy?

- Nie, ale proszę jeszcze jedną szkocką - powiedziałam. - Tym razem pojedynczą.

Emma spojrzała na mnie i uniosła brwi.

- Nie krępuj się. To chyba znaczy, że będę musiała wypić jeszcze jedno piwo.

Zacząłyśmy pić. Czasem alkohol robi mi naprawdę dobrze. Przepływa przez gardło jakoś tak gładko, nie potrafię tego wytłumaczyć, po prostu wiem, że będzie doskonale. Tym razem dał mi odwagę powiedzieć:

- Bardzo się boję. Och, Emmo, co będzie, jeśli ona umrze? - wyszeptałam. - Co będzie, jeśli Isabel umrze?

Przesiadła się na miejsce obok mnie.

- Ja także się boję. O niczym innym nie mogę myśleć.

- Ja po prostu nie mogę w to uwierzyć. Ciągle. W zeszłym tygodniu czuła się świetnie, a w tym umiera. Jak to możliwe?

- Ona nie umiera. Ludzie żyją z tą chorobą latami. Zdarzają się wyzdrowienia, czytałam o tym.

- To prawda.

Emma rysowała pionowe kreski na zaroszonej szklance piwa.

- Mój ojciec zmarł na raka.

- Ale byłeś mała, prawda?

- Miałam osiem lat i rodzice byli już rozwiedzeni. Wiem niewiele, tyle tylko, że zmarł na raka.

Wątroby.

- Nienawidzę raka.

- Bo zabija powoli. Boże, wolałabym być potrącona przez autobus. Cokolwiek.



Przestałam rwać serwetkę na strzępy, żeby popatrzeć na swoje dłonie. A gdybym to ja umierała? Moja skóra... kształt moich palców, błękitne żyłki na przegubach. Uległabym zatraceniu. Jestem, a potem pustka.

- Ona nie umrze - powiedziałam. - Jest za młoda. - Ale myślałam o sobie.

- Możesz mi dać papierosa? - zapytała Emma.

- Rzuciłam palenie, ale możemy kupić paczkę na spółkę. Wstała i poszła po winstony.

- Czy uwierzysz, że mam dziś wieczorem randkę? - powiedziała, wydmuchując kółko dymu pod sufit. Znowu siedziała po swojej stronie łoża. Zmieniła temat, zmieniła nastrój. Ze względu na mnie. Troszczy się o mnie.

- Z kim?

- Z Bradem. Tym samym.

- Sądziłam, że zerwaliście.

- Zerwaliśmy, a potem siłą bezwładu wróciliśmy do siebie. Ale dziś wieczorem powiem mu, że to naprawdę koniec.

- A co w nim złego?

- Nic.

Uśmiechnęliśmy się, gdy się zorientowałyśmy, że taką rozmowę na temat różnych mężczyzn odbyłyśmy z tysiąc razy. „A co w nim złego? Nic”. Emma mogłaby napisać książkę pod takim tytułem.

Zmrużyła oczy i zdierała paznokciem kciuka etykietę z butelki od piwa. Podpięte do góry włosy odsłaniały emaliowane kolczyki, które jej zrobiłam na urodziny. Emma uważa, że ma za bladą cerę i za szerokie biodra, myśli, że jej włosy są zbyt rude albo zbyt miedziane czy jakie tam. Nic z tego nie jest prawdą. Czasem mnie to martwiło, jak bardzo się myli co do własnego wyglądu, lecz teraz to po prostu akceptuję. Taka jest Emma. W każdym razie mam taką teorię, że ludzie niezadowoleni ze swojego wyglądu są dla siebie uprzejmiejsi i bardziej tolerancyjni.

- Jesteś zakochana?

- Czy ja jestem zakochana? - Uśmiechnęła się afektownie. Zwijała kawałki etykiety w kuleczki i wrzucała do popielniczki. W końcu przestała się bawić i rzekła: - Jak mogłabym być? Prawie go nie widuję.

- A czemu w ogóle się z nim spotykasz?

- No bo, po pierwsze, pomaga mi przy artykule, który być może napiszę o świecie artystycznym.

- Jeszcze jeden artykuł?

- To zupełnie inna sprawa. Nawet nie mój pomysł - powiedziała defensywnie. - Redaktorowi „Capital” spodobał się ten kawałek, który napisałam dla gazety, i zasugerował, żebym zrobiła coś w tym stylu dla nich. Stan sztuki w Waszyngtonie.

- A czy ty coś wiesz o stanie sztuki w Waszyngtonie?

- Nie. - Zaśmiała się. - Mick powiedział, że mi pomoże.

- Ale czy to nikomu nie zaszkodzi, Em? Czy nie byłoby lepiej, gdyby...

- My jesteśmy przyjaciółmi, Rudy.

- Ja wiem, ale... potajemnymi przyjaciółmi.

Żałowałam, że to powiedziałam. Bo ona aż zbladła. Nie spojrzawszy na mnie, zapaliła papierosa i siedziała w milczeniu.

Pomyślałam o tej nocy, kiedy wreszcie załagodziłyśmy nasz spór o Curtisa. Zadzwoiła do mnie o drugiej w nocy, żebym przyjechała. Zastałam ją siedzącą na sofie w bawialni jej starego mieszkania na Foggy Bottom, gorzko płaczącą i przeklinającą Petera Dickensona, którego właśnie wyrzuciła. Chodziła z nim dłużej i traktowała go poważniej niż któregokolwiek mężczyznę, odkąd ją znam. Mówili nawet o małżeństwie.

Tej nocy naprawdę mnie przestraszyła. Było gorzej niż kiedykolwiek przedtem. Zwykle złościła się, przeklinała, mówiła, że ma złamane serce. Teraz - nigdy nie zapomnę - żal był cichy i niewidoczny. Jakby rozpacz zżerała ją od środka.

Zamówiłyśmy następne drinki. Emma poweselała, a to rozweseliło mnie. Uwielbiam to powolne, rozgrzewające uczucie, drętwienie ciała, kiedy piję. Zaczyna się to w dziwnych miejscach: policzkach, mięśniach trójgłowych, pośladkach i w końcu opanowuje całe ciało. Nic dziwnego, że ludzie śpią z kimkolwiek, kiedy są pijani. Ja odczuwam taki czuły spokój, takie zrozumienie, jakbym była każdym, a każdy mną. Teraz potrafię nad tym zapanować, ale gdy byłam młodsza, mogłam się pieprzyć z kimkolwiek, naprawdę z byle kim. Po kilku drinkach.

Właśnie wtedy dwóch facetów podeszło do baru i przyczepiło się do nas. Jeden sprawiał miłe wrażenie. Lokal Sergieja jest dobry na obiad, ale później robi się z niego bar dla samotnych. Emma popatrywała wilkiem na tych dwóch facetów, którzy wyglądali na prawników. Obaj byli młodszy od nas. Sięgnęła przez stół i wzięła mnie za rękę.

- Hej, nie przeszkadza wam? Bo my tu właśnie ze sobą zrywamy. Jezu, ależ te amerykańskie kauzyperdy są bezduszne.

Zaśmiali się i wrócili do baru.

Zamówiłyśmy jeszcze jedną kolejkę. Emma powiedziała:

- Popatrz, jak się zrobiło miło.

- O matko!

- Co się stało?

- Curtis wraca dziś do domu. O mój Boże!
- O której? Uspokój się. Może sam wrócić do domu.
- Lotnisko. Miałam wyjechać po niego na lotnisko.
- Och, na lotnisko. To inna sprawa. - Zachichotałam. - Na którą?
- Na piątą pięćdziesiąt.
- Oho, masz kłopot, Rudy. Jest szósta.

Przycisnęłam palce do oczu, aż wszystko poczerwiano. Śmiech Emmy był zaraźliwy, ale mój brzmiał histerycznie.

- Jaką linią przylatuje? - zapytała.
- Delta.
- Dobra, siedź spokojnie. Zadzwoń do National i zostawię wiadomość. Oni go wywołają - jemu się to spodoba. „Pan Curtis Lloyd, pan Curtis Lloyd jest proszony do białego telefonu grzecznościowego”.
- I co mu powiesz?
- Że się urznęłaś i nie możesz prowadzić, a co innego? - Musiałam zrobić przerażoną minę, bo ścisnęła mnie za przegub dłoni. - Żartuję. Co mam mu powiedzieć?
- Powiedz... że jestem z Isabel.
- Dobrze. Wielka mi rzecz. Może metrem dojechać do Eastern Market, a stamtąd przejść piechotą, prawda?
- Nie, weźmie taksówkę.
- O pewnie, że tak - rzekła swoim szyderym, ironicznym, curtisowym głosem. - Nie przejmuj się, Rudy. Ja to załatwię.

Ale gdy wróciła, wyglądała na zmartwioną, rozbawioną i zakłopotaną.

- Masz przechlapane.
  - Czemu?
- Usiadła znów obok mnie.
- Musiałam zostawić wiadomość.
  - No to co?
  - Mają tam teraz nowość, pocztę głosową. Więc Curtis będzie wiedział, że to ja dzwoniłam. To znaczy, usłyszy mój głos, a nie jakiejś tam babki z wiadomością od ciebie. Będzie wiedział, że to ja dzwoniłam, a nie ty. Powinnam była odłożyć słuchawkę.
  - I co powiedziałaś?
  - Że siedzimy tu wszystkie u Sergieja i pocieszamy Isabel. Chciałaś po niego jechać, ale nie puściłyśmy cię.
  - Och, Em. Po co te kłamstwa?

- Wiem, ale jak zaczęłam, to nie mogłam przestać. Śmiałam się drżącym głosem. Wiedziałam jednak, że napytałam sobie biedy, choćby Curtis nawet uwierzył w słowa Emmy.

Podeszła kelnerka i zapytała, czy chcemy następną kolejkę. Spojrzałyśmy na siebie. Nagle poczułam się cudownie.

- A czemu by nie, do licha? - powiedziałyśmy razem. Zrobiło się jak za dawnych czasów, zaraz po przeprowadzce do Waszyngtonu, kiedy chodziłyśmy do barów lub restauracji i rozmawiałyśmy całymi godzinami, zaczynałyśmy przy lunchu, a kończyły po kolacji. Zanim wyszłam za męża.

- Rudy, ty się go chyba nie boisz? - Musiała być pijana. Nigdy by nie zadała mi tego pytania na trzeźwo.

Ja też musiałam być pijana - nie miałam jej tego za złe. Ale też nie skłamałam.

- Czasem się boję, ale to nie jego wina.

- A czyja?

- Boję się wszystkiego.

- Jak to?

Wzruszyłam ramionami.

- Czy on cię kiedykolwiek uderzył?

- Nie. Emma, Jezu!

- Przepraszam. Nie chciałam cię urazić.

- Więc teraz już wiesz.

Uderzył mnie jednak. Tylko jeden raz i to było tak dawno temu, że już prawie o tym zapomniałam.

- Więc czego się boisz? - spytała znów Emma.

- Wszystkiego.

- To znaczy?

- Że Curtis przestanie mnie kochać. Że nie będziemy mieli dziecka, a jeśli będziemy je mieli, to zniszczę mu życie. - Ścisnęłam twarz dłońmi i wpatrywałam się jak zahipnotyzowana w swego drinka. - Że któregoś dnia zwariuję i zabiję się, albo co innego. Że skończę tak jak moja matka. Że mój brat zabije się narkotykami.

- Cholera, Rudy - Emma objęła mnie ramieniem.

- To tylko pierwsze z brzegu przykłady - powiedziałam i zaczęłyśmy się śmiać. Śmiałam się, aż mój drink zrobił się słony od łez spływających mi po twarzy. - Ludzie na nas patrzą - zauważyłam, wycierając nos w serwetkę.

- Teraz myślą, że naprawdę jesteśmy lesbijkami.

Siedziałyśmy sobie w naszej łoży i uśmiechałyśmy się bezmyślnie. Patrzyłyśmy na ludzi. Zjadłyśmy trochę darmowych zakąsek.

- Powinnyśmy już pójść - powiedziała Emma.

- Masz randkę, pamiętasz?

- Zupełnie zapomniałam. Cholera! Zadzwoń i odwołam spotkanie. - Wstała, tylko troszeczkę chwiejnie.

- Odwołasz?

- Jestem w takim stanie, że albo wszczęłabym awanturę, albo bym mu się oświadczyła. Tak czy owak, lepiej nie pokazywać mu się na oczy. - Odeszła do telefonu.

Czekałam, nie myśląc o niczym. Dobrze się czułam. Podeszedł jeden z prawników.

- Przyjaciółka uciekła i zostawiła cię samą?

- Nie - odparłam. - Poszła zadzwonić.

- Ach tak. Jak masz na imię?

- Rudy.

- Sie masz, Rudy. Ja jestem Simon.

Simon miał słodki uśmiech i popołudniowy zarost na twarzy. Żółty krawat. Zdecydowanie prawnik.

- Wy tak naprawdę nie jesteście gejówkami, prawda? - Wolał się upewnić.

Miał przyjazny wygląd i nie odnosił się niechętnie ani wrogo. Powiedziałam więc:

- Nie, nie jesteśmy. Ale ja mam męża.

- Ach, co za strata. - Usiadł na miejscu Emmy i splótł dłonie na kolanach. Podobała mi się ta nieagresywna mowa ciała. Potem odwrócił się i kiwnął głową, unosząc brwi. Sygnał. Jego przyjaciel wstał od baru, wziął drinki, papierosy i drobne i ruszył w naszą stronę. „Emma mnie zabije” - pomyślałam.

- Pracujecie tu gdzieś w pobliżu? - zapytał Simon.

W tej chwili wszystko wydarzyło się jednocześnie. Przyjaciel Simona usiadł obok mnie, nadeszła Emma z dwoma nowymi drinkami i ujrzałam Curtisa. On też mnie zauważył.

Musiał tu przybyć prosto z lotniska - przez ramię miał przewieszoną torbę podróżną. Szedł w moją stronę wolniutko, z oczyma rozszerzonymi i pociemniałymi ze złości. Próbowałam wstać, ale siedzący obok mnie przyjaciel Simona był wielki i ciężki, nie wiedział, co się dzieje, i nie chciał się ruszyć.

- Curtis - rzekła Emma jowialnie, stawiając na stoliku drinki. Stała między nim a mną, tworząc jakby tarczę. - Co za miła niespodzianka! Więc otrzymałeś moją wiadomość, świetnie, świetnie. Szkoda, że rozminąłeś się z Isabel. Przed chwileczką wyszła. Ci faceci... - Zagryzła wargę. Jej głos opadł do normalnego tonu, przestała udawać. - Kim wy, u licha, jesteście?

- Curtis, proszę, nie... - Jego skąpy uśmiech paraliżował mnie.

- Gotowa pójść do domu? - zapytał grzecznie.

Z jego twarzy oprócz bólu wycierał pewien rodzaj zrezygnowanego podniecenia.

Przyjaciel Simona w końcu się odsunął. Jak w zwolnionym tempie wstałam i zgarnęłam płaszcz, rękawiczki, torebkę.

- Nie pozwól jej prowadzić - ostrzegła Emma. Curtis okręcił się na pięcie.

- Nie mów mi, co mam robić ze swoją żoną. - Naga nienawiść między nimi wstrząsnęła mną, ale wcale nie zdziwiła. „Czy naprawdę wierzysz, że Curtis lubi Emmę?” - spytał mnie kiedyś Eryk.

- W porządku? - zapytała Emma, dotykając mojego ramienia.

- Tak, oczywiście. - Spróbowałam się zaśmiać, zmniejszyć to okropne napięcie. Emma wyglądała na spiętą, ale niezdecydowaną. O mało nie sypała wokół iskrami.

- Usiądźmy i trochę ochłóńmy - zaproponowała nieoczekiwanie. Zdałam sobie sprawę, że się boi - o mnie. Curtis stał nieporuszony, milczący. Chciałam powiedzieć Emmie, że z jego strony nie ma czego się obawiać, to ja boję się o niego.

- Idziemy. Pa. - Uścisnęłam ją. - Zadzwoń do mnie. I nie siadaj za kierownicą, słyszysz?

Kiwnęła głową. Curtis nawet nie spojrzał na nią, kiedy mnie odwrócił, kładąc dłoń delikatnie na moich plecach i zmuszając, żebym poszła przodem.

Na ulicy zastygłam na chwilę w bezruchu, z całkowitą pustką w głowie. Nie pamiętałam, gdzie zaparkowałam samochód. Ruszyłam w stronę Wisconsin i zaraz przypomniałam sobie - na parkingu przy K Street.

- Och, nie, tędy - powiedziałam od niechcenia i Curtis zawrócił za mną bez słowa. Kręciło mi się w głowie. Byłam zalana i on o tym wiedział.

On prowadził.

- Przepraszam, bardzo przepraszam za lotnisko - powiedziałam, dygocząc z zimna na fotelu obok kierowcy, bo ogrzewanie jeepa jeszcze nie zadziało.

Zamiast odpowiedzi włączył radio.

Jego przystojna twarz rysowała się ostro i czysto na tle świateł przesuwających się za szybą. Nigdy nie będzie wyglądał staro. Umrze z tymi chłopięcymi ustami, dziecięcą linią włosów. Spróbowałam go nie kochać - tylko na sekundę, dla eksperymentu. Ku memu przerażeniu udało mi się. Odwróciłam gwałtownie głowę i patrzyłam na opustoszałą promenadę. Ogrzewanie zaczęło działać, mimo to nadal dygotałam.

W domu usiadłam na łóżku i patrzyłam, jak się rozpakowuje. Skarpetki i spodenki do kosza, koszule na kupkę do pralni, pantofle na drewniane prawidła, garnitur na wieszak. Curtis ma specjalny wieszak na krawaty, który kupiłam mu dla żartu, ale on go uwielbia.

Spróbowałam jeszcze raz.

- Słuchaj, bardzo cię przepraszam. Ci mężczyźni w barze... Epizod bez znaczenia.

Żadnej odpowiedzi.

- Byłam z Isabel, ale ona wyszła. Przed twoim przyjściem. - Cztery godziny wcześniej. Zobaczyłam swoje odbicie w lustrze nad komodą. Oczy w czerwonych obwódkach, plamy tuszu do rzęs jak ślady czyichś łap. Okropność. Wyglądałam na pijaną, choć w moim przekonaniu nie byłam pijana.

- Jak poszło w Atlancie? - zapytałam.

- Źle. - Odwrócił się i wszedł do łazienki. Nie zamknął drzwi za sobą.

- Co się stało?

- Chciałem ci o tym opowiedzieć dziś wieczorem. Myślałem, że się gdzieś wybierzemy i porozmawiamy.

Poczucie winy sprawia, że czuję się jak przywalona kupą gruzu i szkła. Żywcem pogrzebana.

- Nic strasznego. Możemy jeszcze pójść. Przebiorę się. Jest dopiero ósma.

- Nie mógłbym teraz nic jeść. - Wszedł z łazienki w pizamie i w szlafroku - granatowym z białym oblamowaniem i szalowym kołnierzem. Wyglądał jak model: blond włosy, czerstwe policzki, zdrowy i wytworny. Byłam zaskoczona i wdzięczna, gdy usiadł przy mnie na łóżku.

- Przepraszam. - Czasem, gdy powtarzam to dość często, daje się ubłagać. - To była moja wina. Za dużo wypiałam i straciłam poczucie czasu. Emma zmyśliła, że tak długo byliśmy z Isabel. Ona wyszła znacznie wcześniej. Och, Curtis! Biedna Isabel! W gabinecie doktora było okropnie, to siedzenie tam i słuchanie, co mówił o...

- Więc Emma skłamała - przerwał mi.

- Co? Ale to nie była... ona nie...

- Rudy, wiem, jak bardzo ją lubisz, ale nie sądzę, że Emma jest taką dobrą przyjaciółką, za jaką ją uważasz.

- Och, nie...

- Słuchaj - powiedział łagodnie, dotknął mnie, a ja przytuliłam się do niego, osłabła z ulgi. Wybaczył mi. Świat się zatrzymał, gdy Curtis wszedł do Sergieja i zobaczył mnie, a teraz znów zaczął się kręcić.

Odwróciłam głowę, żeby go pocałować w jego pachnącą szyję, obejmując go ramionami w pasie, lecz on zrobił się sztywny, więc się wycofałam.

- Nie chcę, żebyś się z nią tak często widywała. Patrzyłam na niego tępo.

- Masz na myśli Emmę?

- Patrz, co ona z tobą robi. - Z wyrazem niesmaku dotknął mojego umazanego policzka. Wciągnął zapach dymu papierosowego w moich włosach i ubraniu. - Wiem, że ją znasz od bardzo dawna. Nie oczekuję, że z nią zerwiesz.

- Zerwę?

- Ale sądzę, że byłoby lepiej, gdybyś jej nie widywała poza grupą. - Zajrzał mi w oczy, trzymając moją twarz w swoich dłoniach. - Dla twego własnego dobra, Rudy. Jestem zdziwiony, że Greenburg jeszcze ci tego nie zasugerował. Ta kobieta ma na ciebie zły wpływ.

W głowie mi się zakręciło. Wzięłam go za rękę.

- Eryk lubi Emmę. On nigdy by mi tego nie powiedział.

Curtis westchnął i odsunął się. Usiłowałam go przytrzymać za rękę.

- Nie gniewaj się. Nie...

Wstał i podszedł do drzwi. Odwrócił się.

- Więc nie chcesz zrobić tego, o co cię proszę. Ze względu na siebie samą.

- Przestać widywać Emmę? Ależ to moja najlepsza przyjaciółka.

- Więc nadal będziesz się z nią widywać?

- Curtis, nie rób mi tego, proszę. - Usłyszałam, jak drzwi się za nim zamykają. Zastygłam w rozpacz. Odejdzie, zabierze swoją miłość, zabierze wszystko. - Proszę - błagałam. - Curtis, proszę.

- Tak, czy nie?

Powiedział: „Ze względu na ciebie samą”, ale to było okrutne.

- Nie, nie mogę. Przepraszam, błagam... Emma jest moją najlepszą przyjaciółką. Curtis!

W odpowiedzi słyszałam odgłos jego skórzanych pantofli na schodach. Zejdzie do kuchni, włączy piekarnik i zrobi sobie zapiekana kanapkę z serem, z jednej strony posmarowaną niskotłuszczową margaryną. Zje ją przy kuchennym stole, popije szklanką dwuprocentowego mleka, przeglądając „Time'a”, „U.S. News” i „Money”.

Weszłam do łazienki i zażyłam trzy pigułki nasenne. Bałam się wziąć więcej po whisky. Trzy powinny wystarczyć. W łóżku nakryłam się z głową. Czern. Musiałam pomedytować i wybrałam temat. Nadszedł czas pokuty i tylko Curtis mógł powiedzieć, jak długo będzie trwał. Klucz był w jego rękach.

Zapadłam w sen o Bogu. Siedział na złotym tronie, otoczony niewyraźnymi twarzami pełnymi czci aniołów. Spojrzał na zegarek, to był rolex. Curtis ma taki sam zegarek.

- Ona się spóźnia - rzekł ze smutkiem. - Bardzo mi przykro, ale ona się spóźnia. - Zapłakał słusznymi, sprawiedliwymi łzami.

Sięgnął nad głowę, pociągnął za łańcuszek wielkiej lampy od Tiffany'ego i ciemność okryła cały świat.



## *Emma*

W marcu skreśliłam z mojej listy rzeczy do załatwienia trzy uciążliwe sprawy. I tak, poczynając od najłatwiejszej: zerwałam z Bradem raz na zawsze, pojechałam do Wirginii odwiedzić matkę i złożyłam rezygnację z pracy w gazecie. Dwa ostatnie zadania były pod względem trudności równe sobie.

Żartowałam. Moja matka nie jest taka zła. Kiedy już przestała zrzędzić, jaka to ze mnie idiotka, że rzucam pracę, była niemal miła dla mnie. Myślę, że odkryłam sekret dobrych stosunków między nami dwiema: widywać się najwyżej dwa razy w roku.

Podczas tej wizyty z przerażeniem uświadomiłam sobie, jak bardzo zaczynam się robić do niej podobna. Albo ona do mnie - coś w tym jest. Moja matka - Kathleen - już po tygodniu robi to co ja: pije, pali, całuje z dubeltówki i przeklina. I martwi. Tak to chyba jest, kiedy się ma sześćdziesiąt pięć lat, że jedyną rozrywką z tej listy, na jaką sobie moja matka pozwala (o ile wiem), jest to ostatnie. Ale w tym reprezentuje istic światową klasę.

Och, wiem, jestem dla niej za surowa. To z nawyku. Ale jestem już za stara, aby reagować na jej niezdarne manipulacje i machinacje, tak jak reagowała nadąsana nieznośna nastolatka, jaką byłam. W każdym razie wygrałam. Wygrałam dawno temu. Wyrwałam się z Danville w Wirginii. Nie wyszłam za mąż, nie poszłam do stanowego college'u kształcić się na nauczycielkę, by „w razie czego mieć zabezpieczony byt”, na przykład gdyby mi się przydarzyło to, co jej, to znaczy porzucił mnie mąż. Przybrałam tę uroczą pozę mądralki po to, aby ją irytować.

Rzucenie pracy okazało się trudniejsze, niż przypuszczałam. Z powodu pieniędzy. Przywykłam, że ich trochę mam. Zaczęłam kupować rzeczy, które widziałam na wystawach sklepowych - przechodziłam, zatrzymywałam się, oglądałam, wchodziłam i kupowałam. „Poproszę to”, „Poproszę tamto”. Oto co znaczy być dorosłą”, myślałam, błyskając złotą kartą Visa oraz platynową MasterCard. Posłałam matce magnetowid na Boże Narodzenie. Planowałam kupno nowego samochodu na wiosnę. Może jakiś model sportowy? Napiwki, które dawałam kelnerkom, były zdecydowanie za wysokie.

Bardziej od niedostatku mierziła mnie jednak moja wymówka, że nie mogę pisać powieści, bo nie mam czasu. Było to zgodne z prawdą, bo praca dla gazety, pisywanie artykułów do czasopism oraz opowiadań, których nikt nie kupował, zajmowało cały mój czas. Rzuciłam więc stałą pracę w gazecie, zachowałam pisywanie do czasopism, żeby opłacić dług hipoteczny, i zawiesiłam pisywanie opowiadań. Teraz zobaczymy, co z tego wyniknie.

Mówię to z taką werwą i zapałem. Czyżbym dorastała?

Nie. Niestety. Przyczyna jest podlejsza i nie przynosi mi wcale zaszczytu. Jest nią Isabel. W ciągu tych długich lat znajomości nauczyła mnie wielu rzeczy, ale tej jednej nie pragnęłam się nauczyć, a w każdym razie nie od niej, nie w ten sposób. Chodzi o to, jak krótkie jest życie i jak głupio byłoby je zmarnować.

Próbuję zrozumieć, czemu to się jej przydarzyło, czemu nie Rudy, Lee albo mnie. Dlaczego właśnie Isabel? Ona jest najlepsza z nas. Ma największe serce. Wierzy we wszystko - ja nie wierzę w nic. Przypadek sprawił, że to się zdarzyło jej, prawda? Ona mówi, że nie, nie istnieje nic takiego jak przypadek, stało się to za jakąś przyczyną. Jaką przyczyną? „Może taką, że ja to potrafię znieść, a wy nie” - powiedziała. Ale przecież to nonsens, prawda?

Zrezygnowała z tego dupka Glassa i postarała się o nowego onkologa, nazywa się Searle. Searle poddał ją terapii antyestrogenowej. Lek o nazwie Megace sprawiał, że przybierała na wadze i dostawała wypieków, ale nic poza tym. Teraz próbuje dwóch nowych leków: Arimidexu i jakiegoś innego, nie pamiętam jego nazwy, i wszystkie trzymamy za nią palce. Pomyślcie tylko: początkowo Isabel chciała dać sobie spokój z tą całą medycyną i przejść na samoleczenie. Samoleczenie, to znaczy lewatywy z perzu i kawy, indiańskie gorące namioty i akupunkturę, a także hipnozę. Sterowana wizualizacja. Bio-pieprzone-sprężenie zwrotne.

Przyjęłam tę wiadomość ze zgrozą, ale milczałam. Ugryzłam się w język i nie powiedziałam ani jednego słowa. Rudy i Lee w końcu jej to wybiły z głowy, z pomocą Kirby'ego - tego geja, co się okazał hetero. (Isabel mówi, że między nimi jest tylko przyjaźń. Może, ale z jakichś przyczyn go nie lubię. A jeśli tą przyczyną jest zazdrość i zaborczość, no to co?).

Nie mogę znieść, że to się przydarzyło właśnie jej. Gdy dzwonię, nigdy nie wiem, co powiedzieć. Czuję się niezręcznie i głupio, bo ta sytuacja, o której żadna z nas i tak nie chce rozmawiać, nabrała rangi takiego problemu, że przesłania wszystko inne. Odkładam więc telefonowanie do niej, a potem dni mijają i nawet o niej nie myślę. To jest najgorsze: że mogę zapomnieć o swojej najszczerzej przyjaciółce, której życie przemieniło się w absolutny koszmar.

Nie, to nie tak. To moje życie byłoby koszmarem, gdybym się znalazła na miejscu Isabel. Ona przechodzi przez to z takim samym wdziękiem, z jakim przechodziła przez różne inne tarapaty, jakich życie jej nie szczędziło. A skoro mowa o Garym - nie zadzwonił do niej, nie przysłał nawet kartki z życzeniami powrotu do zdrowia. Terry chciał przylecieć z Montrealu na długi weekend, ale ona powiedziała, żeby tego nie robił. Jaki miły dzieciak. Zawsze go lubiłam. Żałuję, że nie jest o piętnaście lat starszy.

Nic tak nie uświadamia człowiekowi jego egocentryzmu jak dramat kogoś ukochanego. Choroba Isabel rzutuje na wszystko. Zastanawiam się, co zrobię, jeśli jej stan zdrowia się pogorszy zamiast polepszyć? Jak będę żyła, jeśli ona umrze? Myślałam, że tylko Żydów trapi poczucie winy, my, ekskatołicy agnostycy, jesteśmy od tego wolni. Lee jest Żydówką i najbardziej wyzbytą poczucia winy i

nieneurotyczną kobietą, jaką znam. Irytującą, ale nieneurotyczną. Sytuacja Isabel sprawiła, że Lee stała się po prostu sprawniejsza, lepiej zorganizowana. Bardziej apodyktyczna.

A przy okazji, jeszcze nie jest w ciąży, ale nastrój ma dobry. Ostatnio, zamiast dzwonić, przysłała mi e-maile. No cóż, znak czasów.

Do: Emmy ([DeWitt@Dotcom.com](mailto:DeWitt@Dotcom.com))

Od: L.P. Patterson ([LeePatt@Dotcom.com](mailto:LeePatt@Dotcom.com))

Temat: Krąg uzdrowicielski.

Emma:

Przypominam o środowym wieczorze, 21.00 do 21.30. Wspominałam o tym dwa razy w rozmowie z Rudy, ale jeżeli będziesz się z nią kontaktowała, przypomnij jej z łaski swojej jeszcze raz. Wiesz, jaka ona jest.

Pozdrawiam.

Lee.

W środy nasz krąg uzdrowicielski jest poświęcony Isabel. O ustalonej porze wszyscy - nie tylko cztery Gracje, ale również inni przyjaciele i rodzina w całym kraju, a także znajomi, którzy mają na to ochotę - przerywają swoje zajęcia i medytują o Isabel i jej wyzdrowieniu. Jedni się modlą, inni wymyślają jakieś złe rzeczy, które mogą się przytrafić jej komórkom rakowym, jeszcze inni „wysyłają białe światło”, cokolwiek to znaczy. Rudy wpatruje się w płomień świecy w ciemnym pokoju i coś podśpiewuje - sama mi to mówiła. „Co podśpiewujesz?” - zapytałam zafascynowana. „To sprawa osobista” - odparła. No cóż. Ja tylko szukałam jakiejś wskazówki. Bo ja jestem w tym straszna fajtłapa. Nigdy dotąd nie miało to dla mnie znaczenia, że jestem do niczego w sprawach New Age i że w rzeczywistości jestem wzorcowym dzieckiem Wieku Starego. Lecz teraz, gdy się próbuję modlić, podśpiewywać albo wysyłać białe światło i kończę na marzeniu o Micku albo swoim ulubionym cieście, albo o przeglądzie samochodu, martwię się, że zawiodłam Isabel.

Do: Emmy ([DeWitt@Dotcom.com](mailto:DeWitt@Dotcom.com))

Od: L.P. Patterson ([LeePatt@Dotcom.com](mailto:LeePatt@Dotcom.com))

Temat: Rocznic.

Emma:

Wszystko załatwione - możemy mieć tę chatę na Cape Flatteras w drugi weekend czerwca. Chciałam trzeci, bo jak wiesz, to jest prawdziwa dziesiąta rocznica G.R., ale już go ktoś zaklepał. Henry planuje przyjechać w niedzielę wieczorem, gdy wszyscy wyjadą, i zostaniemy sami przez trzy

dni. Może zaprosimy jeszcze jedną parę. Chcesz się przyłączyć? Ze swoją sympatią lub bez - jak wolisz.

Lee.

Do: Emmy ([DeWitt@Dotcom.com](mailto:DeWitt@Dotcom.com))

Od: L.P. Patterson ([LeePatt@Dotcom.com](mailto:LeePatt@Dotcom.com))

Temat: Piątkowy wieczór.

Emma:

Przyjdiesz do nas na party, prawda? (Pytam, bo nie odpowiedziałaś na zaproszenie). Zakładając, że tak, mam małą prośbę. Henry i ja mamy wizytę u lekarza o 15.30 w sprawie sztucznego zapłodnienia. (To już czwarta i tym razem skuteczna próba, jestem najzupełniej pewna!). Nie zdążymy wstać po mus łośsiowy do Fresh Fields. Ty masz po drodze - czy mogłabyś to zrobić? Stokrotne dzięki. Mus jest zapłacony, trzeba go tylko zabrać. Zgadnij, kto przyjdzie na to przyjęcie i przyprowdzi przyjaciela?

Lee.

Ha! To z pewnością Jenny, teściowa Lee. Przyprowdzi przyjaciela. To powinno być niezłe. Lubię obserwować, jak liberalne superego Lee walczy z jej konserwatywnym id.

A ja myślałam, że jedyną osobą przeżywającą niespokojne chwile na przyjęciu Lee będę tylko ja, usiłująca zachowywać się normalnie przy Micku i Sally Draco. Raju, jaki to będzie zabawny wieczór!

Nie przeczę, obserwowałam drzwi, a mimo to przegapiłam wejście Micka. Gdy go spostrzegłam, stał w drzwiach na oszkloną werandę, trzymając w ręku drinka. Zachodzące słońce wlewało się przez żaluzje i podświetlało zastawiony jadłem stół. Nasze oczy spotkały się na mgnienie, ale zaraz rozdzielili nas jacyś ludzie, którzy nadeszli całą grupą, rozprawiając głośno. Zrobiło się zamieszanie, trzeba było przepuścić Lee z tacą ptysiów z nadzieniem z krabów. Gdy go znowu zobaczyłam, stał pochylony i szeptał coś żonie do ucha.

Sally bywa nieśmiała na przyjęciach. Musi wypić parę drinków, by się oderwać od boku męża i zacząć rozmawiać z innymi ludźmi.

Skąd ja to wiem? Od Micka. Już zapomniałam, w jakim kontekście mi o tym mówił. W jakimś niewinnym jednak. Wszystkie nasze rozmowy są niewinne, a miejscem schadzek nadal jest lichy bar Murraya. Mick nie podaje mi płaszcza, nie bierze mnie pod rękę, gdy przechodzimy przez ulicę. Czasem nasze kolana przypadkowo zetkną się pod stolikiem. Nigdy się nie dotykamy, ale mimo to przeżywam najgorętszy, najryzykowniejszy, najintensywniejszy romans w życiu. Myślę, że on tak samo.

Przypląnęła Lee.

- Dzięki za przyniesienie musu, Em. Czy nie sprawiło ci to kłopotu? - W długiej do pięt spódnicy i jedwabnej bluzce wyglądała jak hostessa. Od Emanuela Ungara, jak mi doniosła w e-mailu.

- Och, nie - odparłam. - Zrobiłam to po drodze. Pięknie wyglądasz. Twój dom również.

- Ty też! To świetny kostium.

Myślę, że mówiła szczerze, bo sarkazm jest bardziej w moim stylu. Ale teraz, gdy się tu znalazłam, nie byłam pewna mego wyboru: bez bluzki pod głęboko wyciętym zakietem koktajlowym, z dopasowaną spódniczką do pól uda. Odsłaniałam więcej, niż przywykłam.

- Cóż, to przyjęcie koktajlowe - odparłam lekko. - Gdzie indziej może się dziewczyna pochwalić swoimi zaletami?

- Na plaży. - Lee roześmiała się rada ze swojego dowcipu. - Och, Emma, chciałam ci coś powiedzieć - nie możemy teraz o tym rozmawiać, ale chcę, żebyś to sobie przemyślała.

- Co?

Spojrzała za siebie i ściszyła głos.

- Co ty na to, żeby poprosić Sally o przyłączenie się do naszej grupy? Naszej kobiecej grupy. Do Gracji - uściśliła, kiedy wybałuszyłam oczy. - Czy twoim zdaniem to byłby dobry pomysł?

Zaniemówiłam.

- Spotkałyście się już kilka razy. Lubisz ją? Ja uważam, że jest naprawdę miła. Poza tym bystra i interesująca. Inna niż my, ale to zaleta. - Różnorodność jest dla Lee ważna. Kiedyś zawetowała przyjęcie mojej znajomej z gazety, bo uprawiałyśmy ten sam zawód. - Wówczas miałybyśmy dwie dziennikarki w grupie - dowodziła. - To zbyteczne. Czyż nie pragniemy różnorodności?

Sally wprowadziłaby nowy akcent, czułam to. Młoda matka, południowiec, główny żywiciel rodziny. Rzadkie cechy. Kłopot z Sally jest taki, myślałam nieraz, że nic jej nie można zarzucić.

Zastosowałam nikczemną, lecz oczywistą wymówkę.

- Dobrze, ale czy nie sądzisz, że nie jest to najodpowiedniejsza pora, by myśleć o kimś nowym? Ze względu na Isabel? A przy okazji, gdzie ona?

- Powiedziała, że może się spóźnić. Nie, nie sądzę, że...

- Hej, ślicznotko, wyglądasz tak, że chciałoby się cię zjeść. - Henry wziął mnie w swoje potężne ramiona. Krzywiąc się na tę przeszkodę w rozmowie, Lee wzięła go z roztargnieniem za rękę i oparła się o niego.

- Ja wcale tego tak nie widzę, wcale nie - powiedziała. - Gdy tylko trafią na odpowiedni lek, Isabel najgorsze będzie miała za sobą. I wtedy, uważam, będzie dla niej i dla całej grupy bardzo dobrze, jeśli przyjmimy kogoś nowego. Poza tym ona już zna Sally - dodała, znów ścisząc głos. - Pytałam Isabel.

- Pytałaś Isabel o...

- Nie o włączenie Sally, ale czy ona się jej podoba. A Isabel odpowiedziała, że tak.

Isabel lubi wszystkich. Pod tym względem jest jak Pan Bóg.

- Och, Lee, nie wiem. Nie mam nic przeciwko Sally, chodzi mi tylko o to, że nie jestem pewna, czy to jest odpowiedni czas na wprowadzanie kogoś nowego.

- Cóż, nie zgadzam się z tobą, ale skoro takie jest twoje zdanie. Zapytam Rudy, co ona o tym sądzi.

- No pewnie. - Kiwnęłam głową energicznie. Rudy mnie nie zawiedzie. - I Isabel, oczywiście.

- Naturalnie.

Odeszła do swoich obowiązków gospodyni. Henry jeszcze został, trochę pogawędził i poopowiadał stare świńskie dowcipy. Potem rzekł:

- Wiesz, Em, może się mylę, ale... - Noskiem buta jeździł po włosach dywanu.

- Co?

- Nie jestem pewien, czy Lee odnosi się realistycznie do choroby Isabel. Do jej stanu. Ja nic nie mówię, bo nie chcę jej zniechęcać. Cuda się zdarzają. - Schylił głowę i potarł dłonią kark. - Co ty sądzisz?

- Myślę, że wszystkie staramy się ze wszystkich sił poradzić sobie z tym na własny sposób. Lee jest optymistką i traktuje to optymistycznie. Rudy jest śmiertelnie przerażona, ale ukrywa to.

- A ty?

Spojrzałam na niego.

- Ja jestem pesymistką - wyznałam szczerze.

- Taaa. - Jego wyrazistą twarz złagodziło współczucie. - Boję się, że Lee może zostać zaskoczona. Wiesz, jeśli stanie się coś złego. Nie będzie na to przygotowana.

- Wiem. - Ja też nie jestem przygotowana. Jeśli się stanie coś złego. - Cóż - powiedziałam - przynajmniej ma kogoś, kto się nią zajmie. - Przynęłam się bliżej. - No, jak wam ostatnio idzie w dziedzinie płodności?

Henry uwielbia bezceremonialny sposób, w jaki się do niego odnoszę. Odkąd Lee powiedziała nam o liczbie plemników w spermie Henry'ego, możemy otwarcie rozmawiać o tym problemie, co przedtem było wykluczone. Gdy badania wykazywały zbyt małą liczbę plemników, ten temat był tabu.

Po kilku dalszych kretyńskich spermowych dowcipach, Henry spoważniał i rzekł:

- Zgranie w czasie jest dla nas idealne, biorąc pod uwagę wszystkie inne sprawy. Lee liczy na to, że tym razem się uda. A jeśli nawet nie, mamy jeszcze dwie próby w zapasie. Cięża, wiesz, pozwoliłaby jej jakoś przetrwać, gdyby...

- Uda się - powiedziałam, ucinając wszelkie gdybania. - Masz taką cholerną potencję Patterson, że to pewnie będą trojaczki. Sami synowie.

Odrzucił głowę w tył i roześmiał się. I zaczerwienił. Och, uwielbiam Henry'ego. On jest jak wielki, senny niedźwiedź, spokojny i krzepki, niezawodny. Jest dobry dla Lee i działa tonująco na jej zahamowania jak... nie wiem co. Jej prywatna dawka seconalu.

Przyjęcie stało się głośniejsze i rozlazłe. Lee zaprasza wszystkie swoje kumpelki z dzieciństwa: bystre, interesujące, dobre kobiety, których mężowie zarabiają więcej od nich. Rzadko trafiał się samotny mężczyzna. Moja teoria jest taka, że jej przyjaciele są tak zdrowi moralnie, iż nigdy się nie rozwodzą.

Tego wieczoru nie polowałam na samotnych mężczyzn, oczywiście. Mimo że wcale go nie szukałam, zawsze wiedziałam, gdzie jest Mick. Radar. Krążyliśmy przedzieleni szerokością pokoju, dwoje sprzężonych ze sobą ludzi. Ja rozmyślnie, on - trudno powiedzieć. Lecz jakąż bolesną, zniewalającą grę prowadziłam. To prawda, że byłam cała obolała z powodu beznadziejności tego zaślepienia, ale jednocześnie nigdy nie czułam się tak bardzo żywa.

Jak zwykle Rudy i Curtis przyszli późno. Nie da się zaprzeczyć, że Curtis Lloyd jest przystojnym mężczyzną. Na nazistowską modłę Ernesta Younga. A Rudy, oprócz tego, że jest piękna, ma ten osiągnąć bez wysiłku szyk modelki, który sprawia, że normalni ludzie czują się przy niej niezdarni, z płaskostopiem i sztuczni. Tacy ludzie jak ja. Pomachałam do niej w nadziei, że uwolni się od Curtisa i podejdzie do mnie sama. Nic z tego. Powinnam była wiedzieć, że na przyjęciach on nie spuszcza z niej wzroku. Albo jej nie ufa, albo się boi zostać sam. Prawdopodobnie jedno i drugie.

My z Rudy pocałowałyśmy się w policzek, a Curtis i ja zdołaliśmy się uściskać, nie dotykając się przy tym.

- Gdzie Isabel? - spytała Rudy po wymianie grzeczności.
- Jeszcze jej nie ma. Lee mówiła, że się spóźni.
- Nie mogę się doczekać, by poznać tego jej Kirby'ego.
- Ja też.

Nie umiem rozmawiać z Rudy, kiedy Curtis jest w pobliżu. Zupełnie jakby się rozmawiało przez szybę w obecności strażnika więziennego. Gorsza może być tylko rozmowa z Curtisem pod nieobecność Rudy. Dlatego miałam ochotę ją zabić, kiedy powiedziała:

- Och, jest Allison Wilkes, nie widziałam jej od wieków, zaraz wracam - i odeszła.

Przy kimkolwiek innym, na kim mi specjalnie nie zależy, mogłabym powiedzieć w podobnej sytuacji: „Nareszcie sami” - zgodnie z teorią, że taki żart, nawet sarkastyczny, pomaga usunąć napięcie. Ale ja nie zdradzam swoich prawdziwych uczuć dla Curtisa - u Sergieja zrobiłam wyjątek. Rudy mówi, że się go nie boi, ale ja się boję. Troszkę. Bo on przyprawia mnie o gęsią skórę. Jestem więc grzeczna, jednowymiarowa i rozmyślnie tępa przy nim, wręcz sztywna z powściągliwości. Godne podziwu zachowanie, w rzeczywistości pragnę dać mu w zęby. Czego się nie robi dla Rudy!

Z pustymi rękami - Curtis nie pije przy ludziach, boi się stracić kontrolę nad sobą - podskakiwał na palcach, rozglądając się w tłumie. Sprawdzał, czy ktoś z obecnych mógłby mu się do czegoś przydać. To urodzony polityk, z jednym zastrzeżeniem - on nie lubi ludzi.

- No, Emma - rzekł, ocknąwszy się. - Rudy mówi, że rzuciłaś pracę.

Powiedziałam, że to prawda.

- I postanowiłaś napisać książkę. Powieść. - Jego śmiech był twardy, ostry, przypominający odgłos karabinu maszynowego.

- Czy to śmieszne? Sądzisz, że to zabawne? - Bez przerwy się uśmiechałam, wrogość emanowała tylko z moich oczu. Nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć. Mój gniew był nieproporcjonalny do przyczyny, lecz Curtis jest jak strzelec wyborowy, łucznik o niezawodnym oku. Jednym strzałem trafił mnie w czułe miejsce.

- A jak twoja nowa praca? - zrewanżowałam mu się. - Lobbing. To coś w sam raz dla ciebie, Curtis. Jest to naprawdę... - udałam, że szukam słowa - szlachetna profesja.

Tylko się głupio uśmiechnął. Moja strzała nawet nie musnęła celu. Myślałam, że ta nasza gierka się skończyła, on jednak spytał:

- Więc o czym jest ta twoja książka?

Ach, jest to pytanie, którego pisarze nie znoszą. Jak myślicie, skąd on o tym wiedział?

- Ona jest jeszcze w stanie inkubacji - rzekłam, wciąż się uśmiechając. - Wolałabym o tym nie rozmawiać. - Po drugiej stronie pokoju widziałam Micka rozmawiającego z Henrym. Śmiali się obaj, kołysząc się w przód i w tył, jak to mężczyźni. Trochę mnie zaskoczyła ta ich komitywa. Są tacy różni.

- Podobno trzeba pisać o tym, co się zna najlepiej - mówił Curtis.

- Tak, do pewnego stopnia.

- Więc twoja powieść prawdopodobnie będzie o... - Zmarszczył czoło i zacisnął usta, myśląc intensywnie. - Mrocznych marzeniach rozwiązałej starej panny o cudzołóstwie... coś w tym stylu? - Odwróciłam się i wlepiłam w niego wzrok.

Uniósł swoje blond brwi z niewinną miną i z półuśmiechem. Prześliznął się wzrokiem po moim ciele, zatrzymując się ze wzgardą na partiach odsłoniętej skóry.

Urażona ambicja w połączeniu z furią są śmiertcioną kombinacją. Krew uderzyła mi do głowy. Mierzył mnie, gardziłam tym przemądrzałym kołtunem. Wiedziałam, że gdybym otworzyła usta, tobym go skłęła.

- No dobra. Chyba pójde poszukać żony. Trzymaj się, Em. - Odszedł z rękami w kieszeniach.

Po drodze do łazienki kiwałam ludziom głową, uśmiechałam się i zamieniałam z nimi parę słów. Znalazłszy się wewnątrz, zamknęłam drzwi na klucz i trzymając się brzegów umywalki, przypatrywałam się sobie w lustrze. Curtis widział tę udreconą twarz? Nic dziwnego, że miał taką zadowo-



loną minę. - Nie daj się temu zwieść - ostrzegłam, szukając w torebce tuszu do rzęs i szminki. On właśnie tego pragnął, żebym się czuła urażona i zdradzona przez Rudy.

Jak ona mogła zdradzić mu mój sekret? Wprawdzie nigdy jej nie prosiłam, aby tego nie robiła, ale nie myślałam, że muszę! Sądziłam, że traktuje moje zwierzenia tak samo jak ja traktuję jej zwierzenia, z szacunkiem, jak świętość. „Rozwiązała stara panna”. Do diabła z nim. To tylko dowodzi, że on jest chory, zawsze to mówiłam. Rudy, jak mogłaś powiedzieć mu o Micku?

Ktoś zapukał.

Cholera!

- Chwileczkę! - Dajcie mi minutkę, jak rany. Wyglądałam, jakbym płakała.

- Przepraszam, nie ma pośpiechu! Poznałam pogodny, wesoły głos Sally Draco. Doskonale.

Uśmiechnęłam się. Odrzuciłam głowę w tył i naśladowałam radosny śmiech. Mój przyjęciowy wyraz twarzy. Wygladzając spódnice, zdecydowałam, że stawię czoło Rudy później, nie tego wieczoru, nie tutaj, gdy obie pijemy. Zrobiliśmy to kiedyś. Nigdy więcej.

Sally stała oparta o ścianę korytarzyka i patrzyła na gości w salonie. Odwróciła się, usłyszawszy odgłos otwieranych drzwi.

- Och, cześć! To ty.

Drugi drink musiał zadziałać, bo naprawdę wydawała się rada, że mnie widzi. Więcej, gdybym nie trzymała założonych rąk, myślę, że pewnie by mnie uściskała. A to byłaby już przesada, zważywszy na to, że widziałyśmy się tylko dwa razy w życiu, za każdym razem na przyjęciu u Lee.

- Jak się masz, Emmo? Wciąż zamierzam do ciebie zadzwonić, ale wiesz, jak to jest...

- Och, wiem - rzekłam słabo. - Praca i dziecko zajmują bardzo dużo czasu. No, a co tam w pracy? - zapytałam, gdyż mi się wydało, że chce naprawdę pogadać, a nie rzucić słówko i biec dalej.

Wywróciła oczami.

- Powiem tylko, że to nie jest praca mego życia.

- Nie? - Co ona robi? Nigdy nie pamiętam, czym się kto zajmuje. Była prawniczką, kiedy Mick ją poznał. Teraz zatrudniła się w Departamencie Pracy.

- Myślę, że w rodzinie tylko jedna osoba może sobie pozwolić na pracę swojego życia. - Zażenowała się z zaprawioną smutkiem dobroduszością, maskującą ukrytą agresję. - Masz wspaniały kostium, gdzie go kupiłaś?

Paplałyśmy po babsku. Odwzajemniłam się jej komplementem na temat jej białej koktajlowej sukni. Sally była niezaprzeczalnie przystojną kobietą o prostych, gładkich blond włosach, krótko przystrzyżonych i ułożonych w taki sposób, jaki kobiety uwielbiają bardziej niż mężczyźni. Szeroko rozstawione oczy i mocno zarysowane kości policzkowe czyniły jej twarz egzotyczną. Usta miała ogromne, w wyrazie zatroskania. Ale były zmysłowe - cała twarz była zmysłowa. Przyćmiewała jej ciało, które w porównaniu z nią wydawało się dziwnie aseksualne. Ledwie się je zauważało.

- Mick mówi, że już prawie skończyłaś swój artykuł. Cieszę się, że mógł ci pomóc.
- O tak, był wspaniały. Nie poradziłabym sobie bez niego.
- Kiedy on się ukáže?
- Trudno powiedzieć. Może w czerwcu. Kiedy się zdecydują go wydrukować.
- Nie mogę się doczekać, żeby go przeczytać - powiedziała szczerze.

Bóg mi świadkiem, że starałam się być obiektywna. Zadawałam sobie pytanie, czy lubiłabym Sally Draco, gdyby nie Mick? Czy chciałabym się z nią zaprzyjaźnić? A szczerą odpowiedź brzmi: nie, ale bez uzasadnionego powodu. Jest ciepła i serdeczna, ale nie jestem pewna, czy prawdziwa, a im dłużej z nią rozmawiam, tym mniej wydaje się autentyczna. Wpatruje się pilnie, z nadzieją, czegoś oczekując. W jej oczach widzę wielkie pragnienie.

Nasza rozmowa, jakakolwiek była, urwała się. Sally weszła do łazienki, a ja podryfowałam dalej, myśląc o niej. Czemu wyszła za Micka? Stanowili całkowite przeciwieństwo: on jest realistą, ona nie. (Wcale nie jestem stronnicza). On rzadko o niej mówi, a jeśli to czyni, używa poprawnych politycznie ogólników. Tego się po nim spodziewałam. Jest to frustrujące, ale podoba mi się ta jego dyskrecja. Ale nie jest żadnym panem Rochesterem. Myślę, że powiedziała by Jane na pierwszej randce o wariatce na poddaszu.

Zobaczyłam Lee na środku salonu z talerzem miniaturowych szaszłyczków z jagnięciny w ręku i wyrazem udręczenia na twarzy. Pobiełam spojrzeniem za jej wzrokiem - patrzyła przez drzwi w głąb kuchni.

Aha! Była tam Jenny z przyjaciółką. Trzymały się za ręce.

- Raju, co za para! - Nie mogłam się powstrzymać od ironii.

Lee zamknęła na chwilę oczy.

- Chodź ze mną, dobrze?

- Pewnie. - Weszłam pierwsza. Lubię Jenny.

Henry rozmawiał z nią i jej przyjaciółką, wyjmując z piecyka malutkie ptysie i układając na talerzu.

- Och, Lee! - wykrzyknęła Jenny na nasz widok. - Lee i jej przyjaciółka. Phyllis, to Lee, moja urocza synowa - i porwała Lee w ramiona, unosząc ją nad podłogę. Mnie potraktowała podobnie, choć najwyraźniej zapomniała mego imienia. Nie pamięta naszych imion, ale uwielbia wszystkie Gracje.

- Emma - podpowiedziałam, podając rękę drobnej, przystojnej Phyllis, wyraźnie po pięćdziesiątce. Jenny stanowczo się odmładzała. Phyllis sypnęła do mnie z oczu iskrami i powiedziała, że bardzo jej miło.

Oznaką zadurzenia Jenny było, że miała na sobie suknię, której dotychczas u niej nie widziałam. Była to ładna sukienka i pasowała do niej, ale efekt był wręcz komiczny - wyglądała jak facet w przebraniu. Jenny na metr osiemdziesiąt wzrostu - metr osiemdziesiąt trzy w roboczych butach, jak

lubi mówić - i jest grubokoścista. Maluje włosy na ciemnobrązowo i nosi je upięte à la madame Pompadour. Gdyby nie jej południowy akcent, mogłaby uchodzić za Julię Child.

- Lee, to jest Phyllis Orr, moja bardzo dobra przyjaciółka - powiedziała przeciągle. Henry ma zaledwie cień tego karolińskiego akcentu.

- Szalenie miło cię poznać, szalenie - wybełkotała Lee z przesadną wylewnością. - Witamy w naszym domu. Tak, wszyscy przyjaciele Jenny... - umilkła. Henry i ja spojrzeliśmy na siebie z rozba- wieniem. - A jak się poznałyście? Jeżeli to nie jest zbyt... nie musicie mówić... ja tylko tak z cieka...

- Phyllis zarządza domem, w którym mieszkam - rzekła Jenny tonem podziwu dla niespodzie- wanych darów, jakie niesie życie. - Ktoś próbował włamać się do mego mieszkania - mówiłam ci, Henry, pamiętasz? - ale zdołał tylko wyłamać rygiel. A ona go naprawiła. - Dźgnęła Phyllis żartobli- wie, ale z dumą w ramię.

- I od tej pory jesteście przyjaciółkami? - dziwowała się Lee. - To cudownie. Naprawdę.

Phyllis, drobna, żylasta, mrocznie przystojna kobieta, która wyglądała jak ktoś znający się na ryglach, patrzyła na Lee z ciekawością.

- I kto tu mówi o przyjaciółkach - huczała Jenny. - Powiedz Phyllis o swojej grupie, Lee, złotko. Lee założyła klub tylko dla kobiet, Phil, lata temu i ten klub wciąż istnieje. Emma jest jedną z człon- kiń. Ile lat istnieje wasza grupa?

- W czerwcu będzie dziesięć - powiedziała Lee.

- No, no, to ci dopiero - rzekła Phyllis.

- Jedziemy na Cape Hatteras, żeby to uczcić - wtrąciłam.

Rodzina Lee ma tam domek, który wynajmuje przez cały rok oprócz dwóch tygodni w czerwcu i wrześniu. Gracje uczyły tam cztery z dziewięciu rocznic, więc jest to tradycja połowiczna.

- A niech mnie, czy to nie cudowne? - Jenny oparła czule łokieć na ramieniu Henry'ego. Firma Patterson i Syn wyglądała razem wspaniale, oboje tak niecharakterystycznie dla siebie wystrojeni. Lee rozejrzała się wokół, zacierając dłonie i uśmiechając się niespokojnie. Kilkoro jej przyjaciół z pracy przyszło po lód albo coś innego i teraz zgromadziło się wokół i słuchało naszej rozmowy.

- Gdy byłam w twoim wieku - Henry, kiedy to było? Zastanowił się.

- Pod koniec lat siedemdziesiątych.

- Słusznie, dwadzieścia lat temu byłam w twoim wieku. Miałam wtedy potąd życia z kobietami w grupie. Wiesz, że żyłam kiedyś w komunie? - zwróciła się do mnie. - Na wsi, koło Asheville, w pięknym miejscu. Tam właściwie wychowywał się Henry. Martwiłam się o niego, że nie ma ojca - je- go ojciec został zabity w Wietnamie - a patrzcie jak wyrósł. Ścisnęła jego szyję w zagięciu ramienia.

- Ha! - powiedziałam, jakbym nie wiedziała tego wszystkiego od Lee, Henry'ego i samej Jenny.

- Ptysia? - Lee podsunęła talerz z nadzieją pod nos swojej teściowej.

- Zjednoczenie kobiet! Nie ma dla nas rzeczy niemożliwych, kiedy pracujemy razem. Mam rację, Emma? Lee, kochanie? Och, jaka z nas była wtedy paka! Wolna miłość i zakaz wstępu dla mężczyzn. Czy wasza grupa ma jakąś nazwę? My nazywałyśmy siebie Viragos.

- Ale posłuchaj - zwróciła jej uwagę Lee pośród śmiechu. - My nie jesteśmy - cha, cha, cha - tego rodzaju grupą. Uniosła rękę do Henry'ego, jedynej osoby z penisem w tym gronie, jakby chciała powiedzieć: spójrz, oto żywy dowód, że jestem heteroseksualna.

- A jakie byłyśmy radykalne! O raju, demonstrowałyśmy z byle powodu. Pamiętam, kiedyś wybrałyśmy się na wiec antywojenny w Raleigh. Ja i moja przyjaciółka zdjęłyśmy bluzki i karmiłyśmy piersią nasze dzieci na schodach Kapitolu. Henry, widziałeś do zdjęcie.

- Tak. Miałem wtedy osiem lat.

- Nasz ruch nie przetrwał. To było nieuniknione. Byłyśmy wszystkie takie młode. Jedna po drugiej odchodziła. Podobno nie ma tam już farmy. W tym ślicznym miejscu. Pamiętasz Sue Ellen Rich? - zapytała syna. - Dostałam od niej kartkę na Boże Narodzenie, ciągle jesteśmy w kontakcie, pisze, że tam jest teraz hurtownia. - Potrząsnęła głową ze smutkiem.

- My nie zajmujemy się polityką - rzekła Lee pogodnie.

- Ale jesteście wciąż razem. Tego wam zazdroszczę. Dziesięć lat minęło i wciąż tworzycie grupę. I wciąż się kochacie.

- O tak, bardzo - przyznałam, obejmując Lee w pasie. - Wciąż się kochamy ogromnie. - Lee w ostatniej chwili zorientowała się, co chciałam zrobić - pocałować ją w usta - i odwróciła głowę w panice. Trafił mi się jedynie policzek.

- Pójdę rozczęstować te ptysie - mruknęła, wysuwając się z mojego czulego objęcia. - Zanim wystygną. Wybaczycie? -

Zawsze grzeczna. Ale spojrzenie, jakie mi rzuciła wychodząc, lśniło pragnieniem mordy.

- Bardzo przepraszam, że się spóźniliśmy. Kirby wysadził mnie przed wejściem - powiedziała bez tchu Isabel. - Parkuje samochód. - Lee chciała zabrać jej żakiet, ale Isabel powiedziała: - Chyba zatrzymam go. - Wypatrzyła mnie.

- Hej, ty - powiedziałam i objęłam ją lekko jednym ramieniem. Miło było ją uściskać, wcale nie zrobiła się krucha ani nic takiego.

Podeszła Rudy promieniejąca radością i objęła ją długim, mocnym uściskiem.

- Martwiłam się, myślałam, że już nigdy nie przyjedziesz.

- Nie, wszystko w porządku, tylko nie mogłam się zebrać.

- A jak się czujesz? - pytała Lee, biorąc ją za obie dłonie i patrząc z napięciem w oczy.

- Wyglądasz cudownie - powiedziała Rudy.

Była to prawda tylko częściowo. Isabel miała na sobie wspaniałą suknię z rodzaju klasyczna mała czarna, włosy ułożone w nowy sposób, naprawdę twarzowa fryzura. Jednak jej cera była wosko-

wo żółta, a oczy wydawały się za wielkie. Twierdziła, że nie utyła ani nie schudła nawet o gram po tych nowych lekach, czemu więc wydawało się, że ma lekko podpuchniętą szczękę i szyję? Nikt, kto jej dobrze nie znał, prawdopodobnie by tego nie zauważył. Ostatnio wypatruję w niej zmian jak matka u chorego dziecka. Wszystkie to robimy. Ona tego nie cierpi.

- Jak się czujesz? - nie dawała za wygraną Lee, wciąż patrząc jej w oczy.

- Świetnie, wspaniale, trudno czuć się lepiej. Twój dom jest śliczny. - Isabel rozejrzała się i cofnęła dłonie. - To jest nowe lustro, prawda? Oddałabym wszystko za twój smak, Lee. Jak ty to robisz?

Okay. Nawet do Lee dotarło, że nie będziemy rozmawiały o jej zdrowiu. Stałyśmy więc we cztery pośrodku salonu, w ciasnym kręgu, śmiejąc się i gawędząc o ślicznych kolczykach Isabel, o moich wspaniałych nowych pantoflach, o planach Lee na święto Paschy, o perfumach Rudy. Na chwilę nawet ja zapomniałam, że coś ciemnego i groźnego spadło na naszą grupę i zmieniło nas na zawsze.

Przyszedł Kirby. Isabel przedstawiła go Rudy i mnie - Lee poznała go wcześniej - bez tego czujnego niepokoju, czy nam się spodoba, który ja odczuwałabym na jej miejscu. Był rodzajem faceta budzącego lęk. Górował nad nami, choć nie mógł ważyć więcej jak jakieś 70-75 kilo. Prawie łysy, o ostrych, kościstych rysach i pochylonych plecach. Nie było w nim jednak nic ptasiego. Wyglądał na silnego i żylastego, atletycznego mimo chudości. W księżej twarzy dominowały oczy, łagodne, brązowe i smutne.

Tworzyliśmy małą grupkę na przeszklonej werandzie, my cztery i Kirby, i prowadziliśmy lekką, nieco sztywną pogawędkę. On niewiele mówił, ale nie był wyniośle milczący. Musiał wiedzieć, że go sondujemy. Śmieszne, Lee twierdzi, że go polubiła, mimo że jest bardziej zaborcza w stosunku do Isabel niż którakolwiek z nas. Ona jednak słynie ze swej słabej znajomości ludzi (dowód Sally, ale nie dlatego, że jestem uprzedzona), więc jej aprobatą dla Kirby'ego nie miała dla mnie większego znaczenia. Szczerze mówiąc, skłaniałam się do tego, aby go nie lubić, lecz ze względu na Isabel starałam się być obiektywna.

Tu nie chodzi o to, co powiedział, ale co zrobił. Gdybym nie wpatrywała się w niego jak sroka w gnat, niczego bym nie zauważyła. Nie kręcił się koło Isabel - on jej raczej strzegł. To było coś w rodzaju mowy ciała. Lee wyniosła wszystkie krzesła z pokoju, żeby było więcej miejsca. Kirby ulotnił się na kilka chwil, a potem znów się zmaterializował z kuchennym stołkiem w rękach, który niemal niedostrzegalnie umieścił za Isabel - cała ta scenka miała nienatrzętny charakter dobroczynnej magii. W ten sam sposób przyniósł jej szklankę wody sodowej z plasterkiem cytryny, potem talerz przekąsek i krzywił się na poły ze smutkiem, na poły żartobliwie, póki nie zaczęła jeść. Był jak anioł stróż. Nie-rzucający się w oczy swoją dobroczynnością.

Łatwo byłoby go zaszufładkować jako dziwaka ze względu na wygląd, lub upiora, ponieważ uczył się kobiety, która była poważnie chora. I rozumiałam, czemu Isabel początkowo wzięła go za

geja; nie dlatego, że był zniewieściał, ale ponieważ był inny, nie podpadał pod żadną kategorię. Pod tym pozornym dziwactwem kryły się ogromne pokłady delikatności. Postanowiłam mu zaufać. Po półgodzinie byłam zachwycona, że Isabel go zdobyła. Trudno było o większe przeciwieństwo Gary'ego Kurtza.

Zaproponował, żebyśmy usiedli w salonie, a ja już wiedziałam, z jakiego powodu: bo tam będzie Isabel wygodniej. Kiedy się rozproszyłyśmy, Isabel zatrzymała się w drzwiach do salonu i przytrzymała mnie za guzik.

- I co?

- Z czym?

- Co sądzisz? - Zrobiła zniecierpliwioną minę, a ja roześmiałam się.

- Podoba mi się, podoba mi się.

- Tak? Naprawdę, Em?

Trudno mi wyrazić, jak się poczułam, dowiedziawszy się, że Isabel zależy na mojej opinii o jej przyjacielu. Jakby papież zasięgał u mnie o kimś zdania. Byłam naprawdę wzruszona. Isabel jest moim mentorem, choć żadna z nas nie powiedziałaaby tego głośno i z całą pewnością nigdy nie użyłaby tego określenia. Ona mnie aprobuje, a nie na odwrót.

- Oczywiście, że mi się podoba, komu by się nie podobał? Ale - nie mogłam się powstrzymać od pytania - dlaczego mówisz, że jesteście „tylko przyjaciółmi”?

- Bo to prawda.

- Ach tak? Czy powiedziałaś mu to?

Uśmiechnęła się leciutko ze spuszczonej oczyma.

- On jest w tobie zakochany, Is.

- Jeśli kiedykolwiek był, to już nie jest.

- Czemu?

Nie odpowiedziała.

- Jak to? Ponieważ jesteś chora? Cóż, jeśli on jest taki...

- Emma, to jest teraz skomplikowane, to wszystko. Sama musisz przyznać, że jest skomplikowane.

- Wszystko jest skomplikowane, Isabel. Chcesz powiedzieć, że Kirby tylko wtedy cię kocha, kiedy tryskasz zdrowiem?

- Nie, nie, wcale nie chcę tak powiedzieć. - Wyglądała na wstrząśniętą. - Ty naprawdę nie rozumiesz.

Doznałam olśnienia.

- To twoja sprawa - powiedziałam.

- Co jest moją sprawką?

- To ty się powstrzymujesz, bo jesteś chora. Wcale nie Kirby. - Co za ulga, zwłaszcza po tym, gdy zdecydowałam, że mu ufam.

Isabel patrzyła na mnie roztargnionymi oczyma, zastanawiając się nad tym, co jej powiedziałam. Potrząsnęła głową i powtórzyła:

- Nie, to jest bardziej skomplikowane. Naprawdę.

- Skoro tak mówisz. Ale to ty chcesz zachować dystans, Is. - Zdumiewające, jaka potrafi być pewna swoich racji w sprawach innych ludzi. - To prawda, widzę Kirby'ego pierwszy raz, ale on mi nie wygląda na człowieka, który nie potrafi znieść komplikacji.

Isabel zaczęła coś mówić, ale Lee jej przerwała.

- Kręcimy film - zaszcebiotała, wymachując wideokamerą. - Chodźcie do salonu, Henry chce mieć nas wszystkie na kanapie.

Zaśmiałam się. Wcisnęłyśmy się we cztery na tę cholerną sofę. Z jednej strony miałam Isabel, z drugiej Rudy. Rudy nie była pijana, ale wygłupiała się przed kamerą, robiła miny, udawała, że chce mi włożyć język do ucha. Byłam na nią wściekła, ale mnie rozśmieszyła. Zobaczyłam Curtisa wśród innych gości, którzy się nam przyglądali. Nie śmiał się wraz z innymi, nawet się nie uśmiechał.

Byłam głupia i naiwna, sądząc, że Rudy zatai moje sekrety przed Curtisem. Dorośnij, Emmo. Mężowie i żony mówią sobie wszystko. Małżeństwo wypiera przyjaźń, nawet małżeństwo z takim kutasem. Nie byłam już na nią zła i nie robiłabym z tego sprawy, nawet nie poruszyłabym tego tematu. On właśnie tego chciał. Pieprzę go. Nie zamierzałam wbijać klina między Rudy i mnie, żeby zrobić sobie samej na złość.

Przechwyciłam jego wzrok, objęłam Rudy i pocałowałam w skroń. Masz.

Nie było to jednak całkowite zwycięstwo. Z powodu Curtisa będę musiała teraz uważać, co mówię Rudy o Micku. Myśl o tym sprawiła, że znowu ogarnął mnie gniew.

- Cześć.

- Witaj.

Cały wieczór czułam się jak ptak krążący wokół gęstwiny ciernistych krzaków. Nie mogłam znaleźć sobie miejsca, aż wreszcie wysledziłam swoim ptasim okiem Micka, który czekał na mnie w ogródku przed domem Lee.

No, cóż. Nie wiem, czy czekał na mnie. Po prostu był tam i palił papierosa przy palisadzie obrosniętej gustownie bluszczem; palisada oddzielała dom Pattersonów od sąsiadów. Nie był nawet sam, w końcu ogródka inni goście, trzej czy czterej mężczyźni i jedna kobieta śmiali się, pili i palili cygara przy zardzewiałej huśtawce. Było ciepło. Na szarym, bezgwiezdnym niebie świecił sierp księżyca. W przeciwieństwie do mojej i Micka okolicy było tu spokojnie w sobotnie wieczory.

- Nie jest tu jak w domu, prawda? - powiedziałam, a on się uśmiechnął, robiąc krok do tyłu i zapraszając, abym stanęła obok niego na kawałku betonu. Ja też się uśmiechnęłam, ale spuściłam głó-

wę, tak że tego nie zobaczył. Z radości łaskotało mnie w gardle. Napięcie między nami było niepokojące. Znaczyło, że wszystko jest prawdziwe, wszystko, czego pragnęłam i czego się obawiałam.

- Jestem zdziwiona, że palisz.

Spojrzał z zaciekawieniem na jarzący się koniuszek papierosa.

- Ktoś mnie poczęstował. Zwykle nie palę. Najwyżej raz na jakiś czas.

- Ja palę. Ale tylko z Rudy.

- A chcesz zapalić? Mogę postarać się o papierosa.

- Nie. - Roześmiałam się - rozsadzała mnie radość.

Do lampy ogrodowej zlatywały się owady. Kilka posesji dalej pies szczekał z nudów. Nad nami buczał niewidoczny samolot. Stopniowo, mimo że nie rozmawialiśmy, zaczęliśmy się odprężyć. Oplataliśmy się niewidoczną siecią jak kokonem. Robiliśmy to także u Murraya, lecz mimo to byłam zdumiona, że tak łatwo nam to przychodzi.

- Wysmażyłam wreszcie ten artykuł - powiedziałam. - Trzeba go tylko przejrzeć i sprawdzić niektóre fakty.

Kiwnął głową. Ukończenie artykułu dla „Capital” na temat świata sztuki w Waszyngtonie oznaczało, że nie będę miała więcej żadnego pretekstu, aby odwiedzać Micka w studiu albo spotykać się z nim na kawie, żeby zadawać pytania. Nie będzie żadnego uzasadnionego powodu, abyśmy pozostawali w kontakcie. Oprócz przyjaźni. Tajnej przyjaźni, jak Rudy była łaskawa zauważyć.

- Dziękuję ci za pomoc - powiedziałam sztywno. - Nie mogłabym tego dokonać bez ciebie.

- Ja nic nie zrobiłem.

- To nieprawda. Nie wiedziałabym, z kim rozmawiać, a od kogo trzymać się z dala, gdybyś mi nie powiedział. Nie wiedziałabym nawet, od czego zacząć. - Wydawca „Capital” powiedział mi, abym pisała z punktu widzenia człowieka nie znającego się na sztuce. I bardzo dobrze, w przeciwnym razie nie mogłabym w ogóle napisać tego artykułu.

- Jesteś reporterką - rzekł Mick. - Sama byś do tego doszła.

- Czemu nie powiesz mi po prostu: „Proszę bardzo”. Pochylił głowę z uśmiechem.

- Proszę bardzo.

- Oczywiście, może im się nie spodobać. Nie ma żadnej gwarancji. Mogą go nawet odrzucić.

- Wtedy będziesz mogła powiedzieć, że to moja wina.

- Och, nie mów głupstw.

Było w tym trochę obłudy z mojej strony. Uważałam, że artykuł wyszedł mi bardzo dobrze i byłabym zdziwiona, gdyby go odrzucono. Jestem jednak przygotowana na taką ewentualność. Jest to forma zabezpieczenia. Utrzymuję nadzieję na średnim poziomie, aby nie dać się zranić rozczarowaniu. Przynajmniej nie na forum publicznym.



Patrzyliśmy przez drzwi wiodące na patio. Goście, jak w zwolnionym filmie, przechodzili od baru do stołu i od grupki do grupki. Ich usta poruszały się bezgłośnie, jeśli nie liczyć sporadycznych wybuchów śmiechu. Zauważyłam, że żona Micka od dłuższej chwili rozmawia z Curtisem Lloydem, i od razu zaczęłam fantazjować, że się w sobie zakochali i uciekli na Ibizę.

- Rozmawiałem z twoją przyjaciółką Isabel - rzekł Mick.

- Poznałeś ją już wcześniej. - Właśnie tu, na poprzedniej kolacji u Lee.

Kiwnął głową.

- Pamiętam, ale wtedy nie rozmawialiśmy. Bardzo ją lubię.

- Nie mógłbyś jej nie lubić.

- To okrutne - rzekł, patrząc na mnie.

Kiedys u Murraya opowiedziałam mu, jak się boję o Isabel i skończyło się łzami. Byłam zła na siebie. Nie lubię, jak ktoś widzi mnie płaczącą. Mick zachował się dyplomatycznie, okazując mi swoje współczucie, ale to nie on był przyczyną moich łez.

- Lee powiedziała Sally o uzdrowicielskim kręgu - rzekł. - A Sally mnie.

- I wziąłeś w nim udział?

- Tak. - Kiwnął głową. - A ty nie?

- Tak jakby. Gdzie byłeś? - Próbowałam wyobrazić sobie jego i Sally, jak krążą wokół świecy i wyśpiewują coś monotonicznie.

- W metrze, w drodze powrotnej z lekcji rysunku. Przypomniałem sobie dopiero za kwadrans dziesiąta.

- I co zrobiłeś?

- No wiesz. Medytowałem. A ty?

Miło było w ten sposób gawędzić. Z Rudy i Lee rozmowa wydaje się zbyt osobista, a z Isabel oczywiście wykluczona.

- No, cóż - powiedziałam - próbowałam medytować, ale nie jestem w tym za dobra. Jak się odizolowuje umysł? Bo mój wciąż miota się na wszystkie strony.

- Nie wiem, czy naprawdę medytowałem - rzekł pocieszająco. - Ja tylko o niej myślałem. Zamknąłem oczy i dobrze jej życzyłem.

- Ja robiłam to samo.

Jakaś kobieta otworzyła drzwi na patio i wyjrzała w półmrok. Ktoś - niewątpliwie Lee - wyłączył taśmę Henry'ego z Drifters i włączył Stephane'a Grapellego, jazzowe staccato. Kobieta uśmiechnęła się i zamknęła drzwi.

Milczeliśmy. Dopiero gdy zrzuciłam z nóg pantofle, Mick zapytał, czy chcę wejść do domu i usiąść.

- Nie - odpowiedziałam. - Tu jest przyjemnie. Chyba że ty chcesz.

- Nie. - Popatrzył wtedy na mnie.

Patrzył na moje ciało. Zwykle stara się tego unikać, albo tak mi się wydaje.

Jak to jest, że niektórzy mężczyźni potrafią tak na ciebie spojrzeć, że czujesz się najseksowniejszą kobietą na świecie, podczas gdy inni patrzą tak, że masz ochotę wbić im obcas szpilki w nogę? Przy Micku nagle uświadamiałam sobie, że rozmawiam z nim o drobiazgach, a wyobrażam sobie, jak go przytulam. Stojąc na palcach, obejmuję go za szyję i tulę się do niego. Z wrażenia zaschło mi w ustach i zapomniałam, o czym mówię. Moje ubranie zrobiło się jakby za małe, odsłaniało moje ciało i chciałam, aby mnie wziął. Chciałam mu się oddać.

Postawiłam swojego drinka na podstawce z kutego żelaza pod donicę. To nie był flirt z jakimś miłym facetem na przyjęciu. To, co czułam, było żądzą, która potrafi zniszczyć życie. Ta myśl otrzeźwiła mnie jak kąpiel w zimnej wodzie.

- Nad czym ostatnio pracujesz? - zapytałam, zadowolona ze swojego stanowczego, rzeczowego tonu.

- Nad czymś nowym. Nad akwarelowymi portretami. Przyjdź je obejrzyć - zaprosił. - Kiedy tylko zechcesz. Przyjdź, kiedy zechcesz, Emma.

No i proszę, wróciliśmy do punktu wyjścia.

- Byłoby miło. Chciałabym. Kiedyś wpadnę - odparłam z rezerwą.

Nie zapytał, jak mi idzie pisanie powieści, bo już dawno temu prosiłam, by tego nie robił. Nie chcę o tym rozmawiać. O czym tu mówić? Raz idzie dobrze, innym razem źle. Tak czy inaczej, jest to konwersacyjny korek. Ale teraz chciałam mu coś powiedzieć i sama byłam sobie winna, że poruszyłam ten temat.

- Mam kłopoty z pisaniem - wyznałam. Zdumiała mnie moja szczerość. - Nie idzie mi dobrze. Myślę, że zbyt pochopnie rzuciłam pracę w gazecie.

- Nie, nie sędzę.

- Cóż... - powiedziałam, by podtrzymać rozmowę. Mówił dokładnie to, co chciałam usłyszeć.

- W każdym razie jest jeszcze za wcześnie, by przesądzać sprawę. Kiedy zrezygnowałaś z pracy?

- Miesiąc temu.

- To za krótko.

- Ile czasu musi upłynąć, żebyś się przekonała, czy nie popełniłam błędu?

- Jak na taką optymistkę - rzekł, uśmiechając się - z rok. Minimum. Lepiej byłoby dwa lata.

- A ile czasu tobie zajęło, zanim się przekonałeś, że nie popełniłeś błędu?

- Do tej pory się nie przekonałem.

- Ja bym tego nie zrobiła, gdybyś ty... Gdybyś mnie nie zainspirował - powiedziałam z krzywym uśmiechem. - Nie zrobiłabym tego, gdybym ciebie nie spotkała. Więc część winy spadnie na ciebie, jeżeli nawalę.

- Nie nawalisz. Będziesz dobra.

- Skąd wiesz?

- Wiem. Po pierwsze, masz silny głos.

- Chciałeś powiedzieć donośny.

- I mocne serce.

Też tak sędzę, pomyślałam.

- Masz... nie wiem, jak to nazwać. Pewne nastawienie, które będzie przemawiało do ludzi, bystrych ludzi.

Dobrze, że było ciemno, bo się zaczerwieniłam.

- Dałabym wszystko, żeby to była prawda - przyznałam bez tchu. - Ale ja jeszcze nawet nie wymyśliłam, o czym będę pisać.

- To przyjdzie samo. Nie wszystko od razu.

- Nie cierpię czekać. Chcę wiedzieć już teraz, czy odniosę sukces, czy poniosę porażkę.

- A gdybyś wiedziała, że czeka cię klęska, zmieniłoby to coś?

Potrząsnęłam głową.

- Co do mnie - rzekł - wiedziałem, że malarstwo jest moim powołaniem, gdy zdałem sobie sprawę, że właśnie tego pragnę, nawet za cenę niepowodzenia. To nie jest kwestia tego, co inni o mnie sądzą. Staję się lepszy, zaczynam rozumieć rzeczy, które kiedyś były dla mnie kompletną tajemnicą. Rozwijam się. Zmieniam.

Dużo się nakiwałam głową. Słuchałam Micka i czułam się rozdwojona: ożywiona i zmartwiona, podniesiona na duchu i nieszczęśliwa. Chłonełam jego słowa, myślenie o nich zostawiając na później.

Potwierdzało się jednak moje podejrzenie, że Mick jest dojrzały ode mnie.

- Chciałam ci powiedzieć, że gdybym cię nie spotkała, prawdopodobnie nie rzuciłabym pracy w gazecie. Bałabym się ryzyka. Tak jak ty kiedyś. Nie doceniałam twojej odwagi. Teraz doceniam. Podziwiam cię.

Spuściłam głowę. Widziałam tylko czubek jego głowy. Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i przez jedną okropną sekundę myślałam, że sięga po chusteczkę, ponieważ płacze. Poczułam się głupio, ale odczułam ulgę, kiedy wyjął portfel i powiedział:

- Chcesz zobaczyć fotografię Jaya?

Jego syn był piękny, oczywiście. Jakżeby inaczej? Blondyn o różowych policzkach i głupkowatym anielskim uśmiechu.

- Podobny do ciebie - powiedziałam.

- Wszyscy mówią, że to wykapana Sally.

- Tak, ale jest coś, coś...

Jay lepił z ojcem bałwana przed domem. Poznałam ten wąski, szary dom w tle, ponieważ, Boże dopomóż, kiedyś przejeżdżałam obok niego. Celowo. Chciałam zobaczyć, gdzie mieszka Mick. Chciałam po prostu zapłacić tę białą plamę. Na fotografii Jay był tak opatulony - w granatowym pikowanym kombinezonie narciarskim, szaliku, czapce z nasznikami, przemoczonych wełnianych rękawiczkach, w ciężkich żółtych buciorach - wyglądał, jakby był przygwożdżony do miejsca trzema śnieżnymi kulami ułożonymi obok, jedna na drugiej. Mam fotografię w tym samym stylu, w klasycznej dziecięcej pozie. Trzymam sznurek od sanek, a mały chłopiec, który mieszkał dwa domy dalej, stoi za mną większy, starszy, z podstępny wyrazem oczu. Ale nie pamiętam tego wydarzenia.

Czy kiedy po latach Jay spojrzy na tę fotografię, też nie będzie nic pamiętał?

- Och, Mick, on jest śliczny. Sześć lat?

- Pięć i pół, w grudniu skończy sześć.

- Czy zawsze pragnęłaś mieć dzieci?

- Nie, Jay był... niespodzianką. - Podniosłam wzrok. Jego twarz znieruchomiała. Starannie dobierał słowa. - Nigdy nie przypuszczałam, że czyjeś życie może dla mnie więcej znaczyć niż moje własne. Myślę, że Jay jest szczęśliwy. Tak sędzę. Przeraza mnie jego niewinność. Chcę go ochraniać i wiem, że nie zdołam. - Jego cichy głos jeszcze bardziej ścichł. - Emma, nie mógłbym skrzywdzić Jaya. Choćbym nie wiem jak pragnął. Wiesz, jak...

Urwał. Zwróciłam mu fotografię bez słowa. Wiadomość dotarła do adresata.

Przyniosło mi to prawdziwą ulgę. Jestem jak dziecko, funkcjonuję lepiej, gdy granice są ustalone. Teraz znam zasady i będę się ich skrupulatnie trzymała. „A co sobie myślałaś?” - zapytałam w duchu.

Drzwi na patio rozsunęły się. Była jakaś niewinność w sposobie, w jaki odwróciliśmy się na ten odgłos. Podeszła do nas Sally, a za nią Lee. Mick jakby specjalnie czekał, aż żona podejdzie, nim włożył fotografię syna do portfela. Jeszcze jeden przejaw niewinności.

Gawędziłyśmy - my, kobiety. Mick nic nie mówił. Czulałam się odrętwiała i lekka, jakby nieobecna. Lee i Sally chciały mnie umówić z jakimś mężczyzną z biura Sally. Prawnik, pod pięćdziesiątkę, rozwiedziony, pracuje u radcy generalnego.

- Tylko nie mów nic bez zastanowienia, Em. On się wydaje naprawdę miły, on...

- Dobra.

Lee zamrugnęła powiekami.

- Hm?

- Dzięki, Sally. Daj mu mój numer. Powiedz, niech zadzwoni.

Wyglądała na zaskoczoną, podobnie jak Lee. Ujęła w obie dłonie rękę Micka i wsparła się na nim, z głową na jego ramieniu. Taka żonina wiadomość: „Chodźmy do domu, kochanie, jestem zmęczona”.

Popełniłam błąd i spojrzałam na niego. Ciekawa jestem, ile bólu bym sobie oszczędziła, gdyby się wówczas odwrócił lub ukrył swoje uczucia, albo gdyby światło było gorsze. Ale było dostatecznie jasno, a Mick nie dorównywał mi w ukrywaniu uczuć. Na jego twarzy malował się ból, wielki, dojmujący. Dotychczas powstrzymywałam swoją miłość do niego. Obecnie złudzenie, że mam inny wybór, prysnęło jak bańka mydlana.

Otrzymałam doniosłą lekcję, bez której mogłabym się obyć: nie możemy być razem, choć jesteśmy w sobie zakochani.

TLR

## 16.

### *Isabel*

Wiosna jest moją ulubioną porą roku. Maj moim ulubionym miesiącem. Wszystko kwitnie, budzi nadzieję na nowe życie. Nie wiem czy to szczęście, czy ironia losu, ale najgorsze doświadczenie mego życia przypadło na maj.

Terapia antyestrogenowa nie zadziałała. Zważywszy na historię mojej choroby, doktor Searle od początku nie żywił wielkiej nadziei, ale oboje pragnęliśmy, choć z odmiennych przyczyn, aby zastosować chemoterapię jak najpóźniej. Przerazała mnie. Nie dość, że nie uchroniła mnie przed nawrotem, to czułam się bardziej chora niż kiedykolwiek.

Doktor Searle obmyślił więc nowy koktajl. Nazywa się on CAF: Cytosan, adramycyna i 5-fluorouracil i jeśli mnie nie zabije, biedne będą moje komórki rakowe.

Kirby chciał pójść ze mną na pierwszy zabieg, ale go odwiódłam od tego zamiaru. Powiedziałam, że już raz to przechodziłam i wiem, czego oczekiwać. W każdym razie - nie powiedziałam mu tego - jeżeli miały być jakieś problemy, to później, w siedem do dziesięciu godzin po wlewach.

Wizytę miałam wyznaczoną na wpół do drugiej. Kwadrans po dwunastej do moich drzwi zapukała Lee.

- Zwolniłam się z pracy i jadę z tobą - obwieściła.

Wiedziałam, że w przeciwieństwie do Kirby'ego, Lee nie da się od tego odwieść i miałam rację. Lecz muszę wyznać, że pod warstewką irytacji czułam ogromną ulgę.

Doktor już wypisał skierowanie, ale trzeba było jeszcze załatwić formalności: zarejestrować się, poznać pielęgniarki od chemoterapii, poddać się badaniu krwi i narządów wewnętrznych, poczekać na przygotowanie kroplówki. Dopiero po trzeciej zasiadłam na wygodnym, aż nadto znajomym fotelu w mojej prywatnej kabinie. Lee siadła na twardym stołku obok mnie i gawędziła. Nie wiem o czym - byłam zbyt spięta, żeby słuchać. Wątpię, czy ona sama wiedziała, co mówi, bo była bardziej zdenerwowana ode mnie. Ale mogłam jej powiedzieć, że samo poddanie się zabiegowi chemoterapii jest niczym. Zabawa zaczyna się dopiero później.

W ciągu dwóch ostatnich lat personel się zmienił. Nie znałam Dorothy, drobnej, ładniutkiej, ciemnoskórej pielęgniarki, która wpadła uśmiechnięta z tacą leków.

- Przyszłaś z przyjaciółką? To miło - powiedziała, klepiąc moją rękę w zgięciu łokcia, żeby uwydatnić żyłę. Igła weszła gładko i szybko, „Dzięki Bogu - pomyślałam - Dorothy jest zręczna”. Niektóre pielęgniarki bywają okropne.

- Co w tym jest? - spytała Lee, patrząc na jasnoczerwony płyn w strzykawce, którą Dorothy mocowała do cewnika.

- Adramycyna. To ta, po której wypadają włosy, kochanie. - Spojrzała mi prosto w oczy, z twarzą po matczynemu łagodną. Jej współczucie było szczere i nieco przesadne. Moje uczucia były jednoznaczne: nic na świecie nie wzbudza we mnie takiego żalu nad samą sobą jak chemoterapia. Jestem przekonana, że gdyby nie Lee, tobym się rozpląkała. Czułam się w obowiązku podnieść na duchu kogoś, kto jest taki dobry, by próbować podnieść mnie na duchu, więc głupio zażartowałam:

- Dzisiaj są włosy, jutro ich nie ma - i zamknęłam oczy.

Następnie powiesiła na stojaku butelkę z cytoxanem. Znałam ten lek, byłam przygotowana na jego natychmiastowy i nieprzyjemny skutek uboczny - posmak w ustach jak po zjedzeniu chińskiej musztardy i uczucie kłującego zimna w zatokach. Na koniec dostałam 5-fluorouracil, a potem pielęgniarka wsunęła cewniki i kazała zostać na miejscu, bo ona za chwilę wróci i powie mi o ewentualnych skutkach ubocznych.

Leżałam z zamkniętymi oczami, niezdrowo wyczulona na wszelkie bodźce zmysłowe, ale było jeszcze za wcześnie. Lee zrobiła się cichutka. Przysunęła swój stołek bliżej mnie. Wsunęła rękę, która lekko drżała, w moją dłoń.

- Popuśćmy wodze wyobraźni - mruknęła. - Wyobraźmy sobie, jak chemia zabija komórki rakowe. Chcesz?

Nie wiem, co jej podszeptała wyobraźnia, ale moja kazała mi się uśmiechnąć.

- Co w tym śmiesznego? - zapytała, ale ja tylko potrząsnęłam głową. Nie sądziłam, że ona dostrzeże w tym tyle uroku co ja - Lee gladiatorka w obcisłych spodniach obszytych gwiazdami i w lamparciej skórze zabija podłe komórki rakowe jedna po drugiej ogromnym mieczem ze styropianu.

- Henry i ja się kłócimy - powiedziała przy wczesnym obiedzie w hiszpańskiej restauracji niedaleko mojego mieszkania. Czułam głód, patrząc jak zmiata małże, krewetki i ryż z szafranem z talerza. Zamówiłam jednak tylko kubek zupy z soczewicy i sałatkę, martwiąc się, że i tego za wiele.

- O co się kłócicie?

- O wszystko. Wszystko, co mówi lub robi, doprowadza mnie do furii. Nic na to nie mogę poradzić.

- To stres. Jesteście oboje...

- Wiem. Wczoraj wieczorem nawrzeszczałam na niego, że musi przestać pić, i od tej pory nie rozmawiamy.

- Przestać pić? Ależ Henry wcale dużo nie pije!

- Czasem idzie po pracy na piwo. Alkohol źle działa na spernę, to oczywiste. Chyba nie żądam za wiele. To ja jestem tą, która wszystko robi. Wszystko, co on musi zrobić, to spuścić się raz na kilka tygodni do buteleczki, podczas gdy ja... - Odłożyła widelec i ukryła twarz w dłoniach.

- Och, Lee, kochanie... - Byłam taka zaskoczona, że mogłam tylko pogłaskać ją po ręce.

- Przepraszam. - Poszukała w torebce chusteczki. - To był okropny dzień. - Podniosła głowę. Miała zaczerwienione oczy. - Dostałam okres - szepnęła i rozplakała się.

- Och, nie, och, bardzo mi przykro.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje. Przepraszam, że ci to mówię, zwłaszcza teraz, ale...

- Nic nie szkodzi.

- ...ale nic na to nie poradzę. Nie jestem już sobą. Nie panuję nad swoimi nerwami, wciąż chce mi się płakać i najchętniej bym kogoś zabiła. Tak się boję, och, Isabel, tak się boję, że nigdy nie będziemy mieli dziecka... - Położyła rękę na gardle, rozglądając się wokół, zawstydzona myślą, że ktoś mógł to usłyszeć.

- Są jeszcze inne sposoby.

- Tak, wiem. Jest in vitro, GIFT, ZIFT, coś, co się nazywa ICSI, jest surogat ciąży - jesteśmy dopiero na początku tej drogi. Upłynie mnóstwo czasu i będzie kosztować fortunę. Henry wciąż pyta: „A co mają robić ludzie biedni?” - Wydawanie pieniędzy na ten cel doprowadza go do szału, ale to są moje pieniądze, lecz kiedy to mówię, gniewa się i czuje się urażony. Och, Boże!

Nigdy jej nie widziałam w takim stanie. Emma i Rudy żartują sobie, że dla Lee wszystko jest czarne albo białe bez wnikania w niuanse - ale prawda jest oczywiście taka, że ona też czasem wychodzi ze swojej skorupy, jak każda z nas. Jej pogląd na okazywanie uczuć w miejscach publicznych jest jednak surowy, surowy i staromodny. Dlatego jej dzisiejszy wybuch zrobił na mnie takie wstrząsające wrażenie.

Szybko się opanowała i zaczęła mnie przepraszać. Pragnęłam wrócić do tematu i zapytać ją, czy jest psychicznie przygotowana na niepowodzenie, ale nie była na to pora ani miejsce.

Kiedy skończyłyśmy jeść, uparła się, że pójdzie ze mną do domu.

- Możesz zasłabnąć, Isabel, ktoś musi być z tobą.

Zaprotestowałam, z góry wiedząc, że to bezcelowe, ale znów z tajoną ulgą. Prawdopodobnie zasłabnę - liczyłam się z tym - ale powiedziałam jej, że nic na to nie poradzi.

- Co na to Henry? Powinnaś pójść do domu, Lee, jest piątkowy wieczór.

- To co? Nic się nie stanie. Zadzwoń i powiem, że wrócę późno, nie martw się o niego.

Taki jej sposób karania męża za to, że ona się czuje nieszczęśliwa. Oby wszystkie małżeństwa wyładowywały swój gniew w taki nieszkodliwy sposób, myślałam, wspominając swój związek z Garym.

W domu, choć była dopiero ósma, rozebrałam się i położyłam do łóżka. Wiedziałam, że nie zasnę, ale przynajmniej odpocznę przez kilka godzin, zanim zaczną się mdłości.

- Jak się czujesz? - spytała Lee, pochylając się nade mną i poprawiając mi prześcieradło. Otulając mnie.



- Trudno opisać. Ciepło, skóra jakby trochę napięta. Czuję się po prostu dziwnie. Szumi mi w uszach.

Siadła na skraju łóżka.

- Nie masz gorączki - zauważyła, położywszy dłoń na moim czole. - Nie martw się, Isabel, zostanę z tobą. Przebrniemy przez to.

- Oczywiście. - Chciałam jej powiedzieć, że będzie cudowną matką, lecz bałam się, że się obie popłaczemy.

- Może chcesz wody?

- Tak. Tak, zapomniałam. Mam pić mnóstwo wody.

- To ma sens. Nie chcesz chyba, żeby ta trucizna przebywała w twoich nerkach i pęcherzu dłużej niż potrzeba - rzekła trzeźwo i wstała. - Zgasić światło?

- Tak, proszę.

- Dobra. Przyniosę trochę wody, a potem spróbujesz zasnąć.

- A co ty będziesz robić?

- Usiądę i pomedytuję chwilę. Nie przeszkodzi ci, jeśli włączę cichuteńko telewizor?

- Ależ skąd.

- To świetnie. Dobranoc, Isabel.

- Dobranoc. Dzięki za wszystko. Przesłała mi od drzwi pocałunek.

W kilka minut później usłyszałam, jak rozmawia cicho przez telefon. Z Henrym, jak się domyślałam. Miałam nadzieję, że się pogodzą. Chciałam posłuchać, wywnioskować z długości rozmowy, jak przebiegało pogodzenie, ale zasnęłam. Obudził mnie dzwonek telefonu.

Lee natychmiast podniosła słuchawkę, zanim zdążyłam się podnieść.

- Czuje się dobrze - usłyszałam jej formalny, graniczący z niegrzecznym ton, co mnie upewniło, że rozmówcą był Kirby. W chwilę później ogarnęły mnie nudności. Wstałam na chwiejne nogi. Łazienka przylega do sypialni. Wiedzie do niej krótki wąski korytarzyk. Kwestia dziesięciu-dwunastu kroków, nie więcej, ale nie dotarłam do niej.

Zwymiotowałam na wykładzinę w korytarzu, na różowe płytki podłogi i okrągły dywanik przed umywalką. Istna eksplozja. Wszystko co zjadłam - śniadanie, obiad, kolacja oraz ogromna ilość gęstej, czarnej żółci - trysnęło jak gejzer, w sposób zupełnie niekontrolowany. Kuliliśmy się nad sedesem, kaszląc i rzygając, a Lee trzymała mnie wpół i mówiła:

- No, no, już dobrze, już dobrze.

- Do licha - powiedziałam, kiedy już mogłam. - Nie sprzątaj. Ja to zrobię, tylko...

- Cicho, Isabel. Skończyłaś?

Zwymiotowałam znowu, trzymając się za brzuch, aż nic we mnie nie zostało. Ale gdy chciałam wypłukać usta nad umywalką, znów ogarnęły mnie mdłości i pochyliłam się nad sedesem.

W końcu Lee odprowadziła mnie do łóżka, padłam bezwładnie, spocona, nasłuchując, jak szoruje dywan, wyciera podłogę. Woń lizolu poderwała mnie. Lee ledwie zdążyła ustąpić mi z drogi. Wymiotowałam do czyściutkiej muszli.

- Skąd to się bierze? Przecież nie mogło już nic zostać! - I w końcu nic już nie było, ale to nie powstrzymało nudności. - Dzwonię do doktora - zagroziła Lee, ale powiedziałam jej, że to nie ma sensu, wzięłam już lek przeciwko nudnościom.

- Tak musi być, on nie może temu zaradzić. - Ale tym razem było gorzej niż przedtem. Z pewnością z winy adramycyny, tego nowego składnika koktajlu. Wpełzłam z powrotem do łóżka i chciałam odpocząć, ale nie mogłam uleżeć spokojnie, nie mogłam znaleźć pozycji, która by była wygodna na dłużej niż kilka sekund. Mięśnie brzucha miałam wrażliwe i obolałe, wszystkie nerwy napięte. Lee chciała, żebym piła wodę, ale ja nie mogłam - sama myśl o tym wywoływała torsje.

Ktoś zapukał do drzwi. Spojrzałam na zegar: dwadzieścia po dwunastej. Lee poszła otworzyć. Usłyszałam cichy, poważny głos Kirby'ego w pełnym troski pytaniu. Schowałam twarz w poduszkę, bezsensownie zawstydzona. Wszystko słyszał, oczywiście, bo nasze łazienki są w tym samym pionie. Nie żałowałam, gdy Lee go odprawiła.

- Dobrze, zadzwonię do ciebie, ale nic nie możesz zrobić. Do widzenia. - Zamknęła za nim drzwi zdecydowanym ruchem.

Wolałabym, aby nie było tej romantycznej chwili w grudniu, kiedy mnie pocałował i wypowiedział słowa miłości. Wówczas ten rzucający się w oczy brak dalszego ciągu nie byłby taki kłopotliwy dla nas obojga. Emma miała rację, gdy powiedziała, że to ja się wycofałam. Ale tylko częściowo. Kirby znikł, nie dzwonił i nie odwiedzał mnie przez sześć dni, odkąd mu powiedziałam o nowej diagnozie. Długo, jak na nas, bo zwykle widywaliśmy się codziennie. Gdy się znów pojawił, zachowywał się tak, jakby się nic nie stało, był uosobieniem pomocy, wzorem współczucia i bezinteresownej przyjaźni. Było oczywiste, że motywował się przyzwoitością, a nie „miłością” i oczywiście wcale go za to nie winiłam. Stracił żonę i dzieci, przeżył ich bezsensowną śmierć. Musiałby być szalony, patologicznie samodestrukcyjny, żeby chcieć wejść w zażyłość z kobietą w mojej sytuacji. Nie, nie winiłam go, ale była to jeszcze jedna strata do oplakiwania.

Kiedy stałam się osobą, która umieszcza słowo miłość w cudzysłowie?

- Idź do domu - nakazałam Lee o pierwszej. - Już mi lepiej. - Kłamstwo, aż drżałam z nudności, byłam cała czerwona i rozpalona, wyczerpana, ale niezdolna uleżeć spokojnie.

- Dzwoniłam już do domu i powiedziałam Henry'emu, że zostaję. Ja tylko chciałabym móc coś zrobić. Natrzeć ci plecy?

Potrząsnęłam głową.

- Dzięki. Nie chcę być dotykana.

- A co powiesz na jakąś miłą muzykę? Żeby zaprzątnąć umysł.

- Nie wiem, chyba nie.

- Mogłybyśmy chociaż spróbować. Zgoda?

- Terry mi podarował intermezza Brahmsa w wykonaniu Glenna Goulda. Puść tę płytę - zaproponowałam na odczepnego.

Kilka minut później biegłam, potykając się, do łazienki.

- Wyłącz to, o Boże, tylko nie zniszcz... - Płakałam z poczucia słabości i frustracji, a następnie z lęku, że ta okropna choroba może mnie wyłączyć z czegoś tak pięknego, co tak bardzo ukochałam. - Och, wyłącz to, Lee, wyłącz, wyłącz...

Spojrzała na mnie z lękiem, kiedy wróciłam do sypialni i usiadłam niepewnie obok niej.

- Myślę, że powinniśmy wezwać lekarza - powiedziała znowu. - To nie może być normalne.

- Nie jest, w tym właśnie rzecz. To trucizna. - Przycisnęłam kolana do bolącego brzucha. - Jedno, co mnie trzyma przy życiu, to myśl, że ta trucizna zżera raka. Jak kwas.

- Ale tego już za wiele. Pozwól mi zadzwonić, Isabel. Tylko zapytam.

- Nie ma sensu, mówię ci. Tak ma być.

- Pozwól tylko zadzwonić.

- Więc zadzwoń. - Byłam zbyt słaba, żeby się kłócić.

Wstała i zadzwoniła. Słyszałam, jak mruczy do telefonu, ale nie słuchałam, nie zależało mi na tym.

- Powiedziała, że to pilna sprawa - obwieściła z satysfakcją od drzwi. - Doktor ma oddzwonić.

Chrząknęłam. Przynajmniej jedna z nas poczuła się lepiej. W kilka minut później zadzwonił telefon.

- Zadzwonił do całonocnej apteki na Columbia, żeby wydali dla ciebie lek - powiedziała po drugiej cichej rozmowie. - Wytrzymasz beze mnie jakieś dwadzieścia minut?

- Nie pojedziesz do apteki o wpół do drugiej w nocy. - Wysięk mówienia wywołał nową falę nudności.

- Nie bądź niemądra. Ja zaraz...

- Nie, Lee, ja nie żartuję. Zabraniam ci.

Nie roześmiała się. Trzeba to zapisać na jej korzyść. Przez kilka chwil patrzyła na mnie, namyślając się.

- Dobrze, więc poproszę Kirby'ego i on pojedzie po lekarstwo.

Powiedziałam, że nie, zaczęłam kłąć, ona tylko uniosła brwi i zaczęła, aż się położy z jękiem.

W ten sposób doszło do tego, że o trzeciej nad ranem leżałam pod kocem na kanapie w pokoju bawialnym i słuchałam, jak Lee i Kirby prowadzą grzeczną konwersację. Zaczęłam się czuć troszeczkę lepiej. Przerwy między atakami mdłości wydłużyły się do około trzydziestu minut i ustąpiło wrażenie rozgorączkowania. Ale wciąż nie mogłam pić wody, a moja reakcja na niewinną i nie ponawianą sugere-

stię Kirby'ego, abym spróbowała zjeść kilka słonych paluszków, była łatwa do przewidzenia. Lee zaparzyła herbatę; pili ją spokojnie, przegryzając czymś, chyba krakersami, kiedy myśleli, że nie widzę. Jeśli chodzi o złe samopoczucie, ta noc była najgorsza ze wszystkich dotychczas, a mimo to, nieoczekiwanie, nie miałam ochoty być sama w chorobie i nie byłam zainteresowana w okazywaniu szlachetności i nienarzucaniu się innym. W rzeczywistości pragnęłam towarzystwa.

Kirby siedział na podłodze jak jogin, z nogami skrzyżowanymi i dłońmi na kolanach. Obok niego, na fotelu, Lee ziewała, nie zakrywając ust, co było, jak na nią, poważnym uchybieniem i oznaką zmęczenia.

- Od jak dawna mieszkasz w Waszyngtonie? Kirby to imię czy nazwisko?

- Nazwisko. Od 1980 roku. Przeniosłem się tu z żoną z Pittsburgha.

- Och, z Pittsburgha, mam tam przyjaciół. Znasz Newmanów? Marka i Patti?

Kirby odparł, że nie.

- A więc jesteś z Pittsburgha - powtórzyła Lee.

- Nie, pochodzę z Nowego Jorku. A ty?

- Z okolic Bostonu. Chwila przerwy.

- Jak się poznaliście z Isabel? - zagadnął Kirby.

- Mieszkałyśmy o dwie przecznice od siebie na Chevy Chase. Wtedy była jeszcze żoną Gary'ego. Najpierw poznałam jej syna, Terry'ego. W dzień Wszystkich Świętych.

Uśmiechnęłam się lekko na to wspomnienie.

- Pierwszy raz zobaczyłem Isabel - powiedział Kirby - jak rozmawiała z bezdomną kobietą, która koczowała na rogu ulicy koło naszego domu. Kobieta siedziała na chodniku obłożona reklamówkami z całym swoim majątkiem, a Isabel przykucnęła obok niej, aby mieć oczy na poziomie jej oczu. Była w ciemnozielonej spódnicy, w jasnoniebieskiej bluzce i pantoflach na płaskim obcasie. Mówiła głównie bezdomna. Parę razy obie wybuchnęły śmiechem. Isabel nie dała jej pieniędzy, ale gdy się zegnała, uścisnęła jej stopę w tenisówce. Uznałem ten gest za bardzo... czuły.

Odwrociłam głowę, żeby na niego popatrzeć.

- Drugi raz ją zobaczyłem - ciągnął tym samym cichym, rzeczowym tonem - kiedy siedziała obok mnie w autobusie. Początkowo jej nie poznałem, myślałem, że może jest tą samą kobietą, która rozmawiała tak miło z bezdomną, ale nie miałem pewności. Tym razem była w spodniach i brązowym swetrze. I w półbutach. Trzymała całe naręczcie książek, ale nie widziałem tytułów. Palce miała poplamione atramentem.

Na Ulicy F wyjęła z torebki magnetofon i włożyła słuchawki na uszy. Obserwowałem ją kątem oka. Uśmiechnęła się leciutko i jej twarz się wygładziła. Dłonie leżały bezwładnie na kolanach. Muzyka była ledwie dosłyszalna i w żaden sposób nie mogłem się domyślić, czego słucha. Bałem się, że ona uśmiecha się tak błogo przy dźwiękach Megadeath albo The Beastie Boys. Wyobraź sobie moją

ulgę, kiedy przy Dupont Circle otworzyła magnetofon, żeby odwrócić kasetę, i zobaczyłem, że to symfonia g-moll Mozarta.

- Rany - rzekła słabym głosem Lee.

- Wysiadła z autobusu na moim przystanku i zaczęła iść wzdłuż Ontario Road w stronę Euclid. Poszedłem za nią. Gdy wspięła się po schodkach do tego budynku, a potem otworzyła sobie drzwi frontowe, zastanawiałem się, czy to nie przywidzenie. Przytrzymała dla mnie drzwi windy. Zajechaliliśmy na jej piętro w milczeniu. Wszystko, co mi przychodziło na myśl, wydawało się nie dość ważne na tę okoliczność. Drzwi windy się otworzyły i wtedy coś powiedziałem - nie pamiętam co. Zablokowałem drzwi i skończyło się na tym, że przedstawiła się z nazwiska. Ja wymieniałem swoje. Brzęczyk ostrzegł, że przytrzymuję drzwi za długo, a wtedy ona odstała w tył i pomachała mi na pożegnanie.

Umilkł. Opowieść się skończyła. Nie spojrzał na mnie, ale Lee popatrzyła wielkimi, zafascynowanymi oczyma.

Usiadłem. Powoli, tak mi się zdawało, ale chyba jednak za szybko. Nudności ogarnęły mnie bez żadnego ostrzeżenia i ledwie zdążyłam odrzucić koc i w szaleńczym, uchybiającym mojej godności biegu dopaść do łazienki.

Kiedy wróciłam, Kirby i Lee rozmawiali na jakiś neutralny temat i śmiali się z ożywieniem. Nabrzmiała chwila przeminęła i oczywiście doznałam ulgi - a mimo to jakieś czułe miejsce we mnie pragnęło jej powrotu. Leżałam na boku i przyglądałam się Kirby'emu, jego wąskiej twarzy, delikatnej i bladej skórze, jego brązowym oczom pod nawisłymi brwiami. Opowiadał o swojej córce Julie, którą utracił, gdy miała dwanaście lat. Widziałam, jak pod wpływem jego opowieści Lee przemienia się z zazdrosnego, podejrzliwego krytyka w przyjaciela. Oczy mi się zamknęły i zasnęłam.

Świt.

- Idźcie oboje do domu.

Kirby zasnął na podłodze, Lee na fotelu. Ja kuliłam się pod kocem, dygocząc spazmatycznie. Gorączka ustąpiła. Było mi zimno.

- Napijesz się herbaty? - zapytała Lee, wstając i przeciągając się.

- Z przyjemnością.

Siorbaliśmy herbatę w milczeniu. Nie wiem, które z nas wyglądało gorzej, prawdopodobnie ja, ale nie zamierzałam patrzeć w lustro.

- Co za noc. - Drapałam się obiema rękami w głowę. - Swędzi mnie - wyjaśniłam... i zastygłam w bezruchu. Patrzyli na mnie nierozumiejąco. Opuściłam ręce. - Adramycyna - powiedziałam i spróbowałam się zaśmiać. - Całkowita utrata włosów u wszystkich przyjmujących. Bez wyjątku. Za dwa tygodnie będę łysa.

- Och, Is. - Lee usiadła obok mnie, objęła i pocałowała w głowę. Zesztywniałam, żeby się nie rozplakać. Chętnie bym się rozzaliła, gdyby nie było tu Kirby'ego.

- Czemu ich sama nie zetniesz? - rzekł. Spojrzałam na niego.

- Co proszę?

- Tak. - Lee siadła prosto. - Zetnij je, zanim zaczną wypadać.

- Mam je sama ściąć? - Dotknęłam miękkich, wijących się włosów koniuszkami palców. - Teraz?

- Pokaż im, kto tu rządzi - powiedziała Lee z bezlitosnym podnieceniem w oczach. - Dopieprz im, zanim one ci dopieprzą.

- Mógłbym ci je zgolić - rzekł cicho Kirby, patrząc na mnie. - Moją maszynką elektryczną. Moglibyśmy zrobić to teraz.

Wtedy rozplakałam się, ale tylko troszkę. Płakałam z powodu strat, jakie mnie czekają, i z miłości do moich przyjaciół, i ponieważ czasem dobroć jest równie bolesna jak okrucieństwo. I - troszeczkę - za mymi włosami.

TLR

# 17.

## Lee

Gracje Ratowniczkii obchodziły więcej rocznic (cztery) w Neap Tide, w domu należącem do mojej rodziny na Outer Banks, niż gdzie indziej, toteż decyzja, gdzie obejść dziesiątą, była prosta. Wyjechałyśmy w piątek rano, później niż planowałyśmy, bo Rudy miała jakieś kłopoty z samochodem. Sama droga zajęła nam mnóstwo czasu, bo Rudy i Emma musiały co godzina zatrzymywać się na siusiu. One temu zaprzeczyły, ale sądzę, że to zupełnie możliwe, że miały flaszkę i popijały z niej na przednim siedzeniu.

- Wy dwie, chyba tam nie pijecie, co? - zapytałam po trzecim przystanku na siusiu. Emma odwróciła się i spojrzała na mnie jak na wariatkę. Więc nie wiem. Wiem jednak, że w miarę upływu czasu stawały się coraz głośniejsze, śmiały się z byle czego i śpiewały piosenki, które Emma przyniosła nagrane na kasecie, stare rockandrollowe, za którymi nie przepadałam, gdy były nowe, a potem piosenki country, które były jeszcze gorsze. W końcu musiałam zwrócić im uwagę, że Isabel, odkąd jest na chemoterapii, zażywa drzemki w każde popołudnie, a w tym hałasie nie może zasnąć. Rudy i Emma nie były tak niepoważne, aby to zlekceważyć.

Neap Tide tak ucierpiało od fali sztormowej w czasie huraganu Emili, że wszystko trzeba było zbudować od nowa. Nowy domek jest większy i ma więcej udogodnień, wentylatory sufitowe, nowiutką armaturę i ogólnie jest tak samo przytulny jak poprzedni. Innymi słowy, nie przypomina rezydencji za pół miliona dolarów, jakie buduje się ostatnio nad oceanem. Henry i ja przyjeżdżamy tu dwa razy do roku, moi rodzice może raz na dwa lata, moi bracia nigdy. Oni wolą Cape Cod. Na resztę sezonu moja rodzina wynajmuje domek turystom.

Byłyśmy wyczerpane, gdy Rudy w końcu wjechała między pale podtrzymujące wiatę. Emma musiała natychmiast pójść popatrzeć na ocean, a Rudy i ja zadzwigałyśmy nasze (i jej) rzeczy na górę. zaproponowałam, żebyśmy my z Isabel miały osobne pokoje, a Rudy i Emma zamieszkały razem w trzecim. Zgodziły się. Gdy Emma wróciła i wszystkie się rozpakowałyśmy, spotkałyśmy się w kuchni (znowu za moją sugestią), żeby omówić sprawę posiłków, obowiązków i innych koniecznych rzeczy. I wtedy pokłóciłyśmy się.

Właściwie nie była to kłótnia. Raczej krótkie spięcie na tle emocjonalnym. Właśnie wyjaśniałam, czemu rozsądniej będzie zjeść dziś wieczorem w domu, a w mieście jutro (byłyśmy zmęczone jazdą, w chłodziarce leżały gotowe do wrzucenia na ruszt befsztyki), a także zasugerowałam, które zadania, dla jednych będą odpowiedniejsze niż dla drugich (Emma na przykład jest świetną kucharką, ale robi przy tym okropny bałagan, Rudy jest mniej twórcza, ale zostawia po sobie porządek), kiedy

Emma, która już otworzyła piwo i wypila połowę, wyprężyła się i w postawie na baczność zasalutowała.

- Rozkaz! - wykrzyknęła jak żołnierz.

Przywykłam już do jej sarkazmu, toteż puściłam to mimo uszu. Ale w kilka minut później, gdy próbowałam wyznaczyć dyżurne do sprzątnięcia wspólnych powierzchni - miałam na myśli pokój bawialny i stołowy, kuchnię i pomosty (nie muszę się z tego tłumaczyć, to nie było z mojej strony natarstwo, ktoś musi o tym powiedzieć zaraz na początku, aby zapobiec późniejszym nieporozumieniom) - Emma zażartowała sobie. Cichutko, niby do siebie, ale wszystkie słyszałyśmy. Była to aluzja do mojego pożycia z Henrym.

Odwróciłam się. Zapadła cisza, po czym Isabel cichuteńko powiedziała:

- Och, Emma.

Nie wiem, czy to sprawił żarcik Emmy, czy łagodna nagana w głosie Isabel, dość, że zaczęłam płakać. Nie mogłam się powstrzymać. Odwróciłam się do nich plecami. Isabel usiłowała mnie przytulić. Usiadłam przy kuchennym stole i ukryłam twarz w dłoniach.

Emma uklękła obok mnie.

- Och, Lee, przepraszam - powiedziała. - Bardzo przepraszam - powtarzała z nieudawanym lekkiem w głosie. Isabel głaskała mnie po włosach. Rudy przyniosła szklanekę wody.

Czułam się upokorzona.

- To te lekarstwa na płodność - wyjaśniłam. - Jestem na clomidzie, a on powoduje wahania nastroju. Nie panuję nad sobą.

- Nie, to moja wina - powiedziała Emma. - Głupio wyszło. Lee, nie zwracaj na mnie uwagi.

- Nie, to przeze mnie. Leki nie działają. Nie mogę zajść w ciążę. Czuję się wystrychnięta na dudka. Za długo czekałam - mam już czterdzieści jeden lat. To moja wina i nie mogę tego znieść.

- To nie twoja wina - rzekła Rudy. - To wina spermy Henry'ego.

- Niemożliwe. Doktor powiedział, że musi być jakaś inna przyczyna, bo do tej pory już powinnam być w ciąży. On chyba sądzi, że przeszkody leżą po mojej stronie. I szczerze myślę, że Henry się cieszy, bo to nie z jego powodu! - Próbowałam przestać płakać, bo widziałam, że są przerażone, ale nie mogłam. I nie mogłam przestać mówić. - Co ja takiego zrobiłam? Byłam zbyt rozwiązła w młodości? Miałam tylko jeden wyskok! - powiedziałam zapalczywie. Emma i Rudy roześmiały się, nawet Isabel się uśmiechnęła. - Mogłam się zarazić i wcale o tym nie wiedzieć. Kiedy skończyłam trzydziestkę, musiałam mieć wkładkę wewnątrzmaciczną, żeby ułatwić sobie stosunki płciowe. Dziś już wiadomo, do czego to może doprowadzić!

- Lee, to nie jest...

- Gdybym tak długo nie zwlekała... Ale nie, musiałam mieć wszystko doskonałe, karierę, dom, męża. Dlaczego nie wyszłam za mąż przed trzydziestką? O Boże! Zawsze wiedziałam, czego chcę,



wszystko miałam zaplanowane i dążyłam do celu jak po sznureczku. A teraz jestem bezradna. Jak sparaliżowana. Nie mogę nic zrobić. - I znów łzy. Byłam zażenowana swoim wybuchem.

Rudy przysunęła krzesło do mojego.

- I pewnie ciężko ci jest w pracy. Ciągłe przebywasz z dziećmi.

- Tak - rzekłam, łkając, rada, że ktoś w końcu powiedział to głośno. Może to było zbyt oczywiste, ale z jakichś przyczyn nikt tego nie wyraził, że zarządzanie ośrodkiem opieki nad dziećmi jest dla kobiety bezdziejnej okrucieństwem, złośliwym figlem losu. - To okropne. Nie wiem, czy zdołam robić to dalej. To naprawdę boli.

- Biedna Lee. - Emma objęła moje kolana ramionami.

- Tego już za wiele, to jest jak nieustanne tortury, ale co innego mogę robić? Mogłabym się zająć poradnictwem, mogłabym pisać artykuły, może nawet podręczniki, ale i tak...

- O dzieciach - dokończyła Rudy.

- Nawet gdybym była kasjerką w banku, widziałabym dzieci w wózkach, dzieci w samochodach, dzieci karmione piersią w damskiej toalecie u Nordstroma. Natykałabym się na matki kupujące pampersy w sklepie i czytała w gazecie o nastolatkach porzucających nowo narodzone dzieci na śmietniku.

Isabel stanęła za mną i przytuliła swój policzek do mojego mokrego.

- Płacz, to ci dobrze zrobi. Mówiłaś Henry'emu o swoich rozterkach? Na pewno marzy o tym, żeby z tobą porozmawiać.

Odsunęłam się od Isabel. Czułam się zawstydzona, niegodna ich współczucia, ale przede wszystkim zła na męża.

- Wiem, że to irracjonalne, ale nic na to nie poradzę. Jestem na tych strasznych lekach, przeszłam milion badań, sikałam do miliona kubków, sondowano mnie i grzebano we mnie, wstrzykiwano różne rzeczy i penetrowano, a on musi się tylko onanizować.

- To prawda - parsknęła Emma.

W głębi ducha wiem, że on to tak samo źle znosi jak ja. Dla niego seks jest sprawą prywatną. Irytują go pytania pielęgniarek i lekarzy o nasze osobiste sprawy, na które musi odpowiadać. Powiedział nawet coś złego o grupie.

- Nie. Naprawdę?

- Nie personalnie, ale domyśla się, że wiecie o nim wszystko, że znacie jego sekret, a on tego nienawidzi. Nienawidzi też chodzenia do kliniki i oddawania spermy. Wszyscy dokładnie wiedzą, po co wchodzi do gabinetu. To sprawia, że czuje się śmieszny.

- Czuje się winny - sprostowała Rudy. - Chce ci dać dziecko, wie, że tego bardzo pragniesz.

Kiwnęłam głową.

- Nie chce o tym mówić, ale chce być ojcem głównie dlatego, że sam nie miał ojca. Myślę, że w dzieciństwie cierpiał z tego powodu. Co wszystko pogarsza.

- Boże - rzekła Emma. - Podwójny zawód.

- Właśnie. - Cudownie było wyjawić swoje bolączki, spotkać się ze zrozumieniem i współczuciem. Ale nie powiedziałam im całej prawdy o sobie. O moim sekretnym pragnieniu, żeby poślubić kogoś, kto mógłby dać mi dzieci. O tym, jak bardzo zmarniało nasze pożycie seksualne. Właściwie przestaliśmy już to w ogóle robić. Bo i po co? Z namiętności? Już w nas wygasła. Ja czułam się nieatrakcyjna i aseksualna, a Henry czuł się jak nieudacznik. Kochanie stało się mechaniczne i dla nas obojga krępujące. Ostatnim razem nie mogłam osiągnąć orgazmu, a Henry ledwo-ledwo. Powinnam była udać orgazm, ale nie zależało mi na tym. Cały ten epizod był tak żenujący, że odtąd już tego nie robiliśmy.

- A poradnia? - powiedziała Rudy. - Może porozmawialibyście o tym ze specjalistą?

- Henry nie chce, a ja sama nie pójdę.

- To minie - rzekła pocieszająco Emma. - Wszystko się może zmienić z dnia na dzień, Lee. Po jednym telefonie z kliniki.

- Właśnie, powtarzam to sobie od miesiący. Czekaj i nie trać nadziei, czekaj i nie trać nadziei - oto do czego sprowadziło się moje życie.

- Lee - powiedziała Isabel cicho - nigdy nie wspominałaś o adopcji.

- Nie, bo Henry nie chce. On pragnie własnego dziecka, ja i moi rodzice również.

- Twoi rodzice?

- Czekaj - powiedziała Emma. - Henry nie chce zaadoptować dziecka? Tak mówi?

- Jenny twierdzi, że ojciec Henry'ego zginął w Wietnamie, lecz prawda jest taka - ale to tajemnica - że ona nie wie, kto jest jego ojcem. Rozmawialiśmy z mężem o tym już dawno temu i zgodziliśmy się co do tego, że adopcja nie wchodzi w grę.

- Ale może teraz...

- Nie. Nie mam zamiaru rezygnować. Muszę zająć w ciążę.

- Ale jeżeli to cię doprowadza do szaleństwa...

- Wcale nie doprowadza mnie do szaleństwa, Rudy. Jestem zdeterminowana i to wszystko. Nie dam się pokonać. Jest pewna różnica między szaleństwem a determinacją.

- Oczywiście, nie myślałam o prawdziwym szaleństwie. Jesteś najzdrowsza na umyśle ze wszystkich nas tutaj.

- Ja czuję się dotknięta - rzekła Emma i roześmiałyśmy się, rozbawione tą niepoważną uwagą.

- Zmieńmy temat - rzekłam. Czułam się nieswojo, pozostając tak długo w centrum uwagi, a poza tym nie chciałam rozmawiać o swoich rodzicach. Żałowałam, że mi się to wymknęło - że pragnę ode mnie naturalnego wnuka, jeszcze jednego małego Pavlika, który by przejął geny geniusza. Ich sta-

nowisko jest dla mnie żenujące, już słyszę, co Emma o tym sądzi. - Jakoś to będzie. - Wstałam, a one odsunęły się ode mnie. - Trzeba po prostu na to czasu i to mnie męczy. A wy jesteście wspaniałe. Moje piętnaście minut się skończyło - rzekłam ze śmiechem - i czuję się znacznie lepiej.

Nie uwierzyły mi, ale przestały się kręcić dokoła mnie i zaczęły robić drinki, żeby je zabrać na pomost. Zupełnie jakbyśmy wszystkie jednocześnie zdały sobie sprawę, że nasz rocznicowy weekend zaczyna się niebezpiecznie i lepiej zboczyć z tego kursu, zanim utknijemy na mieliźnie. Będą o mnie jeszcze rozmawiały, kiedy się oddalę. „Och, biedna Lee, nie miałam pojęcia. Nigdy jej nie widziałam w takim stanie, to takie do niej niepodobne”. Też się sobie dziwię. Sama ledwie się rozpoznaję. Chcę być taka jak dawniej.

Zachodzące słońce tak oślepiało, że musiałyśmy odwrócić leżaki, póki nie skryło się za mgiełką na horyzoncie. Życ nie umierać - mówiłyśmy po kolei, leżąc na plecach z bosymi nogami zadartymi na barierkę. To jest właśnie to! - Rudy nie mogła sobie przypomnieć, czy to trzeci czy czwarty raz jesteśmy na Hatteras, żeby obchodzić rocznicę.

- Może pójdziemy przejść się po plaży? - przerwałam im wspominki. Miałam w zanadru niespodziankę, ale nie chciałam się z nią zdradzić przed jutrzejszym wieczorem.

Przyptyw się kończył. Szłyśmy wzdłuż brzegu, Rudy i Emma po płytkiej wodzie z podwiniętymi nogawkami spodni, Isabel i ja wyżej, po mokrym piasku. Isabel miała głowę owiniętą ładnym czerwono-zielonym szalem i wyglądała cudnie, nikt by nie podejrzewał, że coś jej dolega. Twierdziła, że tyje od leków, ale ja nie mogłam się tego dopatrzeć.

- Jak się czujesz? - zapytałam.

- Świetnie.

- To była długa jazda - sama jestem zmęczona. Na pewno dobrze się czujesz?

- Bardzo dobrze.

- Jak się ma Kirby?

- Doskonale. Przysłała ci wyrazy uszanowania.

- Bardzo go lubię. - Uśmiechnęłam się. - Początkowo nie miałam co do niego pewności - przyznałam. - Ale po tej nocy. Tej pierwszej nocy po chemoterapii przekonałam się, ile jest wart.

Kiwnęła głową.

- Cóż to była za noc, prawda?

Drugi zabieg odbył się w ubiegłym tygodniu i przeszedł znacznie lepiej niż pierwszy. Isabel nie rozchorowała się aż tak bardzo jak poprzednio razem i nudności nie trwały tak długo. Tym razem została z nią Emma, też na całą noc.

- No - powiedziałam. - Czy on wciąż jest w tobie zakochany?

Potrząsnęła leciutko głową, nie po to, aby zaprzeczyć, ale żeby strząsnąć z siebie to pytanie. Nigdy nie chciała rozmawiać o Kirbym, zawsze powtarzała to samo, że jego romantyczne zaintereso-

wanie przyszło nie w porę i że jest bardzo wdzięczna za przyjaźń, jaką ją wciąż darzy. Trudno powiedzieć, czy ją to smuci.

Wciąż zwalniałam kroku, żeby się dostosować do niej, aż w końcu zatrzymała się.

- Idź dalej sama, Lee. Ja sobie tutaj chwilę posiedzę i popatrzę na wodę.

- Jesteś zmęczona. Posiedzę z tobą.

- Nie, dokończ Emmę i Rudy. Zabierzcie mnie z sobą w drodze powrotnej.

To są te drobne incydenty, których nie mogę znieść. Uspokojona myślę, że nic jej nie jest, czasem nawet zapominam o jej stanie, a potem widzę, jak szybko się męczy, albo przyłapuję ją, jak siedzi przycupnięta na krześle, niczym staruszka chora na artretyzm. Rzeczywistość daje znać o sobie i za każdym razem jest to dla mnie nowy wstrząs. Przypuszczam, że także i dla niej, ale gorszy. Och, o wiele gorszy.

Zjadliśmy kolację w pokoju stołowym przy świecach i cichej muzyce. Na stole stał bukiet polnych kwiatów, które Emma ukradła z działki sąsiadów. Wszystko było przepyszne, włącznie z ziemniakami upieczonymi w kuchence mikrofalowej. Wzniosliśmy mnóstwo toastów i pod koniec posiłku byliśmy dość wesołą grupą. Nie powiem, że mój wybuch w kuchni został zapomniany, wręcz przeciwnie, myślę, że się położył cieniem na cały wieczór i sprawił, że byliśmy dla siebie bardzo miłe. Zwłaszcza Emma dobrze się zachowywała, odzywała się do mnie łagodnie i nie była sarkastyczna. Wciąż mnie dotykała, kładła dłoń na mojej dłoni, trącała porozumiewawczo w ramię. Musiałam ją naprawdę przestraszyć.

Wyszliśmy z kawą na pomost i usiadliśmy na leżakach, żeby posłuchać szumu fal przypiływu i patrzeć, jak chmury przepływają obok księżycy. Noc była piękna, cicha i gwiazdzista. Od oceanu wiał łagodny wietrzyk. Dom nie stoi nad samym morzem, ale z pomostu widać z lewej strony Atlantyk, a z prawej cieśninę Paculico. Nocą, gdy ruch na autostradzie zamiera, słychać szum fal równie wyraźnie, jakby się siedziało na plaży.

- Otóż ja również nie jestem w ciąży - powiedziała ni stąd, ni zowąd Rudy w czasie przerwy w naszej leniwej konwersacji. - Na wypadek, gdyby to kogoś interesowało.

Trzymała swoje długie nogi wyciągnięte na drewnianej otomanie, szczupłe ramiona założyła z wdziękiem za głowę. Czarne włosy Rudy połyskiwały w świetle księżycy, w jej szarych oczach odbijał się jego blask. Nawet w ciemnościach się odznaczała. My byliśmy niewidoczne w mroku nocy. Zaczęłam coś mówić, ale ona usiadła prosto i pochyliła się ku mnie.

- Nie chciałam, żebyś pomyślała, że to ukrywam, trzymam w sekrecie, żeby cię nie urazić. Bo ja bym tego nigdy nie zrobiła, to byłoby...

- Protekcyjne - odpowiedziała Emma. - I niepotrzebne. - Uśmiechnęła się do mnie.

- Tak - powiedziała Rudy. - Ja tylko chciałam, żebyś wiedziała.

Prawdę mówiąc, zapomniałam, że ona i Curtis postanowili mieć dziecko. Myślę, że wymazałam to z pamięci.

- Martwisz się? - zapytałam. - Jak długo to trwa?

- Od stycznia. Tak, trochę się martwię. Bo czytałam gdzieś, że jeśli w ciągu pół roku nie dojdzie do zapłodnienia, mogą być problemy.

- Cóż, tak mówią. - Żałuję, że tego nie wiedziałam przed dwoma laty.

Emma spojrzała na Rudy przez mrok.

- Naprawdę myślisz, że coś jest nie tak? Robisz wszystko, co trzeba, mierzysz temperaturę i tak dalej?

- Początkowo tego nie robiłam, ale od dwóch miesięcy robię.

- Och, dwa miesiące to jest nic - powiedziała Isabel.

- Wiem. - Rudy wydała z siebie jedno ze swoich długich, ciężkich, pełnych niezadowolenia westchnień.

- Jak się miewa Curtis? - zapytałam. - Odpowiada mu nowa praca?

- Curtis... - Tak długo wahała się z odpowiedzią, że wszystkie trzy spojrzaliśmy na nią. - Och...

- I milczenie. W końcu powiedziała: - Dobrze - niedbałym tonem i wstała. - Idę po piwo. Przynieść komuś?

Dziwne. Gdy wyszła, patrzyłyśmy jedna na drugą i nie wiedziałyśmy, co powiedzieć, co myśleć. Jeśli cokolwiek było do myślenia. Zwłaszcza Emma wydawała się oszołomiona.

- Jaka piękna noc - rzekła Isabel. - Czujecie ten powiew? Czy ktoś ma coś przeciwko temu, że bym zdjęła szal?

- Jezu, Isabel, po co pytasz? - powiedziała Emma.

Lecz prawda jest taka, że widok nagiej czaszki Isabel był szokiem. Szybko jednak można się do tego widoku przyzwyczaić i nawet, szczerze mówiąc, jest jej ładnie bez włosów. Naprawdę. Ona oczywiście się z tym nie zgadza. Trudno oddzielić jej wygląd od przyczyny - cierpieć nad tym, dlaczego tak wygląda.

- Jak leci? - spytała cicho Emma. Położyła rękę na oparciu krzesła Isabel. - Wszystko w porządku?

Isabel uśmiechnęła się do niej.

- W porządku. Łatwo się męczę. To jest najgorsze.

- A co z biodrem? - Ostatnio Isabel odczuwała bóle w biodrze. Lekceważyła je, ale gdy jej dośkwierały, kulała.

- Lekarz mówi, że naświetlania załatwią sprawę.

- O ile bóle się nasilą - zauważyłam.

- Tak.

- Chemoterapia powinna cię wyleczyć. Po to jest, to znaczy, to jest jej zadanie.

Kiwnęła głową, uśmiechnęła się. Czasami myślę, że mam do jej choroby lepszy stosunek niż ona.

- Dobra, to ciało - powiedziała Emma. - A jak duch?

- Też dobrze. Jestem pełna nadziei.

Słuchałyśmy dźwięku tego słowa. Isabel zwykle wypowiada proste prawdy. Jeśli ją teraz wypowiedziała, nie mogłyśmy chyba pragnąć niczego więcej.

Rudy wstała, podeszła i stanęła za krzesłem Isabel.

- Czytałam ostatnio o uzdrawiającym dotyku. Spróbujmy.

- Sądzisz, że masz uzdrawiający dotyk? - Emma uśmiechnęła się kątem ust.

- Kto wie? Może i ty go masz, mądralo. Nie wiesz, póki nie spróbujesz.

- Wyobrażam sobie, że to pomaga, wierzę w to - powiedziałam nieco chłodno. Czasami cynizm Emmy mnie irytuje. Isabel zamknęła oczy i uśmiechnęła się.

- Szszsz - zaszemrała Rudy. - Myślcie wszystkie o uzdrawiającej mocy. Przykładam ręce, o tak, ale cię nie dotykam, i wyczuwam twoją aurę, Isabel. - Przesuwała powoli dłonie o długich palcach, tuż nad głową Isabel. Następnie opuściła je niżej, wzdłuż szyi, a potem barków i ramion. - Pracuję nad całym twoim ciałem - mruknęła, a Isabel kiwnęła wolno głową. - Czujesz coś?

- Czuję gorąco tam, gdzie są twoje dłonie. Odwróciłam głowę, żeby posłać Emmie zwycięskie spojrzenie, ale ona miała zamknięte oczy. Koncentrowała się.

- Wiem, że potrafię wyczuć twoją energię - mówiła Rudy z przekonaniem. - Które biodro cię boli?

- To - odparła Isabel i Rudy zastosowała uzdrawiający dotyk.

Zamknęłam oczy i oddałam się swojej ulubionej medytacji uzdrawiającej. Wyobraziłam sobie meksykański pluton egzekucyjny. Komórki rakowe Isabel są skazańcami ubranymi na czarno z pasami amunicyjnymi na piersi - co wcale nie znaczy, że mają piersi, w rzeczywistości wyglądają raczej jak fasolki w sombreroach - i stoją w długim szeregu, a tymczasem dobrzy żołnierze z plutonu celują z długich, czarnych karabinów i zabijają je. Padają martwe, a wtedy kolejny szereg komórek rakowych zajmuje ich miejsce. Paf, padają martwe i nowy szereg zajmuje ich miejsce. Jest to bardzo skuteczne i może trwać w nieskończoność.

Rudy zakończyła swoje uzdrawiające praktyki i usiadła.

- Chcesz spróbować? - zwróciła się do Emmy.

- Do licha, nie! Isabel jest moją przyjaciółką, nie chcę spowodować nawrotu choroby.

Roześmiały się, ale mnie się ten żart wydał niesmaczny.

Wstałam, żeby pójść do łazienki. Nawet przy zamkniętych drzwiach słyszałam wyraźnie głos Emmy, stopniowo wznoszący się, piskliwy z gniewu. Kiedy wróciłam w pośpiechu, stała tyłem do barierki. Przemawiała z patosem.

- Nie cierpię tego gadania o zależnościach psychofizycznych, jeżeli chcecie znać prawdę, i nie mogę znieść Shortera. Myślę, że wyrządził większą krzywdę ludziom chorym niż cokolwiek innego od czasów stawiania pijawek.

- Kto to jest Shorter? - spytałam Rudy.

- Ten doktor, który napisał książkę o...

- To głupiec! Jeżeli wierzysz w jego bajdy, to wierzysz, że Isabel nabawiła się raka, ponieważ jest kaleką emocjonalną. Pieprzę cię, Shorter, Isabel wcale nie nabawiła się sama raka.

- Em, to wcale nie jest...

- Przeraza mnie, że lekarz może być taki głupi w sprawach medycznych. I tak destrukcyjny. Teraz ilekroć Isabel popada w przygnębienie - co się wydaje zupełnie normalne w jej stanie - Shorter powiada, że powoduje w ten sposób wzrost swoich guzów! Co za idiota!

Isabel spróbowała jeszcze raz.

- Nie sądzę, że on naprawdę twierdzi...

- Cóż to za gigantyczny palant. Co się stało z nauką? Isabel, przecież to tak, jakby ci powiedział, że sama się wpędziłaś w chorobę. A zarazki? Hm? A dziedziczność? A palenie papierosów i azbest? Azotyny! Smog!

Morska bryza sprawiła, że włosy Emmy sterczały jak miotła czarownicy. Rzucała się w przód i w tył przed barierką i parę razy nawet grzmotnęła w nią pięścią dla podkreślenia swoich słów. Nie była ani troszeczkę pijana, była po prostu wściekła.

- Jaka jest różnica między Shorterem, który obwinia twoje neurony o spowodowanie choroby nowotworowej, a Jerryem Falwellem, który twierdzi, że HIV to kara za grzechy. Rak się zdarza. Ty za to nie odpowiadasz. Nie ma sprawiedliwości w życiu. Jezu, czy muszę to mówić? Zostałaś po prostu skrzywdzona, Is. To taki Boży żarcik. Życzę ci na przyszłość więcej szczęścia.

- Rozumiem, co mówisz... Usiądź, Emma, możesz przestać chodzić?... Czasem czuję tak samo. Ale czy tego chcemy, czy nie, jest pewien związek pomiędzy naszą stroną psychiczną a fizyczną. Ludzie niewierzący w Boga umierają wcześniej. To udowodnione.

- Nie wierzę.

Isabel cmoknęła językiem.

- Nie potrafię ci tego wytłumaczyć, ale to związek z neuropeptydami oraz komórkami T i endorfinami czy czymś takim. Twój umysł komunikuje się z twoim ciałem. Wierz mi.

- Dobra. - Emma osunęła się na krzesło, zasepiona.

- Wiem, o czym mówisz - rzekła Rudy współczująco. - Mnie się to też nie podoba, ta myśl, że każdy może się wpędzić w chorobę...

- Że Isabel mogłaby się wpędzić w chorobę - zaczęła znów Emma. - To bzdura. Jesteś sobie, żyjesz najlepiej jak potrafisz, nikogo nie krzywdzisz, aż tu nagle któregoś dnia dostajesz raka. A wtedy ten palant siada i pisze bestseller o tym, że to wszystko twoja wina.

- Sama wiesz, że przesadzasz - strofowała ją Isabel. - Nigdzie żaden z tych pisarzy, Shorter ani nikt inny nie mówi, że to nasza wina.

- Ale to sugeruje.

- Emma, czy sądzisz, że nasze kręgi uzdrowicielskie są bzdurą? - zapytała Rudy. - Myślisz, że medytacje Isabel, są bezcelowe?

- Nie. Nie sądzę.

- Więc skoro wierzysz, że można się wyleczyć pozytywną energią - powiedziała Isabel - to dlaczego nie chcesz się pogodzić z odwrotnością - że moja własna negatywna energia mogła się przyczynić do powstania choroby?

- Wierzysz w to? - natarła na nią Emma.

- Nie wiem. Ale uważam, że to jest możliwe.

- A ja nie. Może u kogo innego, ale nie u ciebie, Isabel.

Zapanowało długie, pełne napięcia milczenie, kiedy wszystko się mogło zdarzyć, mogliśmy nawet wszystkie wybuchnąć płaczem. To ja przerwałam w końcu to milczenie, mówiąc:

- Zgadza się z Emmą. - Mój głos zabrzmiał cieniutko i obco. Spojrzały na mnie z zaciekawieniem. Chrząknęłam i powiedziałam z mocą: - Myślę, że czasami możemy sami nabawić się choroby, a czasem ona nam się po prostu przydarza. Ale Isabel nie jest toksyczna dla siebie samej. Nie ma nikogo od niej... - szukałam odpowiedniego słowa i znalazłam - ...czystszej. Nikogo łagodniejszej. - Resztę musiałam wyszeptać: - I nie ma nikogo, kto by na to mniej zasługiwał.

Isabel wyciągnęła rękę. Podałam jej swoją, a ona przyciągnęła mnie do siebie. Zamiast zapłakać, patrzyłyśmy wszystkie cztery na siebie ostro, z napięciem. Poczułam dreszcz lęku i podniecenia. Nie wiem, jak bardzo wierzę w czynnik psychofizyczny, lecz jeśli, wszystko, co o nim mówią, jest prawdą, wiem, iż w tej chwili tyle psychicznej energii krążyło w powietrzu między nami, że mogłybyśmy uleczyć całe hospicjum pełne umierających ludzi.

Sobotnie popołudnie spędziłyśmy na plaży, słuchając ostrzeżeń Emmy przed wystawianiem się na działanie promieni słonecznych.

- Nie dajcie się zwieść, że niebo jest zachmurzone - powtarzała, skulona na leżaku, owinięta ręcznikiem kąpielowym wysmarowana kremem z filtrem przeciwsłonecznym i cynkiem.

Nie potępia jej - ma jasną cerę, najpierw okrywa się piegami, potem się opala, a następnie złazi jej skóra. Ale nawijała jak płyta, która się zacięła.



- Dobra, świetnie, ale jak będziemy stare i ludzie będą podchodzili i pytali, czemu taka młoda i ładna osóbką jak ja podjęła się pracy pielęgniarki - towarzyszkę trzech pomarszczonych starych bab, będzie wam...

- Naprawdę przykro - mruknęła Rudy w zagięciu ramienia, leżąc twarzą w dół na pasiastym ręczniku. Rudy nigdy nie będzie starą, pomarszczoną babą. Patrząc na nią, szczupłą, i opaloną, w kostiumie kąpielowym bikini, zazdrościłam jej ciała - zazdrościłyśmy wszystkie, kto by nie zazdrościł? - i aż do wczoraj zazdrościłam jej życia miłosnego. Nie, życia płciowego, zdecydowanie miłosnego, nie małżeńskiego, ani czegokolwiek, co ma coś wspólnego z Curtisem Lloydem. Do niedawna wyobrażałam sobie, że ona i Curtis spędzają niewiarygodnie namiętne i satysfakcjonujące chwile w łóżku, chociaż nie miałam żadnych podstaw, aby tak sądzić, prócz tego, że oboje są piękni. Teraz, gdy się dowiedziałam, że nie mogą począć dziecka - poczułam się głupia i płytką, że tak bezmyślnie mieszam fizyczną atrakcyjność z płodnością. Powinnam być mądrzejsza, będąc żoną Henry'ego.

Muszę jeszcze coś wyznać. Jest we mnie ciemne, brzydkie miejsce, które było rade, gdy Rudy powiedziała nam o swoim problemie. Wstydzę się, ale to prawda. Chcę, żeby Rudy miała dziecko, oczywiście chcę, ale chcę, żebyśmy my z Henrym mieli je wcześniej.

- Idę na spacer - rzekła Isabel, strząsając piasek z ręcznika i okrywając nim ramiona.

- Chcesz towarzystwa? - zapytałam.

- Nie, dziękuję. Niedługo wrócę. - Odeszła. Patrzyłyśmy, jak idzie, a gdy nie mogła nas już usłyszeć, zaczęłyśmy mówić o niej.

To właśnie robimy, kiedy jesteśmy teraz razem, my trzy. Początkowo wydawało nam się to nielojalne, ale uporałyśmy się z tym. Mówimy jedna drugiej, co wiemy, co słyszałyśmy lub czytałyśmy ostatnio o raku, co Isabel mówiła, kiedy ostatni raz ją widziałyśmy, jak wyglądała, jakie sprawiała wrażenie w rozmowie przez telefon.

- Wygląda dobrze.

- Ale tak wolno chodzi.

- Jeszcze nie pływała.

- Myślisz, że będzie? Uwielbia pływać.

- Jest nie za mocna. Jeżeli wejdzie do wody, jedna z nas musi wejść z nią.

- Mnie się wydaje, że ona za mało je.

- Mówi, że po chemoterapii ma niesmak w ustach.

- Wydaje się naprawdę w dobrym nastroju.

- Myślicie, że udaje? Że nadrabia miną ze względu na nas?

- Jeśli nawet tak, to wyjdzie jej to na dobre. Człowiek uśmiechnięty czuje się szczęśliwy.

- Ona wyzdrowieje. Robi wszystko jak należy i chemoterapia da wyniki.

- Jeżeli jej wprawdzie nie zabije.

- Dzięki Bogu za Kirby'ego.

- Sądysz, że się zejda?

- Tak. Jak ona odzyska trochę sił.

- Widziałyście jej kolaż?

- Nie.

- Kolaż?

- Na ścianie w sypialni. Zrobiła plakat swojego życia. Przeszłość i przyszłość. Kamienie milowe, główne wydarzenia. Powycinała swoje fotografie z dzieciństwa, zdjęcia rodziców, zdjęcia ślubne, fotografie Terry'ego. Nasze.

- Nasze?

- I rysunki przedstawiające ją chorą na raka i obrazujące, co robi, aby go zwalczyć.

- Isabel nie umie rysować.

- To są rysunki żartobliwe.

- A co umieściła w przyszłości?

- Obrazki z broszur biur turystycznych - z Indii i Nepalu. Rysunek dyplomu. Fotografie jej z Terryem. Jeszcze jedną fotografię nas. Ach, i chorągiewkę z nagłówka biuletynu ARP. A na samym końcu zdjęcie niemowlęcia.

- Powiedziała, że to ona. Po reinkarnacji.

- Niesamowite - rzekła Rudy, kręcąc głową.

- Niech się stanie - powiedziała Emma z nadzieją.

Poszłyśmy na kolację, tak jak zaplanowałyśmy, do nowej, modnej restauracji w Flatteras. Cały dzień było pochmurnie, a gdy wracałyśmy do domu, zaczęło padać.

- No i już po naszym spacerze przy księżycu - narzekała Rudy. - Zatrzymajmy się przy wypożyczalni kaset.

- Nie, lepiej zrobmy coś innego - namawiałam, ale nie wiedziałam, co konkretnie bym chciała im zaproponować. Rozmowa stawała się coraz bardziej i bardziej śmieszna. W końcu musiałam im powiedzieć. - No więc dobra, rezygnuję z niespodzianki. Ja już mam kasetę wideo na dziś wieczór.

- Naprawdę?

- Co na niej jest?

- Nie będę patrzyła na żadne muzyczne komiksy - ostrzegła Emma.

Była to aluzja do ostatniego razu, kiedy wypożyczyłam dla nas kasety z filmami: „Dzwonnik z Notre Dame”, „Pocahontas” i „Aladyn”. Powinam była pamiętać, że ona nie cierpi Disneya.

- To nie komiksy, to my - powiedziałam. Dziesięć lat Gracji Ratowniczek. Dla uczczenia naszej rocznicy zmontowałam wszystkie filmiki na jednej kasecie. Wyszło dwadzieścia sześć minut.

- Och, to cudownie! - wykrzyknęła Isabel, a Rudy odjęła ręce od kierownicy i zaklaskała. Nawet Emma sprawiała wrażenie uradowanej, choć oczywiście musiała się osunąć na siedzeniu i powiedzieć - O, Jezus, te amatorskie filmy - dla żartu. Ale była zadowolona, wszystkie się cieszyły i to było miłe. Czasami, ale nie za często, myśląca, kompetentna, zorganizowana członkini grupy zyskuje uznanie, na jakie zasługuje.

- Poluzuj grzywkę, DeWitt. - Emma wykrzywiła się do swojego wizerunku na ekranie. - Rok złych włosów. Czemu nikt mi nie zwrócił uwagi?

- Szesz. Nic nie słyszę.

- Chcę wiedzieć, kto mnie wypuścił z domu w tej sukience - powiedziała Rudy. - Nie powinnam nosić niczego beżowego.

- Boże, pamiętacie, kiedy farbowałyśmy sobie włosy?

- Obie wyglądacie pięknie - powiedziała Isabel. - Wszystkie wyglądamy pięknie.

- Spójrzcie, jaka ja byłam chuda - dziwiła się Emma. - Który to rok?

- Teraz też jesteś chuda, tylko po prostu tego nie widzisz - rzekła Rudy.

- Tak, słusznie.

- Czytałam, że kobiety, które mają pozytywny stosunek do swego wyglądu, doświadczają dwukrotnie częściej orgazmu niż inne.

- Och, dobrze, nie martw się o mnie, bo mnie wystarcza, co...

- Szesz - powtórzyła. - Gdybyście siedziały cicho, usłyszałybyście, co wtedy mówiłyśmy, ale zwykle słyszeć tylko trzaski i szum, bo wszystkie gadałyśmy jednocześnie. Zawsze mnie zadziwia, gdy oglądam stare filmy, że nigdy nie milczymy, a to, co mówimy, nie jest ważne ani szczególnie logiczne. Jednakże wówczas wydawało nam się zupełnie przejrzyste i treściwe.

- Obóz kondycyjny! Pamiętacie to? - Emma wskazała siebie na ekranie. - Straciłam ponad trzy kilogramy w sześć dni.

- Ja półtora.

- Ja dwa, i zaraz je odzyskałam.

- W pierwszym tygodniu.

- Powinnyśmy jeszcze tam pojechać - powiedziała Rudy. - Było bardzo fajnie.

Śmiałyśmy się z widoku Emmy i Rudy wygłupiających się w wiejskiej chacie, w której mieszkaliśmy przez tydzień w 1990 roku. „Obóz kondycyjny” - sanatorium dla ubogich - był po prostu obozem YMCA w Poconos. Pojechaliśmy tam, a nie gdzie indziej, ponieważ w owym czasie Emma była bez grosza.

- Jaki z ciebie głuptas - rzekła Rudy czule, mierzwiąc włosy Emmie. - Czy ty nie możesz wyglądać normalnie?

To prawda - ilekroć kieruję kamerę na Emmę, ona albo odwraca się plecami, albo robi minę, albo wykonuje obsceniczny gest, jak oparcie brody na dłoni z wystawionym środkowym palcem. A wszystko z szelmowskim uśmieszkiem, który może jest śmieszny, ale dziecinny; trudno powiedzieć, ile doskonałych i ładnych zdjęć naszej grupy zepsuła, w ostatniej sekundzie dorabiając komuś rogi.

Rzadko występuję na tych filmach. Jestem kamerzystką, co jest niewdzięcznym zajęciem, bo one mnie w tej roli ledwo tolerują - póki nie nadchodzi pora obejrzenia skończonego dzieła. Wtedy nie można ich oderwać od ekranu telewizora.

- O, teraz to będzie. Mam nadzieję - powiedziała Emma, zacierając ręce. - Lee, włączyłaś to? Na pewno odrzuciłaś.

Powinam była. Ale nie wycięłam i mam nadzieję, że to stłumi po wsze czasy czyjekolwiek podejrzenie, że nie jestem obiektywna. I dlatego właśnie lubię być kamerzystką - bo patrzcie, co się dzieje, jeśli ktoś inny (Emma) bierze w swoje ręce moją kamerę.

Odbywaliśmy właśnie nasze regularne spotkanie kolacyjne w domu na Capitol Hill, który Rudy i Curtis niedawno kupili. Przyniosłam kamerę wideo, żeby sfilmować ich nową siedzibę. Rudy chciała wysłać kasetę swojej matce czy siostrze, nieważne. Jej rodzina nigdy nie przyjeżdża do niej w odwiedziny, więc to był jedyny sposób, aby pokazać nowy dom. Przyszłam do nich prosto z lekcji baletu. Byłam zgrzana, spocona i nie czułam się świeżo. Zapytałam Rudy, czy mogę wziąć prysznic.

- O, jest, jest! - wykrzyknęła Emma radośnie. Rudy i Isabel już chichotały. Drżąca, nieumiejętnie trzymana kamera pokazała zamknięte drzwi i rękę na klamce. Niewinny głos Emmy na taśmie powiedział: „Hm, ciekawe, co tam jest? Co może być za tymi drzwiami? Zajrzemy?” Zza otwieranych drzwi buchnęła para. Mój głos zapytał poprzez szum wody: „Co tam?”

To je zawsze rozśmiesza. Mój głos brzmi zbyt dostojnie.

Kamera się przybliżyła. Przez kłęby pary widać zasłonę prysznicową w biało-niebieskie paski. „Halo?” - mówię zza zasłony. Emma odpowiada: „Ja tylko chcę...” - i coś, czego nie słychać, a ja na to, wciąż łaskawie: „Och, dobrze”.

Czyjaś dłoń odsuwa zasłonkę i oto jestem. Pełna frontalna golizna. Ale myję głowę i oczy mam zamknięte, a więc jestem nieświadoma tego poniżenia przez dobre piętnaście sekund (wiem, bo Henry kiedyś zmierzył czas). Piętnaście sekund nago na ekranie telewizora, nieświadoma niczego. Mogło to trwać jeszcze dłużej, gdyby Emma w końcu nie powiedziała zdyszczonym, seksownym głosem: „Jak się masz”.

Otwieram oczy, otwieram usta i krzyczę.

Zaciemnienie.

Och, jakie śmieszne. Moje przyjaciółki wiją się w konwulsjach śmiechu. Nawet Isabel. Ja śmiałam się wraz z nimi, choć nie tak serdecznie. Ten incydent zdarzył się przed siedmiu laty, a ja wciąż

próbuję wymyślić jakiś sposób, żeby się Emmie odpłacić. Nic jednak odpowiedniego nie przyszło mi jeszcze do głowy, ale przyjdzie. Och, przyjdzie.

Taśma przesunęła się i ukazał się ślub Rudy.

- O, Boże, spójrzcie na Henry'ego! Spójrzcie na jego włosy!

- Co za facio!

To moja ulubiona część wideo - nasza pierwsza randka. Mimo powagi chwili Henry miał na sobie sportową sztruksową marynarkę, brązowe spodnie i był bez krawata. Dla mnie to nie miało znaczenia. Gdy zdałam sobie z tego sprawę, wiedziałam, że jestem zakochana. A jego włosy, och, były długie, falujące, wspaniałe, ładniejsze niż włosy Emmy i mniej więcej tego samego koloru.

- Jeja, jacy wy jesteście napaleni - powiedziała któraś i to była absolutna prawda. Ktoś, chyba Isabel, sfilmował nas tańczących na przyjęciu u Rudy. Orkiestra grała „Morze miłości”, a Henry i ja wyglądaliśmy, jakbyśmy byli w nim zatopieni. Gdybym wtedy wiedziała, że tak się poruszaliśmy, że tak wyglądaliśmy, zapadłabym się pod ziemię. Bo to jest żenujące. Ale też i miłe. Lubię to oglądać i często sobie puszczam ten krótki urywek, bo dla mnie on trwa za krótko. Henry przyciąga mnie do siebie w pasie, a ja trzymam splecione dłonie na jego karku, z palcami w jego włosach. Nasze twarze się stykają, wyglądamy, jakbyśmy chcieli się pocałować, ale się nie całujemy. Ten taniec był jak publiczna gra wstępna. W kilka godzin później byliśmy w domu, w moim łóżku i kochaliśmy się po raz pierwszy.

Potem było przyjęcie w ogrodzie u Isabel. Lato 1995. Emma syknęła, kiedy pojawił się Gary, lecz Isabel tylko posmutniała. Myślę, że naprawdę przebaczyła mu. Wyglądał na zarozumiałego - mówią, że kamera nigdy nie kłamie - był w kraciastych spodniach i swetrze z podwiniętymi rękawami, odsłaniającymi włochate przedramiona. Zobaczył kamerę i uśmiechnął się, rozłożył ręce szeroko: „Spójrzcie na mnie. Zobaczcie, jaki ze mnie miś”. Pamiętam, że kiedy go jeszcze lubiłam, uważałam jego zaloty za miłe, nawet trochę mi pochlebiały. Teraz na sam jego widok skręca mnie w środku.

- Lisa Ommert! - wykrzyknęła Rudy. - Ciekawam, jak się jej powodzi. Czy ktoś miał od niej wiadomość? Jak długo wytrzymała, Lee, rok?

- Dziewięć miesięcy - odparłam, patrząc na Lisę, która była Gracją Ratowniczką, póki nie przeniosła się z mężem do Szwajcarii. Lisa prowadziła z Garym, Emmą i chłopakiem Emmy w owym czasie, Peterem Dickinsonem, ożywioną rozmowę.

- Pewnie się zastanawiacie - powiedziała Emma dziwnie ponurym półszepcetem - o czym mogliśmy rozmawiać.

- To jest już koniec przyjęcia - zauważyła Rudy - więc prawdopodobnie byliśmy wszyscy ubzdryngoleni.

- Och, bezsprzecznie.

Spojrzałam kątem oka na Emmę. Ona i Peter nagle zerwali - jednego dnia byli zakochani, a już nazajutrz nastąpiło gorzkie zerwanie - i wciąż nie wolno pytać czemu. Rudy wie, ale my z Isabel nie. No, może Isabel wie, ale tylko intuicyjnie. Moja intuicja mówi, że była inna kobieta i że Emma przekonała się o tym w jakiś okropny, upokarzający sposób. Nie wiem, co innego mogło być tak bolesne, że tyle lat po tym incydencie wciąż nie wolno o tym wspomnieć.

- Jak ci idzie z Clayem? - zapytałam od niechcienia. Clay jest tym mężczyzną, z którym Sally Draco poznała Emmę. Nie mogłam uwierzyć, kiedy wyraziła zgodę, a jeszcze bardziej byłam zaskoczona, gdy umówiła się z nim po raz drugi. Za pierwszym razem miała być podwójna randka, ale za drugim Sally i Mick się wycofali, bo Clay nie czuł się dobrze w ich towarzystwie czy coś w tym rodzaju.

- Dobrze - mruknęła Emma.

- Tylko dobrze?

Wzruszyła ramionami i dalej patrzyła w ekran. Jej twarz przybrała wyraz uporu. Ostatnio zdarza się to za każdym razem, kiedy poruszany jest temat mężczyzn. Oznacza to „Trzymaj się z dala”.

Dziwię się więc, że powiedziałam:

- Dawno nie wspominałaś o tym żonatym mężczyźnie. Czy to już się skończyło?

- Cóż, ponieważ nigdy się nie zaczęło, więc chyba nie mogło się skończyć - wycodziła przez zęby. - Lee, czy mogłybyśmy to po prostu obejrzeć?

- Przepraszam, nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś taka wrażliwa.

- Panie? - rzekła Rudy.

Emma siedziała wychylona w przód, rękami oparta o kolana, pełna napięcia.

- Przepraszam - powiedziała, odchylając się nagle w tył z uśmiechem.

- Oczywiście - powiedziałam, mając na myśli, że ja też ją przepraszam. Nie wiedziałam, za co się przepraszamy, ale miło było się pojednać.

Ostatnich kilka minut taśmy było dokładnie sprzed roku, tu w Neap Tide, gdzie przyjechałyśmy, żeby uczcić dziewiątą rocznicę. Patrząc na to, uświadomiłam sobie, że pod pewnymi względami było to doskonale zakończenie retrospektywy Gracji, ponieważ kamera uchwyciła nas wszystkie w charakterystycznej dla każdej z nas pozie i sytuacji. Oto Emma - siedzi na leżaku na piasku, owinięta w ręczniki, w sweterku z kapturem, z nosem w książce. Rudy, opalona i wspaniała, popija z termosą Krwawą Mary. Isabel po wyjściu z morza, z włosami ociekającymi wodą, siniejącymi ustami, śmieje się z niczego - z czystego zadowolenia. Rudy przyłapała mnie przy zajęciu dość dla mnie typowym i uwieczniła ten moment po wsze czasy. Jestem w kuchni i przyklejam do lodówki kartkę, którą właśnie sporządziłam: „Zadania. Podział pracy od 14 do 17 czerwca”. Emma, jak pamiętam, dodała nową kategorię i do tej rubryki wpisała swoje imię. Kategorią tą było „Spanie”. Był to wesoły weekend, tak, a mimo to, patrząc na nas cztery w całej naszej głupocie i zwariowaniu, a także słodyczy - poczułam dzisiaj

smutek. Wydawałyśmy się takie niewinne. Tyle nas czekało, ale my byłyśmy zbyt zajęte sobą, i wydawało nam się oczywiste, że zawsze będziemy takie same.

Ostatnie ujęcie było bardzo artystyczne. Zrobiłam je z za ciemnych głów Isabel, Rudy i Emmy stojących na pomoście i spoglądających w głęboką czerwień zachodu. Tylko zarys ich sylwetek, czarnych na tle szkarłatu, z pomrukiem ich cichych głosów, przejętych czcią. W ostatniej sekundzie Isabel usłyszała mnie i odwróciła się. Światła wystarczyło tylko na tyle, aby zarejestrować jej uśmiech.

- Czy pamiętacie, o czym rozmawiałyśmy tego wieczoru? - spytała Isabel po krótkim, pełnym uznania milczeniu.

- Ja pamiętam. - Emma sięgnęła po pilota i wyłączyła telewizor.

- Ja też - dodała Rudy.

- O celach życiowych - rzekłam.

- Tak. - Isabel uśmiechnęła się. - Ja powiedziałam, że chcę zrobić dyplom, pracować w domu starców i podróżować.

- A ja, że pragnę dziecka.

- Ja powiedziałam, że nic mi nie przychodzi na myśl - Rudy zwróciła się do Emmy. - A ty powiedziałaś, że chcesz zamieszkać na farmie mlecznej i zobaczyć koncert Jamesa Browna.

- I spędzić noc z Harrisonem Fordem - przypomniała sobie Emma. - Przy okazji, zmieniłam go na Davida Duchovny'ego.

Teraz sobie przypominałam. Zaczęłyśmy rozmawiać o celach życiowych, a potem zastanawiałyśmy się, co chciałybyśmy zrobić, zanim się zestarzejemy, żeby na łożu śmierci nie żałować, że tego nie zrobiłyśmy. Ja chciałam wygrać konkurs i zatańczyć w „Dziadku do orzechów”. Zaledwie rok temu ten temat wydawał nam się bezpieczny. Śmieszne.

Nie patrzyłam na Isabel, gdy powiedziała:

- Moje cele nie zmieniły się od tamtego wieczoru. To dziwne, prawda? Mam więcej żalów, ale dokładnie takie same ambicje.

- Jakich żalów? - zapytała Rudy lęklonie.

- Och... - Miała tego wieczoru na sobie swój szal. Bawiła się jego frędzlami, uśmiechnięta melancholijnie. - Największy wciąż mnie nie opuszcza, żałuję, że się bardziej nie starałam, żeby uratować moje małżeństwo. Ze względu na Terry'ego - wyjaśniła, gdy obruszyłyśmy się wszystkie. - Może to tylko złudzenie, ale gdybyśmy z Garym znaleźli jakiś sposób, aby pozostać razem, Terry nie odjechałby tak daleko. Może. Nie wiem.

- Nie, nie wiesz. - Emma zacisnęła usta.

- Ale obecnie żałuję czego innego - ciągnęła. - Przedtem wcale o tym nie myślałam.

- Na przykład?

- Na przykład... że nie nauczyłam się grać na pianinie. Nigdy nie malowałam akwarelą. Nigdy nie spotkałam Cariosa Castanedy i nie zapytałam, czy to wszystko była prawda - powiedziała, śmiejąc się. - Nie nauczyłam się czytać mapy nieba, nie rozróżniam ptasich śpiewów - nie potrafię odróżnić zięby od strzyżyka. I nie znam nazw ziół. - Rudy wsunęła jej rękę pod ramię i oparła głowę na jej barku. - Nie zostanę już prezenterką pogody w Kanale Piątym - wyliczała. - Nigdy nie zagrałam w żadnej sztuce, nie śpiewałam ani nie tańczyłam. Nie napisałam wiersza. Nie mam wnucząt.

- Czemu nie zrobisz tego wszystkiego? - powiedziała Emma po smutnej przerwie. Miałam ochotę ją za to ucałować. - Wszystko to możesz jeszcze zrobić. Może z wyjątkiem prezentowania pogody, ale to ich strata.

- Słyszałam, że Carlos Castaneda nie żyje - rzekła Rudy.

- No, dobra, ale cała reszta... czemu nie, Isabel? Mówię poważnie. Możesz zaraz napisać wiersz, to nic wielkiego. Ja ci pomogę. W przyszłym tygodniu kup sobie akwarele i książkę o astronomii i... co to było? - Isabel zaczęła się śmiać. - Ptaki, kupujesz sobie płytę z głosami wszystkich ptaków i głębokim głosem faceta, który ci mówi, kto jest kto. Zioła, po prostu kupujesz jeszcze jedną książkę i idziesz na spacer do parku. Co jeszcze? Wnuczęta? W tej sprawie musisz porozmawiać z Terryem.

- Rozumiem. - Isabel oparła głowę o oparcie kanapy. Jej smutek znikł. Wydawała się odprężona, rozbawiona. Doprawdy, wcale nie jestem zazdrośnicą, lecz gdybym umiała zmieniać nastroje ludzi, jak to potrafi Emma (gdy ma na to ochotę), byłabym szczęśliwa.

- Wiecie, czego ja żałuję? - Emma uniosła palec wskazujący. - Że nigdy nie prowadziłam samochodu z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. - Dołączyła jeszcze kciuk. - Nigdy nie odbyłam długiej, podnoszącej na duchu rozmowy z papieżem. Nigdy nie widziałam Gracjalandii...

- Czekaj - przerwała jej Rudy. - Zaczekaj chwilę. Chcę coś powiedzieć. Tobie, Isabel, w imieniu na wszystkich. Wiem, że mówię w imieniu nas wszystkich. Nawet nie muszę o to pytać. Chcę tylko powiedzieć głośno, że my, po pierwsze, wiemy, że wyzdrowiejesz, więc co do tego nie ma wątpliwości. - Emma i ja potwierdziłyśmy gwałtownym ruchem głowy. - A po drugie, myślę, że dobrze byłoby podjąć zobowiązanie teraz zaraz. Wiem, że to oczywiste, ale powiedzmy to głośno. Chcę więc powiedzieć, w imieniu wszystkich, że bez względu na to, co się stanie, jesteśmy przy tobie. Nie będziesz sama. Nigdy.

- Dobrze, że to mówisz - powiedziała Emma. - W rzeczy samej, Isabel nie pozbędziesz się nas tak łatwo.

Nie mogłam się w to włączyć, chociaż wiedziałam, że tego ode mnie oczekiwano. Tak bardzo bałam się rozplakać, że nie mogłam nic powiedzieć. Chciało mi się płakać z gniewu i ze smutku. Jak one śmia mówić do niej w taki sposób, jakby umierała. Ona nie umiera. Ona powraca do zdrowia. Lecz one w to nie wierzą. A to jest jak zdrada.



Była wzruszona, oczywiście. Uściskała je obie, mrugając powiekami, żeby powstrzymać łzy. Chciałam uchronić ją przed ich pesymizmem, ale co mogłam zrobić? Kiedy uśmiechnęła się wilgotnymi oczyma i wyciągnęła do mnie rękę, wstałam.

- Zjedzmy trochę lodów - powiedziałam i wyszłam.

Wypłakałam się w kuchni.

TLR

## 18.

### *Rudy*

- Myślisz, że Lee fiksuje?

Emma mówiła cicho, niemal konspiracyjnym szeptem. Pokój Lee był obok, pokój Isabel po drugiej stronie korytarza, a my zostawiłyśmy drzwi otwarte, żeby zrobić przeciąg i poczuć wiatr od morza.

- Z chęci posiadania dziecka? Nie - odparłam. - Myślę, że to dobrze, że nam to wszystko powiedziała. Za wiele tłamsi w sobie, jest...

- Nie, nie mam na myśli tego, że się nam zwierzyła. Zgadzam się, to było dla niej dobre, wyszło na zdrowie. Mam na myśli całokształt sprawy.

- Och!

- Zupełnie jakby oślepla na wszystkie inne sprawy, tylko to ją zajmuje. I wierzę, że nigdy nie zrezygnuje. Czemu oni nie zaadoptują dziecka, Rudy? Czemu? Nie, zawzięła się, musi mieć własne dziecko i koniec.

- Wiem. A co mówiła o swoich rodzicach?

- Nie bardzo zrozumiałam. Bredziła coś o zbaczaniu z kursu. Chciałabym coś dla niej zrobić.

- Ale co?

- No właśnie. Nic nie można zrobić.

- Tylko ją wspierać - powiedziałam. Spojrzała na mnie.

- Hej, Rudy! To było ładne, co powiedziałaś Isabel.

- Och, nie wiem. Pomyślałam, że gdybym wiedziała, że umieram, najstraszniejsza byłaby dla mnie samotność. Chciałam, aby wiedziała, że jej to nie grozi.

- To jest najstraszniejsze.

- Dla mnie tak.

Na stoliku pomiędzy naszymi łózkami polowymi paliła się świeca ze szklanym kloszem. W blasku tej świecy i księżycy widziałam Emmę wyraźnie, wyciągniętą w swojej starej niebieskiej koszuli nocnej, jak ją lekko zadziera i sprawdza, czy sobie zanadto nie opaliła ud tego popołudnia.

- Dla mnie - powiedziała - najstraszniejszą rzeczą jest unicestwienie. Że jestem i nagle mnie nie ma. Nawet gdyby wszyscy, których kiedykolwiek znałaś, trzymali cię za rękę i mówili, jak bardzo cię kochają i tak dalej, mimo to będziesz sama w ostatniej sekundzie. Dokądkolwiek się udasz, nikt z tobą nie pójdzie.

- Jeja. To się wydaje takie jakieś chore.

- Nie. Wcale nie jest. Czemu? Nie powiesz mi, że o tym nie myślisz.

- Myślę. - Ale ostatnio czuję się znacznie lepiej. - Czy uwierzysz, że Lee podejrzewała, że piłyśmy wczoraj w samochodzie? - Zabrzmiało to trochę bez związku, ale kiedy to powiedziałam, związek sam się nasunął.

- Cóż, znasz Lee. Jeśli się tak dobrze bawisz, to musisz być pijana.

- Ostatnio bardzo niewiele piję - powiedziałam. - Tyle co wczoraj nie wypłam od tygodni.

- Zauważyłam. Jest jakiś powód?

- Chyba czuję się nieco mocniejsza. Jest mi trochę lepiej w moim rzeczywistym życiu.

- Jak to się stało?

- Nie wiem. Po pierwsze, Eryk i ja odwaliliśmy kawał dobrej roboty. Ciężkiej roboty, ale dla odmiany coś nam wreszcie wychodzi. On mówi, że to nic niezwykłego, że długo, długo nie ma nic, a potem nagle - przełom.

- Jak przy diecie.

- Właśnie.

- Eryk... taki delikatny, prawda? Cierpliwy - szydziła Emma. - Jemu nie przeszkadza, że to wolno idzie.

Chyba usłyszałam głębszy sens.

- Chcesz powiedzieć, że to nic nie daje. Że on nie robi nic. Naprawdę uważasz, że psychoterapia jest stratą czasu.

Emma obróciła głowę na poduszce, żeby spojrzeć na mnie.

- Kiedyś tak myślałam - powiedziała, zaskakując mnie, bo sądziłam, że zaprzeczy. - Ale teraz myślę, że Greenburg jest mądrzejszy ode mnie.

- Och, Emmo, to wielki komplement. Eryk będzie wzruszony, kiedy mu powiem.

Uśmiechnęłyśmy się w mroku.

- Hej, Em.

- Co?

- Pamiętasz, jak mówiłam o tym kursie projektowania krajobrazu? Pamiętasz...

- Oczywiście, pamiętam.

- Otóż zdecydowałam się zapisać. Aż usiadłam.

- Och, Rudy!

- Zaczyna się we wrześniu.

- To fantastycznie! A co Curtis na to?

- Hm. No wiesz.

Opadła na poduszkę, ale wciąż zwrócona do mnie twarzą.

- Jeszcze mu nie powiedziałaś?

- Nie. Czekam na odpowiednią chwilę.
- Nie powiedziałaś mu, ponieważ wiesz, że to mu się nie spodoba?
- Wiem, o co ci chodzi. Powiedziałas to zupełnie jak Eryk, Emma, to niesamowite.
- Więc jaka jest odpowiedź?
- Odpowiedź brzmi: nie spodoba mu się. A mnie nie podoba się to, co Eryk mówi o mnie albo o

Curtisie.

- Albo o Curtisie. To dobre.
- Muszę stawić czoło pewnym sytuacjom, wiem. Muszę powiedzieć Curtisowi, co myślę. Co innego powiedzieć tobie albo Erykowi.

Nachyliła się ku mnie.

- To coś nowego, Rudy, to dobrze. Świadczy, że w tobie naprawdę nastąpiła zmiana.
- Wiem. Najwyższy czas, nie sądzisz?

Nie odpowiedziała. Emma bywa niekiedy taktowna.

- Nie jest to po prostu wpływ leków.
- Słucham?

Zadarłam nogi nad głową i raz po raz przyciągałam do siebie.

- Biorę środek antydepresyjny. - Nowy środek antydepresyjny. - To prawda miałam depresję. To nie znaczy, że jestem wariatką. Wariackie pigułki pomagają nie tylko psychicznie chorym.

Powiedziałam to poważnym tonem, co tak rozśmieszyło Emmę, że musiałam ją uciszać.

Eryk mówi, że śmiech ma działanie oczyszczające, jest dobry dla ciała i duszy, a szczerzy śmiech, jest lepszy niż seks. Kiedy ostatnio, zastanawiałam się, w ciągu trzynastu lat znajomości z Emmą, śmiałyśmy się tak, że aż bolały nas boki?

- Nie współżyliśmy ze sobą przez cały grudzień - wyrwało mi się.

- Ty i Curtis?

- A któż by inny?

- Hm... - Emma spojrzała na mnie. - Z jakiegoś szczególnego powodu?

- Właśnie o to chodzi. Jeśli jest jakiś powód, to ja go nie znam. Nie zrobiłam niczego takiego, za co Curtis mógłby mnie karać. On po prostu nie chciał. Wiem, że powinnam porozmawiać o tym z Curtisem, ale nie zdobyłam się na to. Erykowi też nie powiedziałam.

- Nie powiedziałaś Curtisowi?

- Nie. - Skrzywiłam się. Jakie to żenujące. Jakie tchórzliwe. - A potem, w Nowy Rok zrobiliśmy to. Jak gdyby nigdy nic. „Szczęśliwego Nowego Roku” - powiedziałam w nadziei, że Curtis wyzna, dlaczego mnie unikał. Ale on tylko spojrzał na mnie zimno. Taki był koniec i od tamtej pory nic. Pogodziłam się z tym.

To śmieszne, że łatwiej mówić o swoim życiu seksualnym, bardzo intymnej sferze życia, niż o całej reszcie.

- W czasie naszego małżeństwa - powiedziałam - nawarstwiły się różne problemy. Najwyższa pora zacząć je rozwiązywać. Zamierzam porozmawiać o tym z Curtisem. Emma westchnęła.

- Daj jakiś przykład.

- Pamiętasz ten fragment filmu na kasecie, kiedy stoimy przed moim domem, przygotowując się do odjazdu na obóz kondycyjny? To ujęcie, gdy Curtis całuje mnie na pożegnanie?

- Tak, to było trochę niesamowite.

Przyjechały po mnie. Byłyśmy roztrzępane i podniecone. Chciałyśmy jak najszybciej ruszyć w drogę. Każda z nas miała zamiar schudnąć. Postanowiłyśmy więc wstąpić do gospody wymienionej w przewodniku i najeść się do syta wysokokalorycznymi potrawami. W ten sposób, rozumowałyśmy, pierwszego dnia pobytu na obozie będziemy ważyły najwięcej. Chichotałyśmy więc i wygłupiałyśmy się, już patrząc w przyszłość, już nieobecne, można powiedzieć. Powinna być wiedzieć i w głębi ducha zapewne wiedziałam, że ten rodzaj nieuwagi albo niepamięci z mojej strony rani uczucia Curtisa. Co więcej, naprawdę go przeraża. On mnie potrzebuje, musi być ośrodkiem moich myśli. W przeciwnym razie jest tak, jakby niezupełnie wierzył we własne istnienie.

No więc, kiedy całował mnie na pożegnanie, nie było to owo słodkie, intymne muśnięcie wargami, jakie mężowie i żony wymieniają w miejscu publicznym. „Pa, kochanie”, „Dbaj o siebie”, „Kocham cię”, z krótkim pocałunkiem i szybkim, mocnym uściskiem. Czuję i żartobliwym, ale dość bezosobowym jak na pocałunek. Nie, było zupełnie inaczej. Nie odciągnął mnie na bok, wiedząc, że Lee wszystko filmuje, objął i całował wolno, długo, namiętnie, wręcz erotycznie i gwałtownie. Próbo wałam się wyrwać, ale nie chciał mnie puścić. Sprawił, że każda myśl w mojej głowie wróciła do niego. Zrobił to umyślnie. Całując mnie, biorąc mnie w swoją władzę, jakby mówił: „Myśl o mnie”, a do Gracji: „Ona jest moja”. W pewnym sensie trudniej było oglądać tę scenę dziś wieczór na filmie niż przeżyć. Bo teraz to pasuje do mnóstwa innych wspomnień. Podobnych, choć niektóre z nich były bardziej niepokojące.

- Myślę - powiedziałam wolno - że dłużej już nie chcę być osaczona.

- Osaczona? Nie, wiem, o co ci chodzi - powiedziała Emma. - Dziwne słowo.

- Być może. Ale też boję się, że coś się zmieni. Nienawidzę zmian.

- Jesteś pewna? Jesteś pewna, że to nie Curtis nienawidzi zmian, ty natomiast nienawidzisz sprzeciwiania mu się? Irytowania go?

- Hm. - Pokarm dla myśli.

Cóż, postęp zachodzi wolno, ale to dobrze. Przy właściwej diecie też chudnie się stopniowo. Analogia dość odległa. Ważne, że się posuwam do przodu. Zakładam, że mój psychoterapeuta wie, co robi.

- Paliłam przy nim papierosa - powiedziałam.

- Przy kim? Przy Eryku?

- Nie. Przy Curtisie.

- Nie mów!

- Nie w domu, kiedy on jest, bo uważam to za niegrzeczne, ale gdy go nie ma. Ale nie płuczę potem ust i nie spryskuję firanek odświeżaczem, żeby nie poczuł dymu - nic takiego. Palę przy nim, kiedy jesteśmy na dworze albo w restauracji czy w barze. Eryk mówi, że to wspaniale. Uważa to za okropne, złości się, że palę, ale cieszy go to, że już się nie kryję przed Curtisem. Mówi, że to oznaka zdrowienia.

- Cóż, chyba tak. Tak. To naprawdę bardzo dzielne z twojej strony, w jakiś przewrotny sposób. Szkodzisz swoim płucom, ale w obronie koniecznej. Rozwój osobowości poprzez rozedmnę płuc.

- Chcesz papierosa?

- No pewnie.

Zapaliłyśmy. Oparte na łokciach, zwrócone twarzami do siebie na wąskich łózkach polowych, co chwila wyciągając rękę do wspólnej popielniczki na podłodze, wyglądałyśmy jak nastolatki, które nocują u koleżanki po przyjęciu.

- Nie miałam przyjaciółki od serca. Nie opowiadałam sekretów po ciemku. Nie paliłam fajek. Nie przeżyłam tego wszystkiego.

- Bo byłaś za bardzo upieprzona - rzekła Emma rzeczowo. - Twoja rodzina cię upieprzyła, ale teraz zaczynasz się z tego wygrzebywać. Teraz zaczynasz zdrowieć. Powoli.

- Myślisz?

- Tak myślę - powiedziała stanowczo.

Cofnęłam się poza krąg światła świecy, aby nie mogła zobaczyć mojej twarzy. Nowo narodzonej nadziei na niej. Nie chciałam okazać wzruszenia.

- Mam nadzieję.

- O, tak. Widzę to. Palenie przy Curtisie, mój Boże. Jeja, Rudy, ależ ty jesteś! - Nie było w tym sarkazmu. - To jest fantastyczne.

I pomyśleć, że Curtis prosił mnie kiedyś, żebym przestała się przyjaźnić z Emmą. „Dla twego własnego dobra” - powiedział. Jakie to nikczemne, gdy się nad tym zastanowić. Nie mogłam powiedzieć o tym Emmie, to było zbyt żenujące. Wstyd mi było za Curtisa. To był dowód, jak sobie później zdałam sprawę - nie bez pomocy Eryka - że Curtis cały czas udawał, że lubi Emmę. I nie w przyzwoity sposób. Nie tak jak Emma, która gryzie się w język i nie mówi, co naprawdę o nim myśli. Robi tak ze względu na mnie. Robi to z szacunku, taktu i miłości. Curtis udaje, ponieważ jest nieuczciwy. To jeszcze jeden sposób osaczenia.

Emma ziewnęła. Zgasiłyśmy papierosy, zdmuchnęły świecę.

- Zawsze rozmawiamy o mnie - powiedziałam sennie.

- Wiem. - Miała już zamknięte oczy. - Dlatego, że jesteś taką egomaniaczką.

Parsknęłam.

- To dlatego, że z ciebie trzeba wszystko wyciągać. Nie mówisz z własnej woli. Och, zapomniałam ci powiedzieć, Lee pytała, co sądzę o tym, żeby zaprosić Sally do naszej grupy.

- Tak? Mówiła mi, że chce to zrobić. I co odpowiedziałas?

- Że jestem za tym.

- Co?

Roześmiałam się.

- Ty głuptasie - rzekła Emma, układając się na nowo.

O mało nie wyrznęłam głową w górne łóżko, gdy nagle usiadłam.

- Powiedz, co naprawdę powiedziałaś.

- To samo co ty, że nie sądzę, aby to była odpowiednia chwila ze względu na Isabel.

Emma ułożyła się wygodnie.

- Sądzisz, że Lee była rozczarowana?

- Nie, zupełnie nie. Nie wiem nawet, czemu mnie pytała. Pewnie dlatego, że chciała być bezstronna. Ale przyjaźń między nimi już się, jak wiesz, ochładza. - Coś mi się przypomniało. - Czemu powiedziałaś Lee, że zostaniesz jeszcze dwa dni? - Emma otworzyła jedno oko. - To mi się nie wydaje ani bezpieczne, ani rozsądne, Em. Więcej, zdecydowanie nie w twoim stylu.

- Sądzisz, że jestem rozsądna?

- W porównaniu ze mną.

- Och, w porównaniu z tobą. - Nawet po ciemku widziałam jej uśmiech.

Dziś wieczorem Lee błagała nas - jedną, dwie, trzy, nieważne - abyśmy zostały jeszcze do wtorku i wróciły później z nią i Henrym. Żadna nie zgłosiła się na ochotnika. Pytałyśmy ją, czemu tak zabiega o naszą obecność, i w końcu przyznała się, że nie chce zostać sam na sam z Sally Draco. Zaprosiła tutaj Draców przed miesiącami, a teraz nie chciała spędzić dwóch całych dni w wyłącznym towarzystwie Sally, z nikim prócz mężów, kto mógłby zakłócić tę intymność.

- Czemu już jej nie lubisz? - zapytała Emma.

- Och, nie wiem, z żadnej realnej przyczyny - odparła Lee. - Nie mam jej nic do zarzucenia, po prostu nie czuję się przy niej tak swobodnie jak niegdyś, to wszystko.

No cóż, ja też nie, ale nigdy się nie czułam. Może musiałabym ją lepiej poznać, ale sądzę, że Sally ma jakieś problemy. A sprawa Emmy jest prawdopodobnie najmniejszym z nich.

Isabel i ja nie mogłyśmy pomóc Lee, obie musiałyśmy być w domu w niedzielę. Widziałam, że Emma się nad czymś zastanawia, ale byłam bardzo zadowolona, kiedy powiedziała:

- Dobra, zostanę z tobą, jeśli chcesz. Przywiozłam z sobą coś do roboty, mogę to równie dobrze robić tu, jak i w domu.

Wytrzeszczyłam na nią oczy. Przez cały czas, gdy Lee jej dziękowała, mówiąc, że o nic wielkiego nie chodzi, że Sally jest w porządku, nic jej nie jest, że to tylko ułatwi nieco sprawę, Emma nie powiedziała ani jednego słowa i unikała mojego wzroku.

- Więc, Em - odezwałam się znowu - czemu zostajesz? Nie sądzisz, że to ryzykowne? Nie uważasz, że widok Micka z Sally przez tak długi czas może... boleć? Hej, Em - szepnęłam. - Śpisz?

Nie odpowiedziała.

TLR



# 19.

## *Emma*

Isabel i Rudy wyruszyły w powrotną drogę w niedzielne popołudnie. Gdy tylko wyjechały, poszłam na spacer wzdłuż plaży. Powinnam była zostać i pomóc Lee sprzątać w domku - Mick, Sally i Henry mieli przyjechać w ciągu godziny. Ale nie zostałam. Czemu? Nie z lenistwa - nie chciałam być obecna, kiedy przyjadą. Nie mogłam się zdobyć na to, by stać koło Lee na pomoście i spoglądając w dół, uśmiechać się i machać dłonią. - Hej, jak się macie, przyjechaliście nareszcie! - Chciałam też, żeby moja obecność nie zaskoczyła Micka. On się mnie nie spodziewał, a jego twarz potrafi być taka przejrzysta. Byłoby kiepsko, gdyby wyglądał na zbyt uradowanego moją obecnością, ale jeszcze gorzej, gdyby miał wyraz... jakiego użyć słowa? Spekulatywny.

Dzień był wspaniały. Bezmiar błękitnego nieba, białe obłoki, koronka piany na falach przypląwu, mewy i piasek, muszelki. Był przypląw, nie odpływ, wiem, bo ludzie zabierali swoje koce i wyciągali z piasku parasole. Ale ogólnie biorąc, byłam nieobecna. Myślałam o nocnej rozmowie z Rudy. „Nie sądzisz, że to może boleć?” Tak, Rudy, myślę, że może. Czemu nie zastanowiłam się nad tym wcześniej? Chyba dlatego, że miłość jest nie tylko ślepa, ale i ogłupiająca.

Od przyjęcia u Lee widziałam go tylko raz, w jego studiu. I raz rozmawiałam z nim przez telefon. Oba te zdarzenia cechowało napięcie i niedomówienia. Nie jestem jedną z tych kochliwych kobiet, które uganiają się za mężczyznami niepomnie na nic. Nie, wprost przeciwnie - gdy odkrywam, że facet jest mną zainteresowany, zmykam, ile sił w nogach. Czemu więc dręczę się Mickiem? Dlaczego on do mnie dzwoni? Jesteśmy poważnymi ludźmi - czemu to robimy?

Jeśli się przejdzie przez trzy podwórka dzielące domek Lee od morza, można ominąć drogę, co jest dogodne, gdy się jest boso. Lee zabroniła nam tego skrótu, ponieważ jest „nielegalny”, ale i tak z niego korzystamy. Gdy byłam o jeden domek od Neap Tide II (nawiasem mówiąc, co to znaczy *neap tide*?), usłyszałam głośny, wysoki, entuzjastyczny śmiech Sally Draco. Wtedy zrozumiałam, że popełniłam jeden z największych błędów mego życia.

Nie mogłam ich jeszcze widzieć, ale słyszałam baryton Henry'ego, wyraźny i dobitny głos Lee, wyższy, bardziej przenikliwy i napięty głos Sally. Przystanąłam, żeby lepiej słyszeć, i w końcu dobiegł mnie cichy śmiech Micka.

Co ja zrobiłam! Byłam tu obca. Oni nie, oni byli sobie bliscy. Za późno - nie ma odwrotu. Całun samotności opadł na mnie i drżałam pod nim, nieszczęśliwa i smutna, gdyż wiedziałam, że zasłużyłam sobie na wszystko, co mnie czeka.

Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, chociaż szłam, tupiąc, na zewnętrznych drewnianych schodach. Zbyt byli pochłonięci rozmową i śmiechem. Nie - ktoś mnie jednak zauważył. Cofnęłam się zaskoczona, jakby jakieś zwierzątko nagle przecięło mi drogę. Dziecko - Jay, synek Micka. Zupełnie o nim zapomniałam. Czy Lee się go spodziewała? Siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze ganku, ze spiczastymi kolanami, żółtymi włosami. Podniósł głowę, wcale niespłoszony, znad latawca, cały pochłonięty wiązaniem węzłów na ogonie. Niebieskie oczy przyglądały mi się przez kilka sekund. Kiedy się uśmiechnęłam, obejrzał się przez ramię na swoich rodziców. „Pomocy!” - niemal usłyszałam, jak woła.

- A jesteś - zagrmiał Henry, dostrzegłszy mnie. Podeszłam z uśmiechem.

- Cześć, jak się macie, jak podróż? - Pocałowałam Henry'ego, uściśnęłam Sally, kiedy mnie do tego zmusiła. Mickowi pomachałam, zasalutowałam żartobliwie z odległości półtora metra. Ledwo na niego spojrzałam, utrzymywałam go na krawędzi widzenia, jakby był słońcem. Zauważyłam jednak, że się ostrzygł i wyglądała przez to młodziej, właściwie smarkato. Fryzjer źle go ostrzygł, po bokach głowy prześwitywała skóra. I wyglądał mizernie, ze ściągniętą twarzą, z granatową szczecina zarostu na tle białej skóry. Czyżby chorował?

- Tak się cieszę, że zostałeś - entuzjasmowała się Sally. Wzięła mnie za obie ręce i patrzyła mi w oczy. - Jak się masz, jak ci się powodzi?

Przyszła mi do głowy paniczna myśl, że ona wie wszystko i dręczy mnie. Jak się masz, jak ci się wiedzie? Nawet własnej matce nie daję bezpośrednich odpowiedzi na takie pytania.

- Świetnie, świetnie - odparłam, próbując dorównać jej w entuzjazmie. - Czy to twój chłopak?

To poskutkowało, puściła moje ręce i zawołała:

- Jay, chodź, przywitaj się z Emmą.

Och, biedne dziecko. Czemu ludzie to robią? Jay o niczym innym nie marzył, jak tylko o tym, żeby przyjść i przywitać się z jakąś starszą panią, przyjaciółką rodziców. Wstał i przyczłapał posłusznie:

- Cześć. - Podał mi rękę ze wzrokiem utkwionym w moje kolana.

Mick położył dłonie na chudych ramionkach syna i chłopczyk oparł się o niego z ulgą. Wyglądał dokładnie jak na fotografii, to znaczy anielsko. Jasne włosy i niebieskie oczy jak u Sally, ale szlachetny kształt głowy mógł mieć jedynie po ojcu. Bez ironii.

- Przebierajcie się, idziemy na plażę - obwieścił Henry ku zachwytowi Jaya.

- Beze mnie - sprzeciwiłam się - mam dosyć słońca jak na jeden dzień.

Wywołało to śmiech i żarty pod moim adresem. Henry był w tym szczególnie pomysłowy, nazywając mnie „rybio białą” i porównując moją cerę do cery Kaspra, przyjaznego ducha.

- Dobra, dobra - powiedziałam. - Przywykłam do wzgardy ignorantów i zbalamuconych. Przystanąć się śmiać, gdy zachorują na czerniaka.

Ale prawdziwym powodem było oczywiście to, że nie pragnęłam być świadkiem całej tej zdrowej rodzinnej zabawy, tego śmiechu i chlapania, i brykania w jednej kodakowej chwili za drugą. Gdy wreszcie poszli i zostawili mnie samą, zrobiłam sobie gigantyczny dżin z tonikiem i wypłam go pod prysznicem. Myślałam ponuro, że nie miałabym nic przeciwko temu, gdybym utonąła. Mogłabym spłynąć z wodą i pianą mydlaną i zniknąć, i nikt by nawet nie zauważył.

Do kolacji wytrzeźwiałam. Sześcioro nas wtoczyło się do kombi Pattersonów i pojechaliśmy do Brothers'a, gdzie objedliśmy się mięsem z rusztu, smażoną rybą z ziemniakami i mnóstwem surówki z kapusty z majonezem. Siedziałam naprzeciwko Sally, która nie przestawała mówić. Jej włosy miały nowy, kosztownie wyglądający odcień cynowoblond, uderzający przy jej wysoko zarysowanych czarnych brwiach i ogromnych niebieskich oczach. Byłaby fascynującą kobietą, gdyby tyle nie gadała. Miała obsesyjny nawyk patrzenia na każdego po wypowiedzeniu kolejnego zdania, nawet najbardziej banalnego, sprawdzając wyraz naszych twarzy, obserwując nasze reakcje. Każdą wypowiedź kończył sztuczny śmiech, jakby chciała z góry obwieścić: to będzie śmieszne. Zastanawiałam się, czy to możliwe, że jest zawiana. Prawdopodobnie nie, ale była nakręcona jak sprężyna, za bardzo się wysilała, za bardzo była piskliwa.

Może się kłócili. Mick siedział obok niej, w milczeniu, z przyklejonym uśmiechem, z wymuszonym wyrazem grzeczności na twarzy. Ale w jakiś sposób dbały o nią. Nadal nie mogłam patrzeć na niego wprost, ale widziałam zmęczenie w sposobie, w jaki się trzymał głowę. Nie, nie kłócili się. Oni w ten sposób żyli.

- Może Mick podejmie pracę - obwieściła Sally. Poderwałam głowę na te słowa. Zaśmiała się nerwowo i całym ciałem oparła o jego sztywne ramię. Przechwyciłam jego wzrok na chwilę i ujrzałam w nim konsternację. - Wiecie, taką prawdziwą pracę, za prawdziwe pieniądze.

Lee poruszyła się z zażenowaniem i widocznym niezadowoleniem. Sally była przejrzysta jak szkło. Poza tym publiczne mówienie o czyichś osobistych finansach łamało kardynalną zasadę w podręczniku etykiety Lee. Spojrzała na Micka wyczekująco - wszyscy spojrzeliśmy. Powiedział lekko:

- Tak, zastanawiałem się nad podjęciem pracy w niepełnym wymiarze godzin.

- Nie przestaniesz chyba malować - powiedziałam.

- Nie. - Posłał mi jeszcze jedno szybkie spojrzenie, zanim oboje odwróciliśmy wzrok.

- Szkoda, że się nie znasz na hydraulice, mógłbyś pracować u mnie - powiedział Henry serdecznym tonem, który rozładował napięcie. - Jakiej pracy szukasz?

- Nocnego stróża - włączył się Jay.

Mick roześmiał się, a Jay uśmiechnął się do niego zaskoczony.

- To był żart, wyjaśnił ojciec synowi. - Jak praca u McDonald'sa.

- Och, ale gdybyś był stróżem nocnym, mógłbyś nosić broń.

Sally znów zaśmiała się nieszczercze.

- Jay chce, żeby Mick pracował w zoo, u McDonald'sa albo w rodeo.

- Albo w lotnictwie - wtrącił Jay.

- Podczas gdy ja - ciągnęła - byłabym zachwycona, gdyby się zaangażował jako Kelly Girl. Miałyby stały dochód. Ha!

Ja gmerałam widelcem w zimnych frytkach na talerzu z opuszczoną głową. Niezręczna cisza przeciągała się. Irytowało mnie to, że on jej prawdopodobnie nawet nie winił. Przekonała go, że ją zawiódł, ale nie mogła tego powiedzieć otwarcie, mogła jedynie strzelać z zasadzki.

- Podnoszą czynsz za moje studio - wyjaśnił Mick jak gdyby nigdy nic. - Ciągle mam tylko same wydatki i żadnych dochodów, więc prawdopodobnie zaczepię się w mojej starej firmie prawniczej i będę robił dla nich jakieś badania w związku z patentami, roszczeniami i tego rodzaju rzeczami. - Spojrzał prosto na mnie. - Nie będzie tak źle.

Och, ale jego obrazy, jego piękne obrazy. Poczułam się chora. I przerażona, i wściekła na tę niesprawiedliwość. I jeśli nie wiedziałam wcześniej, że to miłość, wiedziałam to teraz, bo prawda jest taka, że nie rozumiem nic a nic z jego obrazów.

Zanim kolacja się skończyła i wróciliśmy do domu, myśl o spędzeniu jeszcze kilku godzin w towarzystwie Micka i Sally stała się nie do zniesienia. Niestety, Lee, będziesz musiała radzić sobie sama.

- Dobrze się czujesz? - zapytała, gdy powiedziałam, że idę wcześniej do łóżka.

- Tak, myślę, że byłam za dużo na słońcu. - Dobra wymówka, warta kilku minut dobrodusznego roztrząsania. Powiedziałam dobranoc i znikłam.

Leżałam w łóżku i nasłuchiwałam ich rozmów i śmiechu na pomoście nade mną. Czasem słyszałam pojedyncze słowa, ale głównie kadencje zdań. Wznoszące się i opadające. Czułam się jak dziecko, które posłano do łóżka w samym środku przyjęcia koktajlowego rodziców. Skoro mowa o dzieciach, Jay spał na składanym łóżku w nogach łóżka rodziców. Mogłam zaproponować, żeby spał ze mną w łóżku Rudy. Ale nie zaproponowałam. Zgadnijcie czemu.

Okolo jedenastej usłyszałam kroki na zewnętrznych schodach, a potem chrzęst żwiru na podjeździe. Podeszłam do okna, ale za późno, żeby zobaczyć, która to para. W kilka chwil później usłyszałam jednak głos Henry'ego na górze. Więc już wiedziałam. Mick i Sally. Poszli na spacer. Przy romantycznym księżycu w pełni. A w ich sypialni spało dziecko, więc...

Zasłużyłam sobie na to, ale to wcale mnie nie pocieszało. Płonęłam z zazdrości. Co trzydziestosekundowy klik mojego zegarka podróznego był jak strzał prosto w mózg. Walczyłam z obrazem ich dwojga splecionych na chłodnym piasku w świetle księżyca, ale bezskutecznie. Ona jest śliczna, naprawdę, zwłaszcza jak się zamknie, a on namiętny, wiem to na pewno, chociaż nigdy mnie nie dotknął.

O jedenastej trzydzieści cztery Lee i Henry przeszli na palcach przez korytarz do swego pokoju i zamknęli drzwi za sobą. O jedenastej czterdzieści wstałam i weszłam do łazienki, którą dzieliłam z

Mickiem i Sally Draco. Pozornie szłam połknąć Sominex, ale w rzeczywistości - sama się zdziwiłam, co za niespodzianka - zajrzeć do przyborów do golenia Micka. Po prostu zajrzeć. Zobaczyć, co zabiera w podróż. Wzruszający, ale i żenujący sposób na to, by być blisko niego, zatraciłam wszelki wstyd.

Używał mydła Mermen i maszynki Gillette, żadnej wody po goleniu. Opatrunki As. Grzebień, ale żadnej szczotki. Cążki do paznokci. Buteleczka aspiryny. Tubka Chap Stick, dropsy miętowe. Szkła przeciwsłoneczne, takie nakładane na normalne okulary. Nici dentystyczne. Trochę neosporiny. Dezodorant w szyfcie Brut. Pasta do zębów Crest i szczoteczka Oral-B. Żadnych prezerwatyw. Zapalniczki i agrafki na dnie saszetki.

Czemu żadnych prezerwatyw? Są trzy możliwości: naturalne zapobieganie ciąży, chcą mieć jeszcze jedno dziecko, już tego nie robią.

Najbardziej podobała mi się ta trzecia możliwość.

Kwieciste puzderko ze środkami do makijażu stało na toaletce, ale nie dotykałam go. Brak kondomów odkryłam przypadkowo, wcale nie szukałam żadnych informacji. Chciałam tylko zobaczyć przedmioty należące do niego. Naprawdę. To żalosne, wiem, ale pragnęłam przeciągnąć paznokciem kciuka po zębach jego grzebienia. Sprawdzić, ile tabletek aspiryny mu zostało, powąchać mydło do golenia. Zobaczyć, czy na szyfcie dezodorantu nie ma włosa spod jego pachy. Co mi tam... śmieję się. Mówię wam, przepadłam z kretesem.

O jedenastej pięćdziesiąt sześć wrócili. Po kolei skorzystali z łazienki, a dziesięć minut po północy już byli w łóżku, za zamkniętymi drzwiami, ze zgaszonym światłem. Nie, nie zaglądałam przez dziurkę od klucza. Widziałam, jak światło gaśnie i spełza z sosny za oknem.

Cisza.

Teraz mogłam naprawdę dać się opętać.

Niełatwo się przyznać, że wyobrażanie sobie ukochanego w ramionach innej kobiety jest nie tylko nieświadomą torturą, ale bywa też podniecające. Bardzo mi przykro, ale to prawda, jest seksowne. Czemu nie? Udręka emocjonalna i podniecenie fizyczne nie zawsze się niwelują. Nie, bynajmniej. Udręka tylko czyni podniecenie ostrzejszym. Mroczniejszym. Jeśli się sprowadza jedynie do tego, tylko pogarsza samopoczucie, powiększa samotność i uczucie zbędności. W szarej, mdłej godzinie przed świtem myślałam, żeby spakować się i wyjechać, ale jak się stąd wydostać? Musiałabym ukraść samochód.

Gdy wreszcie zasnęłam, zapadłam w śpiączkę i przespałam pół dnia. Taki mam zwyczaj. W wieczór po wyrzuceniu Petera Dickinsona z mieszkania - przed laty - położyłam się do łóżka i przespałam całą dobę. To bezpieczniejsze niż narkotyki albo alkohol, a przy tym o wiele tańsze. Można to nazwać naturalnym nembutalem.

Obudziłam się i poszłam na górę - pomieszczenia wspólne w tym domku są na piętrze, sypialnie na parterze - i stwierdziłam, że dom jest pusty. Wspaniale - tak myślałam do trzeciej kawy i drugiej

kanapki z serem i pomidorem, ale potem własne towarzystwo zaczęło mnie nudzić. Włożyłam kostium kąpielowy i poszłam na plażę.

Jakie to niezwykle - mężczyźni bawili się latającym spodkiem, a kobiety się przypatrywały. Zniosłam zapytania o moje zdrowie i żarciki z mojej niezaradności. Zapewniłam wszystkich, że czuję się dobrze. Żeby skorzystać z cienia parasola Lee, rozłożyłam swój ręcznik poprzecznie do jej ręcznika. Sally leżała obok Lee. Poukładałam wokół swoje rzeczy, książkę, krem, okulary przeciwsłoneczne, kapelusz, zwinięty ręcznik służący mi za poduszkę - i ułożyłam się na brzuchu. Przyłączyłam się w ten sposób do kobiet obserwujących mężczyzn.

Była to gra w dwa ognie, Henry i Mick po bokach, Jay w środku. Mężczyźni rzucali do siebie spodek muskularnymi rękami z olimpijskim wdziękiem, miękko i łagodnie. Gdy są cierpliwi i delikatni, kiedy dają komuś fory, idą na kompromis i ukrywają własną wyższość - innymi słowy, gdy zachowują się jak kobiety, nasze złudzenie, że są cywilizowani, wydaje się prawdziwe.

Przyglądałam się bezmyślnie tej zabawie, martwiłam się jednak Lee i Henrym. Przypatrywałam się badawczo ich twarzom, ale żadna nie zdradzała nic prócz radości. Ale jak mogli nie cierpieć? Cieszyłam się, że Lee otworzyła się przed nami, powiedziała o swoich obawach w związku z bezdzietnością. Lee jest na ogół samowystarczalna, nie jesteśmy jej potrzebne do celów terapeutycznych. Więc kiedy wyznała, że podobnie jak my bywa zazdrosna i wściekła, nosi w sobie urazy i poczucie winy - odczułam wstrząs. Patrzyła na Henry'ego, jak ładnie, tak słodko bawi się z Jayem, który mógłby być jego wymarzonym synem, i zastanawiałam się, czy ten widok nie rani jej serca.

Ale oni sobie świetnie radzą. W głębi duszy jestem przekonana, że są naprawdę dla siebie stworzeni. Lee była od początku zdumiewająco szczerą wobec nas, mówiąc o namiętności, jaką żywi do Henry'ego, i to się wyczuwa, gdy się jest w ich towarzystwie. Nie ma w tym nic rażącego ani zdrożnego - nic podobnego - ale mówię wam, powietrze aż wibruje od żaru. Przejawia się to w jego spojrzeniach na nią, jak gdyby była boginią seksu, a on go nie zakosztował od stu lat, a z jej strony - w powściągliwym sposobie zachowania. Obserwowanie ich razem zawsze kieruje moją wyobraźnię na ścieżkę seksu. Trochę mnie rozpała, jeżeli chcecie znać prawdę.

Zanim wczoraj wieczorem uciekłam wcześniej do łóżka, wyszłam na pomost, żeby pooddychać trochę świeżym powietrzem i stwierdziłam, że Lee i Henry już tam są, stoją oparci o barierkę w ciemnym kącie. Uups. O mało nie przeprosiłam i nie wycofałam się. A oni nic nie robili - on obejmował ją, a ona trzymała go za przeguby rąk. Uśmiechnęli się do mnie i dalej patrzyli na księżyc. Moja obecność wcale ich nie zakłopotowała, ale ja się czułam, jakbym natrafiła na scenę miłosną. Takie to było intymne, ten mur, ta mgiełka czułości, jaką spowijali siebie wzajem. Gdy się pochylił i potarł policzkiem jej policzek, wolno i miękko, w czysto miłosnym geście, poczułam ściśnięcie w gardle. Powiedziałam dobranoc i wyszłam.

Och, jak ja pragnę tego, co oni mają. Wzdycham za tym. Wszyscy za tym tęsknią, czyż nie? Za słodką, głęboką intymnością z drugim człowiekiem. A ja wiem, że to krótko trwa i rzadko kiedy jest tym, czym się wydaje. Widok tych dwojga w mroku... otworzył we mnie studnię samotności. Są chwile, kiedy z radością oddałabym wszystko za taką bliskość z mężczyzną.

- Będzie mi naprawdę brak baletu - rzekła Sally, siadając, aby wysmarować nogi kremem. Spojrzałam na nią pytająco. - Mówiłam Lee - rzekła w zatroskaniu, rada włączyć mnie do rozmowy. - Muszę się wypisać z kursu. Już nas na to nie stać. Są ważniejsze rzeczy. Robiłam to wyłącznie dla siebie, więc mi ciężko. Cóż począć? - Mężny, śmiały uśmiech.

- Tak, szkoda - powiedziałam. Lee, zauważyłam, ledwie na nią spojrzała. Hm. Więcej tu napięcia, niż oczekiwałam. A ja robiłam uniki, żeby nie podjąć się jedyne zadania, jakie Lee mi powierzyła, to znaczy pełnienia funkcji bufora między nią i Sally w czasie tego weekendu. Czułam się źle z tego powodu, nie mogła sobie wybrać nikogo mniej odpowiedniego do tej roli.

Nie wiedziałam, że spodek leci wprost na mnie. Wyrzucił mnie w ramię - trafił w kość. Bolało jak diabli. Podszedł Henry, spocony i uśmiechnięty, zdyszany jak pies.

- Przepraszam, Em. Nic ci nie jest?

- Nie. - Podałam mu spodek z uśmiechem równiachy. Spodenki w czerwono-biało-granatowe paski sięgały mu do kolan, wypchane i obsunięte w dół. Wyrzucił krążek wysoko w powietrze. Mick ugiął nogi w kolanach i wykonał wyskok w górę. Jay wykrzyknął z aprobatą. Ukradkiem, tak aby Sally nie zauważyła, patrzyłam na jej męża.

Zdecydowanie stracił na wadze. Był za chudy. Nie powinnam winić o to Sally, ale winiłam. Z wyjątkiem przedramion reszty ciała nie wystawiał na słońce. Pragnęłam dotknąć delikatnej linii na jego bicepsach, białej na tle złotej opalenizny, przesunąć po niej wargami, zębami. Wszystko w nim mnie podniecało, wszystko było doskonałe i proporcjonalne. Nie miałam prawa patrzeć na niego w ten sposób, gapić się otwarcie na jego uda i łydki, zebra, włosy na piersi, obojczyki.

To, że Mick i jego nogi, długie plecy i twardy brzuch były nie dla mnie, czyniły go tak nieznośnie atrakcyjnym - wiedziałam o tym. Piękny mężczyzna, naprawdę piękny, mimo że za chudy, za blade i za krótko ostrzyżony. „On jest trochę podobny do Daniela Day-Lewisa” - powiedziała kiedyś Isabel, dawno temu. Ja, oczywiście, nie powiedziałam nic na to, ale pamiętam, że pomyślałam: „To pochlebia Danielowi”.

Ale czemu ja mam obsesję na jego punkcie? Czym jest ta zgubna, obłądana, samoniszcząca potrzeba myślenia o nim? Czemu nie mogę o nim zapomnieć? Nie potrafię mu się oprzeć. Raz po raz odkrywam, że ta potrzeba (nie pożądanie, jestem ponad to) jest silniejsza od rozsądku (nie od sumienia, nie zrobiliśmy przecież niczego złego). Nasze nieczęste spotkania nie są niemoralne, lecz nierozsądne. Nie krzywdzą nikogo prócz mnie. I jego.

Kusząca była myśl, że on czuje to samo co ja. Sądzę, że to możliwe. On nie potrafi się maskować - ja robię to lepiej - a więc nie kryje swego zadowolenia, kiedy jesteśmy razem, i nie jest chłodny ani słodki przez telefon. Nasze rozmowy mają coraz częściej charakter bardziej osobisty. Ostatnio zaczęłam mu opowiadać o spotkaniu z matką, a skończyłam na wydarzeniach z dzieciństwa. Mick już teraz wie (przedtem wiedziała tylko Rudy), co czułam, kiedy ojciec od nas odszedł. Jak ciężko przeżyłam jego śmierć.

Ja też wiem sporo o nim. Oczami wyobraźni widzę, jakim był pełnym zapału chłopcem, zdobywającym medale w trójboju lekkoatletycznym i oceny celujące w szkole, aby jego przybrani rodzice mogli być z niego dumni i nie żalowali, że go adoptowali. Mówił mi, że zawiódł nie tylko Sally, kiedy porzucił zawód prawnika, ale również rodziców. W pewien sposób rozczarował ich. Odczuli to tym boleśniej, że spodziewali się po nim tak wiele. Teraz się z tego śmieją.

A więc wiemy o sobie różne rzeczy. Łączy nas dziwna zażyłość, jak więźniów, którzy komunikują się przez rury kanalizacyjne albo alfabetem Morse'a wystukują kubkami o ścianę wiadomości. Dzielimy się sekretami, ale się nie dotykamy.

Jay zmęczony się i przyszedł, powłócząc nogami, do naszego obozowiska pod parasolem. Opadł na piasek między moim ręcznikiem a ręcznikiem matki i poprosił o coś do picia. Pił hałaśliwie, nie odrywając wzroku od Micka i Henry'ego, których zapał do gry podskoczył o kilka kresek na skali macho, kiedy zostali sami we dwóch.

- Cześć - powiedział z nieśmiałym uśmiechem.

- Cześć - odpowiedziałam.

- Długo spałaś - zauważył.

- Tak. Byłam zmęczona.

- Czym?

- Mmm - myślałam. - Złymi snami? Kiwnął głową.

- Ja też miewam złe sny. Koszmary. Budzę się i tata do mnie przychodzi. Albo czasem mama.

Wtedy zasypiam znowu.

- Ja też. - Tylko bez mamy i taty. - Co ci się śni?

- Potwory. A tobie?

- Zwykle mi się śni, że jestem spóźniona i nie mogę zdążyć. - Zagubiona i spóźniona. Mam te sny bez przerwy. - Nie wiem, gdzie jest stacja kolejowa, czasem chodzi o stację autobusową, i każdy daje mi inne wskazówki. Potem nadjeżdża autobus lub pociąg, ale ja nie wiem, dokąd on jedzie, nie mogę odczytać numeru i jestem spóźniona, jestem taka spóźniona, i wszystko się powtarza i powtarza, aż wreszcie budzę się przerażona.

Jay patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, a potem czknął.

- Przepraszam - mruknął i spojrział kontrolnie na Sally.



Ona tylko uśmiechnęła się i uniosła brwi.

Chciałabym móc powiedzieć, że jest złą matką. Nie, nie chcę, nie, wcale nie, to tylko taka figura retoryczna. Nawet ja nie zabrnęłam tak daleko, żeby życzyć bezradnemu dziecku podłego rodzica. W każdym razie ona nie jest złą matką, wydaje się nawet, że jest bardzo dobrą matką, z tego, co widziałam moim zawistnym okiem, bardzo dbałą, wyciszoną i bardzo czułą. A jednak (zawsze musi być jakieś jednak) Jay zachowuje się inaczej przy Sally niż przy Micku. Przy tacie jest rozchichotany i rozluźniony, niemądry, odprężony i szczęśliwy jak normalny, dobrze przystosowany dzieciak. Przy mamie szybko trzeźwieje. Jego dziecięce czoło się marszczy, oczy przyglądają jej się pilnie, z zatro-skaniem. Taki mały, a już wie, co to znaczy zadowolić matkę.

Nie jestem żadnym ekspertem od dzieci. Do licha, nie, one mnie przerażają. Są takie inne niż my, dorośli. Tak niewybaczalnie prostolinijne. Nie znają pojęcia ironii, więc nie rozumieją moich żartów. Z zasady ustępuję im z drogi, ale ten mały - ze zrozumiałych względów - fascynował mnie, toteż zwracałam na niego szczególną uwagę. Miałam przed sobą grzecznego, niespokojnego chłopca, nieśmiałego i bardzo miłego, ale czujnego i zbyt uważnego jak na swój wiek. Jakby ciągle sprawdzał temperaturę uczuć.

Nie do wiary, lecz Jay zdecydował, że mnie lubi. Zdarzyło się to poprzedniego wieczoru u Brothers'a. Widziałam wyraźnie, jak podejmował tę decyzję. Miał to wypisane na swojej otwartej, dziecięcej twarzy. Zapomniałam już, jaki był kontekst, ale wygłosiłam minityradę na temat pierwotności antropomorfizmu i zdumiewającej arogancji nas, ludzi, wobec tak zwanych istot niższych - dobra, wypiął kilka piw - i dla przykładu wymieniłam takie określenie, jak: „ryba patelniowa”, „żółw pudełkowy”, „mysz kieszonkowa”, „foka futrzana”, upokarzające te stworzenia, których istnienie ograniczyliśmy i zdefiniowaliśmy. Z jakiejś przyczyny określenie „ryba patelniowa” rozśmieszyło Jaya i wybuchnął śmiechem. Nie mógł przestać się śmiać, a miał taki śliczny niski rechotliwy chichot, wręcz sama esencja zachwyty. Zaraził nas tym śmiechem i wkrótce wszyscy rechotaliśmy. Potem Henry i ja zaczęliśmy wymieniać dziwaczne nazwy ryb, żeby go znowu rozśmieszyć - skrod, kipper, płaszczka, stynka, brzana, w tym stylu. Ja powiedziałam „brednia”, Jay wybuchnął śmiechem - mało nie spadł z krzesła. Ale zabawa! Chyba znalazłam najlepszego słuchacza na świecie. A kiedy wreszcie przyszedł do siebie, promieniał najgłępszym, najbardziej uroczym, najśłodszym uznaniem dla mnie.

Pytanie: czy to ja jestem próżna, czy też Jay jest najmilszym, najbystrzejszym dzieciakiem, jakiego kiedykolwiek napotkałam?

Dzień dobiegł leniwego kresu. Wydał mi się krótszy niż inne dni, bo bardzo późno wstałam. Zjedliśmy kolację w domu, hamburgery i hot dogi z rusztu. Później Lee dorwała mnie samą i zapragnęła wiedzieć, co się stało.

- Co się stało? Nic się nie stało. Co masz na myśli? - udawałam zdziwioną, ale w piersi zatrzepotał mi strach. Czy wiedziała?

- Chodzi o Micka, prawda?

- Nie - zaprzeczyłam bez tchu.

- Nie mogę pojąć, czemu go nie lubisz.

- Ależ lubię.

- Nie powinnam była cię prosić, żebyś została. Przepraszam cię, Em. - Czyściła piecyk, który był o włos od ostatniego tchnienia. Usiadła przy kuchennym stole z wilgotną ścierką w jednej ręce i szklanką wody z lodem w drugiej. Wyglądała na poirytowaną. Przyłożyła szklankę do rozpalonego policzka i wtedy zauważyłam, jaka jest zmęczona.

- Nie - obstawałam. - Bardzo chętnie zostałam. Naprawdę. Jest mi bardzo dobrze.

Zbyła to machnięciem ręki.

- Nie winię cię, że się chowasz. Ja też bym to robiła, gdybym mogła. Prawdę powiedziawszy, już mnie nie cieszy towarzystwo Sally tak jak kiedyś - prawie wyszeptwała. Zbędna ostrożność, bo nikogo oprócz nas nie było w domu. Henry, Mick, Sally i Jay poszli na spacer po plaży przy księżycu. Lee przeczeswała palcami swoje krótkie brązowe włosy i westchnęła. - Chcę tylko, żeby przestała mi się zwierzać. Nie chcę o tym wiedzieć.

- Osobiste sprawy? Kiwnęła głową.

- Kiedy się zaprzyjaźniłyśmy, opowiedziałam jej trochę o sobie - o nas, o Henrym i mnie. Nic intymnego - wyjaśniła szybko - nic takiego, czego nie powiedziałabym wam...

- Rozumiem.

- Ale przestałam, a ona wciąż swoje.

- O czym ci powiedziała? - czekałam z nadzieją, bezwstydnie.

- Na przykład o tym, że od pięciu czy sześciu lat chodzi do poradni małżeńskiej.

- Jeja! - Mick nigdy nawet nie wspomniał o czymś takim. Co za dyskrecja z jego strony. Większość mężczyzn w takiej sytuacji nie kryłaby się z tym, nie sądzicie? Jakie to racjonalne: moje małżeństwo leży w gruzach, chodźmy więc do łóżka.

- Nie cierpię, jak opowiada o swoim mężu - ciągnęła Lee, nachylając się do mnie. - Henry przepada za Mickiem, ja też go lubię. Czujemy się bardziej związani z nim niż z nią.

- Co o nim mówi?

- Jest oburzona, że porzucił pracę. Jego decyzja zmieniła ich życie. Ona pochodzi z Delaware - jej rodzina ma pieniądze. Powiedziała mi: „Nie brałam ślubu z artystą” i roześmiała się jak z dobrego żartu, ale to nie był żart.

- Też tak myślę.

- To mnie po prostu złości. Ja wyszłam za hydraulika, ale nigdy się nie wstydziłam Henry'ego, nigdy. Kocham go takiego, jaki jest. - Odchyliła się w tył i zdmuchnęła grzywkę z oczu. - Gdyby po-

stanowił rzucić swój zawód i zająć się... na przykład produkcją wina, ciekawe czy by mi się to podobalo?

- No?

Potrząsnęła głową.

- Nie przejmowałabym się.

- Nie. Bo nadal byłby Henrym.

- No właśnie.

Myślałam o Sally i kogo ona kocha. Przypuszczalnie kochała Micka prawnika. Szanowny pan Michael Draco zasługiwał na miłość, gdy chodził w trzyczęściowym garniturze z szelkami u spodni. Ale Mick malarz bez grosza przy duszy nie zasługuje na nią.

Och, niezły z niej numer, nie ma co. Czuję dla niej litość i zarazem niechęć. Była jednak dobrą matką.

Biedny Mick. Nawet ja wiedziałam, że był usidlony.

Tego wieczoru około dziesiątej Jay obudził się z krzykiem. Początkowo go nie słyszałam, siedzieliśmy w pięcioro na górze przy włączonym telewizorze, choć tylko Henry oglądał jakiś mecz koszykówki. Mick zerwał się pierwszy, ale Sally powiedziała:

- Ja pójdę - i wyszła spieszenie z pokoju.

Lee odłożyła magazyn, który właśnie czytała i zapytała:

- Czy on często miewa koszmary, Mick?

- Ostatnio tak. Prawie co noc. - Płacz ustał niemal natychmiast.

Mick odprężył się nieco.

- W jego wieku to normalne - zapewniła go Lee. - W rzeczywistości jest bardzo powszechne.

Nie powinieneś się tym zbyt przejmować.

Podziękował jej uśmiechem.

- Wiem, ale mimo to...

- Denerwujesz się - dokończyła Lee.

Znowu wstał.

- Pójdę zobaczyć, co się tam dzieje - mruknął przepaszająco i znikł. Wrócił po kilku minutach, uspokojony. - Wszystko w porządku. Śpi - doniósł. - Sally prosiła, żeby wam powiedzieć dobranoc. Położyła się do łóżka.

Więc zostało nas już tylko czworo. Spędzaliśmy ten ostatni wieczór na lekturze i oglądaniu telewizji. Henry miał całą kanapę dla siebie, trzymał na piersi ciepłe piwo i co chwila mruczał:

- Co, faul? Strzelaj, strzelaj, na co, do licha, czekasz?!

Lee siedziała przy stole, zatopiona w lipcowym numerze „Vogue”. Mick dzielił uwagę między mecz i książkę wypożyczoną z biblioteki, „Morderstwo w Hard Rock”. A ja? Ja udawałam, że czytam

najnowszą książkę Louise Erdrich, którą przywiozłam, żeby zaimponować ludziom, ale w rzeczywistości obserwowałam Micka. A czasem on przyglądał się mnie. Lee ziewnęła, przeciągnęła się.

- Idę do łóżka. Henry?

- Tak. Za minutkę.

- Dobranoc wam - powiedziała do Micka i do mnie.

Minutka Henry'ego przeciągnęła się do kwadransa, ponieważ drużyna, której kibicował, miała dogrywkę. Powinnam wyjść, zanim Mick wyjdzie, powtarzałam sobie. Zostanie tylko on i ja i będzie niezręcznie. Ale czytałam w kółko ten sam akapit i nie ruszałam się z miejsca.

Henry zeskoczył z kanapy ożywiony zwycięstwem swojej drużyny.

- Świetny mecz. Lee poszła do łóżka? Zachichotaliśmy i powiedzieliśmy, że tak.

- Jutro wyruszamy wcześniej czy późno?

- My wolelibyśmy wcześniej - rzekł Mick. - Rodzice Sally przyjeżdżają na kolację.

Z Delaware, domyśliłam się. Rodzice z pieniędzmi.

- A ty, Em? Śpieszysz się?

- Nie, wcale nie. Wyruszymy, kiedy ty i Lee zechcecie.

- Świetnie. Więc rano idziemy na plażę. - Nie znam nikogo innego, kto by tak lubił ocean jak Henry, nawet Isabel. On jest jak dziecko. - Oczywiście - musiał dodać - ty już wyczerpałaś swój limit. Ile minut spędziłaś w pełnym słońcu? Dziesięć? Piętnaście? Cha! Cha!

- Cha cha!

Wciąż się śmiejąc, cisnął puszkę po piwie do kosza.

- Trzy punkty! - obwieścił i zszedł na dół.

Zostawił włączony telewizor. Mick i ja spojrzeliśmy na siebie, a potem jednocześnie odwróciliśmy głowy. Na ekranie dwóch prezenterów sportowych, czarny i biały, komentowało mecz. Trwało to dłuższy czas. Głos kolejnego prezentera powiadomił, że jeśli nie wyłączymy odbiornika, usłyszymy wiadomości sportowe i wyniki meczów w całym kraju. Wstałam.

Nie wiem dlaczego napięcie było aż tak wielkie. Bywaliśmy już wcześniej sami. Byliśmy przyjaciółmi. Ale kiedy patrzyłam na Micka, moje mięśnie zawodziły. Stałam na nogach jak z gumy, oddychałam płytko i czułam, jakby moja skóra nie pasowała na mnie, jakby się zrobiła za cienka, zbyt wrażliwa, za ciasna.

On także wstał. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego twarz i przepadłam. Doprawdy nie wiem, kto się poruszył, kto pierwszy wyciągnął rękę. Mogłam pozostać niewinna, ale gdy podaliśmy sobie rękę na dobranoc, w następnej sekundzie padliśmy sobie w objęcia.

Szybko oderwaliśmy się od siebie. Pomyślałam, że wszystko, co mogę mieć, to wspomnienie jego twardych ramion, bawelnianego zapachu koszulki. On powiedział coś niezrozumiałego, byłam oszołomiona, gdy porwał mnie za rękę i wyciągnął na zewnątrz, na pomost.

Zbyt jasno - zbyt na widoku. Zeszliśmy na dół po zewnętrznych schodach, jak potrafiliśmy najciszej, ja boso,

Mick w rozsznurowanych tenisówkach. Pod domem, w ocienionym miejscu między jego samochodem a zamkniętą na kłódkę komórką, zatrzymaliśmy się. Staliśmy naprzeciwko siebie, nie dotykając się. Jeszcze mogliśmy się wycofać, po prostu porozmawiać...

Pocałowaliśmy się. To było bolesne, nie radosne, ale nie mogłam się powstrzymać - całowałam go łapczywie, jak konający z pragnienia pije morską wodę, choć wie, że to go w końcu zabije, ale musi się napić. Chwyciłam go za ramiona, dopadłam jego ust, całym ciałem przywarłam do niego. Przycisnął mnie do ściany komórki. Uderzyłam o coś głową - metalowa skrzynka z bezpiecznikami. - Och! - Mick chciał zabrać ręce, ale go powstrzymałam.

- Pocałuj mnie - powiedziałam, mimo że właśnie to robił. Powtarzałam to jak jakąś podniecającą obsceniczność, bo dobrze było mówić dla odmiany prawdę, to, czego naprawdę pragnęłam. On nie był równie wymowny jak ja - mamrotał coś między pocałunkami, lecz dla mnie te pomruki brzmiały niczym poezja miłosna. Wsunął palce w moje włosy. - Takie śliczne - rzekł i moje serce po prostu zaśpiewało. Nigdy dotąd nie powiedział mi żadnego komplementu. To miało tak wielkie znaczenie. Pocałowałam go czule, nie jak wariatka, i oboje zaczęliśmy się trząść. Wsunął dłonie od tyłu pod moją bluzkę.

Drżąc, z sykiem wciągając powietrze, wydyszałam:

- Mick, Mick, gdzie możemy pójść?

Blask zewnętrznej lampy odbił się w jego oczach, kiedy odwrócił głowę, żeby się rozejrzeć. Zobaczyłam taką samą obojętność na konsekwencje, jaką i ja odczuwałam. Wziął mnie za rękę. Poszliśmy obok słupów i zeszliśmy z betonowej płyty na trawę wzdłuż wąskiej, na wpół wydeptanej ścieżki w stronę rzędu sosnowych zarośli oddzielających Neap Tide od domku położonego za nim. Stamtąd ścieżka prowadziła ku morzu. Gdzie on mnie prowadzi? Czy wejdziemy między sosenki i będziemy się całować w ciemnościach? A może będziemy tak szli, póki nie dojdziemy nad samą wodę i będziemy się kochać na chłodnym piasku w świetle księżyca? Szłam za nim ślepo, o niczym nie myśląc, szczęśliwa, że jestem prowadzona, rada, że wybór należy do niego, nie do mnie.

Wdepnęłam na oset.

Mick przytrzymał mnie za łokieć, kiedy zaczęłam skakać na jednej nodze i kłąć. Zadarłam stopę do góry i usiłowałam usunąć z niej kłujące kolce, ale nie zdołałam. Ledwie postawiłam stopę na ziemi, zaczęłam znów skakać na jednej nodze.

- Usiądź - powiedział i usiedliśmy oboje na piasku.

Czyż to nie tak jak ze wszystkim w moim życiu? Czysta analogia? Prawo przypadku? Kazał mi wyprostować nogę i położył sobie moją stopę na kolanach. Starał się być delikatny, ale zanim wyjął

wszystkie kolce, staliśmy się innymi ludźmi. Wróciliśmy do swoich dawnych ja. Myślących ja. Tak bardzo żał mi było tej straty, że chciało mi się płakać.

Wiatr bujał pierzastymi trzcinami i cesał nadmorską trawę, niosąc ciężki zapach morza. Tak wiele gwiazd, więcej niż czarnego nieba, i księżyc w pełni. Przyglądaliśmy się sobie, spowici w jednostajny szum przyływu. Mick studiował wygląd swojej dłoni na kostce mojej nogi, bladości na jeszcze większej bladości, a ja mierzyłam ciężar mojej łydki na jego udzie. Miał na sobie szare spodnie od dresu i czarną koszulkę z krótkimi rękawami. Księżyc oświetlał srebro w jego włosach, pochyliłam się, żeby go dotknąć, ogarnięta przejmującą, nieodpartą czułością. Zaczęliśmy mówić jednocześnie. Wskazałam gestem - ty pierwszy.

- Gdy przyjechaliśmy tutaj i dowiedziałem się, że zostałeś - powiedział i urwał. Przysunęłam się bliżej. - Myślałem, że zobaczę tylko twoje ślady. Cieszyłem się na to, że znajdę jakąś książkę, którą czytałeś, i - zaśmiał się bezgłośnie - mokry ręcznik.

- A ja zajrzałam do twoich przyborów do golenia - wygadałam się. - Dotykałam twoich rzeczy. - Przyłożył dłoń do mego policzka, zamknęłam oczy. - Nie powinnam była zostać. Och, Mick. Zrozumiałam to, gdy tylko cię ujrzałam.

- Cieszę się, że zostałeś.

- Ja także się cieszę, ale to wariactwo.

- Wiem.

- Co zrobimy?

- Nie wiem.

Skrycie żywiłam nadzieję, że Mick weźmie sprawy w swoje ręce, podejmie jakąś decyzję, powie mi co robić, złamie mój opór, jeśli się temu sprzeciwię. Jak ojciec i jego mała córeczka.

Zawstydziałam się.

- Emma, nie mogę zostawić swojej rodziny. Nie mogę zostawić Jaya.

- Wiem, ja wiem, wcale o to nie proszę - powiedziałam szybko, potykając się w pośpiechu o słowa. Jak mógł chociaż przez chwilę pomyśleć, że chciałam rozbić jego małżeństwo - a mimo to zламаł mi serce. Nie pragnęłam gierki, ale potrzebowałam wątej nici nadziei, żeby się jej móc uchwycić. Przykryłam jego dłoń leżącą na moim policzku swoją dłonią. - Mam ci tyle do powiedzenia. - Pochylił głowę i przysunął się bliżej. - Ale nic nie powiem, skoro nie możesz jej opuścić.

Przełknął ślinę z twarzą pobladłą z bólu. Ja także czułam ból.

- Czy nadal ją kochasz? Czy miałeś inne kobiety oprócz mnie? Nie wiem nic o tobie. Jak mogę być w tobie zakochana, nigdy nawet nie byliśmy w kinie. Nie cierpię tego. Chcę tylko trzymać się z tobą za rękę, Mick, telefonować do ciebie.

To były tortury. On nic nie mówił. Nie chciał zdradzić Sally nawet rozmawiając o swoim małżeństwie. Właśnie teraz miał idealną okazję, żeby powiedzieć: „Emma, jestem nieszczęśliwy, ona mnie

nie rozumie, zostaniemy kochankami". Lecz Mick się nie skarżył, nie umiał się usprawiedliwić wyliczaniem żoninych wad. A szczególnie nie mógł opuścić swojego synka, który już się martwił o swoją mamę i budził się w nocy z krzykiem z koszmarnych snów.

- To już wszystko, prawda? To wszystko, co możemy mieć. - Dotknęłam ust Micka, jego szorstkiego policzka. Wsunęłam palce w jego włosy. - Kochany, kto cię tak okropnie ostrzygł? - zapytałam, dławiąc się z czułości, ze łzami pod powiekami.

- Nie chciałem, żeby to się stało - rzekł. - Za nic w świecie nie chciałem cię skrzywdzić.

- Wiem. W każdym razie już za późno.

- Emma...

Znowu zaczęliśmy się całować z mocno zamkniętymi oczami, jak byśmy mogli pozostać ślepi na tę prawdę, że odkładanie na później nieuniknionego jest beznadziejne. Lecz, Boże, obejmowanie go wydawało się najuczciwszą rzeczą, jaką zrobiłam, odkąd się poznaliśmy. To się musiało skończyć. Odsunęliśmy się od siebie z drzeniem, ciężko dysząc, jak nastolatki na tylnym siedzeniu samochodu.

- Dobra - powiedziałam. - Koniec. Dosyć. To mnie zabija.

Pomógł mi wstać. To brzmi głupio, ale potrzebowałam pomocy. Spojrzał ponad moją głowę na domek, też się obejrzałam - odruchowo. Nic nie było widać, żadnych świateł na górze, żadnej podejrzliwej żony na bocznym pomoście, która by z rękami na biodrach stała i wpatrywała się w diuny. Lecz jego niepokój udzielił się i mnie.

- Chcesz, żebym poszła pierwsza? Spojrzał na mnie bystro.

- Nie.

- Widzisz, jak by to było? - powiedziałam. - Nie mielibyśmy żadnej radości. Nie możemy się już widywać, Mick, zupełnie. Nie dzwoń do mnie. Nie rób nic.

Kiwnął głową. Przyłożył palce do skroni.

- Lee i Henry pewnie wkrótce coś urządzą.

- Wiem, jeśli się dowiem, że zostałeś zaproszony, nie przyjdę.

- Nie, to ja nie przyjdę.

- Nie, ty się przyjaźnisz z Henrym, ja mogę się spotkać z Lee, ilekroć zechcę.

Odwróciłam się i ruszyłam w stronę domku, nie odrywając oczu od ścieżki z obawy przed drańskimi ostami. Jeszcze jedna metafora mego życia. Mick i ja nawet nie doszliśmy do plaży, nawet nie kochaliśmy się obok rozpryskujących się fal. Z powodu ostu musieliśmy usiąść na zimnym piasku i zadowolić się kilkoma pocałunkami.

Nigdy nie płaczę przy ludziach. To kwestia dumy, może fobia. W każdym razie nie płaczę. Wyobraźcie sobie moje zmartwienie, gdy doszliśmy do schodów z boku domku i zdałam sobie sprawę, że nie mogę się powstrzymać. Mogłam mu pomachać ręką na pożegnanie i wbiec szybko na górę, ale nie chciałam się jeszcze z nim rozstawać.

- Cholera - szepnęłam, kiedy mnie objął. Czy jesteśmy tu bezpieczni? Co byłoby, gdyby Henry wyszedł, żeby zapalić cygaro? Albo lunatykujący Jay. Lee ogarnięta nagłą potrzebą pozamiatania pomostu. - Nie cierpię tego. Nie cierpię.

- Ja też nie cierpię tego i to moja wina. Przysięgam, że wcale tego nie chciałem.

- Przestań. To niczyja wina. Nic złego nie zrobiliśmy.

- Unieszczęśliwiłem cię.

- To prawda. Przebaczam ci.

Pocałowaliśmy się, uśmiechnięci. Ale znów zepsułam to, zaczynając od nowa.

- Nie jestem taka - zapewniłam go, używając jego koszulki, żeby otrzeć łzy. - Naprawdę nie jestem. To pierwszy raz.

Udał, że mi wierzy. Otarł resztki łez palcami, a potem schylił się i przytulił twarz do mojej twarzy.

- Przepraszam, że sprawiłem ci ból. Wcale nie żałuję, że to się stało. Kłamałem od samego początku.

- Ja także kłamałam.

- Przynajmniej...

- Przynajmniej już nie kłamiemy. Jest w tym jakaś pociecha.

- Będzie mi ciebie brakowało - szepnęłam.

- Och, nie. - Ale nie oderwałam się od niego. Żal mi było każdej cichej, bolesnej sekundy.

Ostatni pocałunek, bardzo delikatny. Żadnej namiętności, po prostu - do widzenia. Nie lubię, jak mi się serce kraje. To bardzo romantyczne, ale żrące jak kwas.

- Żegnaj, Mick. - Nie chcę cię jutro widzieć. Udam, że śpię.

To były ostatnie słowa. Światła samochodu jadącego szosą padły na nasz zakątek, wystraszyły nas. Odsunęliśmy się od siebie. Odwróciłam się i wbiegłam po schodach na górę, weszłam na palcach do korytarza, przemknęłam obok zamkniętych drzwi Sally i wśliznęłam się do swojego pokoju.

Zamknęłam drzwi. Usiadłam po ciemku na łóżku i czekałam, aż usłyszę kroki Micka na korytarzu. Drzwi jego pokoju otworzyły się cicho i zamknęły. Nasłuchiwałam jak zwierzę, jak wilk, ale nie usłyszałam żadnego odgłosu, szmeru głosów. Niczego.

Miałam dużo czasu, całą noc, żeby przeżywać rozczarowanie. Chciałam, żeby ona go przyłapała. Chciałam, żeby powstała beznadziejna sytuacja.

On nie ma racji - powinien zostawić ją dla mnie. Ja mogłabym go uszczęśliwić i mogłabym się zakochać w Jayu. Prawdę mówiąc, już się zakochałam.

Ale to, co uwielbiam u Micka, to jego wierność. Do licha! On mnie zabił.



## Isabel

Odkryłam czyściec. Nie, nie piekło - ono jest zbyt nudne. Czyściec jest słabo oświetlony, ma podłogi wyłożone wykładziną dywanową, fiołkoworóżowe ściany, panuje w nim cisza jak w bibliotece, jeśli pominąć włączony bez przerwy telewizor nastawiony na CNN. Ten czyściec nazywa się Wydział Rozpoznania Obrazowego.

Częstość akcji mego serca nieodmiennie spada w poczekalni. Siedzę na jednym ze skąpo wyściełanych drewnianych krzeseł i czuję, jak moje mięśnie twarzy wiotczeją. Nie widzę dobrze. Atmosfera jest zamglona, ziarnista. Moje nerwy, moja energia, wszystko wsiąka w pastelowe ściany i panele sufitowe, słabe reprodukcje Renoira. „Błagam, niech się mną ktoś zajmie” - zniżam się do próśb. „Bądźcie delikatni, nie sprawiajcie mi bólu”. Jest to medyczna wersja „W ręce Twoje”. Najwyższa bierność. Nie mogę nic zrobić. To wielka ulga - dać sobie spokój, przestać próbować rządzić swoim życiem, choćby na ten krótki czas.

Dzisiaj jestem tutaj na prześwietleniu klatki piersiowej. Przedtem przez wiele dni przychodziłam na radioterapię biodra. Doprowadzili mnie do porządku - odczuwam teraz niewielki ból i nie kuleję. Wziąwszy to pod uwagę, możecie pomyśleć, że powinnam to miejsce lubić. Gracji weterynarz też nie sprawił bólu, mimo to trzęsła się z przerażenia, gdy tylko zorientowała się, że jest na parkingu przed lecznicą.

Tutaj nikt nie wygląda na przestraszonego, nawet dzieci.

Podglądam moich towarzyszy niedoli z radiologii, wypatrując oznak rozpacz, paniki, i nie dostrzegam ich. Nikt nie popłakuje skrycie, zamknięty w sobie, nikt się nie załamuje. Czy ja wyglądam jak ci ludzie? Oni sprawiają wrażenie, jakby czekali na agenta ubezpieczeniowego albo dentystę. Czy moja twarz też jest taka tępa w wyrazie, pogodzona z losem? Taka wyzuta z dramatyczności?

- Pani Kurtz?

Młoda szczupła kobieta o piegowatej twarzy i rzadkich włosach uśmiecha się do mnie od podwójnych drzwi. Idę za nią przez dwa krótkie korytarzyki do przebieralni.

- Jak się pani dziś czuje? - pyta. Odsuwa przede mną zasłonkę. - Proszę się rozebrać do pasa i włożyć szlafrok. Zaraz po panią przyjdę.

Zdejmuję sweter, bluzkę, biustonosz i wkładam bawełniany granatowy szlafrok. Wyglądam w nim jak kopa siana. Moja twarz jest upiorna we fluoryzującej poświacie, a mimo to czuję przyływ miłości dla samej siebie, bolesną tkliwość. Biedna Isabel.

Wraca technik. Plakietka na uniformie mówi, że jej nazwisko brzmi Willett. W przestronnym pomieszczeniu do prześwietleń zaczynam rozpinąć szlafrok, lecz ona mówi: - Nie trzeba. - Stawia mnie przed białym kwadratem z drewna i plastiku, jak tablica za koszem do koszykówki, i gdzieś znika. Słyszę jej głos z drugiego końca pomieszczenia, zza ekranu ochronnego. - Dobra. Nie ruszamy się. Głęboki oddech. Przytrzymać powietrze, trzymać. Już. - Drugie zdjęcie z boku, a potem jeszcze jedno od tyłu. - Dobra. To powinno wystarczyć. Proszę minutkę zaczekać. Zaraz wracam.

To nigdy nie trwa minutkę, zawsze dłużej, pięć, często dziesięć minut. Ona szuka radiologa, który sprawdzi, czy dobrze zrobiła zdjęcie. Czasami musi je powtórzyć. To są najgorsze chwile, oczekiwanie na powrót technika. Kiedy wraca, nigdy nic nie mówi, więc to napięcie jest bezcelowe, ale jest. Mój lęk i fatalizm, i litość nad samą sobą osiagają szczyt na tym etapie. Zawsze podchodzę do stojaka z magazynami i biorę „People” albo „Woman's Day”. Stoję twarzą do ściany i przewracam kartki z przepisami na dietetyczne potrawy z kurczaka, czytam o cudownym działaniu antyutleniaczy, oglądam reklamy ubiorów: „Spodnie, obcisłe i lśniące, są najseksowniejszą propozycją na porę po zapadnięciu zmroku”.

- W porządku - oznajmia panna Willett pogodnie, wchodząc do pokoju z pustymi rękami. Może się pani ubrać. - Patrzę na nią badawczo. Z brzmienia głosu usiłuję wywnioskować, co pokazały zdjęcia. Czy doktor dostrzegł plamkę na kliszy i potrząsnął współczująco głową? Nie, niemożliwe. Nie mam przerzutów do płuc - poznałabym po jej minie. Panna Willett uśmiecha się.

Słusznie czy nie, z minuty na minutę czuję się lepiej. Ubieram się w zupełnie innym nastroju, niż się rozbierałam. Jadę windą na parter, wychodzę przez automatyczne drzwi na zewnątrz, oddycham czystym, nieszpitalnym powietrzem - jestem jak nowo narodzona. Nie wyróżniam się spośród zabieganych, śpieszących się, niepomyślnych na nic zdrowych ludzi. Tak jak oni mogę się czuć nieśmiertelna.

Przeszłam na drugą stronę Pennsylvania Avenue i weszłam niespiesznie w K Street. W drodze do szpitala nie zwracałam uwagi na pogodę. Gdybym zwróciła, mogłabym się czuć dotknięta, bo dzień był przepiękny, złocił się w słońcu późnego lata. Powietrze słodko pachniało, promienie padały ukośnie na drzewa i ich wciąż jeszcze zielone liście. Godzina szczytu właśnie się zaczęła, ale przechodnie sprawiali wrażenie odprężonych, niezagonionych, uwiedzeni łagodnością popołudnia podobnie jak ja. Ale gdy doszłam do Farragut Square, poczułam się zmęczona, zbyt zmęczona, aby stać na Connecticut i czekać na autobus. Kupiłam u ulicznego sprzedawcy kubek kawy - jedyną używką, jaka mi została, jest kofeina, poza tym stosuję dietę makrobiotyczną - i usiadłam na ławce w parku.

Zaczęłam chorobliwą grę, na jakiej się od czasu do czasu przyłapuję. Pomarszczone staruszki, dzieci, młodzi ludzie, ładne panienki, matki z berbeciami, gburowate nastolatki, staruszkowie - o każdej z tych osób myślałam: „Umrzesz, umrzesz, i ty umrzesz”. Z całą pewnością nie szukałam w tym pociechy. Każdy musi umrzeć, wiadomo. Rzecz w tym, że wciąż nie mogę uwierzyć we własną śmierć. Tak, nawet teraz.

Żyję i bardzo się z tego cieszę, każdą niepowtarzalną chwilą. Ja, Isabel, mam cudowny przywilej istnienia. Piję sobie gorącą kawę przyprawioną śmietanką w proszku. Jest naprawdę smaczna. Szpaki stroją głosy na dębach. Powietrze pięknie pachnie, chwilami zalatuje spalinami, potem znowu pachnie. Uwielbiam zniszczoną powierzchnię ławki pod palcami, wygładzoną milionami tyłków. Oto jestem na tym świecie, właśnie teraz, w tej minucie. Nie było mnie przedtem, nie będzie później. Po prostu istnieję i to jest wspaniałe. To zaszczyt i przywilej. Cud.

- Można?

Podniosłam wzrok i zobaczyłam pochylonego ku mnie mężczyznę, który uśmiechał się szeroko. Byłam zmieszana, póki nie wskazał sztywnym ruchem ręki wolnego miejsca obok mnie.

- Nie... Tak, proszę bardzo. - Odsunęłam się trochę, przysuwając do siebie torebkę.

Podszedł małymi kroczkami i wolno, ze skrzypieniem, opuścił się na ławkę. Wydał z siebie długie aaach ulgi i mościł się jak stary pies na podłodze. Z kieszeni grubego kasztanowatego płaszcza, za ciepłego na to łagodne wrześnie popołudnie, wyjął chusteczkę i mozolastą, odbarwioną dłonią wytarł pot pod nosem. Zwrócił ku mnie głowę i rozciągnął wąskie usta w najszerszym uśmiechu, jaki kiedykolwiek widziałam, prawie od ucha do ucha, i rzekł:

- Ładny dzień, prawda?

- Piękny - kiwnęłam głową.

- Nie lubię wilgoci.

- Ja też nie.

- Ładny dziś dzień - powtórzył.

Wydał pożyłkowane policzki jak żaba i przeniósł uprzejme spojrzenie bladych oczu ze mnie na gałęzie nad głową. Wsunął dłonie pod kolano i podciągnął je do góry, z wysiłkiem zakładając nogę na nogę. Nosił beżowe skarpetki i zniszczone brązowe sandały.

- Skąd pani wzięła tę kawę? - zapytał.

- Z tamtej strony ulicy.

Uśmiechnął się i rzekł:

- Aha. - Pokiwał głową. - Ładnie pachnie.

- Chce pan? Przyniosę panu.

- Nie, nie. Dziękuję bardzo. - Uśmiechnął się, ukazując lśniące białe sztuczne zęby. - Nie piję kawy, za bardzo działa mi na nerwy. Ale wciąż lubię jej zapach. Odwrotnie jest z papierosami. Kiedyś paliłem, a teraz nie znoszę dymu. Okropnie śmierdzi, jak wszyscy diabli! Pani pali?

- Nie, nigdy nie paliłam.

- Bardzo dobrze. Moja żona także nie paliła. - Urwał, żeby odkaslnąć w chusteczkę. Odwrócił się dyskretnie, potem wetknął ją do kieszeni. Następnie sięgnął za pazuchę i wyciągnął z kieszeni koszuli fotografię.

- To jest Anna, moja żona. Poznaliśmy się we Włoszech w czasie wojny. Była Włoszką.

Wetknął mi zdjęcia do ręki. Zobaczyłam dwie wersje Anny - ładniutką i szczupłą, na drugim ładniutką i pulchną, na obu tak samo uśmiechniętą.

- Straciłem ją w siedemdziesiątym dziewiątym - wciągał i wydymał policzki. - Opiekowałem się nią w czasie choroby.

- Na co umarła? - nie mogłam się powstrzymać, żeby nie zapytać.

- Miała raka szyjki macicy.

- Strasznie mi przykro. Macie dzieci? Potrząsnął głową.

- Mieliśmy córeczkę - rzekł - ale straciliśmy ją bardzo szybko, bardzo szybko. Potem już nie mogliśmy mieć dzieci.

- Bardzo mi przykro - powiedziałam z nadmiernym zapałem. Ledwie się powstrzymałam, żeby go nie dotknąć. To było tak dawno, że moje współczucie musiało się wydawać przesadne.

Rozcapierzył palce szeroko na kolanach swoich wyświechtanych brązowych spodni.

- Dziękuję - rzekł z godnością. - Jest pani zameżna, jeśli wolno spytać?

- Nie - odparłam i niespodziewanie dla samej siebie dodałam: - Mam syna.

- Czy jest żonaty?

- Nie. Żyje z kobietą, o której tylko słyszałam, ale nigdy nie widziałam. Ma na imię Susan i jest nauczycielką w szkole podstawowej. - Kiedy utraciłam Terry'ego? Wyjechał na studia do Montrealu i już nie wrócił. Długo starałam się nie nazywać tego ucieczką, ale po tylu latach nie jest to już możliwe. Terry uciekł od swego ojca i mnie. Nie winię go za to i nie wierzę w żale trwające do śmierci, ale ten zawód jest szczególną tragedią mojego życia.

- Oni teraz tak robią - rzekł staruszek. - Nie przejmują się. Kiwnęłam głową.

- Kiedyś mówiło się „żyją na kocią łapę”.

- Tak jest. Na kocią łapę. - Roześmiał się pogodnie. - Jestem Sheldon Herman. Nie podaję ręki, bo jestem zaziębiony.

- Isabel.

- Miło mi panią poznać. Proszę spojrzeć. - Wyjął jeszcze jedną fotografię. - To jest Moxie. - Kundelka z obwisłymi uszami, z przewagą cech owczarka niemieckiego, czerwonoooka od błysku flesza. - Najlepszy przyjaciel człowieka - powiedział Sheldon Herman ochrypłym głosem. - Była niezła. Bardzo serdeczna. Dotrzymywała mi towarzystwa po stracie żony. Rozstała się z życiem w osiemdziesiątym ósmym, w wieku trzynastu lat.

Wydałam współczujący dźwięk.

- Zakopałem ją na podwórku, z jej piłką tenisową. Urządziłem uroczysty pogrzeb, wie pani, z kwiatami.

- Tak.

- Potem musiałem się wyprowadzić, zmusili mnie. Teraz mieszkam w domu starców. Jest nie-  
źle, mogło być gorzej.

Obrócił się swoim słabym, bezkształtnym ciałem do mnie. Pionowe zmarszczki, które prawdopodobnie kiedyś były dołeczkami, przecinały jego policzki. Białe baczki po bokach głowy dawniej na pewno były innego koloru. Trudno orzec, jaką miał kiedyś cerę, jasną, ciemną, czy średnią. Obecnie był spłowiwały. Prawie nieżywy. Po prostu bardzo stary człowiek.

- Najwięcej mi brakowało czegoś - rzekł - czym mógłbym się opiekować. Tam, gdzie mieszkam, jesteśmy zdani na samych siebie. Umieścili mnie w osobnym pokoju. Tam są sami mężczyźni. - Przyjrzał mi się, uśmiechając się miłym szerokim uśmiechem. - Bardzo strachliwa z ciebie dziewczyna, Isabel?

- Proszę?

- Boisz się pajaków i różnych takich stworzeń?

- Nie - odparłam wolno. - Czemu pan pyta?

- Tylko niech pani nie zemdleje - rzekł i sięgnął do kieszonki grubego swetra.

Trochę się zaniepokoiłam, zdecydowana mieć się na baczności. Wyjął coś, czego nie mogłam zobaczyć, póki nie rozwarł swojej żylastej, pokrytej plamami ręki. Myszka.

- Znalazłem ją w pułapce, którą zastawili w kuchni. Ma strzaskaną łapkę. Widzi pani? Kuleje. Nazwałem ją Szarusią. Ona jest teraz moją przyjaciółką.

- Milutka. - Naprawdę. Bystrooka, z różowymi policzkami i gładkim szarym futerkiem. Usadowiona na jego dłoni rozglądała się wokół, nerwowo poruszając wąsami.

- Karmię ją serem, chlebem i czym się da. Sałatą. Nie wiem, czy oni wiedzą, że ją mam. Chce pani ją pogłaskać?

Przesunęłam palcem po gładziutkim grzbiecie myszki.

- Ma pan towarzystwo - powiedziałam.

- Tak. Człowiek musi coś mieć. Cokolwiek, byle było żywe. To nie może być rzecz, musi odychać, ale to jest jedyny warunek. Zawsze tak myślałem. Ostatnio częściej niż przedtem. Pewnie na starość tak jest.

- Pewnie tak.

- Wie pani, troszczyłem się o swoją żonę bardziej niż o siebie, ale jak patrzę wstecz, to czuję, że nawet tego było za mało. Chciałbym, żeby teraz była ze mną i żebym mógł to lepiej zrobić.

Uniósł myszkę i pocałował ją w łepkę wąskimi ustami, a potem troskliwie, niczym matka, włożył z powrotem do kieszeni swetra. - Śliczny dzień - powiedział z westchnieniem, odchylając się w tył, żeby popatrzeć na gałęzie nad naszymi głowami. - Lato się kończy, prawda? Już niewiele takich dni zostało.

- Niewiele - zgodziłam się. - Niezbyt wiele.

W kilka minut później zobaczyłam mój autobus nadjeżdżający K Street. Powiedziałam panu Hermanowi do widzenia i zostawiłam go na ławce uśmiechającego się w cieniu rzucanym przez słabnące słońce.

Gdy przyjechałam do domu, nie weszłam od razu do wnętrza. Poszłam popatrzeć na mój ogródek. Właściwie na ogródek Kirby'ego. On tu wykonywał wszystkie ciężkie prace, kopał i uprawiał ziemię wiosną, gdy ja się zataczałam po sesjach chemoterapii. On również pielął chwasty i podlewał kwiaty latem, kiedy przywlekałam się po zajęciach taka wyczerpana, że mogłam tylko pójść do łóżka. Bez Kirby'ego nie zawracałabym sobie głowy ogródkiem w tym roku, chociaż to jest zdecydowanie miłe zajęcie. Pani Skazafava, moja gospodyni, kiedyś sama uprawiała cały teren na tyłach domu, obszar mniej więcej sześciuset metrów kwadratowych. Obecnie jest już na to za stara. Kilka lat temu podzieliła go na cztery działki wynajmowane lokatorom. Zaskakujące, ale nie wszystkie działki bywają dzierżawione co roku, mimo że w domu jest dwanaście mieszkań. Ja dzierżawię działkę już trzeci rok, odkąd tu zamieszkałam. Uwielbiam pracę w ogródku. To moja pasja.

Ubiegłej wiosny Kirby znalazł w kącie podwórka drewnianą szpulę i przyturlał ją do ogródka, żeby ją wykorzystać jako siedzenie. Nogi zaczęły mnie boleć, więc siadłam na szpuli. Większość lokatorów uprawia warzywa, ale ja wolę kwiaty. O tej porze roku jest więcej liści niż kwiatów, ale białe i różowe cleome wciąż kwitło, a także osty i nikotyna, moja przesadzona boltonia, Chelone obliqua z różowymi żółwimi główkami na suche bukiety. Nadciągał zmierzch. Pszczoła zabrzęczała w pokrzywie, wzbiła się w powietrze i poleciała do ula. Ptaki skrzykiwały się przed zmrokiem. Z drugiej strony zaułka moja sąsiadka Helen wysunęła głowę z drzwi kuchennych i wyśpiewała obiecujący dwudźwięk, jaki wydają matki zwołujące dzieci.

Usłyszałam odgłos kroków i odwróciwszy się, zobaczyłam Kirby'ego, szedł po wybetonowanym chodniku, środkiem działek. Kirby miał na sobie swój letni mundur - wojskowe spodnie polowe z obciętymi nogawkami, ciemnobrązową koszulkę z krótkimi rękawami i stare sandały na bosych nogach. Te sandały przypomniały mi pana Hermana i jego guzowate, obolałe stopy. Kirby zatrzymał się koło mnie, z rękami w kieszeniach.

- Cześć - powiedzieliśmy unisono, uśmiechając się i kiwając głowami. Lecz jego zapadnięte oczy spoglądały bystro.

- Już czas zasadzić chryzantemy - powiedziałam. - Spójrz, jak świetnie się spisuje anemon i cimicifuga. Posadziłeś je w doskonałym miejscu.

Przykucnął obok mnie z rękami wspartymi na kościstych kolanach i splecionymi dłońmi.

- Jak poszło?

Przez chwilę nie wiedziałam, o co mu chodzi.

- Prześwietlenie? Świetnie.

- Powiedzieli coś?

- Nie. Ale oni nigdy nie mówią. Doktor dzwoni do pacjenta, jeżeli coś odkryje.

- Rozumiem. - Zmarszczył brwi, ale nic więcej nie powiedział. Jest z tym uroczy. Wiem, że się o mnie troszczy, ale ogranicza swoje współczucie dla mnie do czynów, nie słów. Należy do tego rzadkiego gatunku mężczyzn, którzy nie muszą mieć własnego zdania na każdy temat. Albo, co gorsza, gotowego rozwiązania.

Pochylił głowę, żeby popatrzeć na siebie. Jego szczupła szyja wydawała się naga i krucha, jak u młodego chłopca. Czulałam potrzebę dotknięcia napiętych ścięgien, miękkich włosów, które zbiegały się w szpic na środku czoła. Wyciągnęłam rękę. Odwrócił głowę i moje palce otarły się o jego policzek. Zamiast cofnąć rękę, otworzyłam dłoń i przytuliłam lekko do jego twarzy. Pieściłam go.

- Isabel - powiedział zdumiony.

- Może umrę - powiedziałam. - Może się z tego wykaraskam, istnieje taka szansa, a może nie. Prawdopodobnie nie. Wiesz o tym, prawda?

- Wiem.

- Tak, ale czy naprawdę?

- Tak, wiem wszystko na ten temat. - Przycisnął usta do mojej dłoni. Chciałam zabrać rękę, ale ją przytrzymał. Pierwsza intymna chwila od tamtego wieczoru, kiedy mnie pocałował pod latarnią.

Przesunęłam palcami po jego chudym policzku. Spuścił powieki.

- Jestem chora, Kirby, i łysa. Nie jestem prawdziwą Isabel. Nie wiem, jak możesz mnie pragnąć, ale jeżeli...

Oniemiałam z najidiotyczniejszej nieśmiałości i przesadnego lęku. Bałam się ująć w słowa to, czego pragnęłam najbardziej. Właśnie zdałam sobie z tego sprawę.

Wstał, wciąż trzymając mnie za rękę.

- Ja się nie zmieniłem. Nic a nic. Po prostu czekałem. Wydawał się pełen wdzięczności. Objął mnie i przytulił. Było tak miło, że aż nie do wiary.

- Nie chcę - wymamrotałam w jego koszulę - żebyś mnie pragnął z litości. Błagam, nie kłam.

Odsunął się, trzymając mnie mocno.

- Co się stało?

- Nic...

- Nie czujesz się gorzej?

- Nie!

- Przysięgasz?

- Czuję się dobrze, nic się nie stało. Naprawdę. - W każdym razie nic, co potrafiłabym mu wytłumaczyć. W moim sercu zaszła jakaś zmiana. Zdałam sobie sprawę, że to nieważne, skąd przychodzi

miłość ani kiedy. Nie chcę umrzeć z żalem w sercu, że dane mi było pokochać jeszcze raz - lepiej, inaczej, pełniej, a ja nie skorzystałam z tej szansy.

- Więc dobrze - powiedział Kirby. - Przestań mówić głupstwa, Isabel, i chodźmy do domu.

Śniło mi się, że jestem zamknięta w wysokiej czarnej szafie. Uderzałam dłońmi w wąski słaby pasek światła u spodu zamkniętych drzwi, krzycząc: „Na pomoc, na pomoc, wypuście mnie!” Światło zamglilo się i znikło. Zostałam sama w kompletnych ciemnościach. Krzyczałam i krzyczałam, ale bezgłośnie, a gdy się obudziłam, miałam całą twarz we łzach.

Kirby spał na boku, tyłem do mnie. Ani drgnął, gdy wyciągałam spod niego palce prawej ręki.

W każdym razie był to stary sen. Wiedziałam, co oznaczał. Śnił mi się tak często, że zatracił się, by mnie ścisnąć w swym lodowatym uchwycie aż do świtu. Słuchałam oddechu Kirby'ego, kojącym jak bicie serca, i znowu zapadłam w sen.

Zwykle, gdy się budziłam, ogarniał mnie niejasny niepokój, który przeradzał się w paniczny strach. Zatrzymywał moje serce, sprawiał, że oblewał mnie żar. Myślałam: „Rak jest znowu w moim ciele i tym razem mnie zabije”. Tego ranka obudziłam się z poczuciem bezpieczeństwa.

W kredowym świetle brzasku zobaczyłam ostronosy profil Kirby'ego. Spał, ale jego surowa twarz nie była odprężona. Oddychał delikatnymi białymi nozdrzami prawie niesłyszalnie. Starłam się nie porównywać go z Garym.

Kochanie się z kimś po raz pierwszy zawsze jest niezdarne - tak przypuszczam. Do wczoraj miałam tylko jedno takie doświadczenie. Kochanie się z łysą kobietą o jednej piersi jest niezdarne do kwadratu. Dla mnie, po Garym, pójsie do łóżka z takim mężczyzną jak Kirby wystarczyło, aby stłumić namiętność i napełnić mnie płocnością i bojaźnią. Przewidywanie klęski bywa spełniającym się proroctwem.

Kirby nas ocalił, ja się do tego nie przyczyniłam, raczej o mało nie doprowadziłam do klęski. Kiedy się rozebraliśmy i położyli w moim łóżku, leżałam i dziwiłam się twardości jego ciała. Myślałam o Garym i zastanawiałam się, czy Kirby myśli o swojej żonie. Martwiłam się, że jest ze mną z litości. W jego dłoniach było tyle czułości... Byłam zdziwiona, że dałam się tak łatwo uwieść.

- Nie myśl - rzekł, mocno na mnie napierając, obsypując ognistymi, romantycznymi pocałunkami.

Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. A jednak Kirby sprawił, że zapomniałam o dziwności mojego ciała, niezdatności, można by powiedzieć, dziwaczności tej sytuacji. Na chwilę zapomniałam nawet o najgorszym - o głębokim lęku, który mnie nigdy nie opuszcza. Buchnął blask i oślepił mnie. Ale natychmiast to zepsułam, myśląc: „Folgujesz sobie”. Chorobliwa wyobraźnia; zaszokowałam samą siebie.



Ale długa noc dopiero zaczynała się. Zanim zasnęliśmy w swoich ramionach, Kirby przynajmniej na chwilę wyleczył mnie z chorobliwego lęku. Jest człowiekiem o wielu różnych i zaskakujących talentach.

Nie wierzę, że seks, akt miłosny, zmienia ludzi. Emma by się ze mną nie zgodziła, ale ja nie jestem romantyczką. Powiedziawszy to, muszę przyznać, że czułam się inaczej tego ranka. Leżałam sobie bez ruchu i wkrótce pojęłam, czego mi brakuje.

Lęku.

Bezbarwny wschód sączył się przez firanki i w jego świetle badałam linie mojej dłoni. Główna z nich wskazywała, że powinnam żyć ze sto dziesięć lat. Nie traktuję tego lekko, a mimo to myślę, że nie jest to dla mnie naprawdę ważne. Wczorajsze rewelacje trwają nadal. W końcu, w tym prze-wspaniałym porządku rzeczy, nie jest ważne, czy moje życie będzie trwało jeszcze pięćdziesiąt lat czy pięć. Albo dwa. Rzecz w tym, aby je przeżyć, a nie przeczekać. Żyję - mogę zrywać kwiaty, głaskać psa, zjeść grzanekę z cynamonem. Jaka byłabym głupia, gdybym pozwoliła, aby moja śmiertelność, która mi towarzyszy cały czas od moich drugich narodzin, zepsuła mi moje umiłowanie tych rzeczy. Więc nie pozwolę na to. Będę musiała przypominać sobie o tym stale, ale począwszy od teraz, zamierzam żyć aż do śmierci.

Obudziłam Kirby'ego, żeby mu o tym powiedzieć. Mrugnął dwa razy powiekami i zrobił się całkiem przytomny. Jego uśmiech był olśniewający.

- Dziękuję - powiedziałam, zamiast mu donieść o swoim objawieniu.

- Za co?

- Za dar, jaki od ciebie otrzymałam.

- Dar. - Najwyraźniej myślał, że chodzi mi o seks. To dość pokrzepiające, gdy Kirby zachowuje się jak typowy mężczyzna. - Łudzisz się - rzekł burkliwie, przesuwając koniuszkiem języka po zębach. Jego włochate przedramię ciemniało na dziewiczej różowości koca. - Ja ci nic nie dałem, Isabel, ja wziąłem. Dla siebie.

- Ty draniu. Skrzywił się.

- Nie odwracaj kota ogonem. Nie mów, że to ja jestem bezinteresowny i obdarzający - powiedział, poważniejąc. Ujął moją twarz w swoje dłonie i głaskał kciukiem skąpe włosy na mojej skroni. On jest bardzo romantyczny. Według mnie robi wszystko tak jak należy.

- Jaka ja jestem szczęśliwa - zdałam sobie nagle sprawę, całując jego zaskoczoną twarz. Po-cząwszy od teraz, przypominałam sobie. Dość czekania, odtąd tylko samo życie. - Wykorzystaj mnie znowu - zasugerowałam.

# 21.

## Lee

Drzemałam, kiedy Henry odebrał telefon w hallu po trzecim dzwonku. Usłyszałam, jak mówi radosnym głosem:

- Sie masz, Em - i zaczyna człapać na górę po schodach. - Taa, jeszcze jest w łóżku. Nadal obo-  
lała. Taa. Mówię, że dzień lub dwa. Wczoraj. Nie, wszystko poszło świetnie. - Zatrzymał się w  
drzwiach sypialni: - Zaczekaj, sprawdzę. - Zakrył dłonią mikrofon. - Nie śpisz? Chcesz rozmawiać z  
Emmą?

Spojrzałam na niego zimno.

- Wszystko poszło świetnie?

Twarz mu się ściągnęła, już nie wyglądał tak cholernie radośnie.

- Daję ci ją - rzekł do słuchawki. - Ona ci wszystko powie. Wzięłam od niego słuchawkę i przy-  
kryłam mikrofon.

- Czemu jej powiedziałaś, że wszystko poszło świetnie?

- Miałem na myśli - odparł - że nie było żadnych komplikacji. - Miał czelność powiedzieć to  
poirytowanym tonem.

- Cieszysz się, prawda? Czemu tego nie przyznasz?

- Czego?

- Że to już nie jest twoja wina.

- Lee, ty jesteś... - Zaczerpnął głęboko tchu i pokazał, ile go kosztuje opanowanie irytacji. - Je-  
steś wariatka - rzekł cicho i wyszedł z pokoju.

- Cześć. Jak było, jak się czujesz?

Och, odczep się, pomyślałam. Wydaje jej się, że kim ona jest - pielęgniarzką?

- Czuję się dobrze. Jestem zmęczona.

- Tak? Nic cię nie boli?

- Już nie.

- A co ci robili?

- Zrobili mi RMJ, radiogram macicy i jajowodów, a później laparoskopię.

- Uśpili cię?

- Do laparoskopii. Do RMJ nie.

- Bolało?

- Tak.

- Och, Lee. Henry był z tobą?

- Musiał pracować. Zabrał mnie później i przywiózł do domu.

Pauza. Mój bezbarwny ton wreszcie do niej dotarł. Spytała z wahaniem:

- Czy to zła wiadomość? Co odkryli?

- Mam SIN. To dosyć śmieszne, nie? Wiedziałam, że to docenisz. Salpingitis ithmica nodosa.

- Co to znaczy?

- Zablockowanie jajowodu. To znaczy, że jajeczko nie może się przedostać.

- Czy to się da naprawić?

- Czasami. Ale nie w moim przypadku. Ponieważ ja mam uszkodzone oba jajowody.

- Cholera.

- No właśnie.

- Ale z pewnością mogą coś zrobić. Obecnie...

- Pozostało tylko in vitro.

- Dziecko z probówki...

- Biorą jajeczko z jajnika, zapładniają je plemnikiem w warunkach laboratoryjnych, powstaje embriion, który umieszczają w macicy.

- Rozumiem. Więc jest szansa?

- Prawdopodobieństwo zapłodnienia rośnie przy użyciu spermy dawcy.

- Dawcy. To znaczy nie Henry'ego?

- Właśnie.

- Czy ty... czy to będzie...

- Na tym etapie to doprawdy nie ma dla mnie znaczenia.

- Aha. I jemu też to nie przeszkadza? Miałam dość odpowiadania na pytania.

- To zbyt osobiste - powiedziałam. Wciągnęła głośno powietrze.

- Przepraszam, bardzo mi przykro, ja tylko... Nie powinnam była pytać, to dlatego, że my zwykle... No, w każdym razie przepraszam.

- Daj spokój.

- Jestem pewna, że zabieg in vitro będzie skuteczny. Powinni byli od tego zacząć, ale mądry człowiek po szkodzie.

Czekałam.

- No cóż, chyba jesteś bardzo zmęczona. Leż i odpoczywaj. Powiem Rudy, co u ciebie. Przepuszczam, że sama do ciebie zadzwoni.

- Świetnie.

- Czy uwierzysz, że ona rzeczywiście zaczęła ten kurs? Ja nie mogę uwierzyć. Byłam pewna, że Curtis ją powstrzyma albo że ona sama stchórzy. Dla mnie to jest wprost wspaniałe. Nasza Rudy...

- Tak, to wspaniałe.

- Rozmawiałaś z Isabel?

- Króciutko, wczoraj wieczorem.

- Jak ją znalazłaś?

- Świetnie. Bardzo się zmartwiła, że mam zablokowane jajowody.

- Ale jak ona się czuła? Jakie odniosłaś wrażenie?

- Że czuje się świetnie, kwitnąco. Muszę zwolnić telefon.

- Lee, kochanie, przepraszam, wiem, że ci ciężko, ale...

- Nie, nie wiesz. Nie masz o tym pojęcia. I mam nadzieję, że to ci się nigdy nie przydarzy, Emma, bo wtedy nie będziesz myślała, że to jest takie cholernie trywialne.

- Wcale nie myślę, że jest trywialne! Co ty sobie wyobrażasz? Skąd ci to przyszło do głowy?

- Muszę odłożyć słuchawkę.

- Więc ją odłóż.

- Dobra.

- Och, Lee...

Odłożyłam. Wstałam i ubrałam się.

Henry mieszał coś w wielkim garnku na kuchni. Odwrócił się, gdy mnie usłyszał.

- Wstałaś. - Wydawał się zdziwiony, choć nieszczególnie zadowolony. - Jesteś pewna, że nie powinnaś leżeć w łóżku? Mówili...

- Leżałam cały dzień. Czuję się świetnie. Idę do Isabel.

- Do Isabel? Ale ja robię kolację... jest siódma.

- Wiem która jest godzina. Nie mam ochoty na jedzenie. Zwłaszcza na chili. - On tylko to potrafi ugotować, ale wszystko jedno, co za bezmyślność. Powinien wiedzieć, że chili nie jest odpowiednią potrawą dla kogoś po takim zabiegu, jaki przeszłam.

Wszystko mnie w nim irytowało, flanelowa koszula, drewniana łyżka, z której sos kapał na podłogę, nowa fryzura. Właśnie ona stała się przyczyną naszej kłótni w zeszłym tygodniu.

- Jesteś za stary na takie długie włosy - powiedziałam, więc poszedł i kazał się ostrzyć bez porozumienia ze mną. Nie spodobało mu się, gdy powiedziałam: - Teraz wyglądasz jak Prince Valiant. Jeżeli już idziesz się ostrzyć, to zrób to jak należy, postaraj się wyglądać jak normalny człowiek. - Znowu nie rozmawialiśmy dwa dni.

- Dobra - powiedziałam teraz do niego. - Idę.

- Kiedy wrócisz?

Ostrożnie wkładałam żakiet, przy gwałtownych ruchach czułam ból w dołu brzucha.

- Nie wiem.

- Więc zadzwoń przed wyjściem - rzekł, wracając do mieszania.

- Po co?

- Żebym wiedział.

- Co wiedział? Obejrzał się z irytacją.

- Że wychodzisz.

- A jakie to może mieć znaczenie? Odwrócił się tyłem do mnie, zły.

- Jeśli zostanę porwana, to co na to poradzisz? Jeżeli ktoś na mnie napadnie na Adams-Morgan, obronisz mnie?

- To nie dzwoń. - Walnął łyżką o kuchnię. - Nie dzwoń, nie trzeba. - Wyszedł z kuchni do pokoju telewizyjnego.

Bolał mnie brzuch. Poszłam za nim.

- Cieszysz się, prawda? - wrzałam z gniewu.

- Cholera! - Trzasnął pilotem o stolik do kawy.

- To już nie jest wina twojej cennej spermy, tylko moja.

- Tracisz rozum.

- Wcale nie. Powiedz, że ci nie ulżyło!

- Lee, to wina nas obojga.

- Tak, i ty się cieszysz. Że masz z kim dzielić winę.

- Winę? - Zaklął, choć wie, że tego nie cierpię. - Czemu ktokolwiek ma ponosić winę? Po prostu stało się i to niczyja wina...

- Och, chciałbyś, żeby tak było.

Wetknął palce we włosy, burząc swoją fryzurę pazia.

- Co to, u diabła, ma znaczyć? Nie miałam pojęcia.

- Nic nie znaczy. - Zaczęłam płakać.

Nie ruszył się. Nie podszedł, żeby mnie pocieszyć. Staliśmy w przeciwległych kątach pokoju i patrzyliśmy na siebie.

- Idę do Isabel - powiedziałam i wyszłam.

Drzwi otworzył Kirby. Miał w ręku serwetkę i usta pełne jedzenia. Musiał przełknąć, zanim powiedział:

- Wejdz.

- Och, przepraszam. Przeszkodziłam wam w kolacji. Myślałam, że będziecie...

- Lee? - zawołała Isabel. Kirby otworzył drzwi szerzej i zobaczyłam ją w małym kąciку obok kuchni, który nazywa pokojem stołowym. - Chodź, właśnie skończyliśmy.

- Chodź - sekundował jej Kirby, gestykulując. Nawet Gracja przyczłapała, żeby mnie powitać.

Weszłam.

Mieszkanie wyglądało jak buduar albo kościół. Na każdym stoliku, na każdej półce stały wazonny albo wazy z kwiatami, daliami, petuniami, komosą, astrami. Ze stereo płynęła cicha muzyka klasyczna, powietrze pachniało egzotycznie, kombinacją kadzidła i czegoś imbirowego. Chińskie jadlo. Przez okno w salonie z kolorowym witrażem przedstawiającym anioła sączyły się ostatnie promienie zachodzącego słońca. Światło padało też od świec - były wszędzie, podobnie jak kwiaty.

- Co to jest? - zapytałam głupio. Kirby próbował nakłonić mnie do zdjęcia żakietu. - Co się dzieje?

- Co masz na myśli? Właśnie skończyliśmy kolację.

Przytrzymując się krawędzi stołu, Isabel odepchnęła krzesło w tył i wstała. Sięgnęła za siebie, stojąc zgięta pod dziwnym kątem, szukała po omacku laski.

- Przeszkodziłam wam. Nie wstawaj, przyjdę kiedy indziej...

- Nie, nie. - Szła ku mnie normalnymi, choć wolnymi krokami. Weszła w krąg naturalnego światła w salonie i wtedy zobaczyłam, jak bardzo jest blada. Jej twarz bez zmarszczek była piękna w swym wymizerowaniu, podkrążone oczy za duże, kości policzkowe za ostre. Nowy lek - zapewne też przyprawia ją o mdłości. Doktor przestawił ją na taxol. Uśmiechnęła się do mnie pokrzepiająco. Kirby wciąż kręcił się w pobliżu. Zauważyłam, że Isabel daje znaki Kirby'emu oczami. Zamruczał coś pod nosem i poszedł do sypialni.

- Och, nie - jęknęłam - wygnałam go.

- On tu mieszka, poszedł tylko do swego pokoju, wcale go nie wygnałaś. Jadłaś kolację?

- On tutaj mieszka?

- Właściwie tak. - Poprowadziła mnie z powrotem do kącika jadalnego. Jedną ręką trzymała mnie pod ramię, drugą wspierała się na drewnianej lasce z mosiężną rączką. - Usiądź. Spójrz, ile jedzenia zostało.

- Nie jestem głodna. Boże wielki, co to jest?

- To? Zupa miso. I toru z brązowym ryżem. Chcesz trochę soku śliwkowego?

- Nie, dziękuję.

- Wypróbowałyśmy nowe przepisy na potrawy z kuchni makrobiotycznej. Na pewno nie wiesz, że na półkuli północnej jedzenie miesza się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, a na południowej - zgodnie z ruchem wskazówek.

- Naprawdę?

- Nie mogę się doczekać, kiedy powiem o tym Emmie. Usiądziemy tutaj, czy wolisz porozmawiać w bawialni?

- W bawialni. - Zanim usadowiłyśmy się na sofie, Isabel ze szklanką soku śliwkowego, a ja z Gracją u stóp, zdążyłam wziąć się w garść. - Przepraszam - powiedziałam. Powinnam była zadzwonić, ale ja...

- W porządku.

- Ja uciekałam. Emma do mnie zadzwoniła, a ja rzuciłam słuchawkę.

- Co zrobiłaś?

- Wiem, że to wariactwo. Zadzwonię do niej jutro i spróbuję ją przeprosić. Ona niczego nie zrobiła, to moja wina, nie jestem już sobą. A Henry, o Boże, kłócimy się o wszystko. Isabel - zmieniłam nagle temat - czy ty tak żyjesz cały czas? - wskazałam kwiaty, świece. - To jest przepiękne. - Isabel nie może umrzeć. Co się stanie z tym ślicznym kilimem, który uwielbia, z poduszkami, litografiami polnych kwiatów na ścianach? Wszystkie te rzeczy dowodziły, że Isabel nie może odejść, musi żyć. Byłoby to zbyt okrutne.

Uśmiechnęła się.

- To pomysł Kirby'ego. Mają uzdrawiającą moc, mówi. A teraz opowiedz mi o zabiegu.

- Coś okropnego. Położyli mnie pod ogromną maszyną rentgenowską z nogami w strzemionach. Wsunęli cewnik przez szyjkę macicy. Dali mi advil i powiedzieli, że nie będzie bolało, ale to była męczarnia. Dostałam skurczów mięśni.

- O mój Boże! - Ścisnęła mnie za rękę, krzywiąc się. Wpuścili barwnik przez ten cewnik. Jeżeli nie ma zatoru, płyn kontrastowy dochodzi do końca jajowodów, ale jeżeli są zablokowane, zatrzymuje się. U mnie się zatrzymał, więc trzeba było zrobić laparoskopię i zbadać, jak bardzo są zablokowane.

- I?

- Bardzo. Nic się nie da zrobić, zabieg chirurgiczny jest niemożliwy. Mogę mieć dziecko tylko przez zapłodnienie in vitro. A szanse, że to się w moim wieku uda, wynoszą dwanaście procent, nawet ze spermą dawcy. Na dodatek to kosztuje fortunę.

- Ile?

- Około jedenastu tysięcy dolarów. - Isabel aż otworzyła usta. - Henry nie może nawet o tym mówić. Więc prawie nie rozmawiamy.

Potrząsnęła głową ze współczuciem.

- No i co zrobisz?

- In vitro.

Isabel wyprostowała się. Chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała.

- Cóż, to moje pieniądze, nie jego.

- Tak, ale to jednak dużo pieniędzy.

- No to co? Gdybym zachorowała...

- Gdybyś zachorowała, to co? - powiedziała, kiedy ugryzłam się w język i umilkłam. Popełniałam dziś same gafy.

- Chodzi mi o to, że gdyby potrzebna była operacja dla ocalenia mi życia, Henry nie miałby nic przeciwko wydatkowaniu takiej sumy.

- Oczywiście.
- A przecież to to samo.
- Czyżby?
- Dla mnie tak.

Isabel przycisnęła pięść do ust w zamyśleniu. Jej łagodne oczy patrzyły na mnie tak długo, że aż musiałam się schylić i zacząć głaskać psa.

- A co powiesz na adopcję, Lee?
- Nie. Już ci mówiłam.
- Wiem, ale...
- Nie bierzemy tego w rachubę.
- Rozumiem.

Usiadłam prosto i spojrzałam jej w oczy.

- In vitro może się udać, Isabel - powiedziałam, nie kryjąc podniecenia. - Dwanaście procent to niby niewiele, ale jest nadzieja. Nie chcę się jej pozbawiać. Szkoda, że nie zaczęliśmy od tego. Żałuję, że straciliśmy tyle czasu.

- Lee...
- Co?

Uśmiechnęła się i wtedy zdałam sobie sprawę, że byłam dla niej niegrzeczna.

- Nie chcę ci nic radzić - zapewniła mnie. - Nie martw się.
- Chętnie słucham rad - rzekłam ze skruchą.
- Chodzi o to, że przykro patrzeć, jak się narażasz na ból. To wszystko.
- Wiem. Naprawdę wiem, ale znów mam nadzieję. - Przycisnęłam dłonie do oczu. - Tak bardzo się boję, że się nie uda, a potem łudzę się, że stanie się cud. A gdy nic się nie dzieje, znowu się boję. Jestem już taka zmęczona, gdybym tylko mogła trochę odpocząć...

- Czemu tego nie zrobisz?

- Bo nie ma czasu. Już i tak zmarnowałam go za dużo. Ta myśl mnie zabija. Zawsze panowałam nad swoim życiem, każdą jego cząstką, a teraz ta najważniejsza część jest poza moją kontrolą. Utknęłam w miejscu, nie mogę się poruszyć i nie mogę znieść tej niepewności.

Isabel westchnęła. Wolno oparła się, wkładając sobie poduszkę pod plecy. Jej kruchość zaniepokoiła mnie, ale to wina taxolu, byłam tego pewna. Ta chemoterapia jest gorsza od choroby, którą ma leczyć.

- Lee - powiedziała ze znużeniem. - To nie jest rada, tylko pytanie. Coś do przemyślenia. Dobra?

- Oczywiście. Mów.

Znowu pochyliła się, żeby pogłaskać Grację.



- Czy posiadanie genetycznie własnego dziecka jest dla ciebie najważniejsze w życiu? Ważniejsze niż Henry?

Ścisnęło mnie w gardle, nie mogłam odpowiedzieć.

- Postaw sobie to pytanie. Wiem, że kochasz Henry'ego, ale możesz go stracić. Czemu go poślubiłaś? - zapytała. - Jeżeli tylko po to, aby mieć z nim dziecko, wówczas może nie będziesz w stanie zatrzymać swojego męża przy sobie. Ty płaczesz?

- Nie mogę się powstrzymać.

Poczułam, że się przysuwa bliżej. Objęła mnie ramieniem.

- Wiem. To boli, a tak chciałoby się tego uniknąć. Tyrania posiadania potomstwa. Biedna Lee, tak bardzo pragniesz dziecka. Jesteś... jak to nazwać? - Isabel uniosła brwi.

- ...opętana. Wiem, jestem opętana myślą o bezpłodności, a to niesprawiedliwe wobec Henry'ego. Przedtem też mieliśmy problemy, ale już nie pamiętam jakie. Wszystko, co złe w moim małżeństwie, dzieje się przez to, że nie możemy mieć dzieci. Tak twierdzi Henry i to prawda. Wiem, że go odpycham od siebie, ale...

Isabel mnie tuliła, a ja płakałam. Ledwo się opanowałam, żeby nie położyć głowy na jej kolanach. Był to najniezwyklejszy wieczór w moim życiu, a Isabel była pod ręką, czuła i tkliwa jak matka. Wreszcie przestałam płakać, gdy uświadomiłam sobie, że moje problemy są wobec jej choroby żenująco błahe. Usiadłam prosto.

- Czuję się już lepiej. Dzięki ci za wysłuchanie mnie. Chodźmy do kuchni. Ja pozmywam, a ty mi opowiesz, co u ciebie. - Protestowała, ale zignorowałam to. - To nowość - powiedziałam, kiedy wstawałyśmy.

- To? Kirby mi ją dał. - Uśmiechnęła się, przesuwając palcami po krzywiźnie mosiężnej rączki laski w kształcie smoka. - Smok - powiedziała - to symbol nadziei.

- Och! - Czy to oznacza, że ona nie potrzebuje laski? Używa jej na szczęście, nie do chodzenia? Bałam się zapytać.

Nie była zbyt wylewna. Dowiedziałam się tylko, że nowy lek nie daje takich skutków ubocznych jak poprzedni, co mnie zaskoczyło, bo nie wyglądała dobrze.

- Jestem zmęczona - rzekła, ścierając gąbką okruchy z kontuaru do zlewu. - Czuję się senna i apatyczna.

- Jak ci idzie nauka?

- Dobrze - odparła po krótkiej przerwie.

- Naprawdę? Wciąż chodzisz na wszystkie zajęcia? Znalazła jednak miejsce na kontuarze, które wymagało szorowania, i nie odpowiedziała.

- Isabel?

Nie umie kłamać. Potrafi unikać odpowiedzi, ale nie kłamać.

- Musiałam zrezygnować z kilku przedmiotów. Było tego trochę za wiele. Nadrobię to na przyszłe lato.

- Ale jesteś nadal zapisana, nie skreśliłaś się...

- O, tak - odparła zdecydowanie. - Pilnie pracuję i podoba mi się ten semestr. Jest kilka wspólnych kursów. Mam do napisania pracę na jutro - „Społeczeństwo - problem starzenia się”.

- Czemu mi nie powiedziałaś? Och, Isabel!

- Co? Och, nie bądź niemądra. - Poszła za mną do bawialni, śmiejąc się. - Co ty robisz? Uciekasz?

- Najpierw wypędziłam Kirby'ego, zanim zdążył zjeść kolację... Gdzie jest mój płaszcz, gdzie on go powiesił?

- Lee, wcale nie musisz iść.

- Potem przez pół godziny gadam o swoich problemach, nie pozwalając ci dojść do słowa...

- Nie było tak źle.

- Dobrze, że chociaż pozmywałam naczynia.

- Nie idź, wcale nie musisz. Zostało mi tylko zrobienie przypisów.

Pocałowałam ją. Była jakaś inna w dotyku, taka krucha, że aż bałam się ją uściskać.

- Przepraszam Kirby'ego. - Skrzywiła się. - Zadzwoń do ciebie jutro. Dziękuję za wszystko. Szczerze.

- Jedź ostrożnie.

- Do widzenia.

- Dobranoc, Lee.

Byłam już przy windzie, prawdę mówiąc nawet nacisnęłam guzik, kiedy przypomniałam sobie. Zawróciłam. Otworzyła drzwi.

- Cześć, dawno się nie widziałyśmy - zażartowałam. - Czy mogę jeszcze coś zrobić?

- Oczywiście - odstąpiła na bok, żeby mnie wpuścić.

- Zadzwoń do Henry'ego. Powiem mu, że wracam.

## Rudy

Gabinet Eryka mieści się przy Carolina Avenue na Capitol Hill, róg Eastern Market. Mogę dojść tam z domu pieszo i zwykle to robię, ale dzisiaj przyjechałam samochodem. Byłam spóźniona, jak zwykle. Znalazłam miejsce do zaparkowania i pognałam przez chłodny deszcz, nawet nie przystając, żeby otworzyć parasol. Była to stara kamienica z czerwonej cegły. Mieszkania przerobiono na biura. Gabinet Eryka mieści się na najwyższym piętrze. Wpadłam prosto do środka, nie zatrzymawszy się w poczekalni, żeby zdjąć płaszcz ociekający wodą.

- Przepraszam, przepraszam, ale takie korki, że nie uwierzyłbyś, a poza tym nie ma gdzie zaparkować, i dlatego nie zdążyłam na czas. Mogę położyć to tutaj? - Eryk odparł, że tak, więc przewiesiłam płaszcz przez kaloryfer. - No, więc jestem. Nareszcie.

Padłam na wielki czarny fotel stojący naprzeciwko identycznego fotela. Zajmowaliśmy z moim terapeutą równorzędne pozycje, z tą różnicą, że koło mojego fotela stał stolik z pełnym pudełkiem chusteczek higienicznych.

- Jak się czujesz?

- Świetnie. A ty?

Zawsze tak mówi. Z badawczym uśmiechem, który każe ci myśleć, że mówi serio. On jest do prawdy wspaniały, ale woli mówić o tobie niż o sobie. Jest to wyborna cecha u psychoterapeuty. Wiem zdumiewająco mało o Eryku, zważywszy na to, że od siedmiu lat widuję go raz w tygodniu, a w razie konieczności częściej. Ma czterdzieści sześć lat i żyje z kobietą nieco starszą od siebie. Ostatnio atmosfera w jego domu była napięta. Wygadał się z tym przed paroma tygodniami i to mnie zafascynowało. Zupełnie jakbym odnalazła wreszcie któreś z moich naturalnych rodziców, jakbym niespodziewanie odkryła jakiś ważny fakt.

- Ja też czuję się świetnie - powiedziałam. - A jak często słyszysz to ode mnie? Właśnie wracam od Emmy, a mimo to czuję się wspaniale.

Eryk potrząsnął głową ze zdziwieniem.

- No, a co z Emmą?

- Dlatego właśnie się spóźniłam. Ona rozpuściła włosy! Eryk zrobił minę z rodzaju: „mów dalej!”

- Pamiętasz, jak ci mówiłam, że zakochała się w żonatym mężczyźnie? - To było jednak wszystko, co powiedziałam, nie rozgłaszam tajemnic Emmy. No, może zdradziłam ten sekret Curtiso-

wi, ale bez żadnych szczegółów. A i to tylko przypadkiem. Po alkoholu. - Cóż - powiedziałam - nic z tego nie wyszło i myślałam, że jej przeszło. Ale teraz widzę, że byłam ślepa i głucha.

- Nie przeszło jej?

- Nie, jest nieszczęśliwa. Z nikim się nie widuje, co już jest samo w sobie niezwykle - zawsze przy Emmie kręci się jakiś mężczyzna. Nie pisze. Nic tylko siedzi w domu. Powiedziałam, że chyba jest w żałobie, a ona na to, że owszem. Mówiła o tym tak otwarcie, niczego nie kryjąc, co również jest niezwykle. Myślę, że jej strategią jest czekanie, rozumiesz, przyczajenie się, dopóki się nie poczuje lepiej. Przycupnęła, a to zdecydowanie nie jest w jej stylu. Ona mówi, że z mężczyznami jest jak z psami - jeśli odejdzie, trzeba sobie zafundować nowego (psa albo partnera).

- Ha!

- Więc gdy jechałam tutaj, pomyślałam sobie, że sposób Emmy - siedzenie samotnie w domu i pograżanie się w smutku - jest bezpieczniejszy niż, dajmy na to, moje metody wychodzenia z depresji.

- Może jej depresja ma inne podłoże niż w twoim przypadku.

- Wiem, ale... - Cóż, to oczywiste, mój stan jest chroniczny, Emma ma ostrą postać depresji. Mój przypadek jest kliniczny, jej nie. Ale to, co powiedział Eryk, podniosło mnie na duchu. - Katuję się za złe wybory, różne wariactwa. Ale każdy startuje z innego miejsca, a jeśli się zważy, skąd ja startowałam...

- To co? No, śmiało, mów.

- Dobra. - Zaczepnęłam tchu. - To spisuję się nieźle. Promieniał.

- Bardzo dobrze, Rudy. Bardzo, bardzo dobrze.

Był taki zadowolony, że powiedziałam mu jeszcze coś.

- Zgadnij, kto dostał A minus z projektu na półrocze?

- Doprawdy?!

- Trzeba było zaprojektować miejskie podwórko o powierzchni pięćdziesięciu metrów kwadratowych, z wszystkimi nasadzeniami, chodnikami, cichymi zakątkami, siedziskami, tarasami. Ja nawet zaplanowałam małą fontannę i trafiłam w dziesiątkę.

- To świetnie!

- Wcale nie było łatwo, i jestem szczęśliwa, że mi się udało. Dziękuję ci, Eryku.

- Za co?

- Za to, że pomogłeś mi się zdecydować. - Otworzył usta, żeby zaprzeczyć, zawsze to robi, więc mówiłam dalej. - Naprawdę mi pomogłeś, a także Emma. Wierciła mi dziurę w brzuchu do skutku. Isabel, na swój sposób, też. Nic nie mówiła, ale wiedziałam, że we mnie wierzy. Nie mogłam jej rozczarować. Ona tak się cieszy z naszych sukcesów. Chciałam, żeby była szczęśliwa.

Eryk kiwnął ze zrozumieniem głową.

- Jak się czuje Isabel?

- Och... - westchnęłam. - Trudno powiedzieć. Mówi, że lepiej, ale nie wygląda dobrze. Słyszałam, że przy chemoterapii przybiera się na wadze, a ona chudnie. Niepokoi mnie to. Mówi, że to z powodu nowej diety, ale ja nie wiem, nikt nie wie. Może jeden Kirby orientuje się we wszystkim, co dotyczy choroby Isabel, ale nie my. My, to znaczy Gracje.

- Czy to cię dręczy?

- Co?

- Że więcej mówi Kirby'emu niż tobie?

- Nie, nie mnie. Może trochę Emmę. Na pewno Lee, ale Lee jest bliżej z Isabel niż Emma i ja.

Eryk uniósł brwi.

- W pewien sposób. To jest dość skomplikowane. W każdym razie...

Nad głową Eryka wisi na ścianie zegar. Eryk umieścił go tam, aby pacjenci go widzieli i mogli się do niego dostosować. Zegar pokazywał, że już minęła ponad połowa sesji, a ja jeszcze nie powiedziałam Erykowi najważniejszego.

- W każdym razie... chciałam powiedzieć ci coś innego. Myślę, jestem pewna, że stawię Curti-sowi czoło i zmuszę go do rozmowy o naszym związku. - Roześmiałam się, a nawet klasnęłam w dłonie na widok wyrazu twarzy Eryka. - Ja wiem, to zdumiewające, sama jestem zdumiona! Skąd się to u mnie bierze? Od tych leków?

- Jakich leków?

- Mam na myśli ten nowy środek antydepresyjny. To jedyny lek, jaki biorę.

- Mam nadzieję. Ale użyłaś liczby mnogiej.

- Z przyzwyczajenia. Zaśmialiśmy się oboje.

- No cóż, Rudy. To bardzo interesujące. No i co mu powiesz? Czy chcesz, żebyśmy to przećwi-czyli?

- Hm... Nie, nie sędzę. - Nie mogłabym mu o tym powiedzieć, ale ilekroć to robimy i on przyj-muje na siebie rolę Curtisa, ledwie mogę powstrzymać się od śmiechu. - Zacznę od powiedzenia mu, że go kocham, co jest prawdą. Wiesz, zasadniczo. Ale uważam, że niektóre rzeczy między nami nie zawsze były zdrowe. I że już pora, żebyśmy zaczęli próbować zerwać z niektórymi szablonami.

Eryk milczał.

- Takimi jak moja wieczna potrzeba jego aprobaty. On mnie ciągle kontroluje i jest okropnie zazdrosny, a ja na to pozwalałam, uwielbiam wręcz.

Eryk głaskał się po brodzie powolnym, hipnotycznym ruchem.

- Powiem mu, że nasz wzajemny układ nie jest dobry i przypomina związek symbiotyczny. Trzeba to zmienić. - Emma mówi, że określenie „symbiotyczny” nie jest tak wyświechtane jak współ-zależny. - I...

- I?

- I powiem mu, że chcę, abyśmy oboje zasięgnęli porady. U kogo tylko zechce, co prawdopodobnie znaczy, że nie u ciebie.

Eryk kiwnął raźnie głową.

- Chciałabym, żeby to było u ciebie, ale Curtis nie zechce, mogę ci to powiedzieć już teraz. Prawdę mówiąc, w ogóle nie zechce, ale będę nalegała.

Urwałam, abyśmy mogli oboje posłuchać dźwięku słowa „nalegała”.

- No i co o tym sądzisz?

- Jestem bardzo zadowolony - rzekł, a ja ścisnęłam dłonie kolanami, bardzo rada. - To jest wyśmieniony, wyśmieniony krok.

- Wiem. Jestem pełna nadziei. Curtis dobrze się odniósł do mego kursu projektowania krajozrazu. W tym znaczeniu, że mi nie zabronił. Oczywiście, nie jest z tego powodu najszczęśliwszy. Myśle... - odchyliłam się do tyłu, wypompowana. - Myśli, że zaraz mnie wyleją, więc po co sobie zawracać tym głowę. O Boże, Eryk, czy ja robię błąd?

- Nic podobnego!

- Wiem, ale jeśli to pogorszy sprawę? Co będzie, jeżeli ja mu to wszystko powiem, a on...

- Co? Co gorszego może się stać? Że się zezłości na ciebie?

- Nie. Jestem do tego przyzwyczajona.

- Więc co?

- Że nie będzie mnie kochał...? - rzekłam lękliwie. - Czy to jest najgorsze?

- Rozstrzygnij sama.

- Nie wiem. O Boże! - Potarłam twarz, usiadłam prosto. - Ale ja to zrobię, zrobię to tak czy owak. Dziś wieczorem. Może. - Dreszczyk lęku sprawił, że zaczęła mnie swędzieć głowa, ale to nie było osłabiające, a wręcz przeciwnie, dodało mi wigoru. - Zrobię to - powtórzyłam. Przekonywałam samą siebie.

- Dobrze - powiedział Eryk. - Słuszna decyzja. Zadzwoń do mnie jutro, jeśli będziesz chciała. Będę o tobie myślał.

Chciałam przygotować Curtisowi jego ulubioną kolację, ale skończyła nam się cielęcina. Zrobiłam więc kotlety jagnięce w papryce, które on też bardzo lubi. Czułam się jak matka w „Ojciec wie najlepiej”, która najpierw dogadza głowie rodu, zanim zapyta go, czy mogą kupić nowe meble do bawialni albo coś innego. Te podstępny trochę mnie poniżają, ale są skuteczne. Jeśli smażyć Curtisowi kotletów jagnięcych stawia mnie w głupim świetle, przeżyję to.

Nie wiem, czy to za sprawą kolacji, ale nim skończyliśmy jeść, Curtis był w dosyć dobrym nastroju. Trochę milczący, ale to nie jest u niego niezwykle. Jedliśmy w kuchni - on lubi patrzeć jednym okiem na C-SPAN (z wyłączonym dźwiękiem), kiedy je, a mnie to już nie przeszkadza. Przywykłam.

Pękałam z chęci powiedzenia mu o stopniu, jaki uzyskałam na półroczu, ale zachowałam to dla siebie. Metoda, jaką stosuję, aby uczynić kurs projektowania krajobrazu znośnym dla mojego męża, polega na niewtajemniczaniu go w szczegóły, jak tylko to możliwe. Zawsze jestem w domu, gdy wraca z pracy, nigdy się przy nim nie uczę, nie rozmawiam z nim o kursie ani o nauczycielach, stopniach czy ludziach, których poznaję na zajęciach. A zwłaszcza nie mówię o tym, że po otrzymaniu dyplomu mogę uzyskać niezłą pracę.

Niełatwo jest żyć w dwóch oddzielnych światach. Ale jak dotąd, udaje mi się.

Po kolacji Curtis wziął swoją teczkę i przyniósł ją do salonu. Dobry znak. Będzie tam pracował, gdy ja się zajmę zmywaniem. W niektóre wieczory pracuje na górze, w swoim gabinecie, i wtedy nie można mu przeszkadzać, jest poza zasięgiem. Kiedy pracuje w salonie, znaczy, że jest dostępny, że jest wciąż w moim świecie.

O mało nie nalałam sobie drugiego kieliszka wina, ale odrzuciłam tę kuszącą myśl. Lepiej na tym wyjść, jeśli będę miała jasną głowę niż giętki język.

Przyniosłam mu kawę w specjalnej filiżance, którą wykonałam przed kilku laty jako część serwisu. Użyłam bladoseledynowej polewy, podkreślającej lekkość i delikatność porcelany. Byłam do prawdy dobra w garncarstwie, szkoda, że zarzuciłam moje hobby. W salonie mam małą wystawę moich najlepszych wyrobów. Gdy na nie patrzę, podnoszą mnie na duchu i jednocześnie zasmucają. Przypominają mi, że mam talent, ale nie potrafiłam go wykorzystać.

Może, myślałam, podając Curtisowi filiżankę, któregoś dnia znowu wrócę do garncarstwa. Może, jeśli Curtis się dowie, ile to dla mnie znaczy, bo mu o tym powiem, nie będzie miał mi za złe tych wieczornych lekcji i nie będzie się uskarżał, że koło garncarskie zagraca suterенę i nie ma miejsca dla jego przyrządów gimnastycznych. Może ta rozmowa, którą zamierzam z nim odbyć, stanie się początkiem wielu nowych rzeczy.

- Bezkofeinowa? - zapytał, nie odwracając wzroku od papierów.

Usiadłam obok niego.

- Oczywiście.

Wypił łyczek i uśmiechnął się do mnie.

- Jak minął dzień?

- Dobrze. Curtis?

- Hm.

Głęboki oddech.

- Musimy porozmawiać.

- Och, nie. Dwa najstraszniejsze słowa w języku angielskim - zakpił. - O czym?

- O nas.

Odwrócił się, żeby odstawić filiżankę, a kiedy znów zwrócił twarz do mnie, miał zaciętą minę.

- Jak widzisz, jestem teraz zajęty.

- Wiem, ale to ważne.

- To, co robię, też jest ważne.

- Curtis. - Wstałam i przeniosłam się na fotel po drugiej stronie kominka. Dystans i obiektywność. Zapomniałam jednak, co chciałam powiedzieć. Niedobrze.

- Przede wszystkim wiesz, że cię kocham. Najważniejsze, że się kochamy. Ale mamy pewne nawyki, nie sądzisz, przyzwyczailiśmy się do pewnych zachowań, mam na myśli ciebie i siebie, które nas drażnią, i nic nie robimy, żeby to zmienić. Czuję, że popadliśmy w rutynę.

Wstał. Zdjął marynarkę. Wydawał się taki wysoki i przystojny w koszuli i kamizelce, z rozwiązanym krawatem w groszki. Ale potarł czoło dłońmi w jakiś dziwny sposób, jakby był zmieszany albo obolały.

- Rudy, proszę.

- Co?

- Nie czuję się dobrze.

- Nie? Jeszcze przed dwiema sekundami czuleś się świetnie.

Bałam się, że po tych słowach wpadnie we wściekłość. Podeszedł do kominka i oparł się ramionami o półkę, tyłem do mnie.

Zacząłam od początku.

- Musimy omówić pewne sprawy dotyczące naszego związku. Każde małżeństwo przechodzi kryzys. Problemy trzeba rozwiązywać, a nie milczeć i udawać, że nic złego się nie dzieje - perorowałam. Po latach... - zamknęłam oczy i zaczęłam robić ćwiczenia oddechowe. - Pragnę, abyśmy dokonali pewnych zmian. Albo przynajmniej porozmawiali o tym. Curtis, czy ty mnie słuchasz?

- Rudy, nie teraz. - Jego głos brzmiał dziwnie.

- Co się stało?

- Nic.

- Czy ty naprawdę jesteś chory?

- Nie, tylko nie mogę...

Wstałam i podeszłam bliżej. Teraz albo nigdy.

- Myślałam o poradni małżeńskiej - powiedziałam spieszenie. - To może być właśnie to, czego nam trzeba. Zmusi nas do rozmowy. Naprawdę myślę, że to może być dla nas dobre.

Dotknęłam jego pleców. Wydawały się rozpalone, wilgotne od potu. Próbowałam zajrzeć mu w oczy, ale odwracał głowę. W końcu zobaczyłam odbicie jego twarzy w lustrze nad kominkiem.

- Co się stało?

Ku mojemu przerażeniu kolana się pod nim ugięły. Zdażyłam objąć go w pasie i podtrzymać.



- Nic mi nie jest. - Stał prosto, uwolnił się szarpnięciem z moich ramion. - Czuję się dobrze. -  
Podszedł do kanapy i usiadł ostrożnie, gasząc lampę na bocznym stoliku.

Usiadłam obok i wzięłam go za rękę. Co to było? Wciąż odwracał głowę, nie pozwalając mi na siebie patrzeć.

Zobaczyłam łzę na jego policzku, nim zdołał ją otrzeć - serce we mnie zamarło.

- O co chodzi? - szepnęłam przerażona. - Co się dzieje?

- Nie chcę ci powiedzieć. - Głos miał zdławiony, jakby go bolało gardło. - Nie chcę, żebyś wiedziała.

- Czy to coś strasznego? - Kiwnął głową. - Nie mów mi. - Zakryłam dłońmi uszy.

Czułam, że skóra mi się kurczy i ściąga, jak liść zwarzony mrozem.

Siedział nieruchomo ze zwieszonymi ramionami i bladą, wystraszoną twarzą.

- Dobra - rzekłam, odsłaniając uszy. - Mów.

- Ja umieram. Roześmiałam się.

- Wiem o tym od wtorku.

- Przestań! Przestań! To mi się nie podoba. - Spojrzał mi w twarz.

- Curtis! - wrzasnęłam, a on objął mnie. Trząsł się i dygotał, tuląc się do mnie rozpaczliwie.

- Moje ostatnie badania... Powiedziałem doktorowi Slaterowi, że czuję się zmęczony, czasami miewam zawroty głowy i bóle brzucha.

- Nic mi nie mówiłeś... - Zaczęłam szczerkać zębami.

- Myślałem, że to grypa i przejdzie mi. Ale on zarządził badanie krwi i okazało się, że mam za dużo leukocytów. Rudy, ja mam białaczkę.

- Nie, to pomyłka. Kto ci powiedział? To nieprawda.

- To nie pomyłka. - Oczy miał załzawione. - To dobrzy lekarze, Rudy, najlepsi.

- Skąd?

- Z Georgetown.

- O Boże!

- Nie płacz. Przykro mi. Nie chciałem ci mówić. Dość, że się trapisz o Isabel, nie chciałem dawać ci zmartwień.

Przez mgielkę łez patrzyłam na jego napiętą, załzawioną twarz. Mięłam w rękach jego koszulę, nie mogłam się pogodzić z tą straszną wiadomością.

- Nie mam jeszcze żadnych innych symptomów - powiedział spokojnie, zatrzymując moje spojrzenie, nie wypuszczając mnie z objęć. - To dobrze, to znaczy, że choroba postępuje powoli. Mogę przeżyć całe lata i nie potrzebować leczenia. Albo nie. Oni jeszcze nie wiedzą. Jest jeszcze za wcześnie, żeby powiedzieć, jak będzie w moim przypadku.

- Nie, nie, nie, nie, nie...

Przyciągnął mnie do siebie, głaskał po plecach, mówił, że jest dobrze. Wcale nie było dobrze. Jakby się sufit na mnie zawalił, a gruz i kawały tynku zadawały mi ciosy w głowę, w plecy. Z trudem rozumiałam, co Curtis do mnie mówi. Jego głos był stłumiony, daleki.

- Musimy to zachować w tajemnicy, Rudy. Mógłbym stracić pracę. Nie możemy sobie na to pozwolić.

- Nikomu nie mówić? - Próbowałam skupić się na tym zdaniu. - Nikomu nie mówić? - To szaleństwo, czyż nie?

- Wiem, ale nie mówmy na razie nikomu. Rodzinie, twoim przyjaciółkom, Greenburgowi.

- Och, ale...

- Co?

- Proszę cię, Rudy. Mogę o tym rozmawiać tylko z tobą. Obiecuj, że nikomu nie powiesz. To dla mnie ważne.

- Dobra. - O mój Boże. O mój Boże. Znowu mnie przytulił.

- Będziemy razem walczyli, kochanie. Razem będziemy silni.

- Tak.

- Sami przeciwko światu, Rudy. Tak jak kiedyś.

Nie wiedziałam, co miał na myśli. Czy ten czas, kiedy się zakochaliśmy? Wtedy w Durham, gdy nie dbaliśmy o nic, gdy nikt inny dla nas nie istniał prócz nas samych? To prawda, że to był najlepszy okres. W ostatnich latach usiłowaliśmy do tego wrócić. Teraz nam się udało.

On chciał się kochać, właśnie tu, przed zimnym paleniskiem, na wpół rozebrany - on lubi czasem w ten sposób mnie posiąść, uważa, że to jest rozwiązanie. Nie czułam nic, prócz lęku i chłodu. Nic nie było realne. Curtis nie może umrzeć. Co to jest białaczka? W jaki sposób zabija? „To nierealne, nierealne” - myślałam cały czas, kiedy poruszał się na mnie, niezrażony moją biernością, akceptujący ją bez zastrzeżeń.

Leżeliśmy później na kłującym dywanie. Wmawiałam sobie, że to był tylko sen, że wkrótce się ocknę i powiem: „Curtis, śniło mi się, że umierasz - och, to było okropne, co za koszmar!”. Odwróciłam się, żeby popatrzeć na jego spokojną twarz, zamknięte oczy, odprężone usta. Wyglądał według mnie inaczej. Gdzie się podziała jego pewność siebie? Skóra, paznokcie, włosy na przedramieniu - wszystko wydawało się nietrwale i kruche, ale uśmiechał się leciutko, z trzepotaniem rzęs. „Pomogłam mu wydobyć ten uśmiech” - pomyślałam. Odtąd będzie to moje zadanie. Nic innego się nie liczy.

Weszliśmy razem na górę. Kiedy brał prysznic, przyszło mi na myśl, żeby zadzwonić do Emmy. Omal tego nie zrobiłam - miałam już telefon w rękę. Obiecałam Curtisowi, ale jak nie powiedzieć Emmie? Jak nie powiedzieć Erykowi?

Odłożyłam jednak słuchawkę i nie zadzwoniłam do nikogo. Trudno powiedzieć dlaczego. W pewien sposób zdradzałam Curtisa przez cały okres naszego małżeństwa. On jest człowiekiem skry-

tym, nawet bardzo skrytym, a ja powierzałam jego sekrety wszystkim, których kochałam. Teraz nie będę. To się przydarzyło jemu, nie mnie. Jeśli zachowanie choroby w tajemnicy ma mu przynieść ulgę, pomogę mu.

- Przebrniemy przez to - powiedział, gdy już leżeliśmy w łóżku, trzymając mnie za rękę pod kołdrą. - Nie masz pojęcia, o ile lepiej się czuję, kiedy ci powiedziałem. Ostatnie kilka dni były najtrudniejsze w całym moim życiu.

- Kochany... - Tylko tyle mogłam powiedzieć.

- Może nie powinienem był ci mówić, może to samolubne z mojej strony.

- Nie mów tak.

- Ale nie mogłem nic na to poradzić. Zaczęło mi się kręcić w głowie i bałem się, że zemdleję. Więc nie pozostało mi nic innego, jak tylko powiedzieć. A przy okazji, nie ma co się przejmować takimi omdleniami. Powiedziano mi, że one się będą zdarzały od czasu do czasu. Nocne pocenie się też. Gorączka.

Przytuliłam policzek do jego ramienia.

- Rudy?

- Tak.

Zgasił nocną lampkę.

- Chcę, żebyś o tym wiedziała. Pytałem ich o bierne palenie.

- Dlaczego?

- Nie mogłem zrozumieć, czemu przytrafiło się to właśnie mnie. Myślałem, że może ktoś z mojej rodziny, ale nikt nie chorował na białaczkę. Więc nie jest to predyspozycja genetyczna.

- Bierne palenie?

- Przyszło mi na myśl, że wdychanie dymu papierosowego mogło wywołać u mnie tę chorobę, ale oni powiedzieli, że to mało prawdopodobne. Więc nie musisz się o to martwić.

Okrył nas kołdrą, zmuszając mnie do odwrócenia się plecami, objął ciężką ręką w pasie i położył dłoń na mojej piersi.

- Będę dzisiaj dobrze spał - powiedział w moje włosy. - Dziękuję ci, Rudy. Kocham cię.

- A ja ciebie, Curtis.

Zasnął natychmiast.

Leżałam nieruchomo, czekając, aż zacznie chrapać, a wtedy wypelzłam z łóżka i poszłam na palcach do łazienki. Miałam prawie pełną buteleczkę naludaru, bo nie brałam go od miesiący. Wytrząsnęłam cztery pigułki i połknęłam, popijając wodą z kranu. Mogłam bezpiecznie wziąć cztery, ponieważ nie piłam. Wszelkie złe nawyki uśmiechały się do mnie, machały, umierały z pragnienia odnowienia znajomości. Nie wiedziałam, od którego zacząć.

## Isabel

W końcu listopada przyjechał do mnie w odwiedziny Terry. Była to krótka wizyta, od piątku do niedzieli. Gary zabrał go z lotniska i przywiózł prosto do mego mieszkania w piątek po południu. Nerwy miałam napięte jak postronki. Od kilku dni pucowałam do połysku moje trzy pokoje i łazienkę, planowałam posiłki, zastanawiałam się, w co się ubrać. Nie widziałam swego syna od prawie dwóch lat.

Ojciec i syn mieli identyczny wyraz przerażenia na twarzy, kiedy otworzyłam drzwi. Terry uściskał mnie sztywno, jakby w obawie, że mogę się połamać. Gary nie mógł zostać, musiał jechać, miło cię było widzieć, wyglądasz świetnie, Isabel, kłamał. Ledwie rzuciłam na niego okiem, utył i wysłał - to wszystko, co zauważyłam. To Terry'ego, dwudziestosiedmioletniego już nie chłopca, lecz mężczyznę, nie mogłam przestać dotykać, przyglądać mu się i dziwować.

- Wyprzystojniałeś - powiedziałam, mieszając sałatkę z tuńczyka, podczas gdy on łąził po kuchni, sprawiając, że się wydawała jeszcze mniejsza. Kirby tego nigdy nie robił. Mój syn był zde-nerwowany, zdałam sobie sprawę, miał te same obawy w związku z tą wizytą co ja. - Nie, to prawda - obstawałam, kiedy się skrzywił. - Włosy ci pociemniały. Wyrosłeś.

- Mamo, to niemożliwe.

- Naprawdę wyrosłeś. Twoje oczy zrobiły się bardziej podobne do oczu Gary'ego. Twój ojciec ma piękne oczy. - Ale dostrzegłam też surowość mego ojca w prostych, wąskich ustach Terry'ego i to mnie martwiło. Chciałam mu powiedzieć, żeby był bardziej giętki, elastyczny, życie wcale nie musi być taką straszną walką.

Siedziałam naprzeciwko niego i patrzyłam, jak je.

- Czy teraz w samolotach nie karmią?

- Ależ karmią. O której kolacja?

Śmiałyśmy się, stwarzając przyjemną fikcję, że jesteśmy wciąż matką i synem, że się znamy dostatecznie dobrze, aby sobie żartować, drwić i kpić z siebie przy kuchennym stole. Ale szczerze mówiąc, między mną a Terryem już przed laty powstał pewien rodzaj kurtuazji. Czas i odległość tylko ją podsyciły i teraz zachowywaliśmy się jak serdeczni, pełni szacunku dla siebie obcy - jak matka rodziny gospodarzy i grzeczny student zagraniczny w gościnie u niej.

Ale może zdołamy usunąć to tym razem, wyrwać się z tej sztampy. Jeśli kiedykolwiek był po temu czas, to z całą pewnością właśnie teraz.

- Co tam w szkole, mamo?

- Och, cudownie, uwielbiam ją. Wzięłam sobie ostatnio urlop, ale zamierzam podjąć naukę w styczniu.

- Urlop?

Nie chciałam wchodzić w szczegóły od razu.

- Ta chemoterapia trochę mnie osłabiła - powiedziałam, wzruszając ramionami. - Musiałam przepuścić kilka terminów. Zdecydowałam więc, że lepiej wycofać się na pewien czas niż ryzykować złe oceny.

Nie mogłam mu powiedzieć, jaki to był dla mnie cios, gdy zdałam sobie sprawę, że nie zostanę dopuszczona do egzaminów końcowych. Uczelnia znaczyła dla mnie wszystko, nie tylko klucz do przyszłej pracy. Reprezentowała normalność, dobre samopoczucie. Rutyna zajęć, długie godziny nauki, proces uczęszczania na zajęcia, trzymanie się rozkładu zajęć - wszystko to nadawało kształt moim dniom i strukturę, gdy rak czynił wszystko, aby przemienić je w chaos.

- Jakie leki teraz bierzesz?

Do licha! Ale może lepiej mieć to już za sobą. Moja choroba jest jak nieproszony gość, zbyt nieprzyjemny, aby go zignorować. Ale Terry zawsze chciał dyskutować o strategiach, protokołach, procentach, a ja miałam tyle innych rzeczy do omówienia z nim.

- Obecnie nie biorę żadnych leków.

- Co to znaczy? Zupełnie żadnych?

- Mam przerwę.

- Ale mammo...

- W porządku, lekarz wyraził zgodę. Jestem na chemoterapii od jedenastu miesięcy, Terry. Pomyśleliśmy, że przydałby się memu ciału odpoczynek.

- Tak, ale... - Przestał protestować, nagle onieśmielony. Branie na siebie roli doradcy medycznego na takim etapie choroby prawdopodobnie uznał za niestosowne.

- Wiem, że to ci nie odpowiada. Jesteś naukowcem, więc jakżeby mogło być inaczej? - Jego specjalnością są molekuly i substraty enzymowe, ale rozumie znaczenie przerzutów raka piersi na kości. - Będzie ci jeszcze bardziej przykro, jak usłyszysz, że jestem prawie gotowa zrezygnować całkowicie z modelu medycznego.

- Na korzyść czego? Kuli kryształowej? - Roześmiał się, ja śmiałam się razem z nim. Lepiej było, gdy myślał, że żartuję.

- Myślę, że spróbuję leczyć się sama. Wiesz, uleczyć i uzdrowić to niezupełnie to samo - powiedziałam, a on uśmiechnął się, myśląc, że mi pobraża.

Kirby zgodnie z planem przyszedł na kolację. Zamartwiałam się, jakie wywrze wrażenie na Terry. No i co sobie Terry pomyśli o tym, że jego bardzo chora matka ma kochankę. Przyglądałam im się cały wieczór jak szpieg. Kirby ma dziwny sposób zachowywania się w towarzystwie, jakby był

sam. To początkowo działa odpychająco, a później pociągająco. Na większość ludzi. Ale bałam się, że Terry uzna go za wyniosłego, a nie zamkniętego w sobie, weźmie jego małomówność za chłód, a nawet arogancję. Niepotrzebnie się martwiłam. Kirby roztrząsał swój urok powoli, lecz skutecznie, i pod koniec wieczoru Terry zaśmiewał się z jego dowcipów.

Spanie było następną sprawą, która mnie zaprzętała. Mój tapczan jest wygodny, ale krótki i nie można go rozłożyć. Terry ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Jakże rozsądnie byłoby mu zaproponować pokój Kirby'ego na górze, miałyby wówczas całe mieszkanie dla siebie, a Kirby spałby tam, gdzie zawsze, ze mną.

Takie wyjście byłoby rozsądne, ale nie zdobyłam się na to. Naruszyłabym pewne zasady, może staromodne, ale głęboko we mnie zakorzenione. Mam swój kodeks moralny, którego nie będę broniła i którego nawet specjalnie nie pochwalam, a jednak trwam przy nim. Tak zostałam wychowana. Hipokryzja, jaka się kryje w takim myśleniu, też jest częścią mojego wychowania. W każdym razie Terry spał na moim tapczanie, a Kirby na górze, we własnym łóżku.

W sobotę Terry i ja wybraliśmy się na przejażdżkę samochodem Kirby'ego. Terry chciał zobaczyć stare okolice, swoją szkołę, miejsca, w których lubił przebywać.

- Hot Shoppe już nie ma? - Nie mógł w to uwierzyć. - Gdzie jest People's? Gdzie jest Bank of Bethesda? Kiedy wszystko zrobiło się takie odpicowane? - Dawno temu, mogłam mu powiedzieć. Nie było go tu prawie dziesięć lat, ale jego najwyraźniejsze wspomnienia były starsze. - Nic dziwnego, że się wyprowadziłaś stąd, mamo. Musiałabyś być cholernie bogata, żeby tu teraz mieszkać.

Pokazywał mi znajome miejsca.

- O, tu uczyłaś mnie prowadzić samochód - wskazał parking kościoła katolickiego przy autostradzie. - Ojciec też raz spróbował. Tylko jeden raz. Pamiętasz?

- Bardzo żywo. Wrócił do domu błyd jak trup. Myślałam, że dostał zawału.

- A czemu ty byłaś taka spokojna?

- Leki. Rudy dawała mi quaaludes.

- Naprawdę?

- Nie - zaśmiałam się. - W każdym razie byłeś dobrym kierowcą.

- Tata tak nie uważał. O, tam jest dom Dornsettów. Czy oni wciąż tam mieszkają?

- Nie wiem, chyba tak.

- Kosilem im trawnik. Tak zawsze kombinowałem, żeby to ona mi płaciła, nie on, bo dawała mi napiwek. Pamiętasz, jak uciekałem z domu? Pakowałaś mi Fig Newtons na drogę.

- Chciałaś, żeby były zawinięte w chustkę przywiązaną do kija, tak jak w komiksach.

- A ty mówiłaś, że mogę sobie uciekać, pod warunkiem, że nie będę przechodził na drugą stronę ulicy. Całowałaś mnie na pożegnanie, a ja chodziłem uliczkami wokół domu, póki się nie zmęczyłem, i wracałem.

Opowiedział mi, jak się upił na szkolnym balu i urządził wyścigi samochodowe ze swoim przyjacielem Kevinem na Old Georgetown Road.

- Nie wiedziałam o tym - powiedziałam.

Opowiedział mi o Sharon Waxman, dziewczynie ze szkoły średniej, która w zeszłym roku popełniła samobójstwo. Zapytał mnie, czy lubiłam być niepracującą matką.

Spojrzałam na niego z zaciekawieniem. Wyglądał jak mężczyzna, nie jak chłopiec, pewnie i ostrożnie manewrując starą limuzyną Kirby'ego w sobotnim ruchu.

- Tak, lubiłam - odparłam. - Czy uważasz, że to było z mojej strony staromodne, że nie pracowałam zawodowo?

- Nie - powiedział zaskoczony. - W każdym razie zawsze coś robiłaś. To nie było tak, że tylko jadłaś słodycze i oglądałaś seriale. Ty tworzyłaś dom - powiedział z powagą. - Byłaś twórczynią domu.

Poczułam się śmiesznie pochlebiona.

- Ale chyba nie czułaś się zadowolona, skoro wróciłaś do szkoły, żeby zrobić magisterium. Domyślałam się, że żałujesz, iż nie zrobiłaś tego wcześniej.

To był nowy rodzaj rozmowy między nami. Z czasem zdarza się to większości z nas, ta chwila, gdy nasi rodzice stają się realnymi ludźmi, o motywach i nadziejach równie autentycznych jak nasze własne - ale nie mogłam odżalować faktu, że to natura mojej sytuacji przyspieszyła to dojrzałe objawienie u Terry'ego.

- Tak, pod pewnymi względami - odparłam szczerze. - Miło byłoby czuć się bardziej niezależną. Mniej zależną od twojego ojca. Z czym na pewno on by się zgodził.

Temat Gary'ego wisiał między nami. Gdyby Terry zapytał mnie wtedy o rozwód, powiedziałabym mu wszystko, co chciałby wiedzieć. Ale to musiało wyjść od niego. Skoro nie wyszło, chwila minęła i nie było mi tego żal.

Po południu Terry odwiedził ojca, potem grał w koszykówkę z dawnymi kolegami ze szkoły. Później poszli do baru i wrócił do domu późno w dobrym humorze.

- Nie powiedziałaś ani słowa o Susan - wspomniałam przy kawie w salonie.

- Nie ma o czym mówić. - Uniósł ramiona nad głową, rozciągając obolałe mięśnie. - Zerwaliśmy z sobą.

- Och, Terry, nie.

- W porządku, mamó. Oboje tego chcieliśmy.

Nie było to takie proste, jak mówił. Znałam taktykę uników mego syna, przeciąganie się, udane ziewnięcia, unikanie mego wzroku.

- Co się stało? O ile można zapytać.

- Nic się nie stało. Po prostu nam nie wyszło. Mieliśmy odmienne oczekiwania.

- Jakie były jej? - zapytałam.

- No, wiesz, małżeństwo, dzieci.

- Aha. Czy ty ją wciąż kochasz?

- Nie wiem, mamó. - Wydawał się zdziwiony moim bezpośrednim pytaniem.

Ostatnio jestem bardzo otwarta. Nie tracę czasu, a czas nie płynie dla mnie tym samym rytmem co kiedyś.

- To skomplikowane - rzekł. - Nadal jesteśmy przyjaciółmi.

Nic więcej nie chciał powiedzieć. W ciągu ostatnich dziesięciu lat straciłam prawo do wtrącania się w jego sprawy. Ale nie podobała mi się nuta cynizmu w jego głosie. Niektórzy rodzice czują się winni niedoskonałości swych dzieci, ja nie stanowią wyjątku. Brak zainteresowania Terry'ego konwencjonalną rodziną (małżeństwo, dzieci) mógł wynikać z doświadczeń wyniesionych z dzieciństwa. Temat, którego udało mi się uniknąć tego popołudnia w samochodzie, znowu wychynął. Ale Terry ziewnął, położył się na podłozie i zaraz zasnął.

Obudziłam go o dziesiątej i pomogłam pościelić na kanapie. Pocałowałam go na dobranoc w niemej panice i leżałam, nie śpiąc, a zegar odmierzał godziny kurczącego się czasu, jaki nam pozostał. Ciężko wyznaczyć najprawdopodobniejszy scenariusz mojej sytuacji komuś, kogo się kocha. To zbyt bolesne. Nie chcę zadawać bólu. Odwlekałam tę rozmowę do ostatniego dnia pobytu Terry'ego, ale dłużej nie mogłam.

Kirby i ja mieliśmy go odwiedzić na lotnisko. Siedziałam na skraju tapczanu, a Terry pakował brudne ubrania do płóciennej torby. Klęczał na podłozie w spłowiałych dżinsach, z rękawami żółtego swetra podciągniętymi do łokci. Bezwiednie wyciągnęłam rękę i odgarnęłam mu włosy z czoła. Uśmiechnął się do mnie i wrócił do tego, co robił, ale w tej jednej sekundzie, z zadartą głową i wesołymi oczyma był tak bardzo podobny do dziecka, a potem małego chłopca - do Terry'ego, jakiego pamiętałam najlepiej - że serce mi się ścisnęło.

- Chciałabym, żebyś miał brata albo siostrę, Terry. A czasem - dodałam cierpko - chciałabym sama ich mieć.

- Co ty mówisz? Masz przecież ciotkę Patty.

- To co słyszysz.

- Och - rzekł z uśmiechem. - Tak, wy dwie nie jesteście ze sobą zbyt zżyte.

- Nie, nie jesteśmy. Jest między nami różnica wieku, oczywiście, ale to nie wszystko. Nie byłam także blisko z rodzicami. Nasz dom był bardzo zimny. Surowy. Głównie za sprawą ojca. Ale matka też była bardzo zamknięta w sobie. Nigdy nie pragnęłam tego dla własnej rodziny. Jednym z powodów, dla którego wyszłam za twojego ojca, była jego pasja. - Terry spojrzał na mnie z zainteresowaniem. - On jest uczuciowy. Zwłaszcza gdy był młodszy. Było w nim mnóstwo ognia i ciepła.

- Być może - rzekł niepewnie, zastanawiając się nad tym.



- Ale nie wszystko wyszło tak, jak zamierzaliśmy. Winiłam za wszystko Gary'ego, kiedy się rozeszliśmy, ale to nie była tylko jego wina. Wcale nie. - Pochyliłam się ku niemu. Zależało mi, żeby to ująć we właściwy sposób. - Jeśli przepędziliśmy cię, Terry, była to ostatnia rzecz, jakiej pragnęłam. Nie było w tym twojej winy, że my z ojcem rozstaliśmy się - wiesz o tym? Byłeś czymś najlepszym, co miałam w życiu. Przykro mi, jeśli nie okazywałam, jak bardzo cię kochałam. Kochałam cię. Wciąż kocham. Tak bardzo, jak tylko potrafię - całym moim sercem. Lecz jeśli ty tego tak nie odczuwasz, bardzo mi przykro.

Odkąd ukończył dwanaście lat, nie widziałam, jak mój syn płacze. Położył głowę na moich kolanach, żeby ukryć twarz. Jego ramionami wstrząsało łkanie. Łzy przesiąkały przez moje dzinsy na kolanach.

- Dobrze, dobrze - powiedziałam, głaszcząc jego włosy i całując je. Miałam nadzieję, że to go nie krępuje. - Dobrze jest się czasem wypłakać, sama też to odkryłam. Zdecydowanie nie należy się tego wstydzić ani za wszelką cenę unikać. To tylko dowodzi, że coś odczuwasz, to wszystko.

Otarłam łzy z jego policzków i uśmiechnęłam się. Łatwiej było teraz z nim rozmawiać, prawie tak samo jak z moim małym synkiem.

- Nigdy ci nie mówiłam, co rozłączyło mnie i ojca. Ty mi też nie powiedziałeś, co rozdzieliło ciebie i Susan. Szczegóły są nieistotne. Ale, Terry, upewnij się, że masz po temu powody. Nie ma idealnego szczęścia. Kochasz ją? Życie jest takie krótkie. Ono wydaje się bez końca, gdy się ma dwadzieścia siedem lat, wiem, ale...

Nie cierpię prawić kazań, ale czekałam za długo i nazbierało się wiele rzeczy, które musiałam mu powiedzieć.

- Nigdy nie odtrącaj miłości, nigdy jej nie zaniedbuj. Nigdy nie zakładaj, że znajdziesz lepszą miłość gdzie indziej. Bierz ją, gdziekolwiek miałaś szczęście ją znaleźć, i zawsze staraj się ją odwzajemnić. - Przycisnęłam usta do jego czoła. - Niczego nie zakładaj z góry - szepnęłam. - To jest moja ostatnia mądrość, a przy tym najważniejsza.

Kirby, jak powiedziałam wcześniej, ma cudowne wyczucie czasu. Wybrał ten właśnie moment, żeby stuknąć do frontowych drzwi i wejść. Terry nie zerwał się z poczuciem winy ani nie odwrócił z zażenowaniem; wyciągnął chusteczkę z kieszeni, wytarł nią twarz i wydmuchał nos energicznie.

- Gotów? - zapytał Kirby łagodnie. - Pora jechać.

Wstaliśmy. Terry włożył marynarkę, zarzucił torbę na ramię.

- Wiesz co - powiedziałam. - Jednak nie pojedę z wami. Pożegnaj się z tobą tutaj.

Terry wydawał się wstrząśnięty, ale się nie spierał.

- Zadzwoń do ciebie wieczorem, po powrocie do domu - obiecał, ściskając mnie mocno. - Przyjadę ponownie, jak tylko będę mógł. A może ty będziesz mogła przyjechać do mnie - co ty na to? Może na Boże Narodzenie.

- To jest myśl - powiedziałam ochoczo. - A tymczasem dbaj o siebie.

- Ty też. Dbaj o nią, Kirby.

- Będę.

- Kocham cię - szepnęłam, całując go w wilgotny policzek.

- I ja cię kocham. Kocham cię, mamó. - Nie mógł się ze mną rozstać.

Przełknęłam ślinę i wciągnęłam powietrze, wstrzymując łzy.

- Pośpiesz się, bo spóźnisz się na samolot.

- Zadzwoń do ciebie - powtórzył i poszedł za Kirbym do windy, która zjawiała się niemal natychmiast. - Będę częściej pisał! Naprawdę, mamó.

Uśmiechałam się i posyłałam mu pocałunki, póki drzwi się nie zamknęły.

Poczułam się taka zmęczona, że nie mogłam dojść do sypialni. Padłam na kanapę i okryłam się narzutką. Starą, pachnąco-woniejącą, dziurawą narzutką, którą utkałam przed wielu, wielu laty, gdy byłam gospodynią domową. Twórczynią domu, jak się wyraził Terry. W tamtych czasach było bardzo wiele szczęśliwych chwil, które nie wiadomo dlaczego lekceważyłam. Ogarnęła mnie nostalgia, przytępiając nieco ból rozstania z Terry. Gary zwykł zapadać w drzemkę w niedzielne popołudnia pod tą narzutką. Ja siadywałam wówczas przy nim, czytając lub robiąc na drutach przy ściszym radiu, i patrzyłam, jak jego wielki brzuch unosi się i opada pod wówczas jaskrawymi kwadratami wełny. Narzucałam też ją na ramiona, gdy wybiegałam w szlafroku po gazetę. Terry lubił przykrywać nią dwa krzesła w stołowym pokoju i bawić się w żołnierza w forcie.

Czy Gary jest teraz w domu? Mogłabym do niego zadzwonić. Tylko żeby porozmawiać. Cześć. Jak się masz? Co myślisz o naszym synu? Udał nam się, prawda? Ale telefon był za daleko, a ja zbyt zmęczona, żeby wstać. Zamknęłam oczy i odpłynęłam w sen. Słodki, jasny sen o rodzinie. Dałam mu najradośniejsze zakończenie.

## *Emma*

Moje urodziny są w trzeci dzień po Bożym Narodzeniu, co czyni mnie Koziorożcem. Trafne to, choć mało zabawne, zwłaszcza w tym roku.

Często wyjeżdżam na Boże Narodzenie, jadę do Danville odwiedzić matkę, albo jeszcze dalej, do Durham i Chapel Hill spotkać się ze starymi przyjaciółmi ze studiów, spędzić z nimi Nowy Rok. Tego roku na samą myśl o pakowaniu czułam mdłości, a cóż dopiero mówić o wyjeździe, przyjeździe, powitaniach, uśmiechach i gadaniu. Zwłaszcza uśmiechaniu się i gadaniu, to mnie najbardziej pobudzało do torsji. Zostałam więc w domu.

Nie były to jednak smutne święta. O, nie. Wystroiłam się, zadzwoniłam do wszystkich bliskich, zmusiłam się nawet do wyjścia i zaniiosłam Isabel prezent. Nie, oszczędzałam się, zachowując sentymentalne uczucia na dwudziesty ósmy grudnia, kiedy to będę w samotności przeżywała swoje czterdzieste urodziny.

Moja samotność pochodzi z wyboru - przyjaciele mnie nie opuścili. Nie mogłam z czystym sumieniem się im narzucić, więc poprosiłam, aby trzymali się ode mnie z daleka (Rudy i tak była poza miastem). Dzień zaczął się normalnie, to znaczy od frustracji i wstępu do samej siebie. Powieść, którą zaczęłam na wiosnę? Wyrzuciłam ją w sierpniu. Była to powieść o dojrzewaniu. Przedwcześnie wybujały młodzik poznaje miłość, życie, seks wśród barwnych postaci miejskiego getta żydowskiej klasy wyższej. Akcję umieściłam w małym, brzydkim miasteczku w południowej Wirginii. Tyle o moim pisarstwie.

Obecnie pracuję nad czymś zupełnie odmiennym (choć określenie „pracuję” jest eufemizmem). Jest to dreszczowiec z mnóstwem intryg i trupów. Myślę, że to wyborny materiał na bestseller i film. Szkoda, że taki kąśliwy. Jednego pisanie mnie nauczyło, że ja naprawdę lubię uśmiercać ludzi, naprawdę się w tym wyżywam. Robię to zatem. Istnieje jednak niebezpieczeństwo, że uśmiercę wszystkie postaci, zanim skończę książkę. Może się okazać, że narratorem był Pan Bóg.

Ta książka oraz jej cenna banalna poprzedniczka nauczyła mnie ponadto, że mogę być oszustką. Zawsze pragnęłam pisać powieści, w każdym razie tak przez większość życia twierdziłam. Literatura faktu mnie nie pociąga. Opowieść przebiega inaczej, nie trzeba pisać prawdy, wydarzenia mogą być zmyślane. Okazało się jednak, że byłam lepszą dziennikarką niż powieściopisarką. Muszę się więc zastanowić, czy nie dałam się uwieść własnej wyobraźni. Chciałam wyglądać jak powieściopisarka. Chciałam, aby na pytania na przyjęciach koktajlowych: „Czym pani się zajmuje?”, odpowiadać: „Piszę książki”.

Nie wiem, co teraz zrobię. Zupełnie jakbym zderzyła się ze szklanymi drzwiami. Jest to dla mnie szok. Czuję się zażenowana i mam krwawą ranę w sercu.

Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, Emma.

Zachciało mi się ciastka. Torcika lodowego, Viermett lub Violet, które reklamują w telewizji w okresie świąt. Na ich widok cieknie mi ślinka. Raz o mało nie kupiłam takiego, a potem przeczytałam o zawartości tłuszczu i kalorii na opakowaniu. Pieprzę to, mam czterdzieści lat, mogę sobie pozwolić, na co tylko zechcę. Wino i torcik lodowy. Naprawdę dobre wino, nie to, które mam w lodówce, Mondavi za osiem dolarów.

Wsiadłam do samochodu i jakbym się znalazła na innej planecie. Jak długo nie wychodziłam z domu? Prawie cztery dni. Boże! Coś jednak przemawia za prawdziwą pracą. Niewiele, ale jednak. Niskie, późnopołudniowe grudniowe niebo miało odcień szarości starej pieluchy, ciężkie, jeszcze nie wiadomo, czy od deszczu czy śniegu. Gdy zaparkowałam na Columbia Road i zaczęłam iść do mieszczącego się o jedną przecznicę dalej sklepu alkoholowego, już było wiadomo - śniegu z deszczem.

W wigilię Bożego Narodzenia byłam ubrana w stary czarny dres, czarną bluzkę i mój najwygodniejszy sweter sraczkowatego koloru, rozpinany, z jednym skórzanym guzikiem. Tak bardzo lubiłam ten strój, że nosiłam go od czterech dni. Głowy nie myłam od tygodnia - nie zamierzałam się przejmować świątami - i oczywiście nie zrobiłam makijażu. Wyszłam z domu w płaszczu od deszczu, w moich domowych mokasynach z koralikami włożonych na boscie nogi, bez skarpetek.

Omam nie zderzyliśmy się z Mickiem w drzwiach sklepu.

- Przepraszam - powiedział i cofnął się.

Patrzył na mnie, jakby mnie nie poznawał. Nie mogłam rozstrzygnąć, czy to afront, czy osłupiał ze szczęścia na mój widok. Spojrzał na mnie jeszcze raz i zastygł w bezruchu. Ja również.

- Cześć, Mick - powiedziałam, starając się, by zabrzmiało to obojętnie. A w środku czułam się, jakby mi serce stanęło. Chyba pobladałam. On natomiast poczerwieniał.

- Jak się masz? - powiedziałam. - Jak ci się wiedzie? - Stałam przyciśnięta do framugi drzwi, ściskając przed sobą torbę z podzwaniającymi butelkami wina, on przytrzymał szeroko otwarte szklane drzwi.

- Emma - patrzył na mnie swoimi płonącymi oczyma. Jego szok pomógł mi uporać się z moim. Już miałam powiedzieć coś błyskotliwego, w rodzaju: „Brak mi było ciebie”, gdy on zrobił głową ruch w stronę ulicy. - Jestem tu z rodziną.

Ach tak. Poznałam małą białą celicę przy krawężniku nieopodal. Przez śnieg z deszczem dostrzegłam pasażerów w samochodzie.

- Powiedz im ode mnie cześć. Cieszę się, że cię widzę. Żadne z nas się nie poruszyło.

- Jak się miewasz, Emma?

- Świetnie, w porządku, a ty?

Nie jestem dobrym kłamcą, ale przynajmniej próbuję. Mick nawet nie próbuje.

- Okropnie - rzekł. Poczułam, że twarz mi pała.

- To nie fair - szepnęłam. - Do cholery, to nie fair.

Najpierw jeden klient, potem drugi chciał skorzystać z drzwi. Musieliśmy się rozdzielić. Ja wyszłam na zewnątrz, Mick wszedł do środka. Nie pożegnaliśmy się, ale pomachaliśmy do siebie przez szklane drzwi. Jakie to idiotyczne. Dziękowałam Bogu, że mój samochód znajdował się w przeciwnej stronie niż jego i nie pomachałam do Sally. Brnęłam przez mroźny deszcz z butelkami wina i pojechałam do domu.

Tego wieczoru, kiedy zadzwonił telefon, wiedziałam, że to Mick. Czasem po samym dźwięku dzwonka można poznać, kto dzwoni. Siedziałam przed kominkiem tak długo, aż się wypalił. Muszę powiedzieć na swoją korzyść, że wcale nie byłam pijana. Wypiłam kieliszek czy dwa bardzo drogiego Caberneta i dałam spokój. Straciłam zainteresowanie.

Podniosłam słuchawkę w kuchni po trzecim dzwonku i powiedziałam:

- Halo - mocnym, zwodniczo zdrowym, przytomnym tonem.

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin.

- Dzięki. - Nie zgadłam. To była Lee. Opadłam na stołek i czekałam, aż mi się puls uspokoi. -

Jak się masz?

- Dobrze. - Jeszcze nie tak dawno odpowiadała na to pytanie: „Nie jestem w ciąży”. Ale przestała. Nikogo to już nie bawiło, zwłaszcza jej samej. Jak dotąd in vitro nie poskutkowało. - Jak twoje urodziny? - zapytała.

- Wszawo.

- Chciałabyś przyjechać do nas?

- Nie, dzięki.

- My nic nie robimy. Nawet się nie kłócimy. Przyjedź, rozweselimy cię.

- Nie, ale bardzo dziękuję, to miłe z waszej strony. Naprawdę. Jak ci się wiedzie?

- Dobrze - powtórzyła. - Rudy wróciła z Bahamów.

- Tak? Kiedy?

- Dzisiaj.

- Dzwoniła do ciebie?

- Tak.

Cholera! Do mnie nie zadzwoniła z życzeniami urodzinowymi, ale zadzwoniła do Lee, żeby jej donieść, że już wróciła ze swojego „drugiego miesiąca miodowego” - jak Boga kocham, tak to właśnie określiła. - Jakie zrobiła na tobie wrażenie? - zapytałam.

- Takie samo jak przedtem.

- To znaczy?

- Nie za bardzo. Myślę, że zadzwoniła jedynie po to, żeby się wykręcić od jutrzejszej kolacji.

Więc będziesz tylko ty, Isabel i ja.

Chryste, wszystko się rozpada.

- Podała przyczynę?

- Idą dokądś z Curtisem.

Zakląłam wulgarnie i Lee aż syknęła jak mangusta.

- Rozmawiała z tobą ostatnio? - zapytałam. - Mówiła ci, co się z nią dzieje?

- Nie. A tobie nie mówiła?

- Nie, i wiem, że nie mówiła Isabel, bo ją o to pytałam. Westchnęłyśmy obie jednocześnie.

- No - rzekła Lee z przygnębieniem. - Zobaczymy się jutro wieczorem. Nie zapomnij przynieść sałatki.

- A czy ja kiedykolwiek zapomniałam?

- Przywieziesz Isabel?

- Oczywiście.

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, Em.

- Dobranoc, Lee. Odłożyłyśmy słuchawki.

Zanim zdążyłam wstać ze stołka, telefon znów zadzwonił.

- Halo?

- Emma? Tu Mick.

Rozdrażnienie ustąpiło, liczył się tylko jego głos w słuchawce. Aż mnie zemdlilo z wrażenia.

Wróciło przekonanie, że on jest ten jedyny i nigdy z nim nie skończę.

- Mogę cię odwiedzić?

- Dobrze się czujesz?

- Świetnie. - Zaśmiał się. - Tylko że...

Zdawało mi się, że słyszę w jego milczeniu i głębokim, sfrustrowanym oddechu wszystko, czego nie mógł powiedzieć. Wyobrażałam sobie, że jest w swoim domu, prawdopodobnie w kuchni, a Sally na górze układa Jaya do snu.

- Gdzie jesteś?

- W samochodzie. Mówię z telefonu komórkowego Sally. Oto co jest warta moja intuicja.

- Słyszę cię bardzo wyraźnie. Nowy wybuch niewesołego śmiechu.

- To dlatego, że jestem za rogiem.

- O Boże!

Przez kilka okropnych sekund milczał, a potem rzekł stłumionym głosem:

- W porządku, przejeżdżałem w pobliżu i pomyślałem, że zadzwonię, ale...

- Daj mi pięć minut - przerwałam mu.

- Słucham?

- Potrzebuję pięciu minut. Muszę się... Jestem niekompletnie ubrana. Przyjdź.

- Na pewno?

- Tak. Odkładałam słuchawkę.

Roześmiał się i tym razem był to prawdziwy śmiech, nie smutny ani wymuszony. Zaczekałam, aż przebrzmi, delektowałam się nim, a potem odłożyłam słuchawkę.

Pięć minut. Powinnam była powiedzieć dziesięć. Pognałam na górę do łazienki i przyjrzałam się sobie w lustrze. Powinnam była powiedzieć półtorej godziny.

Za późno na kąpiel i przebranie się. Posprzątanie w domu, kupienie nowej garderoby. Zdjęłam złachmaniony sweter i wyczyściłam zęby. Spróbowałam uczesać włosy, ale okazało się to niemożliwe, więc upięłam je w kok. Zrobiłam makijaż, nałożyłam trochę szminki na usta. Boże, Boże, nie będę zapalała górnego światła.

Nie miałam nawet czasu, żeby rozpaścić w kominku. Zgarnęłam porzucane wszędzie gazety, poprawiłam poduszki na sofie, zdmuchnęłam okruszyny ze stolików. Nastawiłam muzykę, potem ją wyłączyłam. Czy spodoba mu się mój dom? Nie był artystyczny. Miałam kilka obrazów, jakieś reprodukcje, które bardzo lubię, ale są bezwartościowe. O Boże, teraz dowie się, że jestem bez gustu, oszukańcza i płytka. Cóż to był za głupi pomysł. Wolałam tamten układ. Żadnej niechlujnej rzeczywistości. Wtedy byliśmy doskonali.

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Serce skoczyło mi niebezpiecznie - gdyby to dłużej potrwało, do rana byłabym martwa. Głęboki, oczyszczający oddech. Przybrałam normalny wyraz twarzy i otworzyłam drzwi.

- Cześć - powiedzieliśmy jednocześnie. Wniósł z sobą chłód i wilgoć na swoim wełnianym palcie. Twarz miał zaczerwienioną, uszy sine. - Rozbierz się - powiedziałam. Gdy podawał mi palto, dotknęłam jego lodowatych rąk. - Przemarzęś. Spacerowałeś?

- Przez chwilę. - Wszedł do bawialni skuszony widokiem kominka, ale zatrzymał się, kiedy zobaczył wygasłe palenisko.

- Wypalił się - powiedziałam idiotycznie. - Usiądziemy tutaj?

Usiadł w fotelu, a ja na brzeжку sofy. Błąd. Jak można w ten sposób rozmawiać? To niesamowite - Mick i ja w bawialni siedzący naprzeciwko siebie, przedzieleni długością szykownego szalowego dywanu. Nie byliśmy tu sobą, byliśmy aktorami w jakiejś sztuce.

- Chcesz drinka? Mam mnóstwo wina.

- Nie, dziękuję.

- Kawy?

- Z przyjemnością. Wstałam.

- Chodź ze mną.

W kuchni było lepiej. Oparł się o kontuar i przyglądał mi się, jak napełniam imbryk, odmierzam kawę, po troszeczku zalewam zmielone ziarna wrzątkiem. Bardzo pracochłonny sposób parzenia kawy, zajmujący ręce.

- Dziś są urodziny Jaya - rzekł, żeby zapełnić tę pracowitą ciszę.

Spojrzałam na niego.

- Doprawdy? - Co za zbieg okoliczności.

- Skończył sześć lat. Zrobiłem sobie wolne popołudnie. Mały zaprosił do zoo tylko ośmiu kolegów. Wydawało się, że to nic wielkiego. - Potarł czoło, jakby go bolała głowa. - Jezu.

- To dlatego byłeś w sklepie monopolowym.

Roześmialiśmy się. To trochę zmniejszyło napięcie.

Zaczął spacerować przed czarnymi kwadratami okien. Obserwowałam go kątem oka. Wyglądał inaczej. Miał na sobie szare spodnie i porządną sportową marynarkę. Poluzowany granatowy krawat. Musi się ubierać jak biznesmen, odkąd pracuje w swojej dawnej firmie prawniczej. Jeżeli nadal ma tę robotę. Nie mam pojęcia, co się dzieje w jego życiu.

- Jak się ma Isabel? - zapytał, biorąc do ręki i odstawiając na miejsce czerwoną solniczkę w kształcie kogucika. - I Rudy? Sally czasem opowiada mi o Lee, ale nie wiem nic o innych twoich koleżankach.

Nic dziwnego, że go kocham. Nie pyta z grzeczności - on się naprawdę troszczy o moje przyjaciółki, nie tylko ze względu na mnie.

Nalałam kawy do kubków, jemu z mnóstwem mleka.

- Isabel jest bardzo chora. Nie wiem, co to będzie.

- Bardzo mi przykro, Emma.

Jego współczucie mnie roztkliwiło. Byłam naprawdę na krawędzi. Dałam mu jego kubek i sięgnęłam po pudło z biskwitami.

- Chcesz biskwita? Z Rudy też jest źle. Rzuciła szkołę. Czy wiesz, że studiowała architekturę krajobrazu? - Potrząsnął głową. - Rzuciła to. Bóg wie, co teraz robi, ja nie mam pojęcia. - Mówiłam to chłodno, niedbale.

- Bardzo mi przykro - rzekł ponownie.

Byłam o krok od zrobienia z siebie osła i rozplakania się.

- Po co tu przyszedłeś, Mick? Żeby tylko pogawędzić? Czy chcesz nawiązać ze mną romans? Ale przecież wiemy dokładnie, jak to się skończy. - Nie podobał mi się ton mojego głosu. To szaleństwo - czemu odnoszę się do niego nienawistnie?

- Mogę sobie pójść.

- Nie, nie idź. Przepraszam, nie idź. Ja jestem - powinieneś wiedzieć, należy ci się to - ja potrafię być straszną jędzą, Mick, gdy czuję się nieszczęśliwa.



- Nie chcę, żebyś była nieszczęśliwa.

- Za późno. Nic już nie możesz zrobić. - A mógł? Czemu przyszedł?

Odstawił ostrożnie kubek.

- Wciąż myślałem, żeby cię odwiedzić. Nie mogłem uwierzyć, że nigdy nie natknęliśmy się na siebie. Od naszego ostatniego spotkania minęły całe miesiące.

- Wiem. Ja ciebie widywałam. Na ulicy, w przejeżdżającym samochodzie, w kolejce do kina. Ale to nigdy nie byłeś ty. - Po prostu jakiś sobowtór Micka. Czasami oni nawet nie wyglądali jak on, tylko wyczarowałam go z oczu jakiegoś przystojnego faceta, z włosów, ust. Miraż.

- Dopiero dziś - rzekł.

- Urocze prawda? - Och, zamknij się, Emma.

- Urocze. - Uśmiechnął się, ale nie kpił sobie, a moje głupie określenie wcale nie zabrzmiało głupio w jego ustach. - To było jak wypicie drinka - rzekł. - Wypalenie jednego papierosa. Powrót do nałogu.

Boże, ratuj. Ginę.

- Musiałem cię zobaczyć. Nie śmieję się z tego. Myślałem... przyszło mi na myśl, że gdybyśmy się spotkali, tylko jeden raz, moglibyśmy się potem rozstać w pokoju.

- Doprawdy. - Kiwnęłam głową z powagą, nie zaprzeczając. To zabrzmiało skrajnie zwodniczo, jeżeli mówił o tym, o czym sama myślałam.

- Nie widywać cię nigdy więcej... - Dotknął brzegu mojej dłoni ściskającej krawędź kontuaru. - To coś gorszego, niż być razem. Tak mi się wydaje. Bardziej... grzeszne.

- Grzeszne. - Słowo to przykuło moją uwagę jako ekskatoliczki. - Tym byłoby dla ciebie? Spać ze mną byłoby grzechem?

Potrząsnął głową z uśmiechem, bezradny.

- Ja o nic nie dbam. Nie dbam o twoje nieczyste sumienie ani o twoją nieśmiertelną duszę, co ty na to? I nie dbam o twoją żonę ani o domowe szczęście, ani o... - Umilkłam. Nie mogłam tego powiedzieć. - Twojego syna - dokończyłam, starając się, aby to zabrzmiało śmiało, kiedy traciłam całą odwagę.

Mick zrobił, co mógł najlepszego - objął mnie i przytulił.

Zamknęłam oczy, żeby nie widzieć bólu i zwątpienia na jego twarzy. Słowa nigdzie nas nie zaprowadziły - nigdy do niczego nie prowadzą, kiedy sytuacja jest beznadziejna. Pocałowałam go dla rozproszenia uwagi i podziałało: wszystko z wolna odeszło, pozostały tylko gorące wargi Micka, szczecina na jego policzkach i dotyk dłoni na moich plecach. Całowaliśmy się do utraty tchu, poczynaliśmy sobie coraz śmielej. Postanowiłam pójść na żywioł, przestać myśleć, po prostu zrobić to. Może coś się zmieni, jeśli pozwolimy, aby to się stało. Wydawało się to takie naturalne, że rozsunęłam nogi,

aby Mick mógł się między nimi poruszać i przyciskać mnie do ostrej i twardej krawędzi kontuaru, który ocierał mi kręgosłup. Nie zważałam na ból, pragnęłam wrażeń, dotyku jego dłoni na całym ciele.

- Chodźmy na górę - mruknęłam. - Wolałam pozycję horyzontalną.

Wzięliśmy się za ręce i poszli na oślep przez hol, po schodach na górę do sypialni. Miałam nie zapalać światła - znów z lęku przed jego twarzą - ale niebieskawy, przykry blask księżyca przejął mnie chłodem. Spragniona ciepła, zaciągnęłam zasłony i zapaliłam lampkę przy łóżku.

Staliśmy po obu stronach mojego pięknego, niezaścielonego empirowego łóżka i patrzyliśmy na siebie. Miałam rację, że wystrzegałam się widoku jego twarzy - wyglądał tragicznie.

- Więc? - powiedziałam i zaczęłam rozpinać bluzkę. Nie było to romantyczne, ale któreś z nas musiało zacząć. Mick odwrócił się i usiadł na brzegu łóżka. Ale potem - ani drgnął, nie rozpiął paska i nie zaczął zdejmować butów.

Miałam ochotę na niego wrzasnąć, zrobić scenę, pozwolić gorącej, upokorzonej furii przejąć inicjatywę - zobaczyć, co z tego wyniknie. Odtrąciłam tę myśl, ale byłam zła i urażona. Nie zapięłam bluzki, obeszłam łóżko i stanęłam przy nim. Mam wspaniałe piersi, ze dwudziestu mężczyzn mnie o tym zapewniało, one są moim największym atutem. Mogłam je pokazać Mickowi bez obawy. Miło było patrzeć, jak opuszcza pociemniałe oczy. „Widzisz, co tracisz” - myślałam mściwie, wypinając je troszeczkę.

Uśmiechnął się. Spojrzał na mnie z taką czułością i zrozumieniem, że zaczęłam płakać.

- Jestem osłem - rzekł, biorąc mnie za rękę i sadzając obok siebie. - Wiem o tym. Pogardzasz mną i słusznie.

Wcale nim nie pogardzałam.

- Co się stało? - wyszeptalam. - Co zaszło między kuchnią a sypialnym? Powinniśmy to byli zrobić na kontuarze?

- Sama wiesz, co się stało. Naopowiadałem ci kłamstw.

- Kłamałeś? - zapytałam z lękiem.

- Że moglibyśmy to zrobić raz.

- Och, to. Czy myślisz, że ci uwierzyłam?

Uśmiechnął się i zaczęliśmy jednocześnie całować sobie ręce, jak w zawodach na przeciąganie liny. Oparłam głowę na jego ramieniu.

- Nic się nie zmieniło - rzekłam tępo. - Przyszedłeś tu, żeby mnie znowu dręczyć. A ja już prawie o tobie zapomniałam. Nie, nieprawda.

- Przyszedłem, ponieważ... - Jego ramię uniosło się i opadło, gdy westchnął. - Wszystko za brzmi głupio. Mogę powiedzieć, że nie mogłem się oprzeć. Mogę powiedzieć, że byłem chory z pragnienia ciebie, że musiałem cię zobaczyć. Nie wiem, czy nic się nie zmieniło, Emma - coś się musiało zmienić. Dosyć się nacierpiałem, oto co się zmieniło.

- Ja też. Spojrzał na mnie.

- Nie było żadnych innych kobiet. Pytałaś mnie o to na plaży. Jesteś tylko ty.

- Pytałam o coś innego.

Po opuszczonych rzęsach poznałam, że pamiętał. Długą chwilę milczał.

- Sypiam z moją żoną. Tak. Nieczęsto. Ona potrzebuje tej iluzji, nic innego nie mogę zrobić.

- Iluzji?

- Iluzji małżeństwa.

- I uważasz to za dar? Poruszył się, niemal skrzywił.

- Nie oczekuję, że zdołasz to zrozumieć.

- Spróbuj.

- Emma, jestem wszystkim, co ona ma. Sądzę, że żywi do mnie nienawiść. Boję się dać jej Jaya i boję się go jej zabrać. - Mówił z trudem, zachrypniętym głosem. Wciąż nie chciał zdradzić Sally ze mną. A to bolało.

- Mick, czemu się z nią ożeniłeś?

- Bo była w ciąży.

- Och!

Ponure milczenie.

- Ona jest przeciwieństwem ciebie - podjął na nowo ze znużeniem. - Nie jest silna. Zawsze polegała na innych - rodzinie, przyjaciółach.

- Na tobie.

- Zwłaszcza na mnie.

- Czy kiedykolwiek ją kochałeś?

- Kocham ciebie.

- O Boże! - Zakryłam twarz dłońmi. - Czemu tu przyszedłeś? - zapytałam znowu. Czułam się chora z wyczerpania.

- Przyszedłem poprosić cię, żebyś poczekała.

- Poczekała. Ponieważ teraz nie możesz jej porzucić? Wciąż myślisz, że pozostawanie z nią jest lepsze dla Jaya niż rozwód?

Przegarnął ręką włosy.

- Nie wiem.

Byłam pewna, że to oznaczało „tak”.

- Idź sobie, Mick - powiedziałam, wstając.

- Emma...

- Ja nie jestem twoim terapeutą. Nie przychodź do mojego domu wylewać swoich żalów. Postąpiłeś samolubnie i to mi się nie podoba. Rana po tobie już się zasklepiła, a ty ją na nowo rozdrapałeś.

Nawet nie chcesz się ze mną przespać. Odejdź, proszę, zniknij na następne sześć miesięcy. Nie jestem masochistką, przez ten czas zdołam o tobie zapomnieć.

Wstał. On nigdy nie wpada w złość - to mi się u niego nie podoba.

- Przepraszam - powiedział. - Przepraszam - powtórzył i wymamrotał: - Było mi bardzo zimno.  
- I wyszedł.

Dogoniłam go w holu, objęłam rękami od tyłu, przycisnęłam policzek do jego tweedowego palta. Symboliczna poza - bez kontaktu twarzą w twarz, ja przytulona do pleców mężczyzny, który wciąż mnie opuszcza.

Próbował się odwrócić, ale nie pozwoliłam mu na to. Lepiej, żeby tak zostało.

- Posłuchaj mnie. Chcę wyjść za ciebie, Mick. Mieć z tobą dzieci. Być razem z tobą głodującą artystką. Nie chcę być czterdziestoletnią starą panną, która ma romans. Albo nie ma romansu, co jest jeszcze gorsze. - Czułam, jak serce mu łomocze pod gładką bawełnianą koszulą. - Nie mogę na ciebie czekać - powiedziałam, a mój głupi głos drżał. - Nie powinieneś był prosić. Muszę dalej wieść swój żywot. Nie dzwoń do mnie i więcej nie przychodź. To tylko pogarsza sprawę.

- Wiem. Nie będę. - Skłonił głowę. - Kocham cię. Nie mówię tego, żebyś zmieniła zdanie, ale po to, żebyś wiedziała. Przycisnął moje ramiona do siebie, na sekundę, i wyszedł.

Późnym wieczorem zadzwoniłam do Rudy.

- O, Chryste, ty spałaś.

- Emma?

- Przepraszam.

- Co się stało? Zaczekaj chwilę... - Zakryła dłonią mikrofon. Słumiona cisza przez jakieś pół minuty. Ona ma w sypialni telefon bezprzewodowy. Wyobraziłam sobie, jak ostrożnie, żeby nie obudzić Curtisa, wyslizguje się z łóżka i wychodzi do holu albo do łazienki.

- Emma?

- Nie miałam pojęcia, że już tak późno. Bardzo przepraszam.

- Nie szkodzi.

- Curtis pewnie jest wściekły.

- Nie, wcale nie.

Nie powinnam była tak powiedzieć, wyczułam to z jej tonu. Jest taka drażliwa na jego punkcie. Dlatego trzymałam swój rapier dowcipu na temat Curtisa w pochwie, ale ostatnio stała się wręcz przewrażliwiona. Działo się coś naprawdę złego, ale zupełnie nie mogłam się domyślić, o co chodzi.

- Jak ci się udały wakacje, Rudy?

- Wspaniale.

- Nie słyszę zachwyty w twoim głosie. Dobrze się czujesz?

- Przed chwilą się zbudziłam.

- No tak.

Zapadło milczenie. Czekala, az przejde do rzeczy. Byla to jak na nas bardzo nienaturalna rozmowa. Dopiero po chwili przypomniałam sobie, po co do niej zadzwoniłam.

- Spotkałam dziś Micka.

- Och!

- W sklepie monopolowym na Columbia Road. Szkoda, że tego nie widziałaś. Tylko patrzyliśmy na siebie, nie mogliśmy rozmawiać. To był wstrząs, wiesz? Poza tym rodzina czekała na niego w samochodzie, więc...

- Jejku.

- A dziś wieczorem zadzwonił do mnie. Powiedziałam, że może wstąpić.

- Och, Em.

- Wiem, ale nie było innego sposobu, żeby się z nim zobaczyć.

- Spałaś z nim?

- Nie, ale prawie.

Westchnęła. Zabrzmiało to współczująco.

- Tym razem rozmawialiśmy o jego beznadziejnej sytuacji. Skończyłam z nim. - Broczę krwią. Pomóż mi.

- Przykro mi, Em. Naprawdę przykro. Może wyjdzie ci to na dobre.

- Może. - Czekalam, ale nic więcej nie powiedziała. Żadnych słów pociechy ani współczucia. Powinnam była raczej zadzwonić do telefonu zaufania.

- No, dobrze - powiedziała. - Już późno.

- Tak, chce mi się spać. Zadzwonię do ciebie.

- Tak? To coś nowego.

Pożałowałam, że to powiedziała. Ta łagodna wymówka nie powinna była paść z moich ust. Zraniłam ją.

- Dobranoc, Rudy - powiedziała łagodnie. - Przepraszam, że cię obudziłam.

- Dobranoc, Em. Kocham cię. Klik.

Powolutku odłożyłam słuchawkę, z uśmiechem i zmarszczonymi brwiami, czując się dziwnie.

- Ja także cię kocham - powiedziała.

Byłam chora ze zmartwienia. Nie mogłam się na nią gniewać, że nie okazała się opoką, jaką zawsze dla mnie była. Moje złamane serce bolało jak diabli, ale kiedyś przestanie. A co dolega Rudy, nie wiadomo. Co się z nią dzieje? Ani chybi ma to związek z Curtisem.

Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, myślałam o tym, jak kiedyś, przed laty, pomogła mi przebrnąć przez inny kryzys. Chodziło wtedy o Petera Dickensona. Szalałam za tym facetem, zupełnie wariowałam, byłam gotowa wyjść za niego. Nie wiem, co mnie opętało. Peter wyglądał jak brat Aleca

Baldwina, chudy, z przylizanymi włosami, nie budził zaufania. Mieszkałam wtedy sama w wielkim mieszkaniu na Foggy Bottom i naprawdę cieszyłam się swoją samotnością. Ale straciłam głowę dla Petera i pozwoliłam mu wprowadzić się do mnie. Mieszkaliśmy razem w majestacie prawa zwyczajowego przez prawie cztery miesiące.

No i któregoś wieczoru - nie uprzedzajmy wypadków - wróciłam z zebrania Gracji trochę wcześniej. No, śmiało, zgadliście! Banalna historia, powtarzana w pieśniach country-western, odgrywana w operach mydlanych. Przestaje być śmieszna, gdy zdarza się tobie. Nakryłam ich in flagranti, w moim własnym łóżku.

Szybko wyszłam, lecz obraz utrwalił się na mojej siatkówce. Kochankowie też mnie zobaczyli. Udałam się więc do bawialni i usiadłam na kanapie. Nie czekałam długo. Pierwszy przyszedł Peter. W gatkach ukląkł u moich stóp. Mówił właśnie: „Ona dla mnie nic nie znaczy”, gdy weszła dziewczyna. Przynajmniej jej nie znałam. Wyglądała na studentkę, długonoga, z mnóstwem falistych blond włosów. Zbladła, gdy usłyszała, że nic dla niego nie znaczy - nawet zrobiło mi się jej trochę żal. Potem ona wyszła, a Peter dalej mówił. Pamiętam to z kryształową wyrazistością: kopnęłam go w środek obnażonej piersi i przewróciłam na tyłek. „Wynoś się” - powiedziałam, ale nie chciał, więc zadzwoniłam na policję. Zrozumiał, że nie żartuję, i wyszedł, nim przyjechał radiowóz.

I wtedy - o to mi właśnie chodzi - zadzwoniłam do Rudy. W owym czasie prawie ze sobą nie rozmawiałyśmy. Długa historia, to było zaraz po jej ślubie z Curtisem. Pokłóciłyśmy się o niego, była to największa kłótnia w dziejach naszej znajomości i chociaż ze względu na Gracje udawałyśmy, że wszystko w porządku, wcale tak nie było. Ale zadzwoniłam do niej i wystarczyło, że powiedziałam: „O Boże, Rudy” - a ona rzekła: „Jadę do ciebie”.

Została u mnie na noc. Ja płakałam. Piłyśmy dzin i wypaliłyśmy z tysiąc papierosów, a około szóstej rano poszłyśmy do Howarda Johnsona na Virginia Avenue i zjadłyśmy placki z bekonem. Byłam zdruzgotana, a Rudy mnie z tego wyciągnęła, o to chodzi. Kto wie, jak długo wdychałabym do Petera, gdyby nie ona. I kto wie, jakie piekło zrobił jej Curtis, kiedy wróciła do domu o dziewiątej rano. O to chodzi. Dziś w nocy widocznie nie mogła powtórzyć tej odważnej misji ratunkowej, dlatego nie ma to najmniejszego wpływu na naszą przyjaźń.

„Mężczyźni wszystko psują” - mawia moja matka. Wychowałam się w tym przekonaniu i niejednokrotnie przekonałam o słuszności tego spostrzeżenia.

Lecz teraz jestem zakochana w żonatym mężczyźnie i jak mówią słowa pieśni, jest on chlubą rodzaju męskiego. Czuję się nieszczęśliwa i to mnie wkurza. Czy to się nazywa dorastaniem? Jeśli tak, to ja jestem przeciw. Wiek średni - dzisiaj weń wkroczyłam i już widzę, co mnie czeka: samotność dojrzałej kobiety, wyzbytej radości i poddającej się terapii hormonalnej.

Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, Emma.

## 25.

### Lee

Z gabinetu doktora Jergensa dzwonią zawsze po południu. Pielęgniarki przekazują pacjentkom ostatnie wyniki badań laboratoryjnych. Wiedziałam więc, kto może do mnie dzwonić o szesnastej czterdzieści pięć w chłodne ciemniejące popołudnie w drugi poniedziałek stycznia. Przeczucie? Przeczekałam trzy i pół dzwonka, mało brakowało, a włączyłaby się automatyczna sekretarka.

- Pani Patterson?

To była Patti. Jedna z tych miłszych. Zawsze wyraża swoje współczucie, gdy wiadomość nie jest dobra. Inne tego nie robią. Zupełnie jakby czytały ostatnie wyniki giełdowe, tyle jest ciepła w ich bezbarwnych, spiesznych, telefonicznych głosach.

- Tak?

- Jak się pani miewa?

- Dobrze, dziękuję. A pani?

- Dziękuję, dobrze, dzwonię w sprawie wyników zapłodnienia in vitro.

- Tak...

- Strasznie mi przykro. Nie poszcęściło się tym razem.

Nie poszcęściło się. A Henry narobił błędów ortograficznych na liście zakupów. Mam mnóstwo magnesików na lodówce. Wyglądają bałaganiarsko. Przytrzymują zbiorową fotografię Gracji na frontowych schodach u Rudy ubiegłego lata.

Wyglądamy na długonogie i opalone w szortach i bluzkach bez rękawów.

- Pani Patterson?

Henry przymocował swój harmonogram meczów koszykówki Magików innym magnesem, w kształcie nogi indyka. Dzisiaj wieczorem Magicy grali na wyjeździe z Szerszeniami z Charlotte.

- Pani Patterson? Jest tam pani?

- Tak. Dzięki za telefon.

- Dobra. Następną wizytę proszę zamówić przed końcem tygodnia. Może pani zrobić to teraz, jeśli pani chce. Albo, hm, jeszcze poczekać.

Mam taki magnesik, na którym jest podane, ile płynu mieści się w trzech czwartych kubka, ile mililitrów w łyżce i ile łyżek w jednej trzeciej kubka. Myślałam, że to może być przydatne, ale rzadko z tego korzystam.

- Halo?

Cichuteńko odłożyłam słuchawkę na widełki.

Nie chciało mi się odrywać ręki od słuchawki. A potem nie chciało mi się wychodzić na zewnątrz. Ale zmusiłam się do otwarcia drzwi kuchennych i pójścia za dźwiękiem siekiery Henry'ego, za ostrymi uderzeniami, trach, trach, które rozrywały chłodny zmierzch jak dźwięk pękającego lodu. Henry posługuje się starym pniem wiązu za garażem do rąbania drewna. Lubię patrzeć, jak dźwiga ciężkie kawały dębu albo orzecha na ten pień, a potem rozłupuje je na pół jednym celnym ciosem.

Nie słyszał, jak się zbliżam. Odwrócił się, sięgając po polano, które odskoczyło w bok. Zobaczył mnie i wyprostował się. Stał, uśmiechając się, z siekierą o długim stylisku zwisającą bezwładnie w dłoni.

- Dzwonili.

Podszedł do mnie z chrzęstem drzazg i kory pod podeszwami popielatych butów roboczych.

- Gdzie twój płaszcz? Zamarzniesz.

Widziałam bardzo wyraźnie mulisty pył na czarnych szybkach okien garażu, ciemne fugi między cegłami, tam gdzie wypadła zaprawa murarska, plamę po kawie w kształcie łyżki na piersi kraciatej kurtki Henry'ego.

- Nie jestem w ciąży.

- Lee. Kochanie. - Wyciągnął rękę, żeby mnie dotknąć koniuszkami palców. Skrzywiłam się. Cofnął rękę.

- Skończone.

- Co?

- Cztery razy. Wystarczy. Koniec z tym.

Czekałam, żeby kiwnął głową ze smutnym zrozumieniem, a potem przytulił, powiedział, że to jest słuszna decyzja.

- Skończone - powtórzył za mną jak echo, ale bardziej do siebie niż do mnie. Pot perlił się na gładkiej skórze jego czoła. Spojrzał mi w oczy, żeby się upewnić, że dobrze się czuję. A ja prawie nic nie czułam. Głównie zmęczenie. - Dobra - mruknął. - Jesteś pewna?

- Tak.

Odwrócił się, podszedł do pieńka i zaczął wrzucać polana na taczkę. Stałam i patrzyłam, jak schyla się i chwytą polana obiema rękami, rzuca na taczkę, nigdy nie chybiając. Zobaczyłam przez chwilę jego twarz. Przypadkiem - usiłował to ukryć przede mną. Płakał.

Byłam tak wstrząśnięta, że nie mogłam się ruszyć. Zaczęłam coś odczuwać. Żar jak od oparzenia rozlewał się w mojej piersi.

- Henry? - Chciałam go chwycić za rękę, ale złapałam za rękaw kurtki. Ciągnęłam i ciągnęłam, aż musiał zwrócić ku mnie twarz. Łzy płynęły po jego czerstwych chłodnych policzkach.

- Będę to robiła nadal. Kochanie, możemy znów spróbować.

- Nie chcę, abyś to robiła, Lee, chcę, żebyś przestała. Ja... to jest...



- Żałosne.

Rozpiął kurtkę, przyciągnął mnie do siebie i otulił jej połamami. Po chwili ciepło jego ciała zmniejszyło palący żar w mojej piersi. Przyłożyłam dłonie do jego mokrych od łez policzków i tuliłam go. Nigdy dotąd nie widziałam, żeby Henry płakał, nigdy.

- Tak mi przykro.

- Nie mów tak.

- Tak mi przykro, Henry - powtarzałam w kółko.

- Już dobrze. - Przytulił mnie mocniej. - Kocham cię.

- Wiem. Och, tak mi przykro. - Poddałam się i rozplakałam.

I to nie bolało. Nie paliło niby kwasem w głębi oczu, nie napawało lękiem ani rozpaczą. Henry także płakał i być może ta mieszanka naszych łez pomogła oddalić ból. Wiem, że to był początek. Brak nadziei jest czasem błogosławieństwem, powiedziała mi kiedyś Isabel, teraz wiem, że to prawda.

- Chodźmy do domu. Ogrzejemy się - powiedziała i tak to się zaczęło. Henry i ja zaczęliśmy zdrowieć.

Na początku lutego Isabel w końcu urządziła spotkanie Gracji w swoim mieszkaniu. Odwoływała je dwa razy z rzędu - a to była zbyt zmęczona, a to lekarz wyznaczył jej wizytę - ale gdy w czwartek po południu zadzwoniłam z pytaniem, czy potwierdza zaproszenie, powiedziała:

- Tak, przyjdźcie, przyjdźcie, nie mogę się doczekać, żeby was zobaczyć.

W drodze do niej jechałam Connecticut Avenue za subaru kombi. Na tylnym siedzeniu siedziały dwie małe dziewczynki i na każdym czerwonym świetle od Van Ness do zoo machały do mnie. Od czasu do czasu machałam do nich i ja, raz nawet posłałam całusa. Stawały się coraz bardziej rozchukane i niemądre, aż wreszcie musiałam przybrać spokojny, dorosły wyraz twarzy, żeby je okiełznać. Miały po sześć-siedem lat i nie były siostrami, lecz przyjaciółkami, jedna ciemna, druga jasna. Przyciskały buzie do szyby, wystawiały język, chowały się za oparciem siedzenia, a potem nagle wyskakiwały, strasząc mnie groteskowymi minami. Śmiechy i piski stały się pewnie za głośne, bo nagle odwróciły głowy, poważniejąc, gdy siedząca za kierownicą kobieta najwidoczniej zaprowadziła porządek. Potem dziewczynki już tylko parę razy obejrzały się na mnie ukradkiem, posyłając mi konspiracyjne uśmieški. Wkrótce jednak zapomniały o mnie, a na światłach przy Woodley Street subaru skręciło w prawo.

Przejechałam jeszcze kilka przecznic, nim mnie olśniło: nie płakałam. W przeszłości, jeszcze nie tak dawno, rozplakałabym się. Zapewne moje serce okryło się skorupą. Henry i ja jesteśmy bezdziećni. Bezdziećni. Mówię to sobie czasami głośno, bo lubię nazywać rzeczy po imieniu.

Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do doktora Greenburga, terapeuty Rudy, i umówić się na wizytę. Gracje byłyby zdumione? Lee potrzebuje psychoterapeuty? Prawdopodobnie jednak nie zadzwonię. Ostatnio to przestało być modne, ponadto wierzę w ideę samowystarczalności, w odpowie-

działność jednostki za własne szczęście. Nie chodzi o to, że nie pochwalam poradni psychologicznych - z takim nastawieniem nie utrzymałabym się długo w moim zawodzie - ale uważam, że to nie dla mnie. Nie należy do mojego dziedzictwa - Pavlikowie nie chodzą do psychiatrów. Jak wytłumaczyłabym to mojej matce?

U Isabel drzwi otworzyła Emma.

- Gdzie ona jest? - spytałam cicho. - Dobrze się czuje?

- Tak, jest w kuchni. Wejdz.

Isabel siedziała przy stole. Nie wstała, ale wyciągnęła do mnie rękę. Uścisnęłam ją czule.

- Jak się masz? Jak się czujesz? Wyglądasz pięknie. - Mówiłam prawdę, ale nie dodałam, że robi się coraz bardziej krucha i wiotka. Sweter i spodnie wisały na niej jak na wieszaku, peruka stała się za duża przy jej kościstej twarzy. Wolałabym, żeby jej nie nosiła, bardziej mi się podobały jej własne krótkie, pstrokate, szczeciniaste włosy.

Powiedziała to, co zawsze mówi: - Świetnie - klepiąc mnie po plecach i promieniejąc takim zadowoleniem, że aż poczułam ścisnięcie w gardle. - Co masz w tej torbie? - zapytała.

- Kolację. Ugotowałam ryż? - Uparła się, żeby spotkanie odbyło się w jej mieszkaniu, ale nie pozwoliłyśmy jej nic zrobić, oprócz brązowego ryżu. To jest ostatnio podstawa jej diety.

- Kirby ugotował - powiedziała. - Nie ma go tu. Występuje dziś wieczorem w sztuce. Prosił, żeby was ucałować.

- Co za facet! - Emma podniosła wzrok znad rozdrabnianych na sałatkę warzyw. - Niewielu mężczyzn przesyła ucałowania. Oni uważają to za niemęskie.

- To prawda - rzekłam. - Henry przesyła tylko pozdrowienia. Emma, co to takiego? Szpinak?

- Tak.

- Isabel nie może go jeść.

- Cholera! Czy to prawda, Isabel?

Isabel wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się.

- Taka jest teoria.

- Cóż, mam też cykorię - rzekła Emma. - Cykorię możesz jeść, ona jest bardzo yang. Rabarbar natomiast jest niemal całkowicie yin, wiedziałas o tym? Więc go nie jedz.

- Odczep się - powiedziała Isabel.

Wszystkie pokupowałyśmy sobie makrobiotyczne książki kucharskie i teraz po kolei przynosimy Isabel posiłki. W ten sposób Kirby'emu jest lżej.

- Rudy się spóźnia - zauważyła Emma. - Może się w ogóle nie pokaże.

- Czy ktoś z nią rozmawiał?

- Nie - odparła Isabel. - Wpada do mnie co jakiś czas, ale tylko na chwilę i nigdy nie chce mówić o sobie.

- Dziwaczka - mruknęła Emma.

Przechwyciłam spojrzenie Isabel. Cokolwiek dolegało Rudy, było niczym w porównaniu z tym, co doskwierało Emmie. O ile mi wiadomo, do tej pory nie miały przed sobą sekretów. Nie mogłam wyzbyć się wrażenia, że Rudy zawiodła całą naszą grupę, nie tylko Emmę. Tak, miała problemy i co z tego? Któż ich nie ma? Cokolwiek ją dręczyło, a ja nie miałam najmniejszego pojęcia, co to było, nie mogło być gorsze od sytuacji Isabel. Właśnie teraz powinnyśmy się zjednoczyć, a nie myśleć o swoich urazach.

Nie powiedziałam tego głośno. Byłoby to złamaniem zasady - w dodatku nie ja ją wymyśliłam, w rzeczywistości nie została nawet ujęta w słowa, nigdy nie dyskutowaliśmy na ten temat. Jeżeli jedna osoba mówi coś negatywnego o drugiej osobie z grupy (jak uwaga Emmy o dziwactwie Rudy), nikt nie dorzuca swoich trzech groszy. Bo to byłoby zachwianiem równowagi, zmasowanym atakiem. Nigdy do tego nie doszło, ale mogę sobie wyobrazić rozluźnienie tej zasady, gdyby zamiast czterech było pięć członkiń. Jeśli się nad tym zastanowić, stałybyśmy się bardziej skonsolidowane w piątkę. Mam na myśli członkinie założycielki. Zupełnie jak byśmy zwierały szeregi, dając do zrozumienia tej piątej, że nie wolno krytykować żadnej z pozostałych.

- Przynajmniej nie pije - powiedziała Emma, jakby pragnęła zatrzeć przykre wrażenie po swojej poprzedniej złośliwej uwadze. - O ile to prawda. Ale skąd, u licha, mamy wiedzieć?

- Ona jest nieszczęśliwa, Emma - powiedziała Isabel.

- Wiem o tym. - Rytmicznym ruchem rozcierała różyczki brokułów. - Ale kto nie jest? Znasz kogoś takiego?

- Jak ci idzie ostatnio pisanie? - Emma spojrzała na mnie z furją. Zdałam sobie sprawę, że nie w porę wystąpiłam z tym pytaniem.

- Wyrzuciłam to - warknęła.

- Swoją powieść?

- To była powieść? Dzięki, że mi powiedziałaś, bo nie byłam pewna.

- Czego teraz spróbujesz? - spytała Isabel.

- No, nie wiem... zastanawiam się nad romansem. Roześmiałam się.

- Ty? - Lecz ona nie żartowała. - Przepraszam - powiedziałam, kiedy zdałam sobie z tego sprawę. - Ja tylko myślałam, wiesz, że może jesteś za bardzo...

- Co? Jestem za bardzo co?

- Cyniczna. Na pisanie romansów. Ale czy ja wiem?

- No właśnie, nie wiesz.

- Ja wcale nie sądzę, że jesteś cyniczna - powiedziała Isabel w zamyśleniu. - Właściwie w ogóle nie uważam, że jesteś cyniczna.

Emma zaczerwieniła się.

Po chwili trąciła mnie biodrem, gdy stałyśmy obok siebie przy deskach do krojenia.

- Twoja kolej Lee-Lee. Jak ci się wiedzie?

Emma używa tego czułego określenia przy bardzo rzadkich okazjach, głównie po wypiciu większej ilości wina. Albo gdy się obawia, że zraniła moje uczucia.

- Och - odparłam - nieźle.

- Na pewno?

- Na pewno. - Opowiedziałam im o tych dwóch małych dziewczynkach w samochodzie i o tym, że nie płakałam. - Czuję teraz głównie ulgę.

- I nadal masz pewność, że podjęłaś dobrą decyzję? Ja jestem przekonana, że postąpiłaś słusznie - rzekła szybko Emma. - Chodzi mi o to, żebyś nie żałowała.

- No cóż. - Żal pozostanie. - Zrobiliśmy wszystko, co było można.

- Tak jest! Zrobiliście wszystko.

- Mogliśmy się jeszcze wpisać na listę dawców jajeczek.

- Ale co dosyć, to dosyć.

- Tak pomyśleliśmy. Oboje czuliśmy, że pora zaniechać tych eksperymentów.

- Jak się ma Henry?

- Także lepiej. Oboje czujemy się lepiej. - Zaśmiałam się. - Zaczynamy sobie przypominać, czemu się lubimy.

- Och, to się cieszę. - Emma trąciła mnie ramieniem - jeszcze jeden rzadki czuły gest. - Powiedz temu drabowi, że ja też mu przesyłam pozdrowienia.

- Czekamy na Rudy, czy siadamy do kolacji? - Przygotowałam sałatkę z dyni, rzepy, korzeni lotosu i grochu włoskiego. Już raz to robiłam - wcale nie jest zła.

- Zaczekamy - powiedziała Isabel.

A Emma jednocześnie:

- Siadamy.

- Zaczekam jeszcze kilka minut - zdecydowałam. Przyłączyłam się do Isabel i Emmy przy stole. Przyniosłam sobie kieliszek wina i filiżankę świeżej herbaty dla Isabel. Kirby parzy mnóstwo tej herbaty co ranka, a Isabel przysięga, że dobrze jej robi.

- Jak twoje życie miłosne? - zapytałam Emmę. Czulałam się trochę zażenowana, poruszając tak frywolny temat. Czy nie powinnyśmy raczej dyskutować o rzeczach ważnych, jak sens życia? Nigdy jednak tego nie robimy. Rozmawiamy zawsze o tym samym. Isabel to nie przeszkadza, ostatnio sama niewiele mówi, tylko uśmiecha się tym swoim łagodnym uśmiechem, spokojnie kierując swoje spojrzenie na tę, która właśnie coś opowiada. Nie jestem nawet pewna, czy zwraca uwagę na słowa, bo wydaje się taka rozmarzona, jakby tylko słuchała brzmienia naszych głosów.

- Moje życie miłosne? - Emma zsunęła się w dół na krześle. - To oksymoron. - Była tego wieczoru cała w czerni, w czarnych dżinsach, czarnym swetrze, czarnych butach. Miejmy nadzieję, że to tylko faza przejściowa, bo nie jest jej do twarzy w tym kolorze.

- Myślałam, że spotykasz się z tym facetem od nieruchomości.

- Ze Stuartem? Już nie.

- A co z tym prawnikiem z EPA, Billem czy Willem...

- Philem. Nic z tego nie wyszło. Westchnęłam.

- To już nie wiem, co robić. Już z rok temu zabrakło mi ludzi, z którymi mogłabym cię umówić.

- Więc nie masz nikogo? - Głos Isabel się zmienił. Jest wyższy, słabszy, z przydechem. Przesuwała palcem wskazującym po wierzchu dłoni Emmy, jakby chciała powiedzieć „Bądźmy przez chwilę poważne”. Nie podobał mi się wygląd kości jej nadgarstka. Były zbyt białe i ostre, a skóra za bardzo napięta. - Jesteś pewna, Em? Absolutnie nikogo?

Emma spojrzała na nią w popłochu - jakby się bała, że Isabel zna jej sekret. Spuściła głowę i patrzyła na kieliszek z winem balansujący na jej brzuchu.

- A ten żonaty? - zapytałam.

- Ten, o którym wolałabym nie mówić? - odparła.

- Bardzo przepraszam...

- Och, Lee, to ja przepraszam. - Uśmiechnęła się, próbując zatuszować niechęć w swoim głosie.

- Chodzi o to, że ten facet... - Potrząsnęła głową.

- Ale to było dawno. Na wiosnę. Jeszcze się z tego nie otrząsnęłaś? Em, przepraszam cię, nie wiedziałam. Powinnaś była coś powiedzieć. - Nie zdradziła nam nawet jego imienia.

Spojrzała na Isabel.

- Może powinnam była. Ale rzecz w tym, że ten człowiek jest żonaty.

- Ale ty niczego nie zrobiłaś - zwróciłam uwagę. - Ani... - Hm.

- Tak się złożyło. - Nie sprawiała wrażenia szczęśliwej z tego powodu.

- Więc ty go naprawdę kochasz? Skrzywiła się.

- Tak, ale nie rozmawiajmy o tym. Niczego to nie zmieni, więc jaki sens wałkować ten temat?

Nie wypowiesz żadnych słów mądrości? - zwróciła się drwiąco do Isabel, ale jestem pewna, że dostrzegłam błysk nadziei w jej oczach.

Isabel ścisnęła dłoń Emmy.

- Co za pomieszanie - powiedziała cicho. - Nareszcie coś prawdziwego.

- Takie mam szczęście. - Emma uśmiechnęła się krzywo.

- Może jeszcze coś z tego wyjdzie.

- Nie sądzę, Is. Myślę, że można spokojnie powiedzieć, że jestem przegrana.

Siedziałyśmy w smutnym kręgu i milczałyśmy. W pewnej chwili nie mogłam się powstrzymać od pytania:

- Czy ciąży nad nami jakieś fatum? - Zwróciłam się do Isabel, tak jak poprzednio Emma - jakby Isabel mogła znać odpowiedź. - Czy to karma? Jakiś zbiorowy grzech, który popełniłyśmy tak dawno temu, że już go nie pamiętamy?

- Ja wiem za co ta kara - ożywiła się Emma - bo skłamałyśmy tej, jak ona się nazywała, ta, którą ty zwerbowałaś, Lee, że Gracje się rozpadają, żeby się jej pozbyć.

Isabel zaśmiała się.

- Nie sędzę, że popełniłyśmy grzech. Karma - jeżeli coś takiego w ogóle istnieje - powiedziała, patrząc na Emmę - nie jest karą, lecz lekcją. Musimy się ciągle uczyć. Jeżeli nie w tym życiu... - uśmiechnęła się i poprzestała na tym.

- Karmiczny program - skwitowała Emma.

- Właśnie.

- Cóż, mnie się to nie podoba - rzekła.

Zgadzałam się z nią. W tej chwili była mi bliższa Isabel. Postanowiłyśmy rozpocząć kolację bez Rudy. Smażyłam właśnie bok choy, gdy rozległ się dzwonek u drzwi.

- Najwyższy czas - sarknęła Emma, ale wyraźnie odczuła ulgę. - Ja otworzę.

Poprzez skwierczący olej usłyszałam, jak mówi:

- Jezu! Co się stało?

Odwróciłam się. Isabel wychylała się ze swego krzesła i patrzyła wstrząśnięta w głąb bawialni. Rudy pojawiła się w drzwiach kuchni, przed Emmą. Wyłączyłam palnik i podbiegłam do niej.

- Rudy, co się stało? Miałaś wypadek?

- Co? - Patrzyła na mnie przez łyzy. - Twarz miała czerwoną, głos zduszony przez łkanie: - Czy ja co? - Emma chwyciła ją za rękaw palta oznaczonego płatkami topniejącego śniegu. Gdy Isabel wstała i ruszyła ku niej, Rudy w końcu powiedziała: - Nic mi nie jest, nikt nie zginął, nikt nie jest ranny. - Isabel aż się zachwiała z ulgi - wszystkie odczułyśmy ulgę.

- Siadaj - rozkazała Emma, ściągając z niej palto i popychając ją na krzesło. - Powiedz nam, co się stało. Nie miałaś wypadku...

- Miałam, przed chwilą, przed twoim domem.

- Moim domem? - Emma wytrzeszczyła oczy.

- Zapomniałam, że mamy spotkanie. Jeździłam sobie po mieście, a potem pojechałam do ciebie i parkując, uderzyłam w hydrant przeciwpożarowy. Ale to nie ma znaczenia, to BMW Curtisa. - Sięgnęła po kieliszek Emmy i wypila dwa wielkie łyki, wciągając następnie powietrze.

Wymieniłyśmy spojrzenia nad jej głową. Czy była pijana? Wzięłam z parapetu pudełko z chusteczkami higienicznymi i postawiłam przed nią. Wyjęła od razu trzy i ukryła w nich twarz. Wyglądała

okropnie - włosy sterczące i mokre, oczy przekrwione i szalone. Zwinęła chustki w kulę w dłoni i przełknęła ślinę.

- Dobra. Powiem wam. Curtis ma raka i być może umiera.

- Nie! - wykrzyknęłam. Emma syknęła. Isabel powiedziała:

- O mój Boże, mój Boże - i opadła na krzesło. Rudy chwyciła ją za rękę.

- Już dobrze - powiedziała, a jej szare oczy znów zaszkliły się łzami. Ścisnęła dłoń Isabel za mocno. - Wcale nie umiera, jest zdrow, wszystko jest dobrze.

- Co? Och, dzięki Bogu - Isabel odetchnęła oszołomiona.

Rudy zaśmiała się i puściła jej rękę. Był to dziwny śmiech, aż ciarki mnie przeszły.

- Rzuciłam go. Mogę zamieszkać u ciebie?

- Rudy, na miłość boską - rzekła Isabel - powiedz nam, co się stało.

Emma i ja usiadłyśmy koło Rudy i wszystkie trzy pochyliłyśmy się ku niej. Ona zaśmiała się krótko, tym razem bardziej naturalnie.

- Dziękuję Bogu za was, dziewczyny.

Znów wytarła nos, a potem opowiedziała nam swoją historię.

- W listopadzie Curtis powiedział, że stwierdzono u niego białaczkę. Nie ma na nią lekarstwa, ale nie zawsze jest śmiertelna. Dodał, że w jego wypadku choroba postępuje powoli i że może jeszcze pożyć pięć-dziesięć lat, a do tej pory wynajdą jakiś lek. Był pełen nadziei.

- Zaraz, ale przecież powiedziałaś, że nie ma leukemii - domagałam się wyjaśnienia.

- Jezu Chryste - Emma wytrzeszczyła oczy, przyciskając palce do skroni, przez co jej oczy jeszcze bardziej się zwęziły.

- Zaraz do tego dojdę. Dziwiłam się, że tak rzadko chodzi do lekarza i nie pozwala mi iść ze sobą. Mówił, że nie chce mnie przygnębiać. Każdego ranka przyjmował jakieś pigułki, ale to wszystko. - Rudy rozejrzała się wokół bezradnie. - Myślę, że to były witaminy.

- Święty Boże.

- Na ogół dobrze się czuł i był naprawdę w dobrym nastroju. Myślałam, że zaordynowali mu prozac albo metamfetaminę, żeby nie popadł w depresję. Zdarzało się, że czuł się słaby albo kręciło mu się w głowie na skutek zwiększenia się liczby białych ciałek krwi i pamiętam, że kiedyś w kinie widział podwójnie.

- Podwójnie? Z powodu leukemii? - niedowierzanie Emmy rozśmieszyło nas, ale w opowieści Rudy nie było jeszcze nic śmiesznego.

- Podobno zdaniem lekarzy takie objawy są normalne, że od czasu do czasu mogą się zdarzać takie epizody. Teraz widzę, że te epizody zdarzały się tylko wtedy, kiedy się kłóciliśmy, spierali albo gdy nie mógł postawić na swoim. Błagałam go, żeby mi pozwolił powiedzieć przynajmniej Erykowi. I

wam, dziewczyny - rzekła, ale patrzyła na Emmę. - Zabronił stanowczo. Zmusił mnie, żebym przy... przyrzek... - Znów zalała się łzami.

- Och, Rudy! - Emma objęła ją ramionami. - Już dobrze, dobrze, Rudy - powiedziała, kołysząc ją. - Już dobrze, przebaczam ci.

Isabel i mnie zamglily się oczy. Słowa Emmy zabrzmiały śmiesznie, a mimo to Rudy najwyraźniej właśnie tego pragnęła. Przebaczenia.

- Poszłam więc do doktora Slatera... on jest naszym lekarzem rodzinnym. Chciałam poznać prawdę. Sądziłam, że Curtis nie mówi mi wszystkiego i dlatego jest taki tajemniczy - żeby mnie chronić. Mój Boże. - Przycisnęła trzęsące się ręce do policzków. - Możecie w to uwierzyć?

- Nie. Masz - Emma nalęła wina i przesunęła kieliszek w jej stronę.

- Poszłam więc do doktora Slatera. Dziś po południu. Zapytałam, ile Curtis ma przed sobą życia. Nie zapomnę wyrazu jego twarzy.

Emma wciągnęła powietrze i zaśmiała się. Rudy zawtórowała jej nerwowo.

- Doktor powiedział, że nie wie, o czym mówię. - Zakryła dłońmi twarz. - Byłam taka tępa.

- Nie... - Isabel chciała coś powiedzieć, lecz Rudy chwyciła ją za rękę.

- Czekaj - powiedziała - to jeszcze nie koniec. - Oczy jej się świeciły. Rozciągnęła usta w okropnym uśmiechu. - Jesteście gotowe? Powiedziałam doktorowi Slaterowi, że już nie staram się zająć w ciążę, bo Curtis rozchorował się na leukemię. Na to on powiedział...

- Co?

- Powiedział, że Curtis poddał się wazektomii.

- Nie!

- W ubiegłym roku. Pamiętacie, mówiłam wam, że nie zbliżyliśmy się do siebie prawie cały grudzień? - Emma kiwnęła głową. - On wtedy dochodził do siebie po zabiegu. A potem powiedział, że chciałby mieć ze mną dziecko!

Siedziała oszołomiona. Już nie płakała. Wyglądała, jakby zaczynała przychodzić do siebie po ogłuszeniu.

Isabel i ja byłyśmy zbyt wstrząśnięte, żeby zareagować. Za to Emma naknęła się za nas wszystkie.

- Co ten skurwiel myślał? Jak, u diabła, chciał utrzymać tę wazektomię w sekrecie przed własną żoną? Zasięgasz przecież porady u tego samego doktora rodzinnego? Czy nie przyszło mu do głowy, że pewnego dnia mogłabyś zapytać Slatera, dlaczego nie zachodzisz w ciążę? Cóż to za arogancja z jego strony!

- Jak się bronił, kiedy mu powiedziałaś, że wiesz? - wtręciła Isabel.

Rudy powoli skupiła na niej uwagę.



- Och, jeszcze z nim nie rozmawiałam. Napisałam tylko karteczkę i wysłałam. Powinnam była spakować trochę rzeczy, ale nie pomyślałam o tym. Wzięłam jego BMW - dodała z krzywym śmiechem.

- To mu dopieczę - ucieszyła się Emma.

Byłyśmy jednak rozczarowane, lecz żadna tego nie powiedziała głośno. Zaczęłyśmy roztrząsać to na nowo, całą tę okropną historię, niewiarygodne kłamstwo Curtisa i łatwowierność Rudy, niedolę, jaką przeżywała przez co najmniej trzy ostatnie miesiące. Po pewnym czasie Rudy przestała się trząść. Zmusiłam ją do zjedzenia kawałka chleba, i wkrótce jej cera zrobiła się bardziej naturalna, nie tak upiorna. Ale jej oczy wciąż lśniły ciemnym blaskiem.

Isabel, która się nie odzywała od dłuższego czasu, obwieściła:

- Rudy, myślę, że powinnaś pójść do domu.

Zapadło milczenie, potem zakrzyknęłyśmy jednocześnie:

- Nigdy! Dawno powinna opuścić Curtisa. Zwariowałaś? Ona nie może, jak mogłaby...

- A co zamierzasz zrobić? - wtrąciła się Isabel. - Pomieszkaż przez jakiś czas u Emmy, a potem?

- Znajdą sobie jakieś mieszkanie.

- Za co?

- Curtis... - zaczęła i ucichła.

- Ja mam trochę pieniędzy - powiedziała Emma wojowniczo.

- Ja też mam - dodałam. Umilkłyśmy.

- Nie chodzi tylko o pieniądze - zaczęła Isabel cierpliwie.

- Które on zatrzyma dla siebie - domyśliła się Emma. - Zatrzyma dom, karty kredytowe, wszystkie twoje aktywa. Twoje ubezpieczenie zdrowotne.

Wszystko, zdałyśmy sobie sprawę.

- Przynajmniej spróbuje - powiedziałam wściekła. - Pieprzony prawnik.

Miny nam zrzedły.

- Cholera! - rzekła Rudy, przytomniejąc.

- I to ty porzuciłaś jego - uściśliła Emma.

- Nie chodzi tylko o pieniądze - powtórzyła Isabel w ponurej ciszy.

- Co masz na myśli, Is?

Przesunęła koniuszkami palców po krawędzi pustej filiżanki od herbaty.

- Zawsze żałowałam, że porzuciłam Gary'ego. Nie, że się z nim rozwiodłam - powiedziała, gdy zaprotestowałyśmy - ale, że go opuściłam. On mnie zdradził i to ja byłam tą skrzywdzoną, ale nigdy tego nie przyznał. Po dziś dzień. To nie ma nic do rzeczy, że mu przebaczyłam.

- To prawda - rzekłam. - Skrzywdził cię, Isabel, i nigdy za to nie zapłacił.

- Kłamał, oszukiwał, zdradzał i nie zapłacił ci za to - dodała Emma.

- Jak Curtis - zauważyłam.

- Och - powiedziała Rudy - nie ma żadnego porównania.

- Owszem, jest.

- Curtis zrobił coś gorszego - powiedziała Emma, rzucając okiem na Isabel. - Nie sądzisz? To prawda, że jest chory, ale żadna psychoza nie wytłumaczy tego, co zrobił. Gary myślał prąciem i okłamywał Isabel. Mam nadzieję, że pójdzie za to do piekła, ale Curtis zrobił coś znacznie gorszego.

- Ale Curtis... - Rudy ugryzła się w język. - Nie, nic nie powiem. Nie będę go broniła.

- Ja myślę - rzekła Emma ponuro.

- No, cóż - powiedziała Isabel i wszystkie spojrzałyśmy na nią. - Chodzi mi o to, że Gary okazał się wiarołomny. Nie chcę powiedzieć: zgrzeszył.

- Nie żył zgodnie z przykazaniami?

- Dziękuję ci - powiedziała Isabel. - Jakkolwiek nazwać jego postępek, Gary nigdy nie poniósł odpowiedzialności, nie zadośćuczynił za krzywdę, jaką mi wyrządził, a powinien był za to zapłacić, dać mi jakąś rekompensatę. Tak samo Curtis.

- Masz rację.

- Nie dla zemsty - ostrzegła Isabel, widząc błysk w oku Emmy. - Dla równowagi.

- Ona ma rację, Rudy - powiedziałam. - Wyrzucić go z domu.

- Jest w podróży. Wróci dziś wieczorem.

- Kiedy?

- Późno. Zamyśliłyśmy się.

- Ja się go boję - powiedziała Rudy słabym głosem.

Temperatura w pokoju spadła. Isabel i ja wymieniliśmy spojrzenia.

- Czemu? - zapytałam od niechcienia.

- On mnie nigdy nie uderzył ani nic takiego. No, kiedyś raz, ale to było bardzo dawno temu. Chodzi raczej... to pewnie tylko ja, ale... - Poruszyłyśmy się w krzesłach, zniecierpliwione. Rudy zamknęła oczy. - Boże, posłuchajcie. Nie wiem, jak on to robi, że postępuję tak jak on chce. Nie zmusza mnie siłą, ale boję się go mimo wszystko. On mnie przeraża i wstydę się tego.

Położyłam dłoń na jej ramieniu.

- Powiedz mi prawdę, Rudy. Czy ty go ciągle kochasz?

- Nie wiem, Lee. Jak mogłabym? - Nos jej się zaróżowił. - Myślę, że moja miłość umiera. Właśnie teraz. Czuję to. Jest jak poronienie.

- Pójdę z tobą, jeżeli chcesz. - Emma przerwała ponure milczenie. - Mnie ten sukinsyn nie przeraża.

- Mnie też nie - powiedziałam. Uprzedzę Henry'ego, że wrócę później.

- Wszystkie pójdziemy. - Isabel oparła się o laskę i podźwignęła na nogi. - Weźmy lepiej dwa samochody. - Spojrzałyśmy na nią pytająco. - Skoro Rudy nie będzie jechała potem do Emmy. Zostanie w domu.

TLR

## *Rudy*

Rozszalałam się na studiach magisterskich. Nie na pierwszych latach - z jakichś przyczyn cała trucizna, jaką wchłonęłam w dzieciństwie, przedostała się do mojego krwiobiegu dopiero wtedy, gdy miałam dwadzieścia sześć-dwadzieścia siedem lat. Aż dziw, że żyję. Nikt, kto zna mnie teraz (z wyjątkiem Curtisa), nie wie, jaka byłam. Emmę poznałam później i nigdy jej o tym nie mówiłam, w każdym razie nie wszystko. Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu, gdy Lee się wygadała: „Wzięłam sobie kochanka na jedną noc”. Wydawała się taka zawstydzona. Gdybym dostawała piąta za każdego kochanka...

W tamtych czasach nikt nie uznawał mnie za dziwkę - tak mi się przynajmniej wydawało. Nie zyskałam sławy łatwej dziewczyny. Myślę, że z powodu mojego wyglądu (szacownego). Przeszłam przez wiele łóżek. Zadawałam się z niewłaściwymi mężczyznami - szalonymi, żonatymi, zwariowanymi. Używałam seksu jako leku znieczulającego - już wtedy znałam to określenie, rozumiałam jego kontekst terapeutyczny. W każdym razie puszczałam się. Pomagało mi to, że mężczyźni naprawdę mnie pragnęli, mogłam mieć każdego, którego zechciałam. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że postępuję nagannie. To nie był tylko seks. Brałam narkotyki i nadużywałam alkoholu. Uczestniczyłam w terapiach odwykowych. Pierwszy raz w wieku trzynastu lat. To było w Durham. Pamiętam, że psychoterapeuta był szczególnie niekompetentny.

Lekką ręką przepisywał mi psychotropę, więc oprócz nielegalnych brałam mnóstwo legalnych prochów.

Żyłam wtedy szybko. Seks uprawiałam dla rozrywki, piłam alkohol i brałam narkotyki, żeby zagłuszyć strach. Bałam się, że już jestem albo zaraz będę schizofreniczką albo popadnę w stan maniako-depresyjny. Co wcale nie było paranoidalnym złudzeniem - obie te choroby przewijają się w mojej rodzinie. Pomyślcie, że chwyciłam się wariackiego sposobu, żeby uniknąć wariactwa. Też tak myślę. Od tamtej pory nic się nie zmieniło. Eryk zaprzecza, ale ja mu nie wierzę.

A oto jak poznałam Curtisa. Chodziłam wówczas z Jeanem-Etienne'em Leutze'em - Szwajcarem, który jakoby studiował dramat na Duke, a tak naprawdę zapijał się na śmierć. Naturalnie czułam do niego pociąg. Stanowiliśmy niezłą parę. „Ognistą” - jak określało nas nasze grono przyjaciół. Którejś nocy awanturowaliśmy się w ciasnym, brudnym mieszkanku Jeana-Etienne'a, w podupadłej studenckiej dzielnicy oddalonej od campusu. Aż do tej nocy wyżywaliśmy się w tych awanturach, byliśmy naprawdę twórczy, myślałam, w obelgach, jakie wymienialiśmy i ciężkich przedmiotach, którymi rzucaliśmy w siebie. Doznawałam przy tym ożywczego uczucia ucieczki - jakbym wdychała świeże

powietrze przez szeroko otwarte okna. Jean-Etienne był dla mnie idealnym mężczyzną, myślałam, przynajmniej w tym miejscu i czasie.

Nie mogło to trwać wiecznie. Przemoc narastała. Którejś nocy zbił mnie i wyrzucił z mieszkania - dosłownie, za drzwi i łup o ścianę na podeście. Nic mi się nie stało, żadnych połamanych kości, lecz byłam bardzo pijana i - wstyd powiedzieć - prawie naga, w samych majteczkach.

Curtis mieszkał obok. Widziałam go raz czy dwa, króciutko, w przejściu, ale to wystarczyło, żebym pomyślała: „Ty tu nie pasujesz”. Wyróżniał się zdrowym wyglądem. Blond włosy, niebieskooki i poważny, zawsze z książkami pod pachą. On też mnie zauważył, ale zakładałam, że z powodu awantur i wrzasków, które słyszał przez ścianę.

Wyszedł ze swego mieszkania i znalazł mnie skuloną na schodach, na wpół naga, obolałą, załknioną. Było późno, dobrze po północy, ale Curtis był w pełni ubrany - w spodniach, w koszuli polo i w kapciach. Pomógł mi wstać, zaprowadził do swego pokoju i wcale nie traktował jak przedmiotu pożądania seksualnego. To było nowe i uwodzicielskie doświadczenie. Od tamtej pory ma nade mną władzę i jest w pełni świadom swej mocy. Wykorzystywał ją w dobrym celu wielokrotnie. Ale tamtej nocy była to dla mnie nowość i bez namysłu poddałam się jej urokowi.

Ubrał mnie w swój szlafrok i włożył do rąk filiżankę kawy na wytrzeźwienie. Pamiętam, że chciał wezwać policję i to mnie wzruszyło, sprawiło, że poczułam taką wdzięczność, jakby się o mnie zatroszczył jakiś rycerz. Przegadaliśmy kilka godzin - to znaczy ja gadałam, a on słuchał - to też było bardzo uwodzicielskie. W tamtych czasach wyglądał smarkato, nie udawał, że wszystko wie, ale już miał tę piękną cechę powściągliwości, która tak mnie w nim pociągała. Ja nie mogłam się tym poszczycić.

Gdy przyszła pora się kłaść, zakładałam, że będziemy spali razem. Lecz zaskoczył mnie - przyniósł prześcieradła, koc i poduszkę i pościelił mi pięknie na swojej kanapie. Nawet mnie nie pocałował.

Rano zbudziłam się pierwsza. Wzięłam prysznic w jego czyściutkiej łazience - całkowitym przeciwieństwie chlewu w łazience Jeana-Etienne'a - a potem weszłam do pokoju i wśliznęłam się do łóżka obok Curtisa. Wyobrażałam sobie, że tak mu się odwdzięczę. Przysługa za przysługę.

Odrącił mnie. Pragnął mnie - spał nago, więc to było widoczne - ale nie chciał mnie wziąć w taki sposób. Nic nie mówił, tylko lekko się uśmiechał. Zawstydyłam się. I poczułam się w jego władzy.

Powstał pewien wzorzec - widzę to teraz wyraźnie - ja jestem winna, on wybaczący. Potępia, ale pozwala się udobruchać. Minęły tygodnie, zanim zostaliśmy kochankami. Doprowadził mnie do tego, że szalałam z pożądania, już wtedy wiedziałam, że robi to celowo. Podobało mi się to. Włączyłam się w tę grę ochoczo, umartwiając się i utrzymując w ryzach, ponieważ to mu się podobało. Szybko uzależniłam się od jego władzy nade mną. Nie był podobny do żadnego znanego mi mężczyzny. W

przeciwieństwie do mnie wiedział dokładnie, czego pragnie: kariery politycznej. Prawo, które studiował, było jedynie środkiem do tego celu.

Nasz związek od początku nie był łatwy. Dla ludzi z zewnątrz układ wyglądał tak: Curtis jest moim panem, ja jego niewolnicą. Ale nie wszystko bywa takie, jakie się wydaje, i nigdy nie jest proste.

Tuż przed wyjazdem z Durham powiedziałam Curtisowi, że jak się przeprowadzimy do Waszyngtonu, chcę zamieszkać osobno, we własnym mieszkaniu. Nie zrywałam z nim, potrzebowałam tylko trochę przestrzeni, jak to się mówi. Chciałam trochę zwolnić. W rzadkich chwilach samowiedzy rozumiałam, że jego zaborczość jest szkodliwa, a mój współudział w niej graniczy z patologią.

Poza tym nie byłam jeszcze przygotowana na stały związek. Wciąż potrzebowałam miejsca do działania, swobody i wcale nie pragnęłam tej całej stabilności, którą reprezentowała dobra strona Curtisa. Kłamię - pragnęłam, ale bałam się.

Nie mogłam uwierzyć w to, co się stało potem. On usiłował mnie od tego odwieść, oczywiście, bardzo rozsądnie i metodycznie, jak tylko Curtis potrafi, ale ten jeden raz się oparłam. Zaczął więc ze mnie drwić i naśmiewać się, co już było trudniej znieść, ale jakoś zniosłam. Nie ustąpiłam.

Więc zaczął pić.

Alkoholizm to w rodzinie Lloydów cecha uwarunkowana genetycznie, co do tego nie ma wątpliwości, ale jakież to luksus, myślałam, pochodzić z rodu skażonego tylko jednym poważnym felerem. Curtis upijał się, choć pił tyle co nic: piwo w sobotnie popołudnie albo kieliszek w restauracji i zwykle kończyło się na tym, że musiałam dopijać za niego. Za trzy tygodnie miał przystąpić do egzaminu adwokackiego i uczył się jak szalony. W dzień po naszej kłótni o wspólne mieszkanie wróciłam z uczelni do domu (wciąż pisałam pracę magisterską z historii sztuki) i zastałam go nieprzytomnego na tapczanie. Myślałam, że jest chory - nie docierało do mnie, że może być pijany, nawet wtedy, gdy zobaczyłam butelkę whisky wystającą spomiędzy poduszek. Kiedy wreszcie połapałam się, co zaszło, pomyślałam: „Och, to tylko drobna aberracja”. Napoiłam go kawą i wepchnęłam pod prysznic. Nie powiedział na to nic, ani jednego słowa: pijany w trupa, potrafił mimo to się kontrolować.

Gdy wytrzeźwiał na tyle, by móc funkcjonować, włożył czyste ubranie i wyszedł z domu, wciąż nic nie mówiąc (jakaż potężną bronią jest milczenie). Wrócił z trzyćwiertniową butelką wina i tak było przez następny tydzień. Wychodził do sklepu po wino i pił za zamkniętymi drzwiami sypialni.

Szalałam. Jak już mówiłam, mieliśmy bardzo niewielu wspólnych przyjaciół, a wśród nich ani jednego, do którego mogłabym zadzwonić. Zatelefonowałam więc do jego rodziców do Savannah. Na nic się to nie zdało, rozmowa była istic surrealisticzna, jak próba zainteresowania ryby faktem, że jej pociecha tonie. Kiedyś, gdy Curtis był w łazience, wbiegłam do sypialni i próbowałam wykraść mu zapas alkoholu. Bałam się, że umrze od tego picia. Wyglądał jak śmierć, śmierzdzący, brudny i zaniedbany, co było podwójnie wstrząsające u człowieka zwykle tak wymuskanego. Złapał mnie, zanim

zdołałam uciec z butelkami, i po raz pierwszy i jedyny uderzył mnie. Nie mocno, był zbyt pijany, ale straciłam równowagę i rozciąłam sobie czoło o framugę drzwi.

Curtis zobaczył krew i zaczął płakać. Wrócił do łazienki i zwymiotował. Myślałam, że to koniec, że to położy kres picciu, ale gdzie tam.

Dałam spokój.

- Nie opuszczę cię - powiedziałam i oboje płakaliśmy jak dzieci. - Znajdziemy jakieś mieszkanie w Waszyngtonie, piękne mieszkanie na wzgórzu, będziemy bogaci i szczęśliwi. Staniesz się sławny, zostaniesz prezydentem, a ja pierwszą damą i zawsze będziemy razem. - Dygotał cały, nie mógł przestać łkać, wydawał suche szczenięcia bólu, których nigdy nie zapomnę, chociaż nic podobnego nigdy więcej się nie zdarzyło. Jego życie, gdy przyszedł do siebie, wróciło do normy i stał się znów poważnym, trzeźwym facetem, skupionym na sobie.

Myśl, że mogę mieć nad nim władzę, że mogłabym zniszczyć mu życie, po prostu odchodząc od niego, przeraziła mnie i przejęła. To wielka odpowiedzialność, myślałam. Będę musiała być bardzo dbała i kochająca, ogromnie delikatna wobec niego.

Trzeba było lat, żebym zobaczyła - i to tylko w rozmazanych przeblyskach, nigdy wyraźnie i nigdy na długo - że to tylko gra, że on jest nadal u władzy, nie ja. Udaje słabego, żeby mnie przytrzymać przy sobie.

Cóż, od tamtej pory nic się nie zmieniło. Jego prawdziwe barwy są wreszcie dla mnie widoczne, kobiety dotąd ślepej. Koniec z tym. Myślę, że już koniec. Jak mogłabym zostać z mężczyzną, który jest bardziej zwariowany ode mnie. Obmyślił diabelski plan: uda śmiertelnie chorego, a ja jako dobra żona nie opuszczę go w potrzebie.

- Myślę, że powinnaś wyrzucić wszystkie jego ubrania na ulicę.

Spojrzałam na Lee. Właśnie z piskiem opon skręcała na dwupasmową autostradę Rock Creek, między pędzące samochody. Może nie powinna prowadzić, ale sama zaproponowała, Isabel ją poparła i to się wydawało rozsądne - byłam za bardzo zdenerwowana, aż dostałam czkawki. Nigdy nie widziałam Lee tak rozgniewanej, prowadziła tak ryzykownie, że trzymałam się uchwytu u drzwi i żałowałam, że samochód Curtisa nie ma poduszki powietrznej po stronie pasażera. Powinnam była wsiąść do samochodu Emmy, która jechała tuż za nami swoją małą czerwoną mazdą.

- I stanowczo wezwij ślusarza - dodała Lee. - Powinnaś to zaraz zrobić. Musisz zmienić wszystkie zamki w domu, Rudy. Weź telefon z mojej torebki.

Wyjęłam telefon, ale wezwanie ślusarza było ponad moje siły. Odwróciłam się, żeby spojrzeć na Isabel i wywnioskować, co o tym sądzi.

- Niezła myśl - powiedziała. - Ale chyba można z tym poczekać, aż przyjedziemy na miejsce.

- Dobra - rzekła Lee tonem „nie mów, że cię nie ostrzegłam” - ale ślusarz pewnie będzie mógł przyjść dopiero jutro. Czas jest sprawą istotną. Jeszcze jedno - jak tylko przyjedziesz do domu, musisz

zadzwoń do banku w sprawie twoich kart kredytowych. Curtis z zemsty może próbować cię od nich odciąć, więc musisz go uprzedzić. Masz teraz nad nim przewagę, on jeszcze nie wie, że go rzuciłaś, ale jak tylko się dowie, może się zrobić nieciekawie. Znasz jakichś dobrych prawników? Zadzwoń do matki, ona zna wszystkich. Isabel, możesz polecić tego, który występował w twojej sprawie z Garym? Szczerze mówiąc, myślę, że Rudy potrzebuje kogoś ostrzejszego. - Obnażyła zęby. „Pieprzony prawnik” - to określenie wciąż brzmiało echem w mojej głowie. Do dziś nigdy nie słyszałam, by Lee użyła mocniejszego słowa niż cholera. Przeraziła mnie. Cieszyłam się, że jest po mojej stronie.

- Daj mi telefon - powiedziała - muszę zadzwonić do Henry'ego.

- Ja wybiorę numer. - Brała zakręty z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Wołałam, żeby trzymała obie ręce na kierownicy.

- Nie dzwoń do domu. Tam go nie ma. Jest u matki. - Palce mi drżały. Musiałam dwa razy wybierać numer. Nie wiedziałam, co bardziej czułam - lęk czy podniecenie, strach czy oczekiwanie. Zbierało mi się na mdłości z powodu zawodu. Sprawcą był mój najlepszy przyjaciel. Człowiek, któremu najbardziej ufałam.

- Zajęty - powiedziałam. - Zadzwoń do Eryka. - Wybrałam jego numer i z konsternacją wysłuchałam głosu automatycznej sekretarki. - Eryk? Tu Rudy - powiedziałam, gdy nagranie się skończyło. Czknęłam i zaśmiałam się. - Mam czkawkę. Pędzę samochodem z Isabel i Lee. Emma podąża za nami, jedziemy do mnie. - Lee i Isabel parsknęły śmiechem. Wszystkie byłyśmy w histerycznym nastroju. - Nie uwierzysz, co się stało. Curtis oznajmił mi, że ma leukemię - to jest ta tajemnica, o której nie chciałam ci powiedzieć - a dziś odkryłam, że to kłamstwo.

- Powiedz mu o wazektomii - powiedziała Lee, skręcając w Independence Avenue.

- Ponad rok temu poddał się wazektomii. Nie jestem pijana i nie brałam żadnych środków, to się zdarzyło naprawdę! Więc go porzucam. A właściwie porzuciłam, a teraz go wyrzucam. Są ze mną wszystkie Gracje Ratowniczkę. Chciałabym, żebyś był tutaj. Jeśli wkrótce wrócisz, zadzwoń do mnie do domu. Jeżeli w ogóle wrócisz. Byle dzisiaj w nocy. Zadzwoń do mnie, proszę. Bardzo, bardzo chcę z tobą porozmawiać.

- Rozłącz się - powiedziała Lee - muszę zadzwonić do Henry'ego.

- Życz mi szczęścia - powiedziałam do słuchawki. Upuściłam telefon na kolana. - O Boże! Co ze mną będzie! Jak mogę to zrobić? Czy mogę to zrobić?

- Możesz. - Isabel przechyliła się przez siedzenie i wyjęła mi telefon z ręki. - Lee, jaki jest numer do twojej teściowej?

Okazało się, że Henry'ego tam nie ma, otrzymał nagle wezwanie. Lee przedstawiła Jenny w kilku zdaniach sytuację i Jenny powiedziała, że spróbuje przekazać wiadomość synowi.

- Tak, zrób to - rzekła Lee - to naprawdę ważne. Skąd było to wezwanie? Jasna cholera! - Isabel i ja wytrzeszczyłyśmy na siebie oczy. Lee biła tego wieczoru wszelkie rekordy. - On jest aż w Burke -



przekazała nam. - Powiedz mu, żeby jak najprędzej przyjechał do Rudy. Tak, on wie, gdzie to jest. Tak. Na Kapitolu. On wie. Dobra, Jenny. Pa. - Rozłączyła się. - Kazała nam uważać. Ha! Spróbujemy - rzekła spiesznie, opanowując się. Skręciła w moją ulicę. - Czy mam schować samochód?

- Czy masz schować samochód?

- Jeżeli go zobaczy, to go zabierze. Chcesz zatrzymać jeepa czy to auto?

- Jejku. - Nie mogłam się skupić. - To jego samochód. Myślę, że oba są jego.

- Oba są zapisane na Curtisa?

- Chyba tak. Nie wiem. Może jeep jest na nas oboje. Lee wymamrotała jakieś przekleństwo.

- Dobrze, do diabła z nim. - Znalazła miejsce przed domem i zaparkowała wzdłuż krawężnika. -

Mam nadzieję, że lubisz jeździć metrem.

Wysiadłyśmy z samochodu i wtedy zobaczyłam światło na ganku.

- Och, nie, och, nie, och nie. Isabel wzięła mnie pod rękę.

- Jest w domu?

Kiwnęłam głową. Był w domu, a więc przeczytał moją karteczkę: „Byłam u doktora Slatera.

Wiem wszystko. Opuszczam cię”.

Emma wysiadła z samochodu i podeszła do nas.

- Rudy, zostawiłaś zapalone światło?

- Nie.

- Aha.

- On tu jest - potwierdziła Lee i w blasku latarni ulicznej ujrzałam oczekiwanie w jej oczach.

Emma wzięła mnie za obie dłonie.

- Jesteś przemarznięta i masz wilgotne ręce. - Zaczęła je rozcierać. - Posłuchaj, Rudy. Jeżeli chcesz, pozostaniemy na zewnątrz. To zależy od ciebie. Jeżeli chcesz z nim rozmawiać sama, to twoja sprawa.

- Nie, chcę, żebyście weszły ze mną. Odetchnęły wszystkie z ulgą.

- Potrafisz to zrobić, jesteś silna - oświadczyła z mocą Emma, patrząc mi w oczy. - Za kilka minut najtrudniejsze będziesz miała za sobą.

- Jesteśmy z tobą - dodała Isabel. - Nie będzie tak źle.

- Słusznie - podchwyciła Lee. - Jesteśmy razem i na każdą przypadnie jedna czwarta trudności.

- Rozumiesz? - rzekła Emma i przez chwilę myślałam, że zmusi nas do tajemnego uściśnięcia sobie rąk. - Chodźmy.

Ruszyliśmy chodnikiem ramię w ramię, po wojskowemu. Nie za szybko z uwagi na Isabel. Rozdzieliłyśmy się przy schodach, zbyt wąskich, abyśmy mogły wejść na nie we cztery. Ale nie utraciłyśmy bojowego ducha i szłyśmy jak na bitwę stawić we cztery czoło jednemu sprytnemu, niebezpiecznemu wrogowi o nieprzewidywalnych reakcjach. Jakaś część mnie była wciąż w nim zakochana.

Wyjęłam klucz i otworzyłam drzwi frontowe. Światło w holu było zapalone, Curtis właśnie schodził po schodach. Zatrzymał się, kiedy mnie zobaczył. Jego twarz, blada przedtem i zacięta, rozpromieniła się w radosnym, zdumionym uśmiechu.

Zmięklam, zaczęłam topnieć jak śnieg w słońcu. Potem otworzyłam szerzej drzwi i zobaczyłam, kto jest ze mną. Ulgę w jego twarzy zastąpiła jawna wrogość i odzyskałam swoje zdecydowanie. Ale był to niebezpieczny moment.

- Co to ma być, sypialniane party?

„Słusznie - pomyślałam - bądź przykry, pomóż mi się z tego wykaraskać”. Lee, ostatnia z wchodzących, zamknęła drzwi za sobą.

Między samochodem a domem przestałam czkać.

- Curtis? - powiedziała wysokim, piskliwym głosem. - Curtis, chcę, żebyś opuścił ten dom. - Moje słowa brzmiały spokojnie. Była to, oczywiście, gra, wewnątrz byłam rozdarta i wylękniona.

- Rudy - rzekł Curtis, jakby nie słyszał, co powiedziałam. - Musimy porozmawiać.

- Nie będę z tobą rozmawiała. Chcę, żebyś sobie poszedł. Zamieszkać sobie w hotelu albo ze swoim przyjacielem Teeterem.

- Rudy - rzekł przez zaciśnięte zęby. - Powiedz, proszę, swoim przyjaciółkom, żeby nas zostawiły samych. Mam ci dużo do powiedzenia, ale nie chcę tego robić przed całą widownią. - Wyciągnął do mnie rękę - subtelna kapitulacja. I dodał: - Proszę.

Spojrzałam na Gracje. Nie spodobałoby im się to, ale odeszłyby, gdybym o to poprosiła. Przy najmniej Lee i Isabel. Emmy nie byłam pewna. Ale powiedziałam:

- Nie - bardzo zdecydowanie - one nie wyjdą - i po ich rozjaśnionych twarzach poznałam, że są ze mnie dumne. - Jeśli ktoś stąd wyjdzie, to będziesz nim ty - dodałam wojowniczo.

- Mylisz się. Porozmawiamy później - rzekł, odwrócił się i pomaszerował po schodach na górę.

Emma, Lee i Isabel patrzyły na mnie.

- Curtis! - krzyknęłam. - Wynoś się!

Żadnej odpowiedzi. Znikł za zakrętem schodów. Czemu myślałam, że to będzie łatwe?

- Co teraz? - Rozejrzałam się z rozpaczą.

- Byłaś wspaniała - powiedziała Emma, potrząsając moim ramieniem.

- Tak - potwierdziła Isabel.

- Byłam - rzekłam słabo. - Nie ugięłam się.

- Ale to nie koniec - powiedziała Lee. - Musisz go wyrzucić.

- Ale jak?

- Porozmawiaj z nim. „Och, Isabel - pomyślałam, nie spodziewałam się po tobie takiej naiwności”. - A my - dodała - pójdziemy z tobą.

- Pójdziecie? Wszystkie razem?

Kiwnęły głowami.

Jakie to dziwne. Ale nie chciałam teraz o tym myśleć.

- Dobra, chodźmy.

Twarz Curtisa, kiedy nas zobaczył, była nie do opisanego. Stał schylony przed otwartą szafą. Zdjął krawat i zabierał się właśnie do pantofli.

- Co to, u licha, znaczy? - Próbował się śmiać, ale twarz miał zeszywniałą z oburzenia.

Drżącym palcem wskazałam jego neseser rzucony na łóżko.

- Dobrze, że się jeszcze nie rozpakowałeś, możesz to zabrać z sobą, jak będziesz wychodził.

Patrzył na mnie, jakby mnie nie poznawał. Potem głęboko westchnął i przybrał wybaczący wyraz twarzy, który dotychczas tak dobrze działał.

- Rudy, to nie pora, żeby o tym dyskutować.

- Zgadza się. Toteż nie dyskutuję. Chcę, żebyś się wyniósł. Wiesz, co zrobiłeś, nie zaprzeczysz. Dlatego to nie ja odejdę, lecz ty.

Isabel stała po mojej prawej ręce, Lee po lewej. Emma usiadła na łóżku - eskalacja agresji, taktyka osaczania wroga. Zdobywanie przyczółków i okopywanie się na swoich pozycjach.

Curtis zażartował w stylu: zrównoważony mężczyzna przeciwko irracjonalnym kobietom:

- Isabel, czy mogłabyś przemówić do rozsądku swoim przyjaciółkom?

Isabel zrobiła dwa kroki w jego stronę. W jednej ręce miała laskę, w drugiej torebkę, wciąż miała na sobie palto - wszystkie byłyśmy w paltach.

- Rudy prosi tylko o sprawiedliwość. Oczekuje trochę wielkoduszności. Nie sądzisz, że jesteś jej to winien?

Strasznie ją wtedy za to kochałam. Była moją orędowniczką, najlepszym przyjacielem. Z pewnością jej proste słowa dotrą do Curtisa, pomogą mu dostrzec jego postępek we właściwym świetle.

Curtis uśmiechnął się, wypuścił powietrze przez nos. Nie zdobył się na to, żeby jej odpowiedzieć.

Lee chrząknęła.

- Sądzisz, że ujdzie ci to na sucho, co? Po tym, co zrobiłeś, nie myślisz chyba, że Rudy ci przebaczy i wszystko wróci do normy.

- Odwał się - warknął Curtis.

- O nie, mój drogi - rzekła Lee z godnością. - Sam nawarzyłeś tego piwa i sam je wypijesz. Rudy nie potrzebowałaby nas tutaj, gdybyś nie był takim tyranem.

- Tyranem?

- Tak, tyranem.

- Curtis - rzekłam. Spojrzał na mnie z nadzieją. Z moimi przyjaciółkami dał już za wygraną. - Tu nie ma nic do powiedzenia. Nic cię nie tłumaczy. Wiem, co zrobiłeś. Wiem nawet, dlaczego to zrobiłeś, więc nie ma o czym mówić. Proszę, żebyś się wyniósł. To wszystko, o co cię proszę.

Wyminął Isabel, stanął tak blisko mnie, że musiałam użyć całej siły woli, żeby się nie cofnąć.

- Porozmawiamy później - rzekł cicho, tylko do mnie. - Pójdę, skoro tego chcesz, ale wrócę, gdy nie będzie twojej straży przybocznej i porozmawiamy o tym, Rudy, ty wiesz, że musimy porozmawiać.

Czy on o to prosił? Po pięciu latach mieszkania razem i sześciu latach małżeństwa? Musieliśmy porozmawiać. Pełne napięcia, niezdecydowane milczenie przeciągało się. W lustrze na drzwiach szafy widziałam, jak Emma opuszcza głowę, jak opadają jej ramiona. Bała się, że ustąpię, i wiedziała, że jeśli Curtis dorwie mnie samą, wygra.

- Nie. - Moje przyjaciółki sapnęły z ulgą. - Przykro mi, Curtis. Rozmawiać będziemy w biurze adwokata.

On ciągle potrząsał głową.

- Nie mówisz poważnie. Zmądrzejesz, jak się nad tym zastanowisz. Znam cię, Rudy...

- Ja właśnie zmądrzałam. Jest to bardzo - wciągnęłam powietrze - odświeżające. Curtis, proszę cię, odejdz z łaski swojej.

- Posłuchaj - rzekł gorączkowo - miałem ci to powiedzieć dziś wieczorem. Ja sobie sam ze sobą nie radzę. Wiem, że to nie było fair, ale chciałem cię zatrzymać. Dziś wieczorem miałem ci powiedzieć prawdę, przysięgam, i zaproponować, żebyśmy zasięgnęli porady. U Greensburga, jeśli miałabyś ochotę.

- Och, Curtis - nie mogłam się powstrzymać i roześmiałam się. Zaraziłam śmiechem Emmę i Lee. Nawet Isabel uśmiechnęła się ze smutkiem. Uwierzyłabym mu, gdyby nie wspomniał o Eryku.

- Pierdol się, w takim razie, pierdol się - rzekł z jawną złością, z obnażonymi zębami i pełnymi nienawiści oczami. - Zejdz mi z drogi. - Wypadł z pokoju, zderzając się po drodze z Lee, i z łoskotem zbiegł ze schodów.

Nasłuchiwałyśmy, ale frontowe drzwi ani się nie otworzyły, ani nie zamknęły.

- I co? - rzekła Lee.

- Zależy od ciebie - rzekła Emma. - Ja mogę tak całą noc. Isabel kiwnęła głową.

Nie mogłam się zorientować, co czuję.

- Czy to śmieszne? - spytałam Emmę, zaciskając dłonie.

- Jeszcze nie, ale będzie.

- Jesteś pewna?

- Tak.

- To dobrze. - Wymaszerowałyśmy. Po drodze Emma chwyciła neseser Curtisa.

Był w kuchni i parzył kawę. Stanęliśmy za jego plecami, ja w środku. Żółte światło nadało ziemisty odcień naszym napiętym twarzom. Osaczyliśmy Curtisa jak ścigane zwierzę. Mój mąż zdążył jednak odzyskać opanowanie - swoją śmiercionośną broń skuteczniejszą od gniewu.

- To beznadziejne, Curtis - przypominałam nam obojgu - powiedziałeś mi, że masz białaczkę.

Odmierzył bezkofeinową kawę do maszynki i włączył ją. Odwrócił się. Przyłożył zwinięte palce do oczu na podobieństwo lornetki, aby usunąć z pola widzenia wszystkich prócz mnie.

- Nie zawstydzaj mnie - powiedział i po raz pierwszy jego słowa zabrzmiały szczerze. - Daj mi tylko szansę wyjaśnić, czemu to zrobiłem.

Gdzieś w środku poczułam zdradziecką miękkość. Dzięki Bogu za Isabel, która powiedziała:

- Ale to nie jest twoje jedyne kłamstwo, Curtis.

Jak mogłam o tym zapomnieć? Oburzenie powróciło z hukiem tak donośnym, że aż zadzwoniło mi w uszach. Mój mąż zdobył się na tyle przyzwoitości, że spuścił oczy.

- Twój ostatni postępek wystarczy jako podstawa do rozwodu - rzekła Lee. - Potajemnie przeprowadziłeś wazektomię i śmiesz mówić żonie, że pragniesz dziecka? - Zmieszał się. - Chciałeś zostać przyłapany? Przecież, na miłość boską, ty i Rudy chodźcie do tego samego lekarza.

Otworzył usta i zamknął. Powoli zmieniał się na moich oczach. Takiego Curtisa nie tylko nie kochałam, ale nawet mi się nie podobał.

- Nie twój interes - warknął.

Jakie to wzruszające. Sprawił, że poczułam się głupio.

- Co ja takiego zrobiłam? - zapytałam. - Czemu tak długo cię kochałam?

- Bo on jest dobry w tym, co robi - odpowiedziała za niego Lee. - To znaczy w kontrolowaniu ludzi i manipulowaniu nimi. Dla mnie - powiedziała grzecznie do Curtisa - jesteś nikczemny.

- Odpierdol się! - powtórzył. Jakie to żałosne! W kącikach ust zebrała mu się ślina. - Rudy, zabierz je stąd.

- Nie. To ty się zabieraj.

Rzucił się, chwycił mnie za ramiona i pchnął. Nie mocno, lecz Emma z Lee i Isabel natychmiast nas otoczyły. Ktoś zadzwonił do drzwi.

Ktokolwiek to był, oparł się o guzik - ding-dong, ding-dong, ding-dong, ding-dong. Curtis ruszył ku drzwiom, lecz Lee go wyprzedziła. Przypomniała sobie, że wezwała Henry'ego.

Emma przyjrzała mi się badawczo, gdy szłyśmy do bawialni.

- Nic ci nie jest? - zapytała.

Cała się trzęsłam, ale im dłużej to trwało, tym lepiej się czułam. Gdy Curtis mnie pchnął, działało to na mnie jak dawka amfetaminy. Prawie zakręciło mi się od tego w głowie. Byłam nienaturalnie podniecona, ale niebezpieczeństwo mnie ekscytowało.

To nie Henry dzwonił do drzwi, lecz jego matka.

Nigdy nie widziałam Jenny w roboczym ubraniu. Opis, który nam dała Lee, był nieadekwatny. Jenny miała na sobie drelichowy kombinezon i czerwoną flanelową koszulę. Na biodrach skórzany pas z narzędziami, a na nogach zabłocone czarne gumki. Na głowie z fryzurą à la Pompadour czapka z daszkiem z napisem „Patterson i syn”, a na kombinezonie „Jenny” jaskrawożółtymi literami.

- Podobno macie jakiś kłopot - rzekła, cedząc po karolińsku słowa.

- Cha, cha, cha, cha - zaśmiał się Curtis, lecz zabrzmiało to tak sztucznie, że aż zrobiło mi się goźal. - Wspaniale! Zacznie się cyrk! Przyszła lesba do pomocy.

- Uważaj, co mówisz, chłoptasiu - ostrzegła Jenny z błyskiem w oku. Była jak powiew świeżego powietrza w pokoju chorego.

Curtis też to poczuł. Jeszcze walczył, ale już wiedział, że przegrał. W ułamku sekundy domyśliłam się, co zaraz zrobi.

- Nie! - krzyknęłam. Nie zdołał dźwignąć wysokiej i ciężkiej serwantki z brązu i szkła, więc ją pchnął. Wszystkie moje dzbanuszki, wazy, garnuszki, miseczki runęły na parkiet i roztrzaskały się. Zostały tylko iskrzące się okruchy. Wszystko przepadło.

Nikt się nie poruszył. Curtis dyszał ciężko, zmęczony, i patrzył na nas wyzywająco. Emma wydała zduszony, wściekły odgłos. Isabel, dostrzegłam kątem oka, chwyciła ją za rękę i powstrzymała.

Wściekłość Emmy dodała mi energii. Opuściłam ochronny krąg Gracji i ruszyłam ku Curtisowi, bliżej i bliżej, aż znaleźliśmy się oko w oko. Wcale się nie bałam i byłam rada, że potłukł moją kolekcję ceramiki. Podobnie jak przedtem popchnięcie, tak teraz kolejny jego wyczyn rozjaśnił mi w głowie. Wciąż jednak mój głos brzmiał nieswojo. Wyskandowałam:

- Wynoś-się-bo-wezwę-policję.

Roześmiał się.

- I-powiem-Teeterowi-co-zrobiłeś.

Zbladł. W końcu, wbiłam mu osinowy kołek w serce.

- Spróbuj mi zrobić krzywdę. Ty hyclu. Potrząsnął głową. Nie wierzył własnym uszom. Dla podkreślenia dodałam:

- Szczurołapie.

Ktoś się zaśmiał. Chyba Jenny.

Curtis obrócił się na pięcie. My zwarłyśmy szeregi. Myślę, że wciąż jeszcze mógłby coś zrobić, zadać nam, mnie, domowi, jakiś gwałt, ale przytłoczyłyśmy go zmasowanym atakiem. Poza tym jedna z nas miała laskę, a druga dwudziestocalowy klucz do rur.

- Wyjdz - powiedziałam.

Wyszedł.

Jenny rozpałała w kominku. Lee nalała kawy, którą Curtis zaparzył.

Emma wciąż powtarzała:

- Czy ktoś mógłby z łaski swojej docenić mnie za to, że nic nie powiedziałam?

Przestałam się trząść na tyle, że mogłam zadzwonić do Eryka, ale jeszcze go nie było w domu. Zostawiłam mu chaotyczną wiadomość, którą zakończyłam tak:

- Cieszę się, że cię nie ma, doprawdy, bo w ten sposób nie mogłeś mi pomóc i musiałam to zrobić sama.

Nie była to prawda - nie poradziłabym sobie bez przyjaciółek.

- Jedna ocalała. - Isabel trzymała w ręku małą purpurową wazę w kształcie bakłażana. Moje wczesne dzieło i niezbyt udane, ale lubiłam ją. Chyba dlatego się nie stłukła, że jest ciężka.

- Uważaj na szkło - ostrzegła ją Lee z sofy. - Chodź tu do kominka, Isabel.

- Wiedziałam, że jeśli powiem jedno słowo, Curtis wpadnie we wściekłość, więc trzymałam buzię zamkniętą na kłódkę.

- Emma - rzekła Lee - byłaś wspaniała.

- Wtedy, gdy wy, dziewczyny, ratowałyście Grację, ja stałam z boku i przyglądałam się. Tym razem nie robiłam nic celowo. Doprawdy, powstrzymałam się siłą woli.

- Byłaś wspaniała. Naprawdę. Uściskałam ją, a ona w końcu uśmiechnęła się i wydawała się zadowolona.

- Nie, to ty byłaś wspaniała - powiedziała. - Och, Rudy, co to była za chwila. Wzbudzałaś grozę.

- Szczurołap - przypominała sobie Lee. - Strasznie mi się to podobało.

- A w ogóle jak mogłaś się związać z takim chłopem? - dziwiła się Jenny, rozkładając się na otomanie. Zdjęła buty i pas z narzędziami i przekreśliła czapkę daszkiem do tyłu.

- Wciąż mam przed oczyma jego minę, gdy weszliśmy do sypialni - powiedziała Lee, zacieraając ręce.

- Ty też byłaś wspaniała - powiedziała jej Emma. - „Jesteś podły” - rzekła, naśladując głos Lee.

- Naprawdę tak uważam. Curtis nie mógł zaprzeczyć. Rudy, nie czujesz się dobrze? Możesz być z siebie dumna.

- Jestem, jestem - ale nadal dzwoniłam zębami i dygotałam. Ogień w kominku, kawa, koc, którym Emma mnie otuliła, nic nie mogło uśmierzyć tego chłodu i dygotania w środku. Może napiłabym się drinka?

- On już nic nie robi - rzekła Emma. - Nie będzie cię nachodził ani nic takiego. Dopiekaś mu do żywego tym hyclem.

- Tak - przyznała Lee. - Zagroziłaś, że powiesz jego współnikowi, to było świetne zagranie. Teraz możesz mu stawiać warunki.

- Ja nic od niego nie chcę.

- Teraz tak mówisz.

- Nie, naprawdę nie chcę. Jakoś się urządzę. - Otuliłam się kocem, znowu roztrzęsiona.

- Rudy, jeśli nie oskubiesz sukinsyna do czysta, nie będę z tobą rozmawiała - powiedziała Emma, tylko na pół żartem.

Zaczęły rozmawiać o zmianie zamków, powiadomieniu banków i towarzystw ubezpieczeniowych, zdobyciu nazwisk dobrych adwokatów. Lee miała najwięcej do powiedzenia, można by pomyśleć, że się rozwodziła ze sześć razy. Ale to cała Lee, ona zawsze wszystko wie. Powoli, powoli, zaczęłam się odprężyć, rozplątywać wewnętrzne supły. Czy ja się naprawdę uwolniłam od Curtisa? Wyglądało na to, że tak. Ale nawet to mnie przerażało, sama perspektywa powodzenia. Za wcześnie, by się cieszyć. Ta bomba może mi jeszcze wybuchnąć w twarz. I odczułam przedziwną, ogromnie silną potrzebę zatelefonowania do matki. Skąd mi się to wzięło? Wstałam, bo chciałam jeszcze raz zadzwonić do Eryka.

- Muszę już iść - rzekła Lee, uprzedzając mnie. - Kto nas odwiezie? Emma? Jenny, tobie nie po drodze. - Przed godziną Henry zadzwonił z samochodu, dowiedział się, że już go nie potrzebujemy i pojechał do domu. - Isabel, jesteś gotowa?

Żadnej odpowiedzi.

- Ona śpi - powiedziała Emma. - Zasnęła na podłodze.

Lee podeszła cicho do miejsca, gdzie Isabel leżała na boku, do połowy na dywanie i na gołej podłodze.

- Is, śpisz? Szykujemy się do odjazdu. - Uklękła. - Isabel?

Emma i ja zamarłyśmy. Podeszłyśmy bliżej, zaintrygowane tonem głosu Lee. Isabel otworzyła oczy i uśmiechnęła się - a ja wyzbyłam się mrocznego lęku, który mnie tak szybko opanował, że nie zdążyłam go nazwać.

- Wstawaj, śpiochu - mruknęła Lee.

Isabel położyła chudą, białą dłoń na kolanie Lee.

- Nie mogę.

- Czemu? Co się stało? Rudy, wezwij pogotowie!

- Nie, nie. - Isabel zwilżyła wargi językiem. - Zadzwonić do Kirby'ego - powiedziała wolno i wyraźnie.



## Isabel

### Luty

Przeglądając stare listy i papiery, znalazłam notes z adresami sprzed piętnastu lat. Czytałam nazwiska, które tak pilnie wpisywałam, niektóre z uwagami, imionami współmałżonków, datami urodzin dzieci. Nie wiem, jak wytłumaczyć to, że spora liczba tych ludzi, raczej jedna trzecia niż jedna czwarta, nie przedostała się do nowego notesu. Naturalny zanik. Chłodne słowa na określenie życiowych tragedii. Ludzie wyprowadzają się, odchodzą, odpadają po drodze. Gdy my z Garym rozwiedliśmy się, mnóstwo znajomych po prostu rozplynęło się. Ale strata innych była bardziej tajemnicza.

Ta kobieta - Fay Kemper - mieszkała na Thornapple Street, poznałyśmy się w psim parku, tym samym, w którym poznałam Lee. Obie uwielbiałyśmy ogrodnictwo, ona miała córkę w wieku Terry'-ego, godzinami rozmawiałyśmy przez telefon o naszych dzieciach. A jednak zniknęła z mojego życia. Nasi mężowie nigdy się za bardzo nie zgadzali, była to jakaś przeszkoda, jednakże nie jedyna. Lubiłam Fay, ale nie walczyłam o zachowanie znajomości z nią. Ona podobnie. Pozwoliłyśmy sobie odejść. Są całe dziesiątki takich jak ona i wiem, że takie okresowe przyjaźnie zdarzają się w życiu każdego człowieka. Znajomość urywa się i jest to spowodowane różnymi okolicznościami - przypadkiem, apatią, a mimo to mnie smuci.

Całe moje życie pragnęłam mówić ludziom, że ich kocham. Zwykle powstrzymywał mnie od tego lęk, że ich to nie obchodzi, nie będą chcieli słuchać albo że za bardzo mnie wykorzystają, kiedy się dowiedzą.

Teraz jest inaczej. Lata nawarstwiają się jak śnieg na parapecie. Nie mam chwili do stracenia.

Ta pora dnia przeraża mnie. Nie chcę umrzeć zimą. Nie chcę, aby moje ostatnie spojrzenie padło na ten zwarzony zachód słońca przez okno sypialni, na chwiejące się nagie gałęzie na tle zmierzającego nieba. Wiatr jest taki zimny i bezlitosny. Wydaje mi się, że mnie wzywa swoim ochrypłym szeptem.

Chcę odejść, gdy będzie ciepło, a niebo błękitne. Chciałabym słyszeć muchę brzęczącą za siatką, warkot samolotu na bezchmurnym niebie. Rozmowę w sąsiednim pokoju. Śmiech. Czuć zapach trawy.

Nie mogę wybaczyć swemu ciału, że mnie zdradziło. Jestem swoim najlepszym przyjacielem i zawiodłam siebie. Komu jeszcze można ufać? To głupie, wiem. Myśl o mojej śmiertelności mnie nie opuszcza, czasami ustępuje przed atakami paniki. Umieram, przypominam sobie nagle po okresie nie-

wytłumaczalnego zapomnienia i moje żyły rozświetlają się jak bożonarodzeniowe drzewko z przerażenia. Żołądek mi się ściska. Wybucham szybkim, bolesnym płaczem. Potem oddycham głęboko, naprężam ramiona. Ogarnia mnie ciężki, przygniatający smutek. Nad samą sobą, nad wszystkimi na świecie. Jakież ciężar dźwigamy w chwili umierania.

Czemu śmierć jest taką tajemnicą? Tabu, jak seks dla dziewicy, sekret gdzieś skrytynie schowany. Przeżyłam całe życie, wierząc, że wszyscy umrą oprócz mnie.

Tylko tak możemy żyć, jak przypuszczam. To nienaturalne uważać ciało, krew i kości za czasowe mieszkanie, z którego wkrótce zostanie się wyrzuconym. Ale ostatnio przybliżyłam się do poznania sekretu, że śmierć nie jest katastrofą. Życie zatacza koło, a ono nie ma początku ani końca.

## *Marzec*

Emma odwiedza mnie prawie co dzień. Zawsze mnie rozśmiesza. Mówi, że ostatnie słowa chrześcijanina brzmią „O Boże!”, a ateisty: „O cholera!”.

Nigdy nie wymieniła nazwiska Micka Draco, toteż ostatnim razem sama to zrobiłam. (Oczekiwanie na „właściwy moment” jest luksusem, na który już sobie nie pozwalam). Wywarło to na niej wrażenie i sprawiło ulgę, ale niespecjalnie zaskoczyło, że wiem, kto to jest.

- Myślałam, że może się domyślisz - powiedziała. - Tyle razy chciałam ci o tym powiedzieć.

- Ale sądziłaś, że nie pochwalę tego, ponieważ on ma żonę.

- Nie, nie sądzę, że mogłabyś nie pochylać czegoś, co ja robię. Albo ktokolwiek inny, kogo kochasz. Obawiałam się raczej, że nie będziesz zadowolona.

- To prawda - powiedziałam. - Czuję wstręt, a nawet odrazę do cudzołóstwa.

- To w takim razie jest nas już dwie.

- Taka sytuacja bywa bardziej skomplikowana, czyż nie?

- Mick i ja do niczego się nie posunęliśmy.

- A teraz już się skończyło?

- Tak. Ja zerwałam. Poprosił, żebym na niego czekała. Próbuje wyrwać się z tego związku, nie raniąc żony. - Przybrała cierpki, sardoniczny wyraz twarzy. - Co nie wydaje mi się wykonalne, Lee mówi, że oni przez ostatnie pięć lat poddawali się terapii. Powiem tak - nie zamierzam siedzieć i czekać.

- I jesteś teraz szczęśliwa?

- Nie. Jestem nieszczęśliwa.

- Może powinnaś była mu powiedzieć, że zaczekasz. - Ostatnio nie mam żadnych trudności z udzielaniem rad. Jestem ich krynica.

- Ale czekanie to cierpienie, Isabel. Nie ma już we mnie miejsca na cierpienie.

Miała na myśli mnie - cierpi z powodu mnie. Stwierdzam, że więcej pocieszam ludzi, których kocham, niżli boleję nad sobą. Bez ustanku pocieszam. To wyczerpujące. Ale też i dobre. W procesie przekonywania ich, że to, co się przydarza, nie jest tragedią; udaje mi się niemal przekonać o tym samą siebie.

Lee niełatwo pocieszyć, jest taka nieszczęśliwa. Rozwiązanie jednego z jej problemów wydaje się proste, ale nawet ja, in extremis, nie jestem tak zarozumiała, żeby się tego podjąć.

Zabrała mnie na przejażdżkę swoim samochodem. Nie wychodziłam z mieszkania od tygodnia, chyba że do lekarza, na akupunkturę, albo na masaż. Jeżdżę tam taksówką z Kirbym. Ale czułam się dość silna i wybrałam się na tę wycieczkę z przyjemnością. Wzięłyśmy z sobą Grację. Zima się wreszcie skończyła - dziękowałam za to wszystkim bogom: jedno utrapienie mniej: nie umrę nie w porę. Cudownie było pędzić z opuszczonymi szybami, czuć uderzenia powietrza na twarzy. Pojechałyśmy do Virginii śliczną drogą wokół Purcellville i Philomont. Gracja wystawiła swój szary pysk za okno i pęd powietrza zdmuchiwał jej uszy do tyłu - wyglądała jak latający pies.

- Weźmiesz ją do siebie? Lee udała, że nie słyszy.

- Kirby wzięłyby, gdybym go poprosiła. Ale wolałabym, żebyś ty ją wzięła.

Myślałam, że puści to mimo uszu, po prostu nie odpowie.

- Tak, wezmę ją - powiedziała po chwili. Obie udawałyśmy, że to od pędu powietrza łzawią nam oczy.

Słodka stara Gracja.

Ostatnio gracja znaczy dla mnie łaska. Doznałam łaski, by dostrzec - no, nasz związek. Jest taki prosty, że niemal prymitywny. Jesteśmy w tym wszystkie razem, mój gniew rozplątał się w uczuciu jedności ze wszystkim. Wszystkimi.

Dar.

Mimo to o ileż łatwiej by mi było odejść razem z kimś. Och, gdybyśmy mogli kogoś wziąć z sobą. Partnera, towarzysza. O ileż mniej samotny czułby się człowiek.

Mam teraz pomoc dwa razy na tydzień. Przyszła do mnie na wywiad pani z opieki społecznej, a potem co wtorek i czwartek zaczęła mnie odwiedzać popołudniami pielęgniarka. Nazywa się Roxanne Kilmer, jest młoda, ma zaledwie dwadzieścia siedem lat i martwię się, że to niedobry dla niej zawód albo że podjęła się tej pracy za wcześnie. Powinna mieć więcej doświadczenia, więcej wiedzieć o życiu, nim zacznie pomagać takim ludziom jak ja.

Lubię ją jednak i jestem na tyle egoistyczna, by ją zatrzymać. Pomaga mi się kąpać, zmienia pościel, planuje posiłki, zajmuje się lekami. Podoba mi się jej kompetencja i żwawość. Jest dla mnie uprzejma, ale się nade mną nie lituje. Mam Roxanne, mam panią Skazafava, która wyprowadza psa codziennie o czwartej, mam Grację Ratowniczkę. Jedna z najtrudniejszych do zniesienia rzeczy dla ludzi

w mojej sytuacji - zmartwienie, że gdy przyjdą złe czasy, nie będzie komu się o różne rzeczy troszczyć - została załatwiona. Po prostu już jej nie ma na liście moich niepokojów.

Poza tym mam jeszcze Kirby'ego. Pani z opieki społecznej zapisała, że on jest moim „głównym opiekunem”, niby oczywiste, ale z jakichś przyczyn nie zdawałam sobie z tego sprawy i niezupełnie akceptowałam. Przypuszczam, że z powodu jego zdolności do pozostawania w cieniu. I ponieważ wśliznął się w moje życie tak cichutko. Jak szybko rosnąca sadzonka, którą sadzisz jednej wiosny, a już na drugą masz z niej wysoki klon, doskonały w swoim otoczeniu i już nawet nie pamiętasz, jak to miejsce wyglądało w ogrodzie bez niego. Martwię się tylko, że tyle czasu dla mnie traci. Ale on nawet nie chce ze mną o tym mówić, a cóż dopiero godzić się na to, abym robiła mu z tego powodu wymówki. Jest to temat zakazany.

Ostatnio mówienie mnie męczy, więc teraz Kirby mówi, a ja słucham. Początkowo słabo mu to szło, ale się stara, bo wie, że uwielbiam słuchać. Opowiada mi o swoim ojcu, jednym z wyższych oficerów, który zginął w Wietnamie, i o swojej matce, tancerce teatrów muzycznych w Nowym Jorku. Oboje rodzice mieli wpływ na rozwój syna. Po matce odziedziczył twórczą, niekonwencjonalną naturę, po ojcu zaś - zwodniczo spokojną osobowość.

Zapytałam go, czemu jest ze mną.

- Bo cię kocham - rzekł z powagą. - To proste.

Ale czy naprawdę? Zresztą, jakie to ma znaczenie? Ważne, że jest przy mnie i pozostanie do końca. Właściwy, ludzki, godny sposób pożegnania, na jaki nie mógł sobie pozwolić wobec żony i dzieci, ponieważ nie został mu dany? Tak czy inaczej, motywem jest miłość.

Pomaga mi napisać list do Gracji. Ja dyktuję, a on pisze na laptopie. A wieczorami mi czyta. Leżę sobie na sofie przykryta narzutką, obok na podłodze leży Gracja, a Kirby siedzi na fotelu, nogi ma skrzyżowane, głowę odchyłoną do tyłu, aby patrzeć przez połówki szkielec. Jego teatralny głos jest cudownie ekspresyjny, mogę go słuchać godzinami. Czyta mi klasyczne sztuki - Szekspira, Ibsena, Molière'a, Oscara Wilde'a. I powieści uwielbiane przeze mnie w dzieciństwie, które wyszukuje dla mnie w bibliotece - *Dziewczyzna z Limberlost*, *Tajemniczy ogród*, *Małe kobiety*. I Biblię, Koran. To dla mnie wielka pociecha znaleźć się w innym świecie niż mój.

Pomaga mi również w korespondencji. Dostałam mnóstwo kartek z życzeniami powrotu do zdrowia. Jedne miłe, inne nerwowe, pełne wdzięku, jeszcze inne nieporadne, a nawet nietaktowne. Przysyłają je ludzie, z którymi od lat nie miałam kontaktu. Są też tacy, którzy nie piszą, nie dzwonią, w żaden sposób nie dają znać, że wiedzą o mojej chorobie. Przebaczam im. Rozumiem, że dla nich to, co się ze mną dzieje, jest trudne do wypowiedzenia. Nic na to nie mogą poradzić. Ja nie przyjmuję tego do siebie. Kiedyś brałam, ale teraz już nie. Nie mam na to czasu.

Gary należy do tych, którzy milczą. Zadzwoiłam do niego w nadziei na coś, zamknięcie, uznanie, może moje własne wybaczenie. Wyszło okropnie. Nie, to było niemożliwe. A zatem: ja i Gary

umrzemy osobno i z dala od siebie. Wiem to teraz na pewno i to mnie smuci. I pomyśleć, że w końcu nasze śluby na nic się nie zdały.

### *Kwiecień*

Kirby i ja już nie uprawiamy seksu. To po prostu nie jest już możliwe. Ale się kochamy. Jest taka indiańska ceremonia uzdrawiająca, która obejmuje mycie stóp i namaszczenie ciała wonnymi olejkami. On mi to robi, nucąc monotennie stosowne teksty. Sprawia, że moje słabnące, wędzące ciało jest jak świątynia.

W nocy leżymy obok siebie i rozmawiamy o naszym życiu. Kiedyś planowaliśmy podróż, ale już tego nie robimy - ostatnio zarzuciliśmy te marzenia. Tę próżność. Nie jestem już taka chciwa jak niegdyś, nie proszę Boga, by mi pozwolił żyć jeszcze pięć lat, trzy, dwa. Moje ambicje się skurczyły. Nie chcę umrzeć zimą i w szpitalu - to wszystko. Boże, czy widzisz, jaka jestem skromna?

Myślę o napisaniu paru słów, o tym, co nas łączyło - jeszcze nie wiem, co to będzie. Kirby przeczyta to po moim odejściu. Będę żyła w jego wspomnieniach.

Niespodzianka - kiedy już zabrakło nadziei, akceptacja przyniosła ukojenie. Tęsknię za moimi kochanymi przyjaciółkami. Mam dziś bardzo dobry dzień, może jutro też tak będzie. Zadzwońię do Lee, Emmy i Rudy i zaproszę je na jutrzejszy wieczór. Dawno już się nie spotykałyśmy. Mam im tyle do powiedzenia. Najtrudniejsze są słowa pożegnania, a mimo to myślę, że mogłabym je wypowiedzieć. Wierzę, że mogłabym.

Co mogę powiedzieć o sobie? Że kochałam i byłam kochana. Reszta się nie liczy. Jestem zadowolona.

## *Emma*

Isabel umarła dziesiątego kwietnia około północy. Zabił ją zator arterii płucnej. Mam nadzieję, że natychmiast. Kirby'ego nie było przy niej, spał na sofie w bawialni, bo wcześniej była niespokojna, więc pomyślał, że może łatwiej zaśnie sama. Rano znalazł ją leżącą na boku, z zamkniętymi oczyma. Myślę, że to dowodzi, iż umarła we śnie. Kirby powiedział, że kołdra leżała równo, nie była odrzucona. Isabel miała spokojną twarz. Może śniła, że jest wśród przyjaciół, wszystkich nas, którzy ją kochaliśmy. A potem po prostu odpłynęła.

Nie chciała pogrzebu. Napisała w testamencie, że chce, aby po kremacji Terry zrobił z jej prochami, co uzna za stosowne.

Nikomu się to nie spodobało, zwłaszcza Terry'emu, który nie miał pojęcia, co zrobić ze szczątkami matki. My zwłaszcza żalowałyśmy, że nie było czuwania, ceremonii pogrzebowej, niczego. Więc w jakieś trzy tygodnie po śmierci Isabel zaprosiłam tylu przyjaciół i znajomych, ilu zdołałam odnaleźć, i odprawiliśmy nabożeństwo żałobne za nią w moim domu.

Dom był pełen. Tłum nie zmieścił się w bawialni. Ludzie stali w holu, na schodach. Nie było celebransa - Isabel nie należała do żadnego kościoła, trudno więc było wybrać odpowiedniego kapłana. Mistrzem ceremonii, że tak powiem, przy ostatniej posłudze dla Isabel został Kirby. Zawsze uważałam, że on ma w sobie coś tajemniczego, zwłaszcza na początku, zanim go lepiej poznałam. Teraz okazało się, że ta tajemniczość to po prostu wielka miłość do Isabel.

Żałuję, że nie starałam się go lepiej poznać, gdy jeszcze żyła Isabel. Żałuję, że nie byłam dla niego miłsza, ale nie pozwalała mi na to zazdrość. On był intruzem. Mężczyzną. My, Gracje, niechętnie przyjmujemy do swego grona nowe osoby. Lecz Isabel bardzo go kochała i wiem, że to wcale nie umniejszało miłości, jaką darzyła nas, mnie. Isabel miała w sobie tyle miłości, że mogła nią obdzielić wszystkich.

Miała tak wielu przyjaciół. Dla wszystkich nie wystarczyło krzeseł i część osób musiała siedzieć na podłodze bawialni. Zrobiłam kawę i poustawiałam talerzyki ze słodyczami. Gdy tłum się przeredzi, planowałam otworzyć parę butelek i stworzyć bardziej odpowiedni nastrój dla najbliższych żałobników. Myślę, że Isabel by to pochwaliła.

Kirby przyniósł kilka swoich ulubionych płyt i kiedy ustały mowy pochwalne na cześć Isabel, słuchaliśmy Mozarta i Emmylou Harris. Ludzie przychodzili i wychodzili, jakby to było przyjęcie otwarte dla wszystkich i chyba tak było w istocie - sąsiedzi, koleżanki i koledzy szkolni, a także nauczyciele, panie z klubu brydżowego, członkowie grupy wspierającej chorych na raka i kręgu uzdro-

wicielskiego, przyjaciele z grupy medytacji. Wstawali po kolei ze swego miejsca, chrząkali i wzruszająco, bez skrępowania mówili, ile Isabel dla nich znaczyła.

Serce mi zamarło, kiedy wszedł Mick. Bez Sally. Przemaszerował przez tłum do miejsca, w którym stałam, pod łukiem między bawialnią a pokojem stołowym, i wahał się z godzinę, jak mi się zdawało, a w rzeczywistości ułamek sekundy, zanim pocałował mnie w policzek. Był chyba pięćdziesiątą osobą, która mruknęła mi do ucha:

- Bardzo mi przykro - lecz jego słowa usłyszałam, jego współczucie odebrałam jako płynące prosto z serca.

- Dziękuję za przybycie - powiedziałam sztywno. Przypadkowo przechwyciłam spojrzenie Rudy. Uniosła wymownie jedną brew.

Pani Skazafava mówiła o tym, jaką Isabel miała dobrą rękę do roślin i jak jej mały ogródek za domem wszystkich zachwycał. Gracja, pies Isabel, leżała u stóp Rudy, z białym pyskiem na jej nodze. Gracja jest teraz u Rudy. Miała ją wziąć

Lee, ale rozpaskudzoną Lettice jej przybycie przyprawiło o chorobę. Rudy po awanturze z Curtisem przeprowadziła się do nowego mieszkania, więc rozwiązanie nasunęło się samo. Świetnie do siebie pasują. Rudy i Gracja darzą się wielką sympatią.

Lee przeplakała całą ceremonię, od początku do końca. Henry trzymał ją za rękę, dał jej swoją wielką czerwoną chusteczkę, objął ją i pozwolił lkać na swoim ramieniu.

Ktoś przeczytał wiersz. Pani z kręgu uzdrowicielskiego wstała i zaśpiewała pieśń, którą napisała specjalnie dla Isabel. A capella. I zmusiła wszystkich, aby się przyłączyli i śpiewali razem z nią. Przypadkowo nawiązałam znów kontakt wzrokowy z Rudy. Ogromny błąd. Musiałam odwrócić się i ukryć twarz w dłoniach, niby pogrążona w rozpacz. Wkrótce mój śmiech przemienił się w płacz, a wtedy wydmuchałam nos i wzięłam się w garść.

Dzień po śmierci Isabel przyleciał z Montrealu Terry i jeszcze nie odleciał z powrotem. Przed kilku dniami przyłączyła się do niego jego piękna czarnoskóra dziewczyna imieniem Susan i razem przyszli na ceremonię pożegnalną. Myślałam, że wstanie i powie coś o matce, ale tego nie zrobił. Moim zdaniem ze strachu, że się rozpłaczę. (Dlatego sama nie przemówiłam). Przyniósł podłużne pudełko z macicy perłowej, z prochami Isabel w środku, i postawił je na półce nad kominkiem, obok wazonu z liliami. Wszystkie spojrzenia kierowały się na nie.

Gary nie przyszedł. Przysłał jednak kwiaty i napisał kilka miłych słów, które Kirby głośno odczytał. Nie pragnęłam oglądać Gary'ego ani z nim rozmawiać kiedykolwiek w życiu, ale ciekawa byłam, jak się czuje po stracie Isabel. Łudziłam się, że będzie zboleły. Miałam nadzieję, że odczuł jej śmierć chociaż w jednej dziesiątej tak mocno jak ja.

Zaimprovizowane mowy skończyły się. Wstał Kirby. Nigdy przedtem nie widziałam go w garniturze. Dobrze wyglądał w szarym ubraniu, z kamizelką, w białej koszuli, bez krawata. Isabel była

piękna, czystość jej rysów stawała się coraz bardziej wyrazista wraz z postępem choroby - i w dziwny sposób to samo działo się z Kirbym.

- Niewiele mam do dodania - rzekł z rękoma założonymi do tyłu, w wojskowej postawie na spoczynku. - Isabel nigdy nie rozpaczała, mimo że od początku wiedziała, co ją czeka. Jest taki wiersz Walta Whitmana, który lubiła, zwłaszcza ten fragment: „Wszystko podąża naprzód, wciąż naprzód. / Nic nie upada / A umrzeć to nie to / Co ktokolwiek przypuszcza / To coś szczęśliwszego”. Próbowała w to wierzyć i wiem, że czerpała stąd pociechę. Była bardzo dzielna. Zawsze. Kryła się ze swoim bólem i smutkiem, choć wiem, że je odczuwała. Bo nie traciła jednej osoby, którą kochała - tak jak my. Ona traciła wszystkich.

Kirby wyjął chusteczkę z kieszeni i bez skrupowania wytarł nos.

- Isabel wierzyła, że śmierć jest procesem, nie kresem. Powiedziała, że jej zadaniem jest trzymać się życia jak najdłużej - nazywała to swoim karmicznym obowiązkiem. Ale miała również wiarę w to, że coś później przychodzi, coś lepszego. Nie znaczy to, że pragnęła się tam jak najprędzej znaleźć - powiedział z ponurą próbą uśmiechu. - Mówiła bardzo otwarcie o swoich lękach, swoim smutku. Ale jej absolutna wiara, że śmierć nie jest końcem, chroniła ją przed rozpaczą. Chciałaby tylko - chciałaby tylko nie musieć odchodzić samotnie.

Wydawał się bezradny, rozglądając się po pokoju i patrząc na nas zażawionymi oczyma, jakby wolał nie kończyć taką nutą.

- Cóż, pragnę podziękować wszystkim za przyjście. Isabel byłaby wzruszona waszymi dobrymi życzeniami i waszymi słowami. Dziękuję. Dziękuję wam wszystkim bardzo.

Żadna z Gracji Ratowniczek nie przemówiła. Kirby ogłaszał zakończenie formalnej części uroczystości, a żadna z nas nie powiedziała nic o Isabel.

Lee miała usta zakryte chustką Henry'ego, głowę zwieszoną. Była w beznadziejnym stanie. Posłałam Rudy naglące spojrzenie. „Wstań! Wstań i powiedz coś”. Ale ona tylko uśmiechała się tragicznie i potrząsnęła głową. Chętnie bym ją zabiła.

- Chciałabym coś powiedzieć. - Mój głos brzmiał żenująco nosowo, jakbym miała katar. Ludzie, którzy już zaczęli wstawać, usiedli z powrotem. Wszystkie te surowe, wyczekujące twarze zwrócone na mnie sprawiły, że serce zaczęło mi łomotać.

- Chcę tylko powiedzieć... Dziękuję za przybycie i dziękuję Kirby'emu za wszystko. I chcę też powiedzieć... - Jak bardzo mi brak mojej przyjaciółki, jak bardzo ją kochałam i ile dla mnie znaczyła. Jak zacząć? Moje myśli pobiegły wstecz, w poszukiwaniu początku - tego, co powinnam o niej powiedzieć.

- Pragnę także podziękować Lee, Lee Patterson, za to, że jedenaście lat temu wpadła na pomysł założenia grupy Gracji Ratowniczek. - Leżąca na podłodze, u stóp Rudy, Gracja usłyszała swoje imię, uniosła głowę i spojrzała na mnie. - Tak poznałam Isabel. Pierwsze spotkanie odbyło się u niej w do-



mu. Tego samego wieczoru poznałam też ciebie, Terry. Pamiętasz? - Uśmiechnął się i potrząsnął głową. - Miałeś szesnaście lat i byłeś bardzo gburowaty.

Śmiechy.

- Zaczynałyśmy w piątkę, ale jedna się wykruszyła i zostałyśmy my cztery: Isabel, Lee, Rudy i ja. - Utknęłam znowu. - Gdybym chciała powiedzieć, ile Gracje Ratowniczkę dla mnie znaczą, musiałabym mówić do wieczora i jeszcze nie wyczerpałabym tematu. Isabel była od nas starsza i zupełnie inna - jedyna w swoim rodzaju. Zawsze miałam uczucie, że nie zasługujemy na nią. Ja, w każdym razie. Była najłagodniejszą osobą, jaką kiedykolwiek znałam. Bardzo cichą. Była cudownym słuchaczem. Obserwowała ludzi, ale ich nie osądzała. Nigdy nikogo nie osądzała. Zawsze wiedziałam, że mnie kocha. Bardzo.

Cholera. Zaraz to schrzanię, bo się poryczę.

- Myślę - brnęłam mężnie dalej - że nasza przyjaźń wiele nas nauczyła, sprawiła, że dorosłyśmy i dojrzałyśmy. Gracje nauczyły siebie nawzajem bardzo wiele, na przykład, jak tolerować naszą odmienność. Jak funkcjonuje dobre małżeństwo. Jak rozumieć cudze duchowe tęsknoty. Głębszego poczucia humoru, ostrzejszego poczucia ironii. Uścisków. Setki innych rzeczy. Isabel nie była naszą przywódczynią, ale myślę, że była naszym duchem. Ona stała za wszystkim, co dobre i niesamolubne. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale mówiąc najprościej, Isabel była naszą matką. I... bez niej jestem zagubiona. Czuję się jak sierota.

Mówiłam dalej, nie patrząc na Lee i Rudy. Wiedziałam, że gdyby to zrobiła, załamałybyśmy się wszystkie.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że jej nie ma. Od jej śmierci tysiące razy chciałam do niej zadzwonić, żeby jej coś powiedzieć. Coś, co tylko ona zrozumie lub tylko ją zainteresuje, albo na co tylko ona właściwie zareaguje. Nawet podnosiłam słuchawkę i zaczynałam wybierać numer. Potem mi się przypominało. Lee robi to także - mówiła mi. Utraciłyśmy najdroższą, najukochańszą, najbardziej niesamolubną przyjaciółkę. Staram się wymyślić coś dobrego, coś, co uczyniłoby to bardziej znośnym, ale nie potrafię. Umarła, zanim ją dopadły bóle - tylko tak się pocieszam. Cóż, dzięki Bogu za to.

Pod koniec trudno mi było przychodzić do niej w odwiedziny. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Słowa pożegnania wykluczałam, bo... wtedy nie ma już nadziei. Zanim się powie żegnaj, można zawsze powiedzieć coś więcej, wciąż można jeszcze coś naprawić. Naprostować. Jeszcze raz spróbować. Myślę, że właśnie tak żyjemy - odkładając naprawianie życia, mówiąc sobie: może następnym razem. A potem, kiedy już ma nie być następnego razu, nie możemy tego znieść.

Więc nie mogłabym powiedzieć Isabel żegnaj. Nie wiedziałam, czy tego pragnęła, czy nie. Była taka dobra - dostosowywała się do nas. Myślę, że umarła tak, aby to dla nas, które ją kochałyśmy, było najłatwiejsze do zniesienia. To dla niej takie typowe.

Łatwo jej było sprawić przyjemność. W końcu, gdy wreszcie pogodziłam się z tym, że już nic nie da się zrobić, Isabel nie wyzdrowieje - kiedy już wiedziałam naprawdę, że ją stracę - wszystko stało się o wiele prostsze. Skoro nie było przyszłości, wszystko musiało się dziać w danej chwili. Mogłam więc sprawić, że jej twarz rozjaśniała się na mój widok. Mogłam sprawić, że śmiała się z dowcipów. Mogłam powiedzieć: „Kocham cię, Isabel” - i sprowokować uśmiech na jej twarzy. To wszystko, co mogłam zrobić, ale to się wydawało wystarczające. I naprawdę, to jest wszystko, co możemy zrobić dla drugiego człowieka, ale żyjemy złudzeniem, że czas jest nieskończony, że jesteśmy nieśmiertelni i nie ma potrzeby robić niczego dokładnie jak trzeba, a w każdym razie nie teraz, zaraz. Isabel bardzo wiele mnie nauczyła, i ta lekcja jest dla mnie najważniejsza.

Przepraszam. Nie chciałam mówić o sobie. Myślę, że ona się teraz uśmiecha. Myśli sobie: „Jezu, nawet się nie napiła”. Zawsze powtarzała, że jak wypiję więcej niż kieliszek wina, staję się gadatliwa, więc już skończę. Kocham cię, Isabel, i bardzo mi ciebie brak. Rudy opiekuje się twoim psem. Będziemy dbać o Terry'ego. Kirbym też się zajmujemy, by nie czuł się samotny. Mamy nadzieję, że jesteś w jakimś cudownym miejscu, które na ciebie zasługuje. I że odpoczywasz w spokoju. Nigdy o tobie nie zapomnimy. - Zwiesiłam głowę i szepnęłam: - Żegnaj, Isabel. - I ponieważ było to nie do zniesienia, dodałam szeptem: - Porozmawiamy później. Kiedyś się przecież znowu spotkamy.

Rudy i Lee wstały i uściskały mnie. Utworzyłyśmy pochlipujący krąg na środku pokoju. Ludzie przyjęli to za sygnał zakończenia ceremonii. Sporo osób wyszło, ale niektórzy zostali, by jeść, pić i bawić się. Intryguje mnie to, jak można robić takie rzeczy na stypie. Ja też to robię - nie mówię, że to źle, ale zdumiewa mnie to. Bywałam w domach, gdzie zmarły leżał w trumnie, a wszyscy - poza najbliższą rodziną, ale czasami i oni - zachowywali się jak na zjeździe absolwentów. Cóż, robimy to i koniec. Jest to nasz prymitywny, tchórzowski sposób uporania się ze smutkiem i samą śmiercią. Jeśli ktokolwiek byłby w stanie to zrozumieć i wybaczyć, to właśnie Isabel.

Zmieniłam się więc w hostesę, robiłam drinki i podawałam zakąski, dziękując każdemu po kolei. Wszyscy uznali bowiem za stosowne powiedzieć, jaka byłam dzielna, że przemówiłam, i jak to dobrze, że urządziłam u siebie to spotkanie, że to było właśnie to, czego pragnęłaby Isabel. Tymczasem ja byłam stale świadoma obecności Micka. Rozmawiał z Lee i Rudy, a potem długo z Henrym. Ilekroć pozwalałam sobie na niego spojrzeć, przyłapywałam jego wzrok. Minęły cztery miesiące od tego wieczoru, kiedy zerwaliśmy ze sobą. Od tamtej pory nie widziałam go ani razu. Lee już nie spotykała się z Sally tak często jak przedtem, więc to źródło wiadomości wyschło. Mick się nie zmienił. To znaczy wyglądał pięknie. Zdrowiej niż ubiegłej zimy, nie tak blado. Okropnie ostrzyżone włosy odrosły i przybyło w nich srebra. Wyprzystojniał, zrobił się bardziej jeszcze pociągający. Patrzyłam na niego i czułam miękkość w kolanach. Czyżby więc nic się nie zmieniło? Może to nawykowe jak u psa Pawłowa. Jakież głupi ten nasz romans, wzruszający, beznadziejny od samego początku. „Niech cię

diabli, przestań na mnie patrzeć tymi swoimi brązowymi oczyma". Musiał usłyszeć, bo odwrócił głowę.

Terry wywołał mnie na podwórko, żeby porozmawiać na osobności. Jest już zupełnie dorosły, wysoki i przystojny. Ma niebieskie oczy Gary'ego, ale jest w nich łagodność Isabel. Nie flirtujemy poważnie, ale on lubi, kiedy żartuję, że chciałabym, aby był o piętnaście lat starszy.

- Dzięki raz jeszcze, świetnie to urządziłaś - rzekł. - Uznanie w jego głosie miało dla mnie naprawdę ogromne znaczenie.

- Cieszę się, ale ja niczego wielkiego nie zrobiłam.

- Chciałbym, żeby miała normalny pogrzeb.

- Cóż, ale ona tego nie chciała.

- Wiem. Słuchaj, Emma. - Ścisnął nos palcami, męski gest zakłopotania. Nie mogę się pogodzić z tym, że tak wydorósł. Odwrócił głowę i powiedział: - Nie wiem, u licha, co zrobić z prochami. Pogrzebać? Są takie miejsca, gdzie można to zrobić, ogrody pamięci. Ale czy mamie by się to podobało?

Pokręciliśmy zgodnie głowami: nie.

- Czy ona miała jakieś ulubione miejsce? Pytałem ojca, ale on nie wie. Co, twoim zdaniem, powinienem zrobić? Myślałem, żeby je dać Kirby'emu, ale... po prostu nie wiem. Nic mi nie przychodzi do głowy.

- Hm... - Był to problem. Terry wróci do Montrealu, prawdopodobnie ożeni się z Susan i raz na jakiś czas będzie przylatywał do domu, żeby zobaczyć się z ojcem. Po co miałyby prochy Isabel przebywać w Kanadzie?

- Zastanawiałem się - rzekł, patrząc na mnie z nadzieją. -

Pomyślałem, że może Gracje Ratowniczkę zechcą przyjąć na siebie tę odpowiedzialność.

- Nie wiem, Terry. Ona powierzyła je tobie. Musiała mieć jakiś powód.

- Powiedziała, żebym zrobił z nimi, co uważam za stosowne.

- Porozmawiaj o tym z Lee. - Przywykłam, że to ona podejmuje ważne grupowe decyzje.

Potrząsnął głową.

- Ona jest rozbita. Postanowiłem pogadać najpierw z tobą.

- Och! - Pochlebilo mi to. Pomyśleć, że to ja jestem tą przytomną. - Hm, no dobrze. Myślę, że będę wyrazić opinię nas wszystkich, jeśli powiem, że czujemy się zaszczycone. Porozmawiam z Lee i Rudy. Zadzwoń do ciebie albo napisz. W każdym razie powiadomię cię o naszej decyzji.

- Wspaniale. - Uśmiechnął się z ulgą. Zrozumiałam, jakim to było dla niego ciężarem. Śmieszne, ale uderzyło mnie, że my, Gracje, znałyśmy Isabel lepiej niż jej własny syn i że on zdawał sobie z tego sprawę. Dlatego przekazał prochy matki jej przyjaciółkom, ufając, że obejdą się z nimi jak należy. Czy to było smutne? Pociuszające? Nie wiem. Później się nad tym zastanowię.

Uściskaliśmy się z Terryem i popłakaliśmy trochę. Powiedziałam mu jeszcze raz, jak bardzo Isabel go uwielbiała, jaka była z niego dumna. On najbardziej żałował, że matka nie poznała Susan. Powiedziałam, że na pewno by ją pokochała i popłakaliśmy się znowu.

Tymczasem w domu tłum nieco się przerzedził. Teraz wychodzili głównie przyjaciele. Ludzie dziękowali mi raz jeszcze, a ja im za przybycie. Z nawyku rozejrzałam się za Mickiem - stał za moimi plecami.

- Emma - powiedział. - Muszę iść.

Odprowadziłam go na ganek. Słońce już zachodziło, złocąc swoim blaskiem domy na Dziewiętnastej Ulicy. Był koniec kwietnia, wiosna w pełni, ale wiał lodowaty wiatr. Azalie wzdłuż ścieżki kuliły się z zimna, a trawnik od frontu przypominał grzędawisko. Podziękowałam Mickowi za przyście.

- Chciałem przyjść - rzekł.

„Gdzie twoja żona?” - miałam ochotę zapytać. „Czy ona wie, że jesteś tutaj?” Mick lubił Isabel, oczywiście, ale nie znał jej dobrze. Przyszedł ze względu na mnie.

- Podobało mi się, co powiedziałaś - rzekł.

- Za dużo mówiłam. Zaplątałam się. Jestem pisarką, nie mówcą.

- Jak twoje... - przypomniało mu się.

- Nie pytaj.

Uśmiechnął się i, och, moje idiotyczne serce wywróciło się na nice.

Jakiś mężczyzna i jego żona, Stan czy Sam i Hilda, nazwiska nie dosłyszałam, wyszli na zewnątrz. Mąż należał do rakowej grupy wsparcia Isabel. Wyglądał teraz dosyć zdrowo, zauważyłam z niejaką niechęcią.

- Musicie już iść? Cóż, dziękuję bardzo za przybycie.

- Tak, już późno, dzięki za zaproszenie.

Wydawało mi się, że wymiana grzecznościowych formułek trwa i trwa, a tymczasem Mick stał z boku, zakłopotany, i czekał, aż znowu będziemy sami.

Stan i Hilda w końcu poszli. Mick i ja staliśmy obok siebie przy barierce ganku i nie patrzyliśmy na nic w szczególności, zastawioną autami ulicę, dom naprzeciwko mojego.

- Będzie ci jej brakowało - rzekł.

- Myślałam, że byłam przygotowana na jej odejście, ale myliłam się. Bardzo mi jej brak.

- Masz przynajmniej przyjaciółki.

- Tak - westchnęłam.

- Zawsze ci tego zazdrościłem.

- Czego? Gracji?

- Jest taki gość, z którym każdej wiosny jeżdżę na pstrągi. W ciągu roku widuję go może trzy, cztery razy. Nazywam go swoim najlepszym przyjacielem.

- Och, to dlatego, że jesteś facetem. Faceci przyjaźnią się inaczej niż my. Waszymi najlepszymi przyjaciółmi są wasze własne żony. My mamy siebie.

Och, pożałowałam tych słów natychmiast, gdy je wypowiedziałam. Mick mógłby pomyśleć, że nawiązuję do Sally, podczas gdy ja tylko gędziałam, gadałam, co mi przyszło do głowy.

- Emma - rzekł. Naprawdę brakowało mi dźwięku mojego imienia w jego ustach. - Mogę do ciebie zadzwonić?

- Po co?

Roześmiał się. Spuścił wzrok i patrzył na swoje ręce ściskające białą drewnianą poręcz. Miał na sobie brązową marynarkę sztruksową i niebieską koszulę. Przyjrzałam się jego profilowi, krzywiźnie, jaką tworzyła linia zarostu na policzku. Nie czułam się podniesiona na duchu jego pytaniem. Czułam jedynie znużenie.

- Czy coś się zmieniło? - spytałam z niechęcią. Milczał, ale wyczytałam odpowiedź z jego twarzy. - Nie, proszę, nie dzwoń do mnie. Nie chcę cię widzieć. Och, Mick, ja tak bardzo cierpię. Gdybym dodała do tego jeszcze...

- Dobra, dobra, Emma.

Nigdy bardziej nie pragnęłam, żeby mnie przytulił, ale nawet nie podaliśmy sobie ręki. Odchodził z mojego świata, tak jak odeszła Isabel - na zawsze. W moim sercu powstała pustka, a ja nie miałam żadnej nadziei na zapełnienie jej.

Mick stał ze spuszczoną głową. Wzruszył mnie jednak. Jego włosy były niepokojąco piękne. Odsunęłam się szybko od niego - podniósł wzrok. Teraz jego rzęsy, wykrój nozdrzy, kształt ust, wszystko było jak ciężar ciągnący mnie w dół, pod powierzchnię. Musiałam to przeciąć, żeby nie utonąć.

Na szczęście na ganek wyszli nowi ludzie, którymi musiałam się zająć.

- Żegnaj - powiedziałam do niego.

On wiedział, oboje wiedzieliśmy, że to koniec. Odwróciłam się i wypowiedziałam wszystkie odpowiednie w takiej sytuacji słowa do wychodzącej pary, miłych ludzi - instruktorki Isabel i jej męża. Kiedy się odwróciłam, Micka już nie było.

Weszłam więc do domu i powiedziałam wszystko, co należało, włącznie ze słowami pożegnania ze dwudziestu jeszcze ludziom. Można by pomyśleć, że od ciągłego powtarzania słowa będą mi same, lepiej, gładziej spływać z języka. „Do widzenia, do widzenia. Miło mi było. Cieszę się, że przyszliście. Musimy się znowu spotkać”. Jednak pod koniec głos mi uwiązł w gardle.

Rudy to spostrzegła. „O Boże, Rudy, pomóż mi” - pomyślałam, a ona już wiedziała. Pozbyła się ostatnich gości i została ze mną na noc.

- Może powinnam postarać się o kota - powiedziałam, przyglądając się jej i Gracji, patrząc na tę swobodną, cudowną więź człowieka z psem.

- Właśnie - rzekła łagodnie. Zapaliła papierosa i podała mi. - Właśnie to teraz zrobimy, Emma. Postaramy się o kota.

TLR

## Rudy

Nikt nie pomyślał o sposobie rozrzucenia popiołów aż do chwili, gdy trzeba było to zrobić. „Rozsypimy je na morzu” - powiedziałyśmy. Zabrzmiało to lekko i wręcz romantycznie. Zgodziłyśmy się, że Isabel by się to podobało, ona uwielbiała ocean, zwłaszcza Outer Banks i Przylądek Harteras, który był naszym miejscem, bardzo specjalnym dla Gracji Ratowniczek. Isabel była spod znaku Wodnika i wierzyła w tego rodzaju rzeczy, jak astrologia i temu podobne. Rozsypanie jej prochów na morzu byłoby najwłaściwsze. Ale w żaden sposób nie można tego zrobić z brzegu. Wiatr zwałby popioły z powrotem na ląd wbrew naszym intencjom. Na szczęście Lee przewidziała to, zanim otworzyłyśmy pudełko z macicy perłowej, a tym samym ocaliła prochy Isabel od zdmuchnięcia na karolińskie diuny. Co wcale nie byłoby takie straszne, pomyślałam, ale chciałyśmy je wysypać do morza.

Lee zasugerowała, abyśmy wynajęły łódź i wypłynęły kawałek od brzegu. Przypomniała sobie, że widziała coś takiego w kinie. Emma powiedziała, żebyśmy poszły na koniec moła rybackiego we Frisco i tam wysypały popioły. Jednakże obie te propozycje zostały odrzucone z tego samego powodu: byli tam inni ludzie. My zaś pragnęłyśmy prywatności, kiedy będziemy się żegnały z Isabel.

Znalazłyśmy wreszcie rozwiązanie. Okazało się lepsze w teorii niż w praktyce. Postanowiłyśmy ubrać się w kostiumy kąpielowe i po prostu wypłynąć najdalej jak się da. Zakładałyśmy, że każda z nas powie kilka słów, Lee otworzy pudełko, wiatr porwie popioły i rozwieje je łagodnie po powierzchni morza. I tak też się stało, ale wypłynęłyśmy za daleko, zapominając, że Emma jest kiepską pływaczką. Popełniłyśmy błąd brzemienny w skutkach.

- Muszę wracać! - wybełkotała Emma, płynąc pieskiem i łykając słoną wodę. - Nie mogę dalej płynąć. Zrób to teraz, Lee, zrób to teraz!

Lee pływa jak delfin - całą drogę płynęła z rękami nad głową, by nie zamoczyć pudełka.

- Dobra - powiedziała. - Zaczekaj chwilę, zaraz to zrobimy, jesteśmy dostatecznie daleko...

- Prędzej, muszę wracać!

- Dobrze, dobrze - powierzamy te tu prochy naszej przyjaciółki morzu, które tak bardzo kochała, gdy była z nami. Isabel, my...

- Na pomoc!

Chwyciłam Emmę za włosy, gdy już, już szła pod wodę.

- Prędzej, Lee, pośpiesz się! - wrzasnęłam, usiłując wciągnąć sobie Emmę na grzbiet. - Nie kręć się, trzymam cię, trzymam, powiedz coś.

- Co? - Emma wykaszlała wodę i splunęła.

- Powiedz coś o Isabel.

- Żegnaj, Isabel!

Lee łypnęła na nią okiem, silnie rozgarniając wodę.

- Powierzamy te prochy morzu. Dobra, otwieram pudełko, Rudy?

- Będzie mi ciebie brak, Isabel. Kocham cię. Spoczywaj w spokoju.

Miałam zaplanowane inne słowa, ale skróciłam pożegnanie, bo Emma przytapiała nas obie. Lee otworzyła pudełko - wiatr porwał popioły oślepiającym, dymnym kłębem. Chwilę leżały na powierzchni wody, potem rozpuściły się jak płatki śniegu. Gdy przyszła druga fala, nie było po nich śladu.

- Pudełko też rzucam.

- Och, nie - powiedziałam. - A zresztą...

Lee odrzuciła pudełko, a ja ruszyłam ku brzegowi, podtrzymując Emmę i holując ją jak ratownik. Nie wiedziałam nawet, że to potrafię. Lee jeszcze chwilę zwlekała, a potem popłynęła za nami.

Można się później śmiać, opowiadając o tym wydarzeniu, ale prawda jest taka, że wcale nie było nam do śmiechu. Może gdybyśmy czekały dłużej - rok, a nie dwa miesiące od śmierci Isabel, nie odczułybyśmy tego tak boleśnie. Siedziałyśmy na piasku tyłem do zachodzącego słońca, milczące i posępne. To nie była nasza najlepsza godzina. Miało być wzruszająco, a wyszło jak w kiepskiej farsie. Nie przyniosłyśmy Isabel chluby. Czuliśmy, że ją zawiodłyśmy.

To była pierwsza z naszych dwóch nocy w Neap Tide. Nie zdążyłyśmy kupić warzyw, poszłyśmy więc na kolację do Brothersa, naszej starej mety. Ale nawet dobra, tłusta północnokarolińska potrawa z rusztu nie mogła nas rozweselić. Za wiele wspomnień. Nie piłam od trzech miesięcy, nie mogłam więc nawet sztucznie wywołać dobrego humoru.

Począpałyśmy z powrotem do domku, gdzie humory się nie poprawiły. Żadna z nas tego nie powiedziała, ale wiem, że wszystkie myślałyśmy: „Co w tym było zabawnego?” Siedziałyśmy przed telewizorem, oglądałyśmy głupie programy rozrywkowe, których w domu za żadne skarby byśmy nie oglądały, objadałyśmy się, próbowałyśmy czytać książki, ale nie sposób było się skoncentrować, ponieważ ciągle ktoś przeszkadzał. Rozmawiałyśmy o bzdurach i błahostkach, a nie o tym, o czym naprawdę chciałyby się porozmawiać. Powiedziałyśmy już wszystko, co było do powiedzenia w czasie podróży i już nie pozostało nic, oprócz bezmyślnej paplaniny.

Kiedyś to się nie wydawało bezmyślną paplaniną. Może rozmowy nie były głębokie, ale też nie bezmyślne, gdy Isabel była z nami. Może bez Isabel jesteśmy do niczego. Może to koniec naszej grupy.

Może będziemy się jeszcze spotykały przez jakiś czas, a potem stopniowo, niepostrzeżenie, coraz rzadziej, aż któreś spotkanie będzie ostatnie.



Zawsze sądziłam, że Gracje trzyma w ryzach apodyktyczna Lee, że to ona stanowi nasz napęd. Czyżby to była Isabel? Ona, taka spokojna? Emma mówi, że ona była naszym duchem. Czyżbyśmy bez niej były zgubione?

- Chyba pójdę się położyć - powiedziałam o dziesiątej. Emma i Lee spojrzały na mnie podkrążonymi sowimi oczyma i zaraz odwróciły wzrok. Żadna z nich nie powiedziała: „Tak wcześnie?” Życzyłyśmy sobie dobrej nocy i powędrowałam na dół.

Tym razem miałam pokój dla siebie, ten z rozkładanymi łózkami, który dzieliłam z Emmą latem. Czułam się w nim samotna. Brakowało mi Gracji. Chciałam ją przywieźć, ale cierpi na artretyzm, nie mogłaby ani wejść, ani zejść po schodach. Kirby się nią zaopiekował.

Leżąc w łóżku, uświadomiłam sobie, że tęsknię za domem. Oddałam go Curtisowi - tak, wiem - mieszkam teraz na zachodnim krańcu Georgetown w dużym, słonecznym mieszkaniu z jedną sypialnią. Curtis wcale się nie sprzeciwia rozwodowi. Ale bo ja też nie proszę go o wiele. Chcę tylko ugody gotówkowej, tyle pieniędzy, bym mogła się utrzymać, póki nie zacznę zarabiać na życie. (Jak?). Potem z nami koniec.

Moja wielkoduszność niezbyt odpowiada Lee i Emmie. Nawet Eryk myśli, że postąpiłam zbyt pochopnie. Warto jednak było zrobić wszystko, by sprawa rozwodowa potoczyła się gładko. Boję się tylko, żeby się to nie zemściło na mnie. Za dobrze mi idzie, nie ufam swemu szczęściu. Idę przez pole minowe ostrożnie, ostrożniutko, przerażona myślą, że mina wybuchnie mi pod nogami. Zużyłam tyle energii psychicznej na porzucenie Curtisa, że jestem wyczerpana. Ale powoli ją odzyskuję. To wymaga czasu.

Jeszcze nie wróciłam na kurs projektowania krajobrazu. Ale wrócę na pewno, jesienią. Czym się zajmuję? Kupiłam sobie nowe koło garncarskie. Wymyślanie kształtów dla moich skorup sprawia mi wielką przyjemność. Żałuję, że to kiedyś zarzuciłam. Prowadzę dziennik. Widuję się z Erykiem. Nie piję. Chodzę na długie spacerunki z Gracją. Pracuję jako wolontariuszka.

Niemal codziennie uzmysławiam sobie jakiś nowy sposób, w jaki mnie Curtis... „Ekspluatował” nie jest odpowiednim słowem. Oszukiwał? Wszystko jedno... Oto mały przykład. Lubiliśmy inne programy telewizyjne. Curtis chciał oglądać tylko CNN, CNBC i C-SPAN. Koniec, kropka, nic więcej. Ja lubiłam fabułę - sztuki, filmy, dramaty szpitalne, sitcomy, teatr. On to wiedział, ale ignorował, nigdy nie uznawał. Inteligentni ludzie oglądają sekretarza spraw wewnętrznych, jak wygłasza mowę w Senacie, albo konferencję prasową prezesa komitetu. A gdy te się kończą, inteligentni ludzie wyłączają odbiorniki.

Sposobem, w jaki Curtis uzyskiwał mój bierny współudział, było wydrwiwanie programów, które ja lubiłam: one były błahe, sentymentalne, melodramatyczne, banalne, źle grane, fałszywe, sztuczne, liche - ja zawsze udawałam, że się z nim zgadzam, że oboje jesteśmy ponad te śmieci. Wiem, że byłam tchórzem, lecz jego pogarda była tak wielka, że nie śmiałam mu się sprzeciwić. Kłamałam.

Nie potrafię wytłumaczyć, w jaki sposób to robił, wiem tylko, że byłam bezradna. Zmuszał mnie do spuszczenia wzroku. Gdy byłam pod jego czarem, mogłam przysiąc, że czarne jest niebieskie, jeśli tego chciał.

Teraz go nie ma, więc oglądam stare filmy i rozmaite powtórki. Jestem człowiekiem tapczanowym. Mnie podobają się nie tyle te programy, ile niewinność, jaką odczuwam, kiedy je oglądam. Czuję się jak delikwentka wypuszczona z poprawczaka. Jestem na zwolnieniu warunkowym, więc nadal muszę uważać, nie zgrywać się, nie za bardzo hulać. Ale mam teraz coś, czego nie miałam od wieków, może nawet nigdy. Nadzieję.

- Dobranoc, Em.

- Dobranoc, Lee.

Szeptaly sobie, zamknęły drzwi cichutko, żeby mi nie przeszkadzać. Czy będą teraz leżały jak ja, strapione i sfrustrowane, rozmyślając o swoich kłopotach i zastanawiając się, czemu my trzy nie kontaktujemy? Już nie ufamy sobie jako grupie. To tak jakby się miało cztery nogi i nagle jedną amputowano. Musimy się nauczyć chodzić na trzech nogach. Na razie niezbyt się nam to podoba, jesteśmy jakieś takie niezdarne i... pozbawione wdzięku.

Pamiętam, jak ostatnio leżałam na tym łóżku, a Emma na tamtym i rozmawialiśmy długo w noc o naszym życiu. U mnie dopiero zaczynało się coś zmieniać, dopiero odkrywałam w sobie siłę. Emma powiedziała: „Jeja, Rudy, aleś się rozbrykała” - gdy zdradziłam jej, że palę przy Curtisie. To wtedy zaczął wyczuwać we mnie zmianę, na pewno. Oznacza to więc, że miał sześć miesięcy na lęk, że mnie straci - kobietę uzależnioną od niego, której całe życie obracało się wokół niego - zanim zrobił ten fatalny krok w kłamstwo.

Mój Boże, co za rozpaczliwy czyn. Nadal nie mogę się z tym pogodzić. Eryk mówi, że to jest patologiczne. Że Curtis bardziej potrzebuje terapii niż ja.

Tak, cóż, myślę, że zawsze o tym wiedziałam. Można nazwać nasz związek chorym, lecz ludzie robią najrozmaitsze rzeczy, aby przetrwać, my przynajmniej nie krzywdziliśmy nikogo oprócz siebie. Ja go nie nienawidzę. Eryk i ja wciąż rozpracowujemy moje odczucia. Nie jest to nienawiść, nawet nie gniew. Zbyt dobrze rozumiem Curtisa. Za bardzo jestem do niego podobna. Zrobił mi wielkie świństwo i nigdy do niego nie wrócę. Ta decyzja dowodzi, że rzeczywiście zmieniłam się. Długo, właściwie przez całe życie, myślałam, że to niemożliwe. Teraz nie tylko dostrzegłam taką szansę, ale ją sprowokowałam. Jestem szaloną kobietą. Przechodzę od euforii do depresji. Boję się i potrzebuję pomocy. Przeraza mnie myśl, że Gracje mogą nie być w stanie mi jej udzielić. Czy to się może naprawdę zdarzyć? Wszystkie jesteśmy w żałobie, każda na swój sposób przeżywa żal po stracie Isabel, lecz mamy jeszcze swoje osobiste problemy. Moim jest Curtis, Emmy Mick, a Lee dziecko.

Może po prostu potrzebujemy czasu, żeby się dostosować do trójkończynowości. Ale się boję. Nie wszystkie zmiany są dobre. Och, jakbym chciała, żebyś tu była, Isabel! Przy tobie wiedziałybyśmy, co należy robić.

TLR

## 30.

### Lee

Na plaży Gracje zawsze przyrządzają duszone małe z jarzynami. Robiliśmy to dwa razy podczas czterokrotnego pobytu tutaj. Teraz byliśmy tu po raz piąty, a jeśli kiedykolwiek przywiązywałyśmy wagę do tradycji, to właśnie teraz. Więc się uparłam.

- Wy dwie zacznijcie obierać kartofle - powiedziałam do Rudy i Emmy. - Przywiozłam z sobą dwa i pół kilo. Po co kupować, skoro mam ich tak dużo w domu? - A ja pojedę kupić świeże małe. Wrócę za dwadzieścia minut.

Kiedy wróciłam po czterdziestu minutach, one jeszcze obierały ziemniaki. Siedziały przy kuchennym stole, niemal stykając się głowami, i wrzucały obierki do papierowej torby stojącej między nimi na podłodze. Ileż to kolacji przygotowałyśmy razem w ciągu jedenastu lat? Ile kieliszków wina wypiliśmy, z ilu sekretów się zwierzyłyśmy? Podniosły głowy i uśmiechnęły się do mnie, potem wróciły do pracy. Milczenie między nimi było swobodne i niekrępujące, jak w starym małżeństwie. Zadrościłam im - obie miały jeszcze swoją najlepszą przyjaciółkę. Rudy jest jednak szczuplejsza ostatnio, a Emma cichsza. A ja? Smutniejsza.

Rudy spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

- Kupiłaś małe? - Wciąż stałam w drzwiach.

- Tak - postawiłam torbę na kontuarze. - Byłam też na poczcie. Czasem w skrzynce jest jakiś rachunek albo kwestionariusz podatkowy. Odsyłam to matce.

- I? - Emma spojrzała na mnie krzywo. - Co to jest? Obróciłam kopertę w dłoń.

- List. Od Isabel.

Wytrzeszczyły oczy. Odepchnęły krzesła i wstały.

- Co ty mówisz?

- To nie jest jej charakter pisma.

- Ale jej adres.

- Pokaż. Co jest na pieczętce?

Nie oddałam listu i usiadłam przy stole.

- To charakter pisma Kirby'ego. Na pieczętce jest data ósmy maja.

- Ósmy maja. Ale ona...

- Kirby go wysłał - powiedziałam. - Później. List jest do nas wszystkich, zaadresowany na Neap Tide. Wiedziała, że tu przyjedziemy i chciała, żebyśmy go tutaj przeczytały.

Położyłam kopertę na stole. Patrzyłyśmy na nią, na nasze imiona wypisane w osobnych liniach wyraźnym pismem Kirby'ego. Adres zwrotny Isabel był umieszczony w rogu.

- Czy powinniśmy go otworzyć? - Rudy stała sztywna i wyprostowana, z dłońmi splecionymi pod brodą.

- Nie, wrzucimy go do śmieci, mamy kartofle do obrania. Rudy pokazała Emmie język.

- Chodzi mi o to, czy otworzymy go teraz? Czy może dopiero po kolacji.

- Czemu?

- Nie wiem. Byłoby...

- Uroczyściej - powiedziała. - Kiedy już nic innego nie będziemy miały na głowie. Mogłybyśmy wyjść z nim na pomost i tam go przeczytać.

- Pada deszcz i będzie ciemno - zwróciła uwagę Emma.

- Może przestanie. Mogłybyśmy zapalić świece. Emma uniosła ręce i pozwoliła im opaść.

- Chcecie zjeść kolację przed przeczytaniem listu Isabel? Tak więc przeczytałyśmy list przed kolacją, ale najpierw

Rudy zeszła na dół po świeżą paczkę papierosów. Emma otworzyła butelkę najlepszego wina, Chardonnay, które chowałyśmy do małży, i nalała po kieliszku dla mnie i dla siebie.

Rudy zrobiła sobie mrożoną herbatę. Ja poszłam do łazienki i napełniłam kieszenie chusteczkami higienicznymi.

- Kto będzie czytał?

- Ja - zgłosiłam się na ochotnika.

Emma uniosła brwi, ale nic nie powiedziała.

Na dworze wciąż mżyło, usiadłyśmy więc na podłodze w bawialni, z popielniczkami, napojami i chusteczkami rozłożonymi w strategicznych miejscach wokół siebie. Już, już miałam rozerwać kopertę, gdy Rudy rzekła:

- Zaczekaj - i zerwała się na nogi. - Muszę iść do łazienki.

Emma skrzywiła się i czekając, sączyła wino, nie patrząc na mnie. Uzbierała się. Nie lubi okazywać swoich uczuć publicznie. Gdyby się rozplakała, byłby to dla niej koniec świata. Rudy przyczłapała z łazienki.

- Dobra - powiedziała, gasząc zapałkę i wydmuchując dym. - Jestem gotowa.

W kopercie były trzy kartki zapisane pismem maszynowym, a z wierzchu jedna napisana pismem odręcznym.

- Ta jest od Kirby'ego.

- Przeczytaj ją.

- „Kochana Emmo, Lee i Rudy”.

- W porządku alfabetycznym - zauważyła Emma.

- „W ciągu ostatnich kilku tygodni swojego życia Isabel poczuła się oderwana od życia, od ludzi, których kochała. Powiedziała, że umieranie jest darem złożonym żyjącym. Mówiła, że trudno jej sobie przypomnieć, kim była «dawna Isabel», a szczególnie trudno troszczyć się o to, co kiedyś było dla niej bardzo istotne.

Pragnęła jednak napisać list do Gracji Ratowniczek, a zatem musiała cofnąć się w przeszłość. Znowu była w dzinsach z obciętymi nogawkami i w spłowiałej czerwonej bluzce. Cały dzień spędziła z nosem w książce i teraz jest gotowa na drinka i rozmowę. Rudy, co ty wtedy robiłaś? Chyba szkicowałaś na plaży i chodziłaś na samotne spacery. Teraz sączysz colę albo co innego i jesteś nastawiona towarzysko. A Lee, myślę, że przygotowałaś jakieś wymyślne przekąski, albo przyrządziłaś jakiś pomysłowy napój. Wyglądasz oszałamiająco w czymś prostym i gustownym, co właśnie kupiłaś u Saksy, to najmodniejszy kolor i jest ci w nim przepięknie”.

- Jeżeli się rozplaczesz - ostrzegła Emma - nie będziesz mogła czytać.

- „Myślałam o napisaniu trzech oddzielnych listów, ale się rozmyśliłam. W ciągu tych lat zawsze miałyśmy jakieś sekrety, powierzałyśmy je wybranej osobie, ale przeważnie całej grupie. Piszę więc do was wszystkich jednocześnie. Ponadto sekrety pochłaniają zbyt wiele energii. Rudy - ty jesteś moim bohaterem. Byłam z ciebie dumna tej nocy, gdy wyrzuciłaś Curtisa z domu. Świetnie się spisałaś! Chciałabym, żebyś uwierzyła w swoje siły. Powiedziałaś, że nie mogłabyś tego zrobić bez nas, ale jestem pewna, że świetnie byś sobie poradziła. Spójrz na swoje życie - spójrz, z jakim wdziękiem przez nie krocysz. Ty mi nie wierzysz, wiem. Emma, Lee - spróbujcie ją przekonać. Rudy, jesteś taka dobra, wyzbyta złości. Podziwiam twoją siłę i męstwo, twoją odwagę w dzieciństwie - dziedzictwo, które zniszczyłoby każdego mniej odpornego od ciebie. Przykro mi, ale nie sądzę, żeby kiedykolwiek było ci łatwo, nie w tym życiu, ale wiem, że będziesz żyła dobrze. Nie zapomnisz o prawdziwych przyjaciółach, których będziesz zawsze miała i którzy będą zawsze cię kochali.

A teraz mężczyźni. Mam nadzieję, że któremuś zaufasz.

Wiem, że tak się stanie, ale mam nadzieję, że prędzej niż później, masz tyle do zaofiarowania. Podziel się sobą z kimś, kto na to zasłuży. I bądź ostrożna. Weź od Emmy trochę sceptycyzmu - nie za wiele. Módl się o trochę szczęścia dla Lee.

Mam jeszcze jedną radę. (Mogę sobie na to pozwolić, nie sądzicie, z mego wysokiego stanowiska). Jeżeli możesz, zawrzyj pokój z matką. Zalecz tę ranę. Nie wiem na pewno - Eryk będzie wiedział, zapytaj go - ale sądzę, że nie będziesz mogła pójść dalej, jeśli tego nie zrobisz. Mówię ci to jako córka i matka. Może nic z tego nie wyjdzie, ale trzeba spróbować. Nie zdołasz uzdrowić swojej rodziny, ale ty się uodporniłaś. Naprawdę, Rudy. Nie jesteś już tą małą dziewczynką, tą, która była ze swoją mamą w łazience, leżała z nią na zakrwawionych płytkach, póki nie przyszli dorośli. Jesteś Rudy Surratt, zupełnie dorosła, mądra i twórcza, i taka piękna ze swoim wielkim, wybaczącym sercem. Kocham cię, Rudy. Pokładam w tobie tyle wiary. Będę ci się przyglądała, bo twoje nowe życie będzie ogromnie

ciekawe. Dbaj o siebie. Ale traktuj siebie z odrobiną łagodności, jaką okazujesz innym, a wszystko będzie dobrze".

- To wszystko - powiedziałam. - Następna część jest do Emmy. - Rudy położyła się na plecach i zakryła oczy dłońmi. - Czytaj dalej - powiedziała ochryple. - Co pisze do Emmy?

Musiałam najpierw wydmuchać nos.

- „Emma, wiesz, co mnie u ciebie najbardziej drażniło? To, że uważałaś moją wiarę w New Age za bzdurę. Ukrywałaś to! Uwielbiałam, jak odwracałaś głowę i wywracałaś oczami, ale nie mówiłaś ani słowa. Tolerancja, jak wiesz, jest esencją przyjaźni. Twoja tolerancja, na szczęście, wywodzi się z miłości, a nie z obojętności. Och, jesteś mi taka droga!

Dla ciebie, oczywiście, też mam radę. Och, mnóstwo rad. Lęk zabija. Chronienie siebie mści się. Życie składa się z niepowodzeń i o wiele rzadszych sukcesów. Uczymy się na błędach. Jeśli ich nie popełniamy, stoimy w miejscu. Mówię to z doświadczenia. A życie w lęku przed bólem wcale nie jest życiem. Kapujesz?

Jak możesz nie wiedzieć, o czym pisać? »Nie znalazłam jeszcze swojego tematu« - twierdzisz. (A gdy mi opowiadałaś o niektórych swoich eksperymentach, muszę powiedzieć, że się z tobą zgadzałam). Widzę twój problem bardzo wyraźnie: ty się chowasz za swoimi opowiadaniem. Może one i są dobre, ale nie są prawdziwe, więc ich nienawidzisz, a tym samym nienawidzisz samej siebie. Skończ z tym. Mówienie prawdy przeraża, wiem, ale ty masz dość odwagi. Naprawdę, Emma. Nie wiesz, o czym pisać? O nas, kochanie. Co ty na to? Napisz książkę o nas.

A co do tego mężczyzny, w którym jesteś zakochana. Ta rada może cię zdziwić - prawdopodobnie myślisz, że nie współczuję tej drugiej kobiecie, zważywszy na moją historię małżeńską. Naprawdę wierzę, że dobre zachowanie jest ważne, tak samo ważne jak honor i uczciwość. Lecz jeśli ktoś uwiecznia zło nawet w najlepszych intencjach, to ono pozostaje mimo wszystko złem. Dziecka, które oboje chronicie, nie da się ochronić, nie w ten sposób, i nie potrafi tego zrobić ta kobieta. Pora pójść dalej, Emma, pozwól życiu płynąć. Ono jest takie krótkie, och, takie krótkie. Możesz teraz brać, co chcesz. Myślę, że naprawdę możesz.

Staraj się nie bać. Powiedziałaś, że nie ma w tobie miejsca na więcej cierpienia. Cóż, mnie już nie ma, zwolniłam trochę miejsca dla ciebie. Ha! Nie mogę zaprzeczyć, że miłość czasem wymaga cierpienia, ale jeżeli ten mężczyzna jest tobie pisany, będzie tego wart. Och, czy muszę go wciąż nazywać „tym mężczyzną”? Na miłość boską, powiedz Lee, kto to. Na pewno nie będzie zgorszona. Dziękuję ci za dary, jakie od ciebie otrzymałam. Nie ma nikogo takiego drugiego jak ty. Miłość do ciebie traktuję jako przywilej. Teraz bądź dzielna - pójdz za przykładem Rudy! A wszystko będzie dobrze".

Podniosłam wzrok.

- To już koniec. Dobra, kim jest ten facet? - Emma wydawała się bliska łez. To było dla mnie tak denerwujące, że zażartowałam: - To Henry, tak?

Otworzyła usta ze zdziwienia - kupiła mój żart! To było cudowne - to się nigdy nie zdarza, zawsze jest na odwrót. Potem zorientowała się i wybuchnęła śmiechem.

- O Boże - powiedziała i przewróciła się na plecy obok Rudy. Patrzyłam, jak im brzuchy podrygują w takt chichotu. Och, więc Rudy też wiedziała.

- Czy ja jestem jedyna, która nie wie, kim jest ten mężczyzna?

Emma usiadła.

- Przepraszam - to było za trudne, Lee, po prostu nie mogłam powiedzieć.

- No więc powiedz teraz.

Wzruszyła ramionami, udając beztroskę, ale była zdenerwowana.

- Dobra. To Mick.

- Mick! Mick Drako? - Nie mogłam ukryć zdziwienia. - Myślałam, że go nie lubisz! Czemu mi nie powiedziałaś? Prawie nie widuję Sally, jeżeli o to się martwiłaś.

- No wiesz. Częściowo tak.

- Ale Henry rozmawia z Mickiem - powiedziałam. - Wiesz, Sally wróciła do Delaware.

Wyraz twarzy Emmy mówił, że nie wiedziała o tym.

- A cóż to się stało? - zapytała Rudy, siadając.

- Są w separacji. Nie wiedziałaś? Mick prawdopodobnie przeniesie się do Baltimore, żeby studiować sztukę w Maryland Institute.

- Ale... Jay... co z Jayem... - jękała się Emma.

Najpierw zbladła jak papier, a teraz zrobiła się czerwona.

- Zastanawiają się nad tym. Teraz jest z Sally, ale rozmawiają o tym, jak się podzielić opieką nad synem. Henry mówi, że to stało się niedawno. Jakiś tydzień temu.

- Czemu mi nie powiedziałaś? - Emma znów pobladła. Zanim zdążyłam odpowiedzieć na to śmieszne pytanie, szepnęła: - Czemu on mi nie powiedział? - i zakryła usta dłońmi. - Nie chciałam czekać - wymamrotała przez palce. - Nie dba już o mnie? Och, ale podczas ceremonii ku czci Isabel był taki... Ale jak sądzicie, dlaczego mi nie powiedział? Czy powinnam do niego zadzwonić? Czy to nie byłoby nachalne? A jeśli on już nie jest zainteresowany, jeżeli znalazł kogoś innego?

- W ciągu tygodnia?

- To możliwe.

- Więc będziesz cierpiała - rzekła Rudy.

- Isabel mówi, że warto za to cierpieć - powiedziałam.

Emma odjęła ręce od ust.

- Dobra. Zadzwonię do niego. - Podniosła się.



- Hej!

- Och! - Usiadła z powrotem, śmiejąc się, czerwieniąc ze wstydu. - Przepraszam, przepraszam, czytaj, skończ list.

- Nie chcę, jeśli to ma ci w jakikolwiek sposób przeszkodzić, Bóg wie, że nie chciałabym... Przestań, daj spokój. Dość tego... - Ale nie mogłam przestać się śmiać, kiedy mnie objęła i zaczęła całować po twarzy. Rudy parsknęła śmiechem. Nie cierpię, gdy Emma to robi i dlatego, oczywiście, ona to robi.

Ale to poskutkowało - wreszcie wszystkie trzy poczułyśmy się normalnie, jak dawniej. Była to najlepsza chwila od śmierci Isabel.

- Dobra, zaczynam czytać. Można? Opanujcie się.

- Tak jest - rzekła Rudy.

- Tak jest. Jesteśmy poważne. Czytaj. - Emma podciągnęła kolana pod brodę i objęła ramionami. Zmieniła się na twarzy - rysy jej się wyostrzyły, skóra na policzkach pobladła. Była napięta jak struna, gdyby ją potrącić, wydałaby wysoki, cienki dźwięk.

Wróciłam do listu Isabel. Prawdę mówiąc, wolałabym przeczytać go w samotności, ale to nie byłoby fair.

„Lee. Najśłodsza Lee. Co ci mam powiedzieć? Ostatnio rozmawialiśmy tak wiele, że mało zostało do dopowiedzenia. Poza tym, że bardzo mi ciebie będzie brakowało. Czy Rudy i Emma dziękowały ci ostatnio za założenie naszej grupy? Powinny. Myślę, że co najmniej raz na tydzień”.

Przerwał mi chichot Emmy i Rudy.

- „Zawsze mówiłyśmy, że ty jesteś ta rozsądna. Czasem z tego powodu zapominałyśmy o łagodnym traktowaniu ciebie, wierząc że jesteś silna i wcale nie potrzebujesz naszej łagodności. Ty jesteś silna - ale też czuła w środku. Nie mogę sobie wyobrazić ostatnich parunastu lat mojego życia bez ciebie. Byłaś moją przyjaciółką i córką. Moją radością”.

Żadna nie powiedziała nic, kiedy przerwałam na chwilę.

- „Minęło trochę czasu, odkąd ty i Henry zaprzestaliście starań o własne dziecko. Teraz możesz widzieć wyraźniej. Lee - mam dla ciebie dobrą wiadomość. Czy wiesz, że jest dziecko, które na ciebie czeka? Próbowałam powiedzieć ci to wcześniej, ale mi nie wychodziło. Dużo o tym myślałam. Jestem przekonana, że jest gdzieś dziecko, które wypatruje ciebie i Henry'ego. Musisz spróbować je znaleźć. (Jego czy ją, nie znam tego szczegółu). A kiedy je znajdziesz - a znajdziesz - pokochasz je całym sercem. Jestem taka szczęśliwa. To dla mnie głęboka pociecha, że wiem to o tobie. I twoim dziecku - och, jaką cudowną matką będziesz. Szczęśliwe, jakże szczęśliwe dzieciątko.

Tyle jeszcze mogłabym powiedzieć. Moje ukochane Gracje. Lee, Rudy, Emma, moje serdeczne przyjaciółki. Jesteście mi bardzo bliskie. Myślę o czymś, co możecie dla mnie zrobić. Prawdę mówiąc, domagam się tego. Nie zniosę żadnego sprzeciwu. Musicie znaleźć nową członkinię, która zostanie z

wami na stałe. Naprawdę musicie spróbować. Jeszcze lepsze byłyby dwie nowe członkinie. Nie można dopuścić, aby nasza grupa zanikła - wiecie o tym. Zróbcie to dla mnie. Proszę. Tak naprawdę to jest nie dla mnie, ale dla was. Pragnę tego dla was.

Dziękuję za wszystko, co mi dałyście. Lee, Emma, Rudy, kocham was.

Dziękuję, że byliście przy mnie do końca. Wiecie, czego żałuję? Że nie będę przy was, kiedy to się każdej z was przydarzy. Żeby wam oddać trochę tej miłości, pociechy i słodczy, jakich doznałam od was. Ale powiem wam - Emma, ty się tego spodziewałaś - że może będę. Tak, myślę, że będę. Liczę na to. Tylko proszę Boga, aby nie za prędko.

Kocham was

Isabel"

TLR

## *Emma*

Zmusiłam Rudy i Lee do wyjścia na pomost, kiedy dzwoniłam do Micka. Jedyny telefon był w kuchni, słyszałyby więc wszystko. Deszcz przestał padać. Było tylko trochę wilgotno. Nie mogło im to zaszkodzić.

Telefon Micka był jednak zajęty. Z kim on rozmawiał? Przyszło mi na myśl wiele okropnych możliwości.

- Numer zajęty, możecie wrócić.

Wróciły i usiadłyśmy razem przy stole, i skończyły robić duszone małże z jarzynami.

- Dobra. Teraz wyjdźcie znowu. Spróbuję jeszcze raz zadzwonić. Macie - powiedziałam, przewidując bunt, i dałam Rudy torebkę precelków. - Zjedzcie je, gdy zgłodniejecie.

Wyszły, mrużąc złośliwe uwagi, a ja wykręciłam jeszcze raz numer Micka.

- Halo?

Odtąd będę zawsze kojarzyła wielkie emocje, lęk, przerażenie, ulgę, od której przestaje bić serce, z zapachem duszonych małży.

- Mick? Tu...

- Emma?

- Tak. Cześć. Hm... cześć. Właśnie rozmawiałam z Lee i ona...

- Jesteś w domu?

- Nie, w Hatteras.

- Pojechałaś tam dzisiaj?

- Wczoraj. Przyjechałyśmy tu wczoraj. Zaśmiał się jakoś dziwnie.

- To wszystko tłumaczy.

- Co?

- Wydzwaniałem do ciebie przez całą noc. Byłem pewien, że miałaś randkę. Tylu mężczyzn się koło ciebie kręci.

Nogi zaczęły mi drżeć. Osunęłam się wolno na podłogę, zabierając z sobą telefon.

- Jakich mężczyzn? - Euforia. Zdawało mi się, że mam spuchniętą szczękę, gardło, wargi. Mój głos brzmiał jakoś obco. - Dzwoniłam do ciebie przed chwilą - powiedziałam - ale numer był zajęty. Wyobraziłam sobie, że rozmawiasz ze swoją nową dziewczyną.

Znowu się roześmiał. Trzpiotowato.

- Nie, to był Jay.

- Och. - To mnie trochę otrzeźwiło. - Gdzie on jest?

- Ze swoją matką. Sally wróciła do rodziców w Wilmington. - Zamieszka z nimi, póki nie znajdzie mieszkania. Dla siebie i Jaya.

- Och. Więc wy...

- Jesteśmy w separacji. Od około dziesięciu dni. Mam ci mnóstwo do opowiadania. Umilkł, a potem wyszeptał z mocą: - Czemu, u licha, jesteś tak daleko?

- Czemu odczekałeś całe dziesięć dni, żeby do mnie zadzwonić?

- No bo, po pierwsze, nie byłem pewien, czy mogę.

- Jak mogłeś tak myśleć?

- Bo kiedy rozmawialiśmy ostatnio, postawiłaś sprawę jasno. Pamiętasz?

- Oczywiście, pamiętam. - Na frontowym ganku. - Ale to dlatego, że nie dałeś mi żadnej nadziei

- Wiem. Sytuacja nagle się zmieniła i to jest ten drugi powód. Sally odeszła, ale nie miałem pewności, jak się zachowam, gdyby wróciła. Teraz wiem.

- Tak? - zapytałam trwożnie.

- Ja bym od niej odszedł.

- Och!

- Odszedłbym, Emma. To naprawdę koniec.

- Och!

- Ale nie chciałem, żebyś trafiła w sam środek tej burzy. Czekałem, aż się wszystko wyjaśni. Dlatego nie zadzwoniłem do ciebie.

- Och! - wykrzyknęłam po raz trzeci. Był to dobry powód. Sprawił, że zaśmiałam się jak hiena i trzasnęłam pięścią o podłogę. - Jak to się stało? Jeżeli chcesz mi powiedzieć.

- Chcę ci powiedzieć. Chcę się z tobą zobaczyć. A gdybym tak przyjechał do ciebie dziś w nocy?

To mnie naprawdę rozbroiło.

- No, mógłbyś, ale ja jutro będę w domu.

- Jutro. No, nie wiem. Do jutra jest strasznie daleko.

- Wiem.

- Mógłbym wyjechać ci na spotkanie do Richmond - powiedział i zaczęliśmy się śmiać jak nastolatkwie. - Albo do Norfolk.

- To nie byłoby chyba rozsądne.

- Chyba nie.

- Ale do Fridericksburg... - Znowu śmiech. - Och, Mick! - Właśnie tego zawsze pragnęłam - opowiadać głupstwa przez telefon w rozmowie międzymiastowej.

- Co?

- Cudownie. Jest cudownie.

- Tak.

Długa przerwa.

- Co robisz? - zapytał. - Gdzie są dziewczyny?

- Siedzę na podłodze w kuchni. Rudy i Lee są na pomoście - wyrzuciłam je. Nic im nie będzie, przestało padać. Gdzie ty jesteś?

- Także w kuchni. Nie byłeś u mnie w domu.

- Nie. Czy jest ładny?

- Przyjedź i zobacz.

- Przyjadę. - Nie mogłam, po prostu nie mogłam przestać się uśmiechać. - Więc jesteś zadowolony? Z separacji? Jak się ma Jay?

- Znacznie lepiej, niż przewidywałem. Chyba że się oszukuję. Brak mi go - to w tym najgorsze. Emma, może się przeniosę do Baltimore, spróbuję się dostać do Maryland Institute. To jedna z najlepszych prywatnych akademii w kraju.

- Dostaniesz się. Co tam będziesz robił, magisterium?

- Tak. I chciałbym być bliżej Jaya. Sally mnie zaskoczyła. Nie żąda wyłączności, chce, żebyśmy oboje się nim opiekowali.

- Dzięki Bogu. To najważniejsze.

- Więc jak się zobaczymy, będziesz mogła wypominać mi, że nie zrobiłem tego wcześniej. Tylko że wcześniej nie mogłem.

- Nie wypomnę. Będę wzorem powściągliwości.

Niemal słyszałam, jak się uśmiecha, czułam to w chwilach milczenia.

- Tak - powiedział. - Więc co sądzisz o Baltimore?

- Sądzę, że to wspaniale. Tylko godzina jazdy. Rozpracujemy to sobie.

- Miałem nadzieję, że właśnie tak będzie. Wiesz, że to jest...

- Co?

- Trudno przestawić się z marzeń na rzeczywistość.

- Jak to? - wiedziałam, ale chciałam usłyszeć, jak to mówi.

- Nie mogę uwierzyć, że to się naprawdę dzieje. Cieszę się na to, co się ma stać. Wyobrażałem to sobie od dawna, niemal odkąd cię poznałem.

- Taak?

- Ale bałem się mieć nadzieję.

- Wiem. Ja też.

- Teraz wydaje się, że coś z tego wyjdzie.

- Boję się. Los lubi płatać figle.

- Albo...

Nie dokończył, ale wiedziałam, do czego zmierza. „Albo nic z tego nie wyjdzie”. Zawsze jest taka możliwość. Mick miał jeden nieudany związek za sobą, ja znacznie więcej. Wzdychaliśmy do siebie przez półtora roku. Czy razem stworzymy udaną parę?

- Dlaczego nie jesteśmy jeszcze bardziej przerażeni? - zastanawiałam się. - Powinnam być sparaliżowana ze strachu, a zamiast tego żywię tę śmieszna wiarę. Czuję się głupio nawet o tym myśląc. Naprawdę wierzę, ponieważ to, co mnie łączy z tobą, jest dla mnie zupełnie nowym doświadczeniem. Och, Mick, nie mogę rozmawiać o tym przez telefon.

- Wiem. Jutro.

- Jutro. Dobra. Och, chłopie. Czuję takie... pożądanie. Ni stąd, ni zowąd.

- Pożądanie. - Smakował to słowo, zaskoczony i zadowolony zarazem. - Zadzwoń - powiedział - jak tylko przyjedziesz do domu.

- Nie martw się.

- Chcesz przyjść do mnie?

- Nie wiem. Ty przyjdź do mnie. Dobrze?

- Dobrze.

Porozmawialiśmy jeszcze trochę, ale to nie było satysfakcjonujące. Za dużo było do powiedzenia i zdecydowanie za dużo pożądania. Nie mogliśmy rozmawiać swobodnie. Powiedział mi tylko w ogólnych zarysach, jak doszło do zerwania z Sally. Byli na kolacji w Yenching Palace. Zapytała go wprost, czy ją kocha. Mógł powiedzieć „tak” choćby z litości, robił to już wielokrotnie, ale tym razem wyznał trudną prawdę. Gdy to usłyszała, rozplakała się, ale nie była załamana ani zdruzgotana. Chyba poczuła ulgę. W każdym razie to był jej pomysł, żeby wrócić do Delaware. Jay będzie na razie z Sally. Mick się z tym pogodził.

- Jay kocha swoich dziadków, a i oni są dla niego wspianiali. Myślę, że będzie mu tam dobrze. Będę go często widywał. Wmawiam sobie, wiem...

- Ale to prawda, będziesz go widywał.

- Ale to nie to samo.

- No nie. Ale z czasem się ułoży. Będzie dobrze.

Czy ja to naprawdę powiedziałam? Chciałam wstać i spojrzeć w lustro, zobaczyć, czy zmiana w sposobie myślenia odbiła się na moim wyglądzie.

- Dobra - rzekłam zdecydowanie. - Kończmy tę rozmowę. One są już bardzo głodne. Lee i Rudy. - Przez firankę widziałam zarysy ich sylwetek na leżakach, czerwoną plamkę rozżarzonego koniuszka papierosa Rudy w mroku.

- Dobra - rzekł Mick niechętnie.

Minęło jeszcze dziesięć minut, nim odłożyliśmy słuchawki. Ciekawe, jak to będzie, myślałam. Może nic z tego nie wyjdzie (mam nadzieję, że się nam uda), ale tymczasem jestem szczęśliwa.

- Kocham cię - szepnęłam. Słyszysz, Isabel jaka jestem odważna?

Odpowiedział tak samo, dodając moje imię. Mogłabym słuchać bez końca, jak Mick mówi „Emma”. Och, Jezu. Wkrótce zacznę wypisywać jego imię w moim podręczniku do geografii.

- Do jutra - powiedziałam.

- Dobranoc, Emma.

- Branoc.

- Do jutra.

- Taa. Albo może zadzwonisz do mnie później.

- Dobra.

Pełna zaskoczenia cisza, a potem śmiech z powodu prostoty rozwiązania. Ułatwiło to bardzo pożegnanie.

- No i?

- No i?

- Rozmawialiśmy. - Podeszłam do barierki i skuliłam się nad nią, zbyt roztrzęsiona i rozmarzona, w romantycznym nastroju, by siadać.

Rudy wstała, podeszła i stanęła obok.

- Rozmawiałaś?

- Słyszałyśmy. - Lee wstała i stanęła po mojej drugiej stronie.

- To tam - powiedziałam, przechylając się bardziej. - Stąd nie widać, głębiej.

- Co?

- Pocałowaliśmy się pierwszy raz.

Rudy westchnęła. Lee wciągnęła powietrze.

- W czasie ostatniego pobytu?

- Tak.

- Opowiedz dokładnie, z najdrobniejszymi szczegółami.

- Dobra. - Nie ma problemu. Nigdy nie czułam się bardziej szczodra.

- Ale najpierw powiedz, czy będziesz się o niego starała?

- Czy będę się o niego starała?

- Czyż nie to właśnie powiedziała Isabel, że powinnaś zrobić?

- Chyba tak.

- Będiesz?

Uśmiechnęłam się. Czyż to nie jest wypisane na mojej twarzy? Lee potrafi być taką formalistką.

- A czy ty zaadoptujesz dziecko? - zrewanżowałam się jej.

- Och, Em. - Objęła mnie i uściśnęła. - Ono mnie szuka - szepnęła, patrząc w niebo. Chmury odpłynęły, ukazały się gwiazdy i mrugały.

- Mam rozumieć, że tak?

Kiwnęła wolno głową, z rozmarzonymi oczyma.

- Czemu tak długo zwlekałam? Rudy i ja wymieniliśmy spojrzenia.

- No właśnie - powiedziałam - czemu?

- Nie wiem. Teraz to oczywiste, ale przedtem... Wykluczaliśmy to, nim się naprawdę nad tym zastanowiliśmy. Henry powiedział, że chce mieć własne, a ja skorzystałam i dopisałam to do długiej listy przyczyn, dlaczego musimy mieć własne dziecko. Żadna z nich nie była warta rozpatrzenia. Isabel próbowała mi to powiedzieć, ale ja nie słuchałam.

- Byłaś taka zdeterminowana.

- Nie mówią o tym w klinikach. Ostatnie dwa lata spędziłam w gabinetach lekarzy i przez cały ten czas ani razu nie usłyszałam słowa „adopcja”. Ani razu. Czy to nie zdumiewające? Nie wspomniała o tym żadna pielęgniarka. Więc po prostu nie myślałam o tym.

- A Henry nie będzie miał tego za złe?

- O, nie. Nie będzie.

Teraz pożałowałam, że nie miałam odwagi powiedzieć jej o tym wcześniej. Albo że nie zrobiła tego Rudy. Byliśmy na to zbyt taktowne czy też za bardzo pragnęliśmy współuczestniczyć w jej obsesji, popierać ją w niej, by wskazać alternatywę.

- Rudy mówi, że powinniśmy zaadoptować jakieś cudzoziemskie dziecko, bo wtedy cała procedura przebiega szybciej. - Może jakąś rosyjską albo rumuńską sierotkę. Myślałam też o żydowskim dziecku z Ukrainy. - Przestała spoglądać w niebo i zeszła na ziemię. - Jak tylko zjemy, zadzwonię do Henry'ego.

- A jeśli to będzie dziewczynka, ona ją nazwie Isabel - rzekła Rudy.

- Tak, oczywiście - powiedziałam. - A jeśli chłopiec, to Izidor.

Uśmiechnęłyśmy się w mroku.

- Sądysz, że naprawdę powinniśmy postarać się o nową członkinię?

- Stałą członkinię - sprecyzowała Lee. Westchnęłyśmy.

- Jest pewna kobieta u mnie w pracy - rzekła Lee. Jęknęłyśmy.

- Chyba zadzwonię do matki dziś wieczorem - Rudy cisnęła papierosa za barierkę. - Szszz.

Dziwię się, że nie powiedziała, że muszę rzucić palenie.

Nie wiem czemu odwróciłam się tylko i mocno ją uściśnęłam.

- Uch - stęknęła, zadowolona. - Robisz się w tym coraz lepsza.

- Doprawdy?

- Ja to też zauważyłam - rzekła Lee.



- Hej, czy nikt nie umiera z głodu? - spytałam, ale żadna się nie ruszyła. Jeszcze nie chciałyśmy opuścić pomostu.

- Wiecie, co byłoby miłe? - powiedziała Rudy. - Gdybyśmy się wszystkie razem zestarzały.

- A czemu nie miałybyśmy?

- Ale mnie chodzi o to, żeby jednocześnie.

- Taaa - powiedziałam. - W domu spokojnej starości. - Od lat fantazjowałam na ten temat. - Siadywałybyśmy sobie w fotelach bujanych na frontowym ganku jakiegoś ładnego domku na wsi.

- Nadal zachowałybyśmy wszystkie zmysły - zdecydowała Rudy - byłybyśmy tylko stare.

- A ty będziesz wciąż wyglądała wspaniale. Lee będzie mnie woziła w fotelu na kółkach, bo ona pozostanie nadal silna i żyłasta.

- Jeżeli chcesz, żebym cię woziła, musisz być dla mnie miłsza.

- I będziemy się nadal lubiły - powiedziała Rudy.

- Będziemy grywały w kanastę.

- W brydża - poprawiła ją Lee.

- A jeśli któraś z nas umrze - powiedziałam - poddamy ją kremacji, ale nie pogrzebiemy popiołów, póki ostatnia nie umrze.

- Dobrze, ale kto wtedy to zrobi?

- Izydor. W tamtym miejscu. - Wskazałam w kierunku miejsca wysypania prochów Isabel, jakieś pięćdziesiąt metrów w głąb niewidocznego morza.

- Izydor?

- Twój syn. Będzie miał wtedy około sześćdziesiątki. Mam nadzieję, że dopisze mu kondycja i dopłynie.

- W przeciwieństwie do niektórych.

Księżyc wychynął zza chmur. Świerszcze robiły się coraz głośniejsze, aż zagłuszyły szum fal. Po drugiej stronie ulicy dwaj mali chłopcy wyszli z ojcem toczyć kółka na podjeździe.

- Napisz książkę o nas - powiedziała Isabel. Czy to może być dobry temat na powieść? Nie bardzo to widziałam. Prawdziwsze życie jest zbyt chaotyczne. Nie przekłada się dobrze na fikcję. A fikcja, fikcja jest znacznie prostsza. Myślałam o jakimś kryminale z odrobiną romansu, niebezpieczeństwami, może też przypadkiem amnezji. Mógłby zarazem być o czterech kobietach. Które należą do klubu i jedna z nich zostaje zabita. Nie, to jest za smutne. Siostra jednej z nich zostaje zabita i one jednoczą siły, aby rozwiązać zagadkę jej śmierci. Gdybym się zdobyła na napisanie tej powieści, mogłaby nosić tytuł *Przyjaciółki od serca*.

Isabel powiedziała: „Napisz książkę o nas”. Och, Isabel, nie wiem. (Teraz tak z nią rozmawiam, jakby stała obok mnie. Myślę, że wszystkie to robimy). To brzmi tak dorośle, tak dojrzałe. Pozwól, że

się nad tym trochę zastanowię, dobra? Tak, wiem, czynnik czasu, życie jest krótkie i nigdy nie wiadomo, ile go zostało, wiem, wiem.

Dobra, zastanowię się nad tym. Ale jeśli utknę, zastosuję amnezję.

- Kolacja na stole! - zawołała Rudy.

Weszliśmy do środka. Stół wyglądał ślicznie. Zapaliłyśmy świece, rozłożyłyśmy płócienne serwetki. Nie mówiłyśmy o tym, że trzy to nie to samo co cztery. Isabel miała absolutną rację, musimy się postarać o nową członkinię.

Po kolacji wszystkie chciałyśmy skorzystać z telefonu. Lee, żeby zadzwonić do Henry'ego, Rudy do mamy, a ja chciałam, żeby numer był wolny i Mick mógł zadzwonić do mnie.

Przybyłyśmy tutaj w specyficznym celu i oto znalazłyśmy się wobec potrzeby zapoczątkowania nowego etapu w dziejach naszej grupy. Czy to ci się podoba, Isabel? Czy uśmiechasz się i zacierasz ręce, zadowolona, że się nam przysłużyłaś? No cóż, żałuję, że cię z nami nie ma. Chciałabym, żebyś tu była. Wiesz? Po prostu mi cię brak.

